

## The Project Gutenberg eBook of Ironia Pozorów, by Maciej Łubieński

This ebook is for the use of anyone anywhere in the United States and most other parts of the world at no cost and with almost no restrictions whatsoever. You may copy it, give it away or re-use it under the terms of the Project Gutenberg License included with this ebook or online at [www.gutenberg.org](http://www.gutenberg.org). If you are not located in the United States, you'll have to check the laws of the country where you are located before using this eBook.

Title: Ironia Pozorów

Author: Maciej Łubieński

Release date: June 1, 2004 [EBook #6000]  
Most recently updated: May 1, 2013

Language: Polish

Credits: Produced by Michalina Makowska, Eve Sobol, and Julia Jezierska.

\*\*\* START OF THE PROJECT GUTENBERG EBOOK IRONIA POZORÓW \*\*\*

Title: "Ironia Pozorów"

Author: Maciej hr. Łubieński

### PROLOG

Dniało...

Leniwo, sennie pierzchały mgły przezrocze, tulące się dotąd w niemej pieszczocie do ścian wielkiego grodu i wodnej, płynącej u stóp jego fali.

Wreszcie - znikły...

Na wzgórzu ukazało się miasto. Z wysoka, iglicami katedry, licznymi gmachami i zżółkłą zielenią ogrodów przejrzało się dumnie w nurtach szarych rzeki, a po szybach okien domów jego zamigotał równocześnie pierwszy bladawy promyk chmurnego jesiennego świtu.

Na poddaszach krytego cegłą staromiejskiego domku nieprzesłonięte niczem okno jedno zaśmiało się weselej od innych do matowego porannego światła. Ciekawie do wnętrza facyatki wśliznął się brzask smętny.

W pokoiku, o paru najniezbędniejszych tylko sprzętach, na razie nie było nikogo.

Pościel nienaruszona bielila się dość schludnie, wszystko wokoło zaś wskazywało wyraźnie, iż właściciela siedziby tej od wczoraj już nie było, puls bowiem kielkującej tu jakiegoś jednego życia, zastygły w panującym wszędzie nieporządku, wyraźnie oczekiwać się zdawał cierpliwie na swego pana i władcę.

Tymczasem zaś tylko po niezamiecionych kątach błąkały się pustka i nuda, a nietrudno było domyśleć się, że bieda w swej ziemskiej wędrówce zaglądać tu nieraz musiała...

Gościńę jej bowiem zdradzało tutaj - wszystko. A więc i ubożyzna mebli i atmosfera jakaś duszna, wreszcie to coś niewidzialnego, nieokreślonego, z kątów, ze ścian, zewsząd, wyzierającego, co, jak widma cień, szeptem jakby, mówi wciąż o sobie i łzawo się skarży.

W przedziwnie zgodnej, panującej tu ogólnie harmonii szarzyzny, melancholii i smutku, dźwięczała jednak, drgała, niby uśmiezek radosny, jasny, nuta weselsza. Była zaś nią stojąca w rogu pokoju, na komódce staroświeckiej, zniszczonej, w inkrustowane, wykwintne ramy oprawna fotografia gabinetowa młodej dziewczyny, ku której z obok stojącej szklaneczki małej wychylała się pieszczotliwie w rozkwicie swym śliczna aksamitna pąsowa świeża róża.

Dziewczę i róża patrzyły na siebie, lecz królowa kwiatów z sąsiedztwa swego dumną być tylko mogła.

Z martwej bowiem kartki kartonu, spoglądała na świat dużemi oczyma cudna twarz dziewczyny, a zaklęty w rysach i układzie całej postaci nieujęty jakiś wdzięk - ta siła największa kobiety, oporna na lata i burze życia, świeża zawsze, jak

kwiecie wiosny - szła na widza i chwytała go za serce, czarując natychmiast swem słabem bądź co bądź tylko arcyzmu ludzkiego odbiciem.

Odosobnienie zaś wyraźne rogu izdebki, gdzie stała fotografia, od otaczających i rozrzuconych po pokoju sprzętów, oraz pewna czystość staranna, cechująca to miejsce - świadczyły sobą również aż nadto, że nieobecny właściciel mieszkania tego dbał wielce o ten zakątek, zdradzając przytem, że i on w biedzie swej miał może jakąś chwilkę jasną, jakieś swoje marzenie!...

Tak, niewątpliwie!...

Siła bowiem jakby ukryta, a nieujęta jednocześnie i dziwna, biła od tego kącika pamiątek; zdawał się być on jedynym uśmiechem smutnego zkądinąd tu bytu i jedyna również kapliczka, nikłego złudnego zapewne jakiegoś szczęścia, ale zawsze - szczęścia.

W szarą nędzę istnienia „pana”, zamkniętej w tych ścianach biedy, życie wplątało widać jakąś nić złotą, rzuciło na osłodę hojnie i litościwie pęk duchowych promieni!...

Tymczasem w ciszy izdebki nie przerywało nic zgoła... Przez małe okienko widać tu było spiętrzone dachy z czerwonej cegły, kominy; dalej, w dole, srebrzyła się rzeka, a środkiem niej cicho sunęła właśnie berlinka, zdążając ku miejskiej przystani.

Z wieży którejś z pobliskich świątyń w ogólnem milczeniu melodyjnie rozległ się niebawem dźwięk sygnaturki porannej. Monotonne nieco popłynęło w dal echo z dzwonu, a zawtórowały mu wkrótce świstawki licznych fabryk, turkot wozów z mlekiem i pieczywem, oraz inne, płynące zewsząd odgłosy.

Powolnie budziło się już miasto.

Krętymi uliczkami staromiejskiej dzielnicy zdążył krokiem równym i szybkim ku opisanej powyżej siedziby swojej młody mężczyzna, rosły i gibki, ubrany w jesienne palto i pognieciony miękki kastrowy kapelusz, nadający śniademu obliczu jego i bujnemu zarostowi wyraźny typ jakby południowca z Zachodu. Szedł on, pogwizdując z cicha, z rękami w kieszeniach, zamyślony, a po wyminięciu kilku przechodniów, skręciwszy w uliczkę wąską i głuchą, znalazł się na niej sam zupełnie.

Po chwili jednak z poza węgła staroświeckiego domu, tworzącego róg tej ulicy, wysunęła się pewna postać i poczęła iść w ślad za nim.

Była to biedna jakaś babina, a snać nieco podpita, bo zataczając się z lekka, krzykliwie podśpiewywała coś sobie. Mała, krępa, okręcona czerwoną wełnianą chustką i w takiejże spódnicy, kołysała się ona zabawnie, przystając co kroków kilka, i niby baletnica szybko wykręcając się na jednej nodze.

W swe kościste ręce spódnice ujmowała przytem pocieszny ruchem, a z pełną komizmu gracyą unosząc ją wyraźniej i głośniej powtarzała ostatnią piosenki zwrotkę, i szła dalej, aby w parę minut ponownie wykonać też same identycznie produkcy.

Idący ulicą mężczyzna przystanął i patrzył ciekawie na babinę, wkrótce jednak, znudzony, obojętnie odwrócił się i począł iść dalej.

W tej samej chwili posłyszał za sobą wołanie:

- Hej, panoczku, panoczku! Stójcie-no ino tam, stójcie!...

Młody człowiek odwrócił się i ujrzał zmierną ku niemu kobiecinę; trzymała coś w ręku i kiwała nań. Zdziwiony podszedł bliżej i zapytał:

- Cóż to, czegoż ode mnie chcecie?

Babina zaś, podając mu jakiś przedmiot, objaśniła:

- A dyć zgubiłiście to panoczku!... Przez mała psewróciłabym se bez tę torbę...

Nieznamy machinalnie ujął w rękę, co mu dawano.

Trzymał pugilares duży, ciężki i elegancki; był on ze skóry koloru wiśniowego i mile dotknięciem swem pieścił.

Na ten widok zarumienione od porannego chłodu oblicze młodzieńca zbladło, ręka mu zadrżała nerwowo, a na ustach, które z lekka poruszyły się niedostrzegalnie, zamarły, jakby niewypowiedziane jakieś słowa.

Jednocześnie spojrzenie jego dużych ciemnych oczu obrzuciło badawczo uliczkę: wokół nie było nikogo, tylko zapuszczone story licznych okien u domów patrzyły przed siebie martwym okiem - w ciszy uspienia jeszcze drzemało tu miasto.

Przenikliwy, rozumny wzrok nieznanego spoczął z kolei na twarzy stojącej przed nim kobieciny, i zatrzymał się na niej długą chwilę...

Zdawała się ona być ze wsi, a Bogu duszę winna, ucierała w tej chwili swój nos zamasyście, nieestetycznym i prymitywnym, ludowi naszemu właściwym sposobem, mrugając równocześnie małemi, zaszłemi krwią, jak u królika, oczkami. Niewątpliwie była przytem poweselała od trunku, a nie pijaną przed chwilą widać śpiewającą tylko - tak sobie, gwoli zadośćuczynienia nastrojowi swemu, czy też może zbytкови przyrodzonego temperamentu.

- Dziękuję wam! - Lakonicznie rzucił nagle nieznajomy, prosto w piegowatą i czerwoną twarz babiny i odwróciwszy się z pośpiechem, podniósł kołnierz paltota, wtulił w niego głowę, nasunął na oczy kapelusz i począł iść bardzo szybko, wkrótce zaś puścił się prawie że biegiem.

- A to ci leci!... Niby ta elektryka, zrozumienia nijakiego niemająca, - zawyrokowała głośno do siebie, wzruszając ramionami, kobiecina.

Rażno z miejsca ruszyła i śpiewać znowu poczęła, echo zaś jej piosenki, odbiwszy się o mury charakterystycznych, przygarbionych wiekiem kamienic Starego Miasta - pognało za niknącym już w głębi uliczki mężczyzną, ostatnią swą, dwukrotnie powtórzoną, zwrotką:

"A kto kocha, ten jest zdrów,  
A kto kocha - ten jest zdrów...";

Zgrzytnął klucz w zamku cichej facyatki, otworzyły się gwałtownie drzwiczki, i na progu stanął właściciel tego mieszkanca. Od powiewu, wywołanego prądem powietrza, zadrżały firanki u małego okienka, ze szklanego zaś kielicha pochyliła się ku fotografii młodej dziewczyny róża aksamitna, jakby pragnąc z nią wspólnie powitać pana swego.

- Nareszcie!... - wyszeptęła z ulgą usta przybyłego i ruchem nerwowym, zamknąwszy cicho drzwi za sobą, przekręcił klucz w zamku.

Rzecz dziwna - natychmiast w czterech ścianach smutnej dotąd izdebki zrobiło się jakoś weselej i jaśniej!...

Młodość bowiem i siła szły, były od młodego mieszkańca facyatki, i niby brakujący promień światła, ożywiły, zda się, wnętrza poddasza.

Rzuciwszy kapelusz i paltot na krzesło, młodzieniec baczenie rozejrzał się po swym pokoiku, a zmarszczywszy brwi i jakby coś rozważając, pozostał w pozycji stojącej dłuższą chwilę.

Poruszył się jednak niebawem i podszedł do drzwi, nad słuchując równocześnie. Postawszy zaś tam minut parę, zbliżył się następnie do okna, a wpatrzywszy się w nie przez sekundę może, po krótkim wahaniu, powolnym ruchem spuścił roletę.

Szarawa ciemność zaległa izdebkę.

Młodzieniec podszedł do kanapy, przed którą stał stoliczek mahoniowy, i usiadł. Wkrótce w ciszy rozległ się zgrzyt zapalki. Po chwili mała lampka oświetlała już poddasze, młody człowiek zaś, raz jeszcze obejrzawszy się wkoło, szybko, sięgnął do kieszeni swego ubrania.

Nerwowo, śpiesznie wydobył stamtąd wręczony niedawno portfel skórzany i, z błyskiem ciekawości w oczach roztworzywszy go, położył na stole.

Z sześciu, zapiętych małymi klapkami, przedziałów złożony, z wielką spodnią, idącą przez całą długość jego kieszeni, w oczekiwaniu, cicho, pugilares patrzeć się zdawał na siedzącego mężczyznę...

Ręce jego jednak, dotknąwszy się tylko pobieżnie wypełnionych kryjówek, zatrzymały się chwilę beczynnie, a na nerwowej twarzy odbiło zdumienie, połączone jakby z przestrawieniem.

- Jak to, więc tak dużo tu czegoś? - mówiły wyraźnie wielkie, wyrazu pełne oczy młodzieńca, i jednocześnie pytać się zdawały niepewne: - Czy tylko to aby pieniądze?..

I dziwna reakcja odbywała się w duszy jego.

Gdy krętymi uliczkami leciał do swego mieszkanca, paliła go chęć ujżenia, co zawiera portfel, a obecnie?... Lęk oto jakiś niewytłumaczony zawładnął nim nagle.

Przecucie mówiło mu wyraźnie, że tu, przed nim, w pugilaresie tym, ukryty na razie od oczu ludzkich, mieścił się majątek może, tkwił pieniądź - ten talizman ludzkiego dobrobytu i szczęścia, drzemała świata tego potęga - złoto...

A jednak nie poruszył on dotąd wcale portfela... Dlaczego?

Bo z przecuciem bogactw, które czekać się zdawały tylko dotknięcia jego, czuł dobrze, zdawał sobie on sprawę z czegoś innego również.

To była własność cudza!...

Upomną się o nią niewątpliwie; on zaś, nie wiedząc, co się tam znajduje, możeby mógł jeszcze, pomimo swej nędzy, zwrócić właścicielowi ten oto przedmiot, czy uczyni to jednak, unurzawszy ręce w zawartości jego?

Z ręką na portfelu opartą mężczyzna zamyślił się bardziej jeszcze.

Wszak, choć z pozoru wesół i syty, nie posiadał on w istocie na razie złamanego szeląga przy duszy. Ostatnie pieniądze wydał na bilet kolejowy, który pozwolił mu wrócić w ściany poddasza z wczorajszej zamiejskiej wycieczki, związanej z nadzieją otrzymania posady.

Nie otrzymał jej - wracał z niczem; głodne dzisiaj już teraz pytająco zaglądało mu w oczy zimnem nieubłaganem spojrzeniem.

A tu, przed nim!...

Młodzieniec zerwał się z kanapki i przebiegł pokój kilka razy. Nagle, wytrzymać snadź już nie mogąc, pochwycił w drżące ręce leżący portfel i rozpiął ruchem gwałtownym po kolei wszystkie jego kieszonki...

I oto z jednego przedziału natychmiast z przyciszonym brzękiem posypały się na wyszarzałą serwetę stolika rulony złota, błyszczące, nowe - zamigotały w niepewnym świetle lampy i ułożyły się cicho... W ślad za nimi z innych kieszonek portfela z szelestem wypadły pliki storubłówek, w opaskach, a z kryjówek jego spodniej wysunęły się do połowy wielkie kwadraty pięćsetrubłówek!...

Więc nie było to urojeniem, marzeniem, mrzonką!.. Rzeczywiście zatem drzemał tu pieniądz w swym majestacie!..

Młody człowiek odskoczył od stołu i wpatrzył się w nagromadzoną kupę grosza.

Na twarz jego wystąpił wyraz chciwości i oszpecił ją, oczy głębokie, duże, przybrały połysk koci i wpiły się uporczywie w banknoty i złoto.

Po chwili zbliżył się ponownie do stolika. Lubieżnym ruchem swej delikatnej ręki przesunął po nagromadzonych pieniądzach, a po ciele jego równocześnie przeleciał dreszcz.

Jak włosy pięknej kobiety, jak ciało jej zmysłowe, aksamitne, pieściły go banknoty... Zanurzył rękę głębiej i dotknął się złota.

Z cichym brzękiem rozsypało się ono w strumyk błyszczący, a nim do głębi ponownie wstrząsnął dreszcz.

Nigdy w życiu swem nie miał tyle pieniędzy u siebie. Fortuna zawsze impertynencko odwracała się od niego, szczęście dotychczas uciekało odeń również, jak od zapowietrzonego, pieniądz zaś, drwiąco unosząc się w niedostępnych dlań wyżynach, niepochwytne, szydery - stronił od niego stale.

Młodzieniec przesunął wciąż machinalnie ręką po storubłówkach. Przed oczyma migają mu wizerunki, podpisy na banknotach, złote imperyały zimnym dotykem głaskały jego dłoń...

Wyrwawszy rękę wreszcie z pieszczotliwego uścisku złota, mężczyzna pochwycił nagle pliki storubłówek i liczyć począł.

Drżące ręce jego brały i porzucały co chwila zwitki banknotów; szelest papieru, zduszony dźwięk monety zagrały w ciszy izdebki, zdziwiły te biedne ściany, tak zdawna odwykłe od brzęku pieniędzy, wyganiając, zdawało się, biedę, przykucała gdzieś w kącie, z legowiska swego. I widmo jej w łachmanach zniknęło przestraszone, wygnane szmerem poddanych Złotego Cielca - umknęło, szukając gdzie indziej schronienia.

A młody człowiek wciąż liczył... Teraz dłoń jego dotykała zwitka pięćsetrubłówek. Było ich dwadzieścia.

Ciemny rumieniec powoli występował na śniadą twarz młodzieńca, oczy zaś jego paliły się bezustannie chciwości niezdrowym blaskiem.

W papierach i złocie, z pewną, drobną tylko różnicą, było wszystkiego dwadzieścia siedem tysięcy.

Młodzieniec odstąpił od stołu i wolno z rozmysłem począł przechadzać się po izdebce.

- Dwadzieścia i siedem tysięcy!.. Dwadzieścia i siedem...

Powtarzając się bezustanku, w głowie jego huczała i wracała myśl jedna, a dziesiątki innych ginęły, topiły się tylko w niej, jak w chaosie, zanikały - milkły...

On zatem, który prócz jedyne go na sobie odzienia i tych paru sprzętów wokoło, nie posiadał nic na świecie, on - za jednym zamachem mógł stać się oto właścicielem owych, rozsypanych przed

nim pieniędzy?..

Młodzieniec zadrzał.

- A moralność? a etyka? To własność nie twoja, to zguba czyjaś tylko, ty powinieneś pieniądz ten zwrócić, zwrócić, zwrócić!.. jak rój owadów nagle zabrzmiały w uszach mężczyzny jakieś szepty i głosy.

- Oddać? ha-ha-ha!.. A to dlaczego? ciekawym? - zadrwił rozsądek zimny natychmiast. - "On prend son bien, ou on le trouve." - Znalazłeś - to twoje! A zresztą, gdyby to samo, co ty, znalazł był kto inny, czy myślisz, że postąpiłby on inaczej?

- Oddałby, oddał na pewno, bo chciałby pozostać uczciwym!.. - silny głos prawości rozległ się śmiało w duszy mężczyzny.

Wstrząsnął się młody mieszkaniec facyatki i przetaił ręką czoło, po chwili zaś zmęczony usiadł na jednym z koszlawych fotelików i, podparłszy głowę dłonią, zadumał się głęboko.

A rozum drwił dalej bezlitośnie, zjadliwie, sącząc się kroplami ironii:

- Nie słuchaj bredni i sentymentalnych mrzonek! - szeptał. - Uczciwość - frazesa!.. Któż naprawdę uczciwym jest w czasach obecnych? Obejrzyj się tylko i wpatrz uważnie w ludzi, walczących o byt obok ciebie. Czyń wreszcie, jak chcesz... odtrąć łaskawy uśmiech fortuny!..

Los, odbierając może naumyślnie drugiemu, co miał zanadto w swym trzosie, pragnie dobrotliwy, obdarzyć ciebie, nie

chcesz-li?

- Ha, to bądź sobie zatem wspaniałomyślnym, szlachetnym, wielkim! Umieraj z głodu, bądź głupim!.. Ale pamiętaj, że gorzkimi łzami żałować kiedyś będziesz chwili swojego szału - pamiętaj, żeś biednym!

Zaśmiał się jeszcze rozum szyderczo i umilkł, mężczyzna zaś, zadumany, pochylił się na krześle, jakby przygnieciony do ziemi, oparłszy przytem łokcie na kolanach, ukrył twarz w dłonie.

Tak, niestety, był on biednym!..

Straciwszy matkę lat temu parę, uczył się następnie za granicą: w Niemczech i we Francji. odebrawszy kosztem bogatego stryja wykształcenie nie fachowe, lecz ogólne i staranne, zdecydował się rok temu właśnie powrócić do miasta, gdzie ujrzał był światło dzienne, by zbliżyć się do dotychczasowego opiekuna swego, a brata rodzzonego nieżyjącego już ojca.

W młodzieńczej wyobraźni studenta roiła się nawet podówczas nadzieja śmiała owładnięcia sercem starego bogacza, aby po najdłuższym życiu zapisał mu mienie.

Tembardziej zatem śpieszył się z swoim wyjazdem, lecz przybył za późno niestety; stryja swego już nie zastał.

Łożący tylko z obowiązku na studia bratanka, a nie przywiązany doń zgoła innym, serdeczniejszym węzłem, parę tygodni temu właśnie starzec przeniósł się był do wieczności, zapisawszy cały majątek na dobroczynne cele.

Nie zastawszy więc w mieście nikogo na razie, kto by go znał lub pamiętał, odważnie z biedą wziął się on wówczas za bary.

Przepisywał referaty, polisy ubezpieczeniowe, dawał lekcje, czynił, co tylko mógł i zdobywał miejsce przy biesiadnym, ogólno ludzkim, a tak zazwyczaj niegościnnym stole...

O chłodzie i głodzie mijały mu w ten sposób dnie całe, gorycz jednak do życia, w walce o byt ciągłej, nie rozgaszczała się w duszy jego, nie mającego po prostu czasu w bezbarwnej swej biedzie i gorączce zarobku analizować ciemnych stron swego żywota. Miesiące parę temu dopiero siła okoliczności i ludzi, o których ocierać się począł, żal wyklął mu się w duszy do świata, sącząc z niej niezadowolone i gorycz.

Traf ślepy zrządził pewnego dnia, iż spotkał rówieśnika swego z lat dawnych.

Przy wspomnieniu tem ostatniem, młody mieszkaniec poddasza zmarszczył brwi i zamyślił się jeszcze głębiej, niż przedtem.

Dawny jego kolega szkolny z kraju i zagranicy, Edmund R-ski, potrosze nawet kuzyn i towarzysz zabaw dzieciennych - dziś bywalec stolicznych salonów, chłopiec zamożny, zbliżył się do niego pierwszy wówczas. Było to podczas karnawału, w zimie, w jednej z kawiarni, bardziej uczęszczanych w mieście.

Po dłuższej gawędzie i rozpamiętywaniu młodzieńczych lat ubiegłych, Edmund R-ski rzekł mu wtedy:

- Wiesz co, mój drogi? Dobrze się nazywasz, ładne masz maniery, które pozostały ci po rodzicach i wychowaniu starannem, notabene wcale dobrze i z akcentem mówisz po francusku, tandem tedy zaproponowałbym ci coś... tylko nie obraż się na mnie przypadkiem... Gdyby cię tak ubrać elegancko, bardzo dobry i okazały byłby z ciebie tancerz... He, cóż ty na to? Proszony właśnie jestem o młodzież do państwa W. na bal, pojutrze, chodź ze mną... Siedzisz i marnujesz się gdzieś w kącie, qui lo sa, przystojnym jesteś, a nuż podobasz się komu?.. Ja ci pomogę i ułatwię wszystko...

Od słowa do słowa, dał się namówić wtedy. Otrzymawszy od bogatego i hojnego, oraz uprzejmego kuzyna pożyczkę, wyekwipował się i poszedł na bal z nim razem.

Edmund R. przeprowadził rzecz całą bardzo zręcznie. Przedstawiwszy protegowanego swego, nie omieszkął przypomnieć wszystkim z osobna o stryju jego, filantropijnym zapisodawcy, a także o rodzicach, ongi, przed laty, zamożnych i wpływowych. Dobrze wychowanego, eleganckiego i miłego tancerza zapraszać począł chętnie, tembardziej, iż powszechnie wiedziano o przyjaźni jego z Edmundem R., znanym i cenionym bywalcem.

Młody mieszkaniec skromnego poddasza poruszył się niespokojnie na krześle i spojrzał przed siebie wzrokiem zamglonym, zapatrzonym we wspomnienia własne.

Wówczas to, po owym pierwszym balu, przestąpił on zaczarowany dlań dotąd próg salonów i zapamiętałe bawić się począł. Życie, które prowadził, upajało go. Niepomny jutra - szalał.

Trwało to tygodni parę, i nagle skończyło się wszystko... Edmund R-ski, wezwany telegraficznie do umierającej siostry za granicę, wyjechał, pieniądze wyczerpały się równocześnie, a zaniedbana czasowo jego własna zarobkowa praca wysunęła mu się z rąk; ktoś inny, także potrzebujący biedak, zastąpił go.

W okienko facyatki karnawałowicza zajrzał głód; po wizytach i balach pozostał w pamięci jego tylko chaos ogólny - wrażenie chwil rozkosznie jakby prześnionych, i jedno wspomnienie trwałe.

Oczy młodego mężczyzny zadumane, w tej chwili błyszczące i jakby tklive, skierowały się w róg izdebki, gdzie w półświecie lampy majaczyła fotografia.

Nabył ją u fotografa i niemal codziennie stroił w kwiaty; przedstawiała zaś ona elegancką pannę z towarzystwa, córkę

ukraińskiego magnata, błyszczącą ubiegłego karnawału w salonach piękną, dowcipem, otoczona rojem wielbicieli, a którą pokochał uczuciem miłości pierwszej - prawdziwej.

Dla niej rzucił się w wir czczych zabaw bez środków po temu, bez pamięci...

Odepchniętemu twardą ręką biedy od rydwanu bawiącego się świata - przesłoniętego w pamięci jego gazą ułudną, mieniającego się setkami odcieni i blasków - pozostały tylko wspomnienia dręczące, rozkoszne, kilkunastu rozmów, tańców, uścisków dłoni, spojrzeń... i - nabyta za pieniądze własny fotografia pięknej dziewczyny.

Mydlana bańka złudna - marzenie!..

Siedzący wciąż w zamyśleniu przed stolikiem młodzieniec głowę pochylił i ponownie ukrył ją w dłoni. Niby na jawie, przed oczyma żywo stanął mu bal ostatni... W jarzącej się świetle powodzi, wśród kołyszących się w takt melodyjnego walca par, sunęli oni wówczas po szklistej posadzce salonów...

Ona miała spuszczoną główkę cudną i opierała się z wdziękiem na jego ramieniu, on zaś, tuląc nieznacznie tancerkę swą do piersi, pożerał wzrokiem jej twarz, nagie ramiona i szyję kształtną, a długą i giętka, jak kwiat, o łodydze wysokiej.

Od czasu do czasu piękna panna wznosiła na niego swoje głębokie, mieniające się źrenice, i spojrzenia ich spotykały się na chwilę...

Potem śliczne dziewczę przykrywało znów oczy długimi rzęsami; on rzucał słówko, przyciskał machinalnie kibić jej do siebie, czekając ponownie niemej źrenic rozmowy. Nagle uciszyło się w balowej sali...

To muzyka ustała była, a oni walcowali jeszcze, ciągle przytuleni do siebie - zrosli skrytem jakby pragnieniem.

Później odprowadził znużoną swą tancerkę, a ona leciuteńko, dziękczynnie paluszkami drobnymi ścisnęła jego dłoń...

Młodzieniec zerwał się z krzesła, potrącił je gwałtownie, i dużymi krokami zaczął przebiegać szybko swój pokój. Jednocześnie z wyrazem miłości bezgranicznej spojrzenie jego pobiegło do komódki małej, gdzie stała fotografia z różą.

Z kryształowego kielicha delikatnie wychylał się kwiat purpurowy, dotykając warg prawie dziewczyny. Usteczka jej małe uśmiechały się rozkosznie, pocałunku zda się spragnione...

Młody człowiek pozostawał chwilę w niemej kontemplacji ubóstwianego przez się kącika izdebki, aż wreszcie powoli wzrok swój przeniósł w stronę stolika, gdzie leżały cicho banknoty i złoto.

Wyraz marzenia, ekstazy błyskawicznie znikł z jego oblicza - przypomniał sobie chwilę obecną.

Zwolna do stolika zbliżać się począł; utkwivszy spojrzenie w rozsypanych pieniądzach, jednocześnie myślał:

- Niemi tylko może zdobyć bym mógł swe marzenie, one pozwolą mi i ułatwią zbliżenie do ukochanej! A potem...

I mimo woli znowu spojrzał młodzieniec w róg pokoiku.

Oczy dziewczyny kuszące patrzyły zalotnie, paliły go, obiecywać się zdawały rozkoszy ułudę, miłość - szczęście!.. Rumieniec oblał twarz mężczyzny.

- Ach, mieć ją, posiadać, i żyć jej życiem, zlać się z nią istnieniem i duszą!.. - zawirowała mu w głowie myśl uporczywa.

- Przecież to córka magnata; księżęta, hrabiowie ubiegają się o nią, czemu ty jesteś dla niej? - zerem, nie otrzymasz jej nigdy, - uspakajała mózg, nerwy wzburzone, trzeźwa, zimna logika. - Chyba, że pieniędzy tych oto posiadasz wiele... wiele...

- Z małych strumieni tworzą się rzeki; weź to, a może ci więcej przybędzie!.. - szepnął rozum podstępnie.

Młody mieszkaniec facyatki schwycił się nagle za głowę.

Boże, Boże! - wyszeptał - cóż jednak uczyniło ze mnie to, tak krótkie zetknięcie się z światem zbytku, to zbratanie się, otarcie z ludźmi szychu i złota! Jakże innym byłem dawniej! Jakże - lepszym!..

Mężczyzna smutnie zwiesił głowę.

Teraz, przyjrząwszy się niedawno ludziom bogatym, ich trybowi życia, czuł w sobie, poza uczuciem miłości, dziesiątki związanych z niem pragnień. Złoto, ten bożek dumny i wspaniały, przed którym korzyły się miliony, olśniewał go, mamił... Przedsmak zaś możliwych w dalekiej przyszłości bogactw, użycia, a kto wie, może znaczenia i wpływów, wespół z osiągnięciem najprzód ukochanej kobiety, za pomocą tego oto, rozsypanego przed nim grosza - odbierał mu równowagę duchową, mieszał myśli.

Porwał się znowu z miejsca i po pokoju biegać począł, niebawem jednak rzucił się na krzesło, wyczerpany, uporczywie, ponownie wpatrzywszy się w fotografie ukochanej.

Od czasu do czasu odrywał wzrok od drogich rysów kobiety i przenosił go z wolna na stos banknotów i złota. Później spojrzenie jego, wewnętrznej pracy myśli jakby posłuszne, wracało powtórnie do lubego wizerunku.

Przy samych wargach dziewczyny drżał kwiat purpurowy obecnie - dziewczę i róża całowały się teraz lubieżnie...

A w izdebce tymczasem lampa powoli dogasać poczęła stopniowo, niepewnym, migocącym światłem kłócąc się jakby z rąbkiem radosnego słońca, poprzez rolety zagląającego co chwila do wnętrza facyaty.

I półcienie jakieś, tajemnicze, mgliste wsunęły się równocześnie na poddasze - zaludniły cicho puste, zakurzone kąty jego...

Siedzący młody człowiek zrywa się nagle z krzesła swego.

Bo oto niespodzianie dwoić mu się w oczach zaczyna...

Rozsypane na stole złoto zalewa izdebkę całą, a z komódki starej zstępować zaczyna z wolna ona sama, zamglona i powiewna postać... Dotykając stopkami drobnymi złota, idzie ku niemu ona, z zalotnym uśmiechem, piękna niewinna - chyli się rozkosznie w jego ramiona!..

Mężczyzna ku zjawisku temu wyciąga instynktownie ręce, na wpeł przytomnie naprzód pochyla...

Lecz oto nagle czar pryska...

Wypełniająca wnętrze izdebki złocista przestrzeń znika, zjawisko eteryczne zaś zaczyna oddalać się coraz bardziej, unosi w górę, niepochwytne, a za niem tylko na ciemnym tle facyatki, jak wąż ognisty, wiję się struga błyszcząca ścieżka, dotyka stóp jego - pomostem złota łącząc go w ten sposób z uchodzącym cieniem ubóstwianej przezeń kobiety.

Wreszcie znika wszystko.

Młody mężczyzna przeciera dłonią czoło, rozgląda się...

Niema nikogo!

Cóż to więc było?

Hallucynacja zapewne naprężonych nerwów i rozigranej wyobraźni, rzucająca mu na ekran półcieniów izdebki fantasmagoryczny obraz noszonego ciągle w duszy dziewczęcia! Wpływ to rozprężonych wrażeń i myśli, skutkiem wysiłku, szumiącego jak potok, nawałem zwątpień i pytań mózgu. Zapewne...

I młodzieniec powtórnie przeciera dłonią zmęczone czoło, a jednocześnie żałuje jakby, że widzenie już pierzchło. Przed oczyma stoi mu ciągle, jak żywy, obraz jej, ukochanej - chłonie w siebie jej postać wdzięczną, całuje myślą oczy jej i usta.

W przelocie zarazem, po raz nie wiadomo już który, wzrok jego dotyka banknotów i złota, a w duszy bunt mu się zrywa.

- Jak to?.. On miałby odtrącić od siebie ten grosz, i w ten sposób stracić, na zawsze może, środki ku zdobyciu drogiej sercu kobiety?.. Zniszczyć bezpowrotnie pomost złocisty, łączący go z nią jakby w widzeniu proroczym?

Nie, przenigdy. Tak naiwnym nie będzie...

Pieniądz ten potroi, majątek zrobi, fortunę - złotem przełamie, zwalczy przeszkody wszelkie.

- Zrobić majątek, czyż to tak łatwo? - na dnie duszy gdzieś zatajone zwątpienie nagle ironicznie pyta, jakby ostudzić pragnąc przedwczesną radość.

Chmura niezadowolenia przelatuje po czole mężczyzny.

- Tak, zaiste, prawda, to nie tak łatwo. Lecz z potęgą pieniędzy w dłoni tak, czy też inaczej, do wszystkiego zawsze dojść łącznie w życiu; - klucz złoty otwiera wszystkie bramy!..

I ostateczna, przełomowa walka odbywać się w tej chwili zdaje w duszy mężczyzny. Na wysokim czole naprężają mu się żyły, oczy ciemnieją, a twarz bledszą się staje... Z nęcącą pokusą zawładnięcia cudzem mieniem, po raz ostatni stają do boju wpojone w młodocianych latach jeszcze zasady.

Powrotną falą z daleka cicho płyną i płyną coraz potężniejsze, bliższe i zalewają stopniowo umysł młodzieńca. Szemrzą coraz donośniej, silniej...

A z przypływem ich jednocześnie mięknąć poczyną coś w duchu młodego mężczyzny, bo oblicze jego wzburzone uspakają się stopniowo. Co myśli, z rysów twarzy odgadnąć jeszcze trudno, domyśleć się jednak można, że poryw jakiś, szlachetniejszy od poprzednich, czystszy, opanowywać go - w swoje posiadanie bierze.

Po chwili machinalnie ujmuje on w ręce porzucony na stoliku obok pieniędzy pugilares i milcząc, zgarniać poczyną rozsypany stos banknotów i rulonów monety.

Przy czynności zaś tej, zagadkowej jeszcze, bezustannie tak samo zamyślony młodzieniec odwraca niebawem w dłoni trzymany portfel, a równocześnie spojrzenie jego pada na coś, czego nie zauważył dotąd wcale.

W rogu pugilaresu, u góry, maleńka, dziewięciopałkowa rzuca mu się w oczy korona hrabiowska; wdzięcznie granacikami oprawionemi w złoto mieni się ona, szyderczo zda się patrzy... Na ten widok poprzedni spokój i wyraz pierzchają nagle z rysów mężczyzny, i rzuca się w tył gwałtownie.

Żrenice jego, zmatowane dotychczas cichem zamyśleniem, złowrogim teraz błyszczą ogniem, a jednocześnie w duszy następuje momentalnie przewrót nagły.

Znowu poczyna biegać po pokoju wzdłuż i wszerz...

I jak kępa drzew gdzieś w polu samotna, co ugina się pod gwałtownym naporem wichru ku ziemi, zwyciężona, pokorna - tak duch młodzieńca, miotany ponownie burzą myśli, kołysać i giąć się poczyna.

Gdy ujrzał on bowiem emblemat ludzi utytułowanych, żywo stanęły mu przed oczyma salony, których miesiąc temu parę był gościem i sylwetki hrabiczów, kręcących się koło jego ukochanej.

Widzi ich jak na dłoni, wszystkich, niby na jawie!..

Widzi dumnego ojca pięknej dziewczyny, zazwyczaj traktującego go z góry - dla nich, potomków starożytnych rodów, chociaż częstokroć biednych - pełnym uprzejmości wyrafinowanej i unижonej niemal grzeczności. Widzi wreszcie siebie samego bezkarnie i dotkliwie obrażanym przez tychże arystokratów, lecz tak zręcznie, że na pozór nieraz nie można zda się było winić ich, czynili to bowiem oni, z tą subtelnością, oraz jubilerskim jakby wykończeniem, jak dotknąć potrafią tylko ludzie "bardzo dobrze wychowani."

I przy tem wspomnieniu ostatniem, jakby zraniony, mieszkaniec małej izdebki, wzdryga się i wyrzuca szeptem:

- Jak to? te dwadzieścia parę tysięcy należy do jakiegoś hrabiego? Zatem los ślepy i ironiczny zarazem wsuwa mi w ręce część mienia jednego z tych właśnie, którym tak często zazdrościłem bogactwa, znaczenia i tytułów!..

I ja, wobec jednostki takiej, miałbym grać rolę szlachetnego, zwracać mu to, co dlań może kropla w morzu tylko, fundusikiem, przeznaczonym zapewne na hulanki nocne i zabawę?

- Ha-ha-ha!.. - rozlega się po pokoiku szyderczy, szatański prawie śmiech mężczyzny, i odbija od ścian niemiłym dla ucha brzmieniem.

- Ha-ha-ha, niedoczekanie twoje, panie hrabio!.. - szepcze dalej półgłosem, a krew w żyłach kipi mu nieustannie - wre niespokojna, burzliwa.

I z duszy jego jednocześnie pierzchają bezpowrotnie, zda się, nikną, jak ułuda i marzenie, wszelkie dobre zamiary, wszystkie, tak niedawne jeszcze, wahania pomiędzy prawami uczciwości i ich pogwałceniem.

Zwycięzka, jedyna, jedna rozgaszcza się tam nienawiść tylko do kasty uprzywilejowanej i wyróżnianej w społeczeństwie. Wypielegnowana cierpieniem i biedą, wysubtelniona wykształceniem, a szczególnie przestawaniem jeszcze za granicą w kołach różnych zapalonych głów, o przekonaniach skrajnie demokratycznych - rozogniona wreszcie nadczułością nerwową w zbliżeniu się i czasowem powierzchownem zżyciu z przedstawicielami tej sfery - buchała obecnie gorącym płomieniem, wszystko sobą przewyższając i tłumiąc.

- Za moje upokorzenia, tak niedawne - zaszepotały znów cicho usta mężczyzny - za moje cierpienia i biedę - za to, że ja nie mam takich przodków, jak ty, panie hrabio, ani twych bogactw, blasku i złota - mam życie całe w nędzy cierpieć, i to, gdy los sprawiedliwie bez wątpienia, odbiera ci część mienia, przypadkiem, i mnie nią w zamian obdarza?.. O, nie, panie hrabio!.. Żydowi, cyganowi, wrogowi - każdemu bym zwrócił może, lecz tobie - nigdy!..

Ostatnie słowa mieszkaniec poddasza wymówił w zapamiętaniu głośno całkiem i z mocą jakąś dziwną. Twarz zaś jego dziko po prostu wyglądała w tej chwili; pociemniawszy, jakby od wewnętrznego ognia, demonicznie piękna i straszna zarazem była ona, a zjadły płomień szczerzej nienawiści do tak zwanych powszechnie "arystokratów" zajaśniał na niej pełnym blaskiem.

Odruchem nagłym zbliżył się do stołu i obie dłonie położył na plikach banknotów i złocie. Czego nie zdołały stanowczo uczynić okoliczności inne, sprawiła chęć dokuczenia w czemkolwiek wyżej postawionej społecznej jednostce, jedna chwilka nienawiści i szału.

- Moje, moje!.. - wyszeptaly usta mężczyzny zwycięzko, jakby z mimowolną, ukrytą w sobie radości nutą, a echo słów tych, urywanych, cichych, dziwną mocą rozbrzmiało w martwym milczeniu facyatki.

Cisza nastala znowu.

Tylko w piersiach mieszkańca poddasza przeleknione jakby swym czynem serce poczęło bić przyciszonym tętnem, a szelest ten miarowy, jak zegaru wahadło, mierzyć się zdawało te chwile przełomową w duszy człowieka, depczącego uczciwość prawą dla miłości, nienawiści i złota!..

Nagle martwość pokoju przerwało coś gwałtownie. Były to czyjeś kroki silne, przyśpieszone, idące po schodach, a coraz wyraźniejsze, bliższe... Niebawem rozległy się tuż za drzwiami, ucichły, i jakaś ręka wstrząsnęła lekko klamką, w ślad zatem zaś rozległo się trzykrotne pukanie.

Gdyby w kataklizmie niespodzianym runęła ziemia, zapadając się gdzie w niezmierzone głębie wszechświata - mniejsze to chyba uczyniłoby wrażenie na stojącym przed stołem mężczyźnie, niż chwila obecna...

Nogi zadrżały mu, a bojaźliwa trwoga ścięła krew w żyłach, coś zaś, niby gad obslizły, przemknęło po krzyżach i za kark chwyciło despotycznie, zaparłszy dech w piersiach.

W półświatłach dogorywającego właśnie płomyka lampy twarz pochylonego nad pieniędzmi młodzieńca nabrała straszniejszego, a zarazem dojmującego trupio-błade go wyrazu, ręce zaś, jak kleszcze, wpiły się w leżące pod niemi banknoty.

- Nie oddam was, nie zwrócę za nic w świecie! - mówić się zdawały wyraźnie kurczowo zacisnięte palce, drżące w zwojach papierów i złocie.

Z ekranu izdebnki, mającego coraz bledszymi cieniami, światło w tej samej chwili znikło; zapanowała tu szarawa ciemność, a w ślad zatem rozległo się powtórne, tym razem silniejsze pukanie, poza drzwiami zaś jednocześnie dały się słyszeć słowa, wyrzeczone głosem męskim, dźwięcznym i młodym.

- Widać, że śpi, lub go nie ma...

- Ale to oryginalne - zauważył ktoś drugi, ciszej nieco. - Zaręczam ci, iż przed chwilą paliła się wewnątrz pokoju lampa, przez szpary u drzwi ślizgało się światło! - słowo!

- Ha, jeśli tak, to może Romanek ma u siebie jakąś dyskretną, a wesołą wizytkę - snać z rozmysłem donośnie rozległ się głos pierwszy. - Nie przeszkadzajmy mu. Chodź, Hermanie!..

- Wesołej zabawy! - krzyknął ironicznie nazwany Hermanem, nachyliwszy się do drzwi, zapewne blisko, bo echo głosu jego wstrząsnęło ścianami poddasza, poczem kroki przybyłych oddalać się zaczęły.

Westchnienie ulgi podniosło pierś mężczyzny.

Kilka kropel zimnego potu upadło mu na rozpostarte dłonie; zbudzony tem jakby, odstąpił od stołu i rzucił się w wycieńczeniu na kanapkę.

Poznał po głosie tych dwóch, dobijających się doń przed chwilą, poczciwych studentów uniwersytetu - widział w wyobraźni swej teraz niemal obok siebie wyraźne postacie ich, w wytartych mundurach i spłowiałych od słót i słońca czapkach, pokrzywionych butach... Biedni chłopcy!

Przypadkowo zaprzyjaźnił się z nimi, jak tylko przybył tu, do miasta - oni, zacne serca, pierwsi uczynnie nastęrczyli mu zarobkową pracę...

Dawno już nie widział ich. Ba, parę razy nawet w epoce owego kilkutygodniowego światowego szału, spotykając ich na ulicy, a będąc w towarzystwie eleganckich karnawałowiczów, mimo woli powstydział się ich i udał, że nie dostrzega. Nie pamiętali mu tego - przyszli.

Mieszkaniec poddasza w zamyśleniu przesunął dłonią po jedwabistych swych włosach.

- Gdybyż oni wiedzieli i czytać mogli w duszy jego?

Rumieniec palącego wstydu i upokorzenia zakwitł na twarzy młodzieńca, a wyraz cierpienia i wewnętrznego bólu rylcem swym żłobić mu począł rysy wyrazistego oblicza.

Długo jeszcze przesiedział tak w zadumie...

A gdy po jakimś czasie słońce zajrzało znów do poddasza, nie było już złota na stole; schowane - znikło, młody zaś człowiek, śmiertelnie znudzony moralną walką, na wpół ubrany, cicho zdawał się drzemać na łóżku.

Niebawem zasnął....

I sen oto, przed wewnętrznym wzrokiem duszy młodzieńca, w tem tajemniczym jej życiu marzeń i rojeń, snuć mu zaczął przedziwne obrazy...

A więc najprzód zdało się śpiącemu, iż leci on w przestrzeń bez końca, ciemną i mroczną, unoszony niewidzialną jakąś siłą...

Tuli w objęciach swych przytem jakąś powiewną kobiecą postać... Podobną, choć nie identycznie i całkiem, jest ona do ukochanej przezeń dziewczyny, a objąwszy pieszczotliwie szyje jego nagiemi ramiony, tak zawisła, ustami lgnie do jego ust rozkosznie - on zaś, jak z kielicha pieniące się, musujące wino, pije nektar warg tych wilgotnych, tonąc w pocałunku ciągłym, nieustannym, zda się - wiecznym.

Upajający wreszcie jednak zawrót głowy i osłabienie omdlewające jakieś i dziwne z wolna poczyna go ogarniać.

Za wiele, zanadto upajającej, oszałamiającej słodyczy dają mu już te kobiece usta, jak pieczęć do warg jego bez końca przylgnięte.

Lecz oto nagle ciemnieje mu w oczach wszystko dokoła i sił swoich nie czuje już prawie. Przymyka więc powieki i leci znów tak samo dalej w przestrzeń, niczego niepomny i nic zgoła w okrąg siebie nie widząc.

Trwa tak dość długo...

Wreszcie, wypocząwszy w ten sposób po swem wyczerpaniu, nie czując już ani ciężaru zwisłej na jego szyi kobiety, ani zawrotnego czasu jej tchnienia... otwiera oczy...

Tamte, widziane przed chwila obrazy, bezpowrotnie pierzchły; obecnie znajduje się zupełnie sam. Stoi teraz na ziemi, a stopy jego dotykają jakiejś kamienistej płaszczyzny, szarej, bezludnej i smutnej. Promienie zachodzącego słońca złocą ją i krwawią swym dogasającym, zamierającym blaskiem...

On zaś nieporuszony stoi i bezustannie patrzy.

Nagle promienie gasną... Mrok szary pokrywa płaszczem swym wszystko dokoła, a w cieniach tych tajemniczych, cichych, szeptać i ruszać się coś poczyna.

Z rumowisk i kamienistych szczelin podstępnie wypełzły oto jakieś postacie, mary, i jak duchy nie z tej jakby ziemi,

skrzydlate - rozpierchają się po równinie, z przytłumionym szelestem. Nad głowami ich lecą wielkie czarne złowrózne ptaki, szumem swych skrzydeł mącąc martwość rozlanej wokoło pustki i ciszy.

On, nic zgoła nie pojmując, spogląda wciąż, przelekle, zdziwiony... Po chwili dopiero zdaje się rozumieć...

To - posłuszne niewidzialnemu, a nadprzyrodzonemu skinieniu - lecą tak zapewne żerować na padół ziemski - wyrzuty sumienia!...

Tymczasem szmer lotu ptaków - olbrzymów cichnie, zmierzch pochłania ich postacie - nikną.

On z ulgą oddycha i instynktownie postępuje parę kroków naprzód.

Nagle wyrывa mu się z piersi przenikliwy krzyk!... Nad jego głową wisząc, chwieje się ptak czarnopióry, a znizywszy lotu swego, wkrótce siada mu na ramionach, niemiłosiernie wpiwszy w nie swe szpony, równocześnie zaś w głowie uczuwa uderzenia miarowe.

To ptak ów straszny i wielki, niby dzieciół w pień drzewa, stuka jemu tak w czaszkę jednostajnie...

W ślad za tem jedna z pierzchających wokoło postaci zjawia się przed nim blisko. Ubrana w łachmany, czarna i brudna, przyskakuje doń obcesowo, drapieźna, i utkwivszy w oblicze ofiary swej palące żarem, płomienne, dzikie źrenice, nachyla się bardziej jeszcze i plwać mu w samą twarz poczyna.

Z ust jej, wykrzywionych, wstrętnych, leją się strumienie lawy złotej i palą, bolą...

A jednocześnie tańczą oto w krąg, z szelestem widziane niedawno w portfelu zwitki storubłówek i innych banknotów. Dwojąc się, trojąc w oczach, przybierają one fantastyczne kształty, a niektóre, przedzierzgnięte jakby w jakieś karły złowrogie, szponami drobnymi rwą mu ciało bez litości. Inne znowu, z głowami węzów obrzydliwych, sycząc, kęsają go zewsząd.

Napastowany, nieprzytomny, opędzając się rozpaczliwie, rękami, nogami - ciągle, tarzając się nawet od jakiegoś czasu po kamienistych zrębach - uciekać w końcu zaczyna równiną, jak szalony. Potyka się co chwila, pada i ucieka znowu, gnany czeredą karłów i olbrzymików, o głowach, szyjach gadów, z błyszczącymi żądlami ze złota.

Nad głową, z ramion przemocą spędzony, wisi wciąż ptak olbrzymi, a postać główna, mglista, leci z nim wespół w mroczną dal...

Nagle, niewiadomo jak, skąd i kiedy zjawia się znowu poprzednia kobieca postać.

Śpiący, w swem majaczeniu sennem - odczuwa niewysłowioną radość; a ona, podawszy swą rączkę drobną, z uśmiechem zalotnym na ślicznie wykrojonych usteczkach, towarzyszyć mu zaczyna.

Razem bezustannie biegą teraz po kamienistej równinie. Czarowna towarzyszka jednak nie czuje, jakoby, co dolega mężczyźnie, i nie widzi roju prześladowców jego.

Dziewczę to, czy kobieta, ubrana cała w bieli, zasypana kwieciem róż i konwalii - cudna, lecz lekko, dotykając się zaledwie stopkami swemi ostrymi kamieni. Nad główką jej, jakby w przeciwieństwie ptakiem czarnym, lecącym obok - chwieje się duży ptak biały...

Zjawisko śnieżnego ptaka trwa jednak bardzo krótko, bo oto jemu, wpatrzonemu uporczywie w swą towarzyszkę, zdaje się nagle, że pióra u skrzydeł tych mlecznych z lekka szarzeć poczynają, stopniowo ciemniejszą przybierając barwę...

Wyteża wzrok coraz bardziej, ale niebawem nic wokoło, nawet prześladowających go mar, rozpoznać nie jest w stanie.

Noc czarna, despotyczna, rozpinać właśnie poczyna nad płaszczyzną ponurą swą oponę.

Naraz znika wszystko...

On równocześnie czuje, że leci w przepaść bez dna, treści, oraz w chaos, z którego ocuca go dopiero uderzenie silne o coś całym ciałem.

Spogląda...

Przed nim obecnie wznosi się sfinks olbrzymi; o niego to w rozpędzie uderzył się przed chwila. W jasnościach aureoli gorzej fosforycznym blaskiem, uśmiechając się zagadkowo. Na olbrzymich barkach jego, na tułowiu - obliczu, wszędzie, niedostrzegalne zrazu dla ludzkiego oka, wiją się, ruszają miryady drobnych lilipucich postaci.

Jedne z nich rodzą się tu z uśmiechem na ustach i piskiem, innych do grobu zanoszą; ci walczą, depczą po sobie, zabijają się, wzajem w przepaście spychają - tamci w ramionach drugich piją miłości rozkosze, a tam znów inni jeszcze głodne twarze i ręce wynędzniałe wyciągają po datek, sąsiadując z blizka z takimi, co w bogactwie i zbytkach nurzają się po uszy, lub grzęzną ciałem w rozpuszcie, jak w błocie.

A środkiem - rozbite na tysiące strumieni, na kropel miliony rozprysłe, płynie, faluje złoto...

I przed promienistymi jego potoki, jak przed świętością - korzy się pokornie, służalczo, wszystko dokoła.

Czołem lilipucie biją przed nim miryady - to też ono nadaje owemu sfinksowi tajemniczemu blask fosforyczny - ono króluje tu, bezpodzielnie panuje.

Lecz oto nagle olbrzymia głowa sfinksa ujrzała śnać nowego przybysza.

Usta jego, wyniosłe i dumne, rozchylają się szerzej, i miast zwykłego uśmiechu zagadki, sardoniczny, szyderczy, wstrząsa przestrzeniami śmiech.

Ha-ha-ha!... Ha-ha-ha!... sfinks śmieje się - śmieje szatańsko i zwycięzko jakby - wyniosłe - strasznie!...

.....

Głuchy jęk wyrwał się z piersi uśpionego człowieka. Wstrząsnął on murami pogrążonej w ciszy izdebki, krając zali serce swem echem smutnym, cichł i gasł, zamierając powoli...

.....

Obudził się śpiący.

Wylęklony, zamglony jeszcze wzrokiem szklanym popatrzył zaspany wokoło siebie bezprzytomnie i niebawem przymknął na powrót ociężałe powieki, obróciwszy się równocześnie do ściany.

W kilka zaś minut później, blada twarz mieszkańca facyatki, spokojna, nieruchomo spoczywała na poduszce, pogrążona w twardym uśpieniu. Dusza tym razem zdrzemnęła się w nim zapewne również, oddech bowiem śpiącego miarowo rozlegał się już swobodnie całkiem w samotnej, cichej izdebce.

## CZĘŚĆ PIERWSZA.

Zdążając do pobliskiej Wenecyi, wpadł pociąg kurierski w morze, i hucząc, leciał, płynął niby po powierzchni fali. W przedziale wagonu drugiej klasy było tylko dwoje ludzi. Kobieta młoda, ubrana w strój lekki, dystyngowany, z szarego materiału, drzemała, czy spała, wciśnięta w głąb, z główką opartą o poduszkę boczną - mężczyzna zaś, siedzący naprzeciw, trzymał delikatnie w dłoniach pozostawioną w uścisku jej rączkę drobną, i pochylony z lekka, patrzył z miłością w znużone rysy i bladą twarzyczkę kobiety.

Od czasu do czasu wzrok jego odrywał się od oblicza towarzyszki, biegł poprzez otwarte okno, ścigając, zda się, pogrążone w ciemnościach bezgwiazdnej nocy, niewidzialne tuż poza mknącym pociągiem Adryatyku fale.

I wtedy, za każdym razem przesuwiała się chmurka jakby po czole jego, osiadał tam jakiś cień niepochwytny, a usta jednocześnie drgały skrzywieniem gorczy, czy bólu pełnem.

Gdy jednak wzrok zniżał ponownie, to w zetknięciu się z obliczem młodej kobiety, pogrążonem w cichem uśpieniu - oczy smutkiem zamglone łagodniały mu prawie natychmiast, a choć pomimo woli i bezustannie myśl rozpamiętywać się coś zdawała - z ust momentalnie zniknęło zagięcie cierpienia i powoli przeistaczało się w uśmiech, oraz zapatrzenie się w ukochane rysy.

Siedzący tak w zamyśleniu nieruchomo - a w widocznej obawie zbudzenia towarzyszki - podróżny posiadał cechy zewnętrzne dość interesujące.

Był to przede wszystkim mężczyzna piękny bardzo; ciemny brunet, o wytwornej powierzchowności i układzie, charakterystycznej owalnej głowie i czole wypukłym, upięksozonym łukiem brwi czarnych, wąziutkich i regularnych, miał on pociągłą, śniadą twarz, okoloną średniej wielkości brodą. Nerwowe, wyraziste rysy oblicza tego wyraźnie zdradzały przytem pochodzenie południowe, zarówno jak i piękne, duże oczy, patrzące na świat gorąco, z rozmarzeniem nieokreślonym, aksamitnem spojrzaniem dziecka Italii.

Do drugiej ojczyzny swej poniekąd rzeczywiście dążył tak lat trzydzieści zaledwie mający młody człowiek.

Noszący jedno ze starszylacheckich nazwisk, Roman Dzierżymirski, był synem nieżyjącego już, a dawniej bogatego bardzo i znanego w szerokich kołach własnego kraju, Oskara Dzierżymirskiego, oraz żony jego, rodem Włoszki, a byłej przed swoim ślubem śpiewaczki.

Pochodzenia pono wątpliwego bardzo, choć niezwyklej urody i wdzięku, była ta matka Dzierżymirskiego Romana, będąca, jak mówili jedni, dzieckiem miłości wolnej pewnego dorobkiewicza rzymskiego - jak twierdzili drudzy, podrzutkiem tylko, z mętów społecznych dzisiejszej Romy, wychowanem i uposażonem przez tegoż przemysłowca włoskiego.

Po niej piękność odziedziczył syn, po ojcu zaś niewątpliwie tę wytworność, która cechowała najmniejsze nawet poruszenie siedzącego podróżnika, i postawę jakby pańską, mimo woli nieco wyniosłą.

Roman Dzierżymirski jechał właśnie z małżonką swą w podróż poślubną, a raczej z kraju uciekał, ojciec bowiem śpiącej cicho naprzeciwko niego kobiety, szatynki, o ślicznych rysach, January Gowartowski, bogaty i dumny magnat kresowy,

odmówił był jemu jej ręki...

Lecz miłość namiętna nie pyta, gdy idzie o posiadanie kobiety!

Roman zdobył swą żonę dzisiejszą, porwawszy ją za jej zgodą. Ślub ich tajemny, w małej wioseczce, w zaciszu Karpat - odbył się właśnie dwa dni temu...

Przyszło mu to wszystko z łatwością. Ola kochała go, ubóstwiała, nic zgoła nie widząc poza nim, na stronę materialną zaś i koszta, wynikłe z takiego niespodzianego obrotu rzeczy, zwracać on uwagi nie miał potrzeby.

W rodzinnym mieście wiadomem było powszechnie, iż rok, czy dwa lata temu odziedziczył Roman Dzierżymirski fortunę w kapitale, po dalekim krewnym, osiadłym i zmarłym w Stanach Zjednoczonych.

Jechał zatem dziś młody i ostatni potomek dogasającej już w nim rodziny Dzierżymirskich, ze skarbem swym, drogą sercu małżonką, do Włoch, ojczyzny matczynej. Wzrok jego, błakający się bezustannie pomiędzy twarzą żony, a skrytym cieniami nocy krajobrazem, zamglony, myślący, w dalszym ciągu wspominać się coś zdawał.

Poza oknami wagonu fale morza nieustannie szemrały wciąż cicho, w dali zaś, na czarnym tle widnokregu, stopniowo, coraz bliższe, błyszcząły już światełka Wenecyi.

- Oto tam - mówiły niejako marzące oczy mężczyzny - za godzin kilka czekają mnie uśmiechy pierwsze i rozkosze ziemskiego szczęścia w objęciach ukochanej ponad wszystko kobiety! Oto tam, wymarzony od tak dawna, oczekuje na mnie raj własny ułudnego podziału wzajemnego uczucia, w zupełnym oddaniu się niepokalanego niczem dotąd kwiatu - niewinnego dziewczęcia...

Wzrok Romana z zachwytem spoczął na twarzy śpiącej kobiety. Równocześnie pociąg, pozostawiwszy morze za sobą, wpadł w jakieś gaje, brzęczące rojem owadów. Jednostajna, monotonna ich muzyka wpadała uporczywie w uszy podróżnego, a on, cały zasluchany, spojrzeniem swem znowu ogarnął ciemną przestrzeń poza oknem wagonu.

- Co, zagadkowa przyszłości, niesiesz mi w darze?.. Czy zapłacisz mi za to, com przebył dotąd, przecierpiał, dla zdobycia drogiego dzisiaj? Czy wynagrodzisz, czy skarzesz? - pytać się zdawały czarnej nocnej dali posmutniałe nagle chwilowo oczy mężczyzny.

I ponownie w kąciку warg jego pojawiło się bolesne, przelotne zagięcie ust, a snać usiłując odpędzić myśl przykrą, Dzierżymirski powstał ostrożnie, nie wypuszczając wciąż z dłoni rączki uspionej swej towarzyszki. Wychylił przez otwarte okno głowę... Na tle ciemności połyskiwały już teraz rzęsiście światła - pociąg wjeżdżał właśnie na stację. W sekundę, z nagłą szarpniętą, gwałtownie zatrzymały się wagony.

Dzierżymirski o mało nie upadł, straciwszy na razie równowagę, i pociągnął za sobą rączkę żony, ściskającą jego dłoń lewą - prawa zaś oparł się silnie o ramę okna.

- Ach!.. ach!.. - z trwogą, wyrwało się z ust młodej kobiety, i otworzyła szeroko oczy, zdziwiona.

Szybko Roman pochylił się ku niej i przemówił miękko:

- Przepraszam cię, kochanie, przestraszyłaś się, prawda?.. Ale to wina nie moja - wagony szarpnęły tak silnie...

- To ty... Romanie!.. - szepnęła kobieta i zarzuciwszy w ślad za tem, z niewysłownym wdziękiem, obie ręce na szyję mężczyzny, przytuliła się doń czule, składając równocześnie pocałunek na pięknem czole.

- Wsiądziemy, złotko, już Wenecya! - rzekł Roman, wysuwając się delikatnie z objęć młodej żony uniósłszy ją w ramionach, postawił na równe nogi.

- Nareszcie!.. - wykrzyknęła Ola radośnie, oprzytomniawszy całkiem na widok jaśniejącego dworca.

- We-ne-cya! - zabrzmiało donośnie pod samem oknem wagonu, gdzie ukazała się kędzierzawa głowa i śmiejąca twarz konduktora.

- Statione Ve-ne-tia!.. - przeciągle, śpiewnie odpowiedział głosowi pierwszego konduktora okrzyk drugi, dalszy, i zginął.

Pociąg, którym jechali Dzierżymirscy, zatrzymując się tylko kilka minut, jechał dalej wprost do Medyolanu - należało się śpieszyć...

Roman pobiegł do przeciwległego okna, otworzył gwałtownie drzwiczki od wagonu, i począł wołać donośnie:

- Facchino!.. facchino!.. \*)

[\*) Po włosku tragarz.]

Za mężem zręcznie wyskoczyła z wagonu Ola Dzierżymirska. Niebawem zjawił się pożądaný tragarz i ruszono z bagażem do dworca. Tu obstępiono przyjezdnych.

Cały rój przeróżnych figur hałaśliwie ofiarowywać im począł swoje usługi, rząd zaś służby hotelowej, w galonach, z ożywieniem i gestykulacją namawiał ich każdy z osobna do siebie. Gadatliwość Włochów oszołomiła na razie Dzierżymirskich.

Po chwili dopiero Roman, znający kilka włoskich wyrazów, zdołał się porozumieć i wybrawszy hotel, kazał się prowadzić do przystani.

Niebawem młoda para podróżnych sadowiła się już w wygodnej, na czarno pomalowanej gondoli, obsługiwana z natarczywością przez różnorodnych oberwańców i gapiów, stojących w pobliżu.

- Pysznie się siedzi! - zawyrokowała głośno Ola, wyciągnąwszy się na miękkim, czarną skórą obitem, siedzeniu.

Roman usiadł przy niej - gondola zakołysała się lekko...

Powoli odpychano już ją od brzegu, gdy oto z kilkunastu stron naraz wyciągnęły się ku mającym odjeżdżać proszące dłonie z kapeluszeniami, i chórem zabrzmiała prośba o datek. "Soldo, soldo!" choć uniżenie, lecz z odcieniem lekkiej jakby groźby, rozlegało się dokoła ustawicznie powtarzane na wszystkie tony.

- A to złodzieje!.. - mruknął Dzierżymirski; zmuszony jednak wyjąć z kieszeni portmonetkę, rzucił tam i ówdzie z humorem drobne monety.

Gondola ruszyła już - płynęli...

Młodą kobietę zabawiła ta scena. Perlisty śmiech jej, wesoły, rozlegał się wokoło, gdy oto nagle, jakby czemś zmrożony, ucichł. I Ola, objąwszy wzrokiem roztaczający się przed nią krajobraz, ruchem wdzięcznym przytuliła się do męża.

- Jak tu czarno, Romanie, nieprawdaż? - szepnęła.

Dzierżymirski, milcząc, opiekuńczo objął ramieniem kibić żony i przycisnął ją miękko do piersi, rozejrzawszy się zarazem.

Rzeczywiście, czarno tu było.

Wenecja już spała. Skłębione chmurami niebo odbijało się w mętnej wodzie kanałów i powlekało je kirem ciemności, po którym tylko błędnym ognikiem przeświecało, wiło się czerwone światelko latarni, umieszczonej u spiczastego, zębatego końca gondoli.

Płynęli przez Canale Grande\*).

[\*) Po włosku : Kanał Wielki.]

Jak gdyby śniąc o swej dawnej potędze i chwale, wokoło nich zadumane, ciche stały wyniosłe rzędem weneckie pałace. W żadnym oknie nie paliło się już światło, otulało je milczenie zupełne.

Gondola, kołysząc się z lekka, unosząc co chwila swe przednie i tylne dzioby, płynęła spokojnie, z jednostajnym pluskiem wiosła i szmerem rozstępującej się pod nią fali.

Przytuleni do siebie, dłuższą chwilę z ciekawością patrzyli Dzierżymirscy wokoło. Z ustek pierwszej Oli niebawem posypały się rozliczne uwagi.

- Patrz, patrz, Romanie! - wołała ona co chwila, wskazując z zajęciem na wznoszące się zewsząd budowle.

Dzierżymirski potakiwał żonie, objaśniał, i półgłosem prowadzona swobodna pomiędzy jadącymi rozmowa zbudziła milczenie śniące - rozniosła się echem wyraźnym po grodzie weneckim, o tej porze tak bardzo cichym.

Tymczasem po obu stronach kanału kolejno przesuwwały się, jak w kalejdoskopie, cudne swą archaiczną strukturą pałace.

A więc, najpiękniejszy może z prywatnych siedzib Wenecyi, własność księżąt della Grazia, wychylał się z cieni "Palazzo Vendramin-Calergi", z roku 1841 w stylu początkowego odrodzenia; z nim sąsiedował skromny, sięgający XV wieku, pałac "Erizzo" - dalej zwracał znów uwagę inny, z połączanym niegdyś frontem, do dziś dnia zwany "Ca Doro".

Opodal bardzo piękny wznosił się majestatycznie dzisiejszy lombard miejski, pałac "Corner della Regina", wzniesiony w r. 1724 na tem samym miejscu, gdzie ujrzała świat królowa Cypru, wenecyanka, Katarzyna Cornaro.

Wkrótce, tuż poza dzisiejszą pocztą w Wenecyi, zajmującą dawniejszy niemiecki magazyn towarów "Fondaco de Tedeschi", zamajaczył olbrzymi most "Ponte di Rialto", w kształcie murowanego łuku wzniesiony.

Wsunąwszy się pod jego arkady, gondola Dzierżymirskich cichutko prześliznęła się tamtędy i skręciła wkrótce na lewo, w wązki kanalik, stanowiący arterję boczną "Canale Grando". Szeroka taśma wielkiego kanału znikła wkrótce z oczu i jadąca barka, zagłębiając się coraz bardziej w szyję wodnej uliczki, wymijać poczęła coraz ciaśniejsze i węższe zaułki. Ściany domów odrapane, ponure, szły, zdawało się, na płynących w gondoli, a ścieśniając się coraz bardziej, pragnęły pochłonąć, gubić ją niejako w swym labiryncie.

Ciemności nocne panowały tu jeszcze większe. Gdziekolwiek tylko lśniła złotawo mdłym światłem latarnia - żywego ducha zaś nigdzie dopatrzeć się nie można było.

Umilkła od paru minut Ola trwożnie przyłgnęła główką do ramienia Romana.

- Brr! straszno tu jakoś... - szepnęła.

- Nic, kochanie - odparł Dzierżymirski, musnąwszy pocałunkiem jej włosy - zaraz dojeżdżamy.

Nieprawdaż, że już blisko? - zwrócił się do gondoliera łamanem włoskiem narzeczem.

- Si, signore. - odparł żywo zapytany, a nudząc się znać, bo z cudzoziemcem gawędzić nie mógł, zanucił półgłosem jakąś smętną piosenkę.

Ubrany całkiem biało, wahadłowym ruchem przechylając się bezustannie przy wiosłowaniu w prawo i lewo, na tle otaczających ciemności, czynił on wrażenie fantastycznego zjawiska, głos zaś jego monotony błąkał się po kątach i odbijał dziwnym echem o mury, oraz zakratowane okna w swym śnie zaklętych jakby domów. Roman milczał.

Ujmując dłoń i tuląc miękko w objęciu Olę, wsłuchiwał się w ten śpiew jednostajny, mrukliwy, i dziwnego doznawał wrażenia. Zdawało mu się mianowicie, że on nie do cywilizowanego, dzisiejszego, ale jakiegoś zbójckiego z zamierzchłej przeszłości dojeżdża grodu; że ucieka, kryje się tu ze swym porwanym, czy też skradzionym łupem... Oto z ciemnych zaułków i kątów śpiącej Wenecji wysuwają się po prostu jakby wyraźne jakieś cienie, mary, czy odbicie dawnych zbrodni, mordu i gwałtów, tak licznych w historii krwawej tego dziwnego miasta...

- A ñel! \*) - rozległ się nagle tuż za Dzierżymirskim krzykliwy głos gondoliera, i łódź jednocześnie zboczyła w zaułek ciemny.

[\*) Uwaga!]

- Sia-stali! \*) - przeciągle odpowiedział ktoś z innej gondoli.

[\*) Na prawo!]

Roman i Ola spojrzeli ciekawie.

W nadpływającej weneckiej barce siedział mężczyzna czarno ubrany, w białym kapeluszu, brunet, o ponurem wejrzeniu.

Gondola, otarłszy się prawie o napotkaną łódkę, prześliznęła się cicho - znowu byli sami.

- Patrz, tam się świeci, co się stało?... - rzekła półgłosem Ola, kręcąc główką i wskazując piętro jednego z domów.

Roman spojrział.

- A, rzeczywiście - odparł - przecież choć jeden jakiś znak życia...

Na brudną wodę kanału, porysowaną ścianę i kołyszący się kadłub pustej gondoli, przywiązanej u stopni marmurowych wielkich kutych drzwi, kładło się cieniem przyćmione czerwonawe światło, idące z okna oświetlonej komnaty. Jednocześnie płynęły melodyjne, ciche akordy fortepianu, wydobywane znać miękka kobiecą rączką. Wtórował im nieśmiały brzęk mandoliny.

Rozpływając się powoli, w milczeniu, muzyczne tony łączyły się zgodnie co parę minut ze śpiewem, męskim, silnym tenorem, i szły ponad dachy, kanały, leciały daleko, drżące...

Poruszony muzyką i śpiewem, Dzierżymirski silniej przycisnął do siebie Olę. Wsłuchani w melodię miłosnej pieśni południa, zbliżyli się oni instynktownie, a twarze ich, parte ku sobie, pochylały się.

Pocałunek gorący złączył usta mężczyzny i kobiety; nie odrywając warg, w dreszczu wzajemnej rozkoszy, wśród deszczu spadających, jak drobne krople rosy, dźwięków - przepłynęli Dzierżymirscy pod oknami domu. Coraz cichsze fale granej melodyi goniły ich, powodząc zalewały jeszcze czas jakiś, aż umilkły.

Gondola w tej samej właśnie chwili wjechała na kanał ś-go Marka; plac tejże nazwy, gdzie w całej pełni ogniskowało się jeszcze życie miasta, zamigotał rzęsiście w oddali dziesiątkami niebieskawych i żółtych świateł - przewoźnik oznajmił głośno podróżnym, że są już na miejscu.

- Dojeżdżamy, Oluniu! - poinformował Roman i z uśmiechem wpatrzył się namiętnie i czule w twarz swej towarzyszki.

W ciemnościach nawet nocy, widoczny rumieniec objął płomieniem twarz kobiety, i wzrok w zawstydzeniu spuściła przed pałacem spojrzeniem mężczyzny, które zapewne swym blaskiem mówiło coś nad wyraz śmiałego.

W tej chwili właśnie przedni dziób gondoli stuknął o marmurowe stopnie hotelowego balkonu, a w parę minut później Roman i Ola znajdowali się już w obszernym, o marmurowych ścianach i posadzce pokoju, rozbrzmiewającym w ciszy stłumionem, głuchem brzęczeniu mustyków.

Odprawiwszy natarczywego sługę, proponującego im przysłać natychmiast przewodnika, w celu obejrzenia powierzchniowego na przechadzce placu San Marco, bazyliki i pałacu Dożów -Dzierżymirscy wkrótce pozostali zupełnie sami.....

W Wenecji wszędzie pogasły już światła. Noc zupełna, czarna, zawisa chwilowo nad grodem. Nie trwało to jednak długo; stopniowo chmury na niebie rozstępować się zaczęły i rąbek księżycza nieśmiało wychylił się z poza nich.

Zamigotał na wieżycach kościoła ś-go Marka, złotawym brązie czterech rumaków, królujących na szczycie tej katedry - musnął swym blaskiem ściany pałacu Dożów, a przeszedłszy się po jego galeryach ponurych, zajrzał w zakratowane okna wiszącego mostu, łączącego pałac z dawnym więzieniem, a znanego powszechnie pod nazwą "Mostu Westchnień".

Wyrzawszy zaś już odważniej nieco, trącił srebrzysty lśniąca taflę laguny, zadrgał siecią światła na powierzchni wód, a niebieskawą ścieżyną dotknąwszy się ich pieszczotliwie, otworzył nagle perspektywę daleką, hen! aż ku Lido-na morze...

W niezamąconej niczem ciszy, starożytne zegary licznych kościelnych i klasztornych wieżycach wybijać poczęły rytmicznie którąś godzinę. Jedne z nich brzmiały basem, inne kwiliły wiolinem, lub brzęczały melodyjnie, łącząc w sobie te dwa melodyjne klucze, a bijąc w ten sposób, zdawały się mierzyć w milczeniu chwile czyjegoś może szczęścia...

Niedyskretne, ciekawe, promienie księżycy zaszklily się jasnym światłem na taflach szyb hotelowych, dawnego pałacu Dandolo. Zatrzymały zda się dłużej przy jednym oknie i pomknęły znowu obojętne w dal...

A posągowo uśmiechnięte, wiecznie tak samo szerokie oblicze księżycy nie zmieniło wcale wyrazu.

Bo cóż go zaiste, obchodzić mogło tych dwoje ludzi, którzy przybyli aż tutaj po ułudę rozkoszy? Cóż znaczyły dlań dwa serca, zrywające wspólnie kwiat miłości i zapomnienia?

On, filozof, wszak w swem życiu prawiecznym widział podobnych zdarzeń aż nadto wiele; on znał nicość tych chwil, umiał na pamięć kochanków zaklęcia i ich nieraz słomiane zapaly, gasnące za życia podmuchem - pod rzeczywistości bezlitosną ręką. Wiedział również, że zapaly te same, odegrzane częstokroć i ożyłe, kiedyś, w przyszłości, obosiecznym cięciem ranić może będą tych samych ludzi, skierowane do jednostek innych, zarówno łaknących uczucia i użycia...

Powiewna chmurka pieszczotliwie przytuliła się do twarzy księżycy i przesłoniła go leciutko, kaskada zaś miesięcznych promieni, zbladłszy, niepewnym, migotliwym blaskiem zalała uśpioną Wenecję.

W tej samej chwili dwie jakieś postacie, zbliżone do siebie, zamajaczyły poza taflą jednego z okien hotelowych, i dwie głowy, dotykając się wzajemnie, zapatrzyły się we wdzięczny krajobraz laguny i morza, zamglonych chwilowo półświatłem, oraz cieniami księżycy.

I postawszy tak długą chwilę, jakby rozmarzone, znikły niebawem, splecione w uścisku, niezdolne napawać się długo poza sobą niczem, nawet pięknem przyrody...

W ślad prawie zatem nastąpiła ciemność nieprzejrzana i zapanowała nad miastem pamiętek.

-----

Zadumany i jakby tęskny tulił się zmierzch szary do ścian kamienic wielkiego miasta, do witryn wspaniałych sklepów jego, pełzał u podnóży pomników, ścierał kontury gmachów kościołów - wszystko dokoła pogrążał w mroki i cienie.

W wykwintnie umebłowanym swem pomieszkaniu siedziała na fotelu Melania, marszałkowa Warnicka, rodzona siostra ojca dzisiejszej Oli Dzierżymirskiej, a dotychczasowa od dzieciństwa prawie opiekunka tej ostatniej.

Przez otwarte okno, łącznie z echami wielkowiejskiego gwaru, wciskał się tutaj wolno zmrok, a ściemniając się stopniowo coraz bardziej, pocieszająco jakby wygładzać się starał zmarszczone wysokie czoło wiekowej już matrony, łagodnie muskał jej siwe włosy, i zaglądając jednocześnie nieśmiało w oczy rozumne, wyraźnie zdawał się współczuć smutnemu jej zamyśleniu.

Na małym stoliku przed marszałkową leżał otwarty telegram. Opiewał on zaś lakonicznie: "Przewidzenia słuszne. Ola już po ślubie z Dzierżymirskim. Przyjeżdżam. Ładyżyński."

Już może pół godziny po przeczytaniu powyższej wiadomości, nieruchomo w swym fotelu siedziała pani Melania.

Od trzech dni - to jest od czasu gdy Ola zniknęła z domu swej ciotki, by więcej nie wrócić - marszałkowa Warnicka z niepokoju postarzała się była o lat co najmniej kilkanaście.

Początkowo nie mogła zrozumieć postępków swej siostrzenicy; tak dobrze było jej u niej, może zatem powróci ona lada chwila - niewątpliwie.

Musiała wyjechać z miasta na parę godzin, zagnana interesem ważnym... mówiła sobie, perswadowała staruszką.

Nazajutrz jednak wieczorem, gdy żadnej o Oli nie było wieści, obawa kochającej dziewczę ciotki wzrosła o nią do tego stopnia, iż myślała, że zwaryuje. Dom cały był przerażony, latano, szukano rozpaczliwie nieobecnej po mieście, na chybił trafił - wszędzie, oczekując zarazem z trwogą wiszącej zda się w powietrzu katastrofy - wiadomości jakiej strasznej, o nieszczęściu, lub nawet o śmierci.

Zbawcą pełnej niepokoju marszałkowej okazał się wówczas Emil Ładyżyński, przyjaciel całego domu Gowartowskich, stary kawaler, sprytny wyga wielkowiejski, a poza tem człowiek rozumny i bystry bardzo. Zebrawszy naprędce wskazówek tu i ówdzie, wpadł od razu na trop właściwy. Domysły jego były trafne.

- A ja powiadam pani marszałkowej, że panna Ola używa już miodowych miesięcy! Młodość nie żartuje, gdy kocha... były to ostatnie słowa jego i sprawdzili się, niestety...

Przez samego ojca panny, Januarego Gowartowskiego, pogardliwie odrzucony konkurent, inaczej poradził sobie.

Marszałkowa w zadumie westchnęła cicho, ciężkie bowiem, zaiste, czekały ją niebawem przejścia. Brat jej, January,

którego, o niczem jeszcze nie wiedząc, powiadomiła, wzywając go, natychmiast po zniknięciu Oli, lada oto chwila nadjedzie...

Cóż ona, na Boga, powie ubóstwiającemu córkę ojcu, jak się potrafi wytłumaczyć przed nim ze wszystkiego? Wszak to na jej opiece pozostawił on był, wyjeżdżając, jedyne swe dziecko...

Lecz czyż mogła przewidzieć podobne rozwiązanie sprawy?

Przenigdy!...

I marszałkowa Warnicka niżej jeszcze pochyliła na piersi głowę swą siwą, a czoło jej porały zmarszczki, znacząc jakby ślad męczących ścigających się myśli.

- A ją, Olę, to dziecko, które współ z bratem i ona kochała całą siłą swej duszy, czyż tak znów dalece winić można było?...

Zapewne...

Nie porzuca się od razu wszystkiego, nie ucieka chyłkiem, choćby nawet w ramiona ukochanego mężczyzny, gdy sprzeciwia się temu wola rodzica, gdy...

Pani Melania przetarła czoło pomarszczoną dłonią. "Młodość nie żartuje, gdy kocha!" zabrzmiały jej w uszach słowa Emila Ładyżyńskiego. Miał słuszność...

I nagle, z początku nieokreślone, później coraz głośniejsze, śmielsze, zakiełkowały w duszy staruszki wyrzuty sumienia. Bo czyż doprawdy, Ola nieszczęśliwa tak bardzo była winna?... Miłość oszołomiła ją, porwała, a reszty niewątpliwie dokonało wychowanie młodej panny, kapryśnej pieszczotki ojca, ulubienicy również jej, marszałkowej, zawsze dlań pobłażliwej i słabej.

I pani Melania znów zadawała sobie dalej w myśli pytania...

- Czy Ola posiadała w duszy swej to, coby ją od popełnionego kroku wstrzymać mogło? Czy wpajano w nią te zasady młodych, takie na przykład, jakimi ją karmiono lat temu wiele, w których pokolenie jej podobnych wyrosło?... Marszałkowa w zadumie spuściła nisko głowę.

- Nie, nie! - odpowiadało coś skrycie na dnie jej duszy.

Ola zasad takich nie miała, a z czyjejże to było winy?

Najprzód, naturalnie, ojca, Januarego, lecz następnie i jej przecie, zastępującą Oli odeszłą z tej ziemi matkę.

I z szarą godziną, coraz bardziej rozgaszczają się po buduarze - z mrokiem, pełnym cichej melancholii lipcowego wieczora, wkradające się do duszy marszałkowej wyrzuty potężniały, rosły... Samokrytyka zaś własnego postępowania zgryźliwie szarpać poczęła jej mózg, coraz to nowymi pytaniami ją zasypując:

- Czy starałaś się wniknąć do duszy młodego dziewczęcia, a potem, zbadawszy ją, formować i ukształtować? - mówiła ona. - Czy wtedy - pytała dalej - gdy po niewinnem dzieciństwie i młodocianych leciech po raz pierwszy wstąpiła Ola, już jako dorosła panna, na śliską arenę salonów i światowego życia, dałaś ty jej, prócz wskazówek powierzchownych, banalnych, jakie przestrogi inne, głębszej, poważniejszej natury?...

A później - gdy rozbawiona, rozmarzona zabawą, flirtami i tańcem, z pobudzonymi zmysłami i wyobraźnią, wracała ona do domu z towarzyskich balów i zebrań - czy zastanowiliście się wy kiedyś, ty i brat twój, January nad tem, co przechodziło tam przez ową młodą główkę, co zapalało wyobraźnię jej i w bezsennych nocach może marzeniem ułudnym na skrzydłach niezdrowych fantazyj nie pozwalało zamknąć źrenic do snu cichego?...

Uczyniliście wy to wszystko? Zastąpiliścież dziewczęciu temu matkę, wykonywując wspólnie ten nałożony na was obowiązek, z tą konieczną drobiazgowością, z którą w istocie częstokroć nie rachują się rodzicielki same?...

Oblicze zadumanej marszałkowej wyrażało teraz ciche cierpienie, żal jakby i skrucę, w tym bowiem wewnętrznym, milczącym rachunku sumienia coraz cięższe odczuwała winy po swojej i brata stronie.

A raz poruszone sumienie znów pytało dalej nielitościwie: - Czy pochwyciłaś ty również te chwile, gdy do kryształnej młodej dotąd jeszcze duszy zapukała miłość, wkradła się tam, i rozkwitła bujnie? Czuwałażeś razem z ojcem Oli nad sercem swej pieszczotki? Rozumnem słowem, uwagą głęboką, kształciliścież je? hodowali, strzegąc to serce, niby kwiat cieplarniany, od temperatury niezdrowej? Myśleliścież wy o tem, iż tam, zamiast skromnego, pięknego pączka, o barwie łagodnej, może wzrość ukrycie i bezkształtną zajaśnieć purpurą kwiat namiętności cichy, wszystko dokoła duszący swą wonią?..

Czy uczyniliście wy to wszystko? - powtórnie, jako konkluzya wątpliwości wszelkich, szarpnęło pytanie ostatnie duszą marszałkowej.

Przygnębiona oparła znużoną głowę o poduszkę staroświeckiego mebla.

Odpowiedzieć nie mogła obroną na zarzuty, powstałe w jej myślach za podszeptem sumienia - milczała zatem.

- Nie! - szyderczo odpowiedział z kolei rozum!... Wypieściliście tylko ulubione swe dziecko, nie odmawialiście mu niczego - osypywaliście wszystkim, czego zapragnęło, znosząc nawet kaprysy, zachcianki i urojenia; ustępując woli, którą rozumnie powinniście byli kształcić; słuchając - a nie rozkazując!

- O, wy! wychowawcy młodego pokolenia, jakże daleko jesteście od powinności swoich!.. zaśmiał się w końcu rozum z goryczą.

Marszałkowa Warnicka, nie ruszając się z miejsca, przymknęła powieki, chwilę dłuższą w jednej i tej samej zostawszy pozycyi, wreszcie wstała ociężale z miejsca swego i powoli zbliżyła się ku oknu.

Zapalono już latarnie w mieście. Po szerokich - trotuarach pierwszorzędnej ulicy snuły się tłumy. Pani Melania wpatrzyła się w nie, a w jej myślach jednocześnie szumiało:

- Uderz się w piersi!... Mea culpa, mea culpa! - boś winna, bardzo winna!

Zamigotał, zabłysł snopem promieni i iskier miłości płomyk, i dziewczyna wyciągnęła ku niemu pragnące ramiona, jak łódź bez steru na morzu rozhukanem - dziewczyna, którą wychowałaś - zdeptawszy uczucia drogich sobie osób, nie oglądając się nawet za ich błogosławieństwem!

- Zbieracie, coście zasiali! - głos jakiś w uszach marszałkowej rozbrzmiewał i rósł, pełen potęgi.

Nagle staruszka cofnęła się wstecz całym ciałem i drgnęła nerwowo. W ciszy apartamentów rozległ się w tej chwili pokilkakroć silnie dzwonek.

To był January Gowartowski. Marszałkowa przecuciem już zgadywała przybycie brata, a przetarłszy czoło ręką, z głębokim westchnieniem odstaąpiła od okna.

W sąsiednim salonie, na odgłos dzwonka, zapalał właśnie mały lokajczyk światło, w przedpokoju rozbierał się ktoś i rozmawiał ze służącym.

Pani Melania, wsłuchawszy się pilnie, poznała głos brata. Wysiłkiem woli rozpogodziwszy, jak umiała, oblicze, przestąpiła próg buduaru, i weszła powolnym krokiem do salonu. W tej samej chwili we drzwiach ukazał się przybyły.

Był to mężczyzna, lat koło sześćdziesięciu może, chudy, wysoki, i pomimo wieku, trzymający się jeszcze bardzo prosto, oraz gibki, jak trzcina, o wyglądzie i układzie delikatnym, zręcznym i dystyngowanym. Twarz January Gowartowski miał wygoloną starannie, głowę piękną, z przyprószonym nieco włosiem, a wąs sumiasty, biały, okalał mu wargi, wygięte nieco dumnie - oblicze zaś jego, nacechowane jakby wyrazem wyniosłości, nerwowe, zmienne, znamionowało człowieka, na pierwszy rzut oka, nader wrażliwego i uczuciowego może nad miarę.

Ujrawszy siostrę, podbiegł ku niej szybko i złożył w milczeniu na jej ręce pełen uszanowania pocałunek. Przytem spojrzenie Gowartowskiego spoczęło na jej twarzy pytająco, i dopiero po przelotnej chwili oczekiwania jakby, widząc marszałkową nieco zmieszaną, odezwał się pierwszy:

- Odebrałem telegram twój, pani siostrze, niepokój przyznał mi tu natychmiast... Ola wyjechała podobno, gdzie? po co? na co?.. Czy tylko jej co złego się nie stało? może ona chora, groźnie, broń Boże?.. Powiedz, Melanio, szczerą prawdę, mów prędzej, bo wytrzymać z niepokoju nie mogę!.. - drżąc wymówił pan January słowa ostatnie, z akcentem prośby, głosem pełnym obawy, i z troską na wyrazistej twarzy czekał na odpowiedź.

Tymczasem zmieszanie marszałkowej rosło. Unikając spojrzenia brata, rzekła:

- Ależ uspokój się, mój drogi, cóż znowu?.. Upewniam cię, iż Ola najzdrowsza się czuje i że zgoła nic złego jej nie grozi...

Twarz Gowartowskiego natychmiast rozpogodziła się i westchnienie ulgi podniosło pierś jego, odczuł bowiem szczerą w słowach siostry.

Rzuciwszy opodal kapelusz i podróżną torebkę, usiadł wygodnie na fotelu i spokojnym już zupełnie głosem zapytał:

- No, więc cóż, na Boga, stało się z Olą? wyjechała - dokąd?..

- Zmęczonym pewnie jesteś i głodnym - przerwała bratu Melania - może kazać dać ci herbaty, przekąski?... - i mówiąc to, przycisnęła guzik elektrycznego dzwonka.

- Ależ, ma chćre, - zachnął się trochę niecierpliwie Gowartowski - to wszystko zrobimy później, po cóż te ze mną ceremonie; co ci się dzisiaj stało, taka nienaturalna jakaś jesteś? - zatrzymał się pan January i spojrzał siostrze badawczo w oczy.

- Nakarmisz mnie potem - dorzucił po chwili, z uśmiechem - lecz opowiedz mi najprzód, co się tutaj stało?..

Marszałkowa i na to nic zupełnie nie odpowiedziała, bo w tej właśnie chwili na progu salonu ukazał się przywołany lokaj. Wszystko, co dotąd czyniła, miało za cel zyskać tylko na czasie, po prostu bowiem nie wiedziała, w jaki sposób podać bratu smutną i wstrząsającą odpowiedź i w jakiej uczynić to formie. Zwróciła się do służącego.

- Zapal lampę w buduarze, a gdyby kto tam przyszedł, to powiedz, żem cierpiąca, i nie przyjmuję...

- Wszak prawda - z kolei pytająco na pozór skierowała się do brata - i ty zapewne nie masz dziś ochoty widzieć gości?..

Za całą odpowiedź Gowartowski wzruszył z lekka ramionami, jednocześnie jednak z pod oka kilkakrotnie spojrzał na siostrę, a z twarzy jego pierzchnęła pogoda.

Coś poza kulisami działo się w tym domu niedobrego, czuł to pan January nerwami, więc czoło zasepiło mu się i brwi przelotnie zmarszczyły. Powstał gorączkowo z siedzenia, nieobecny myślą, szukający zagadki, nie rozumiejąc słów siostry, znajdującej się już w oświetlonym buduarze i mówiącej coś do niego.

- Co mówisz? nie słyszę... - rzucił po chwili. - Może tu przejdiesz, będzie nam wygodniej rozmawiać... - powtórzyła głośniejszym razem marszałkowa.

Gowartowski posłusznie podszedł ku drzwiom i przestąpił próg buduaru.

Zamknij drzwi za sobą, mój kochany, i siadaj, proszę cię! - bezdźwięcznym głosem odezwała się pani Melania, sama zaś skierowała się, by przytknąć drzwi do pokoju jeszcze jedno.

Pan January tymczasem usiadł i ze wzrastającym coraz bardziej niepokojem śledził ruchy swej siostry. Teraz był już pewnym, że czeka go coś niezwykłego, i złego, tak bowiem ostrożnej i dziwnie postępującej siostry dawno już nie oglądał.

Marszałkowa zbliżała się właśnie ku niemu, a usadowiwszy się obok, na kanapie, ujęła w obie dłonie ręce brata. Postanowiła w myśli zaraz od razu przeciąć drażniące pęta wstępnej rozmowy, rzekła zatem łagodnie i serdecznie, wpatrzywszy się rozzumnymi i dobrymi oczami w twarz brata.

- Przrzeknij mi przede wszystkim, mój drogi, że nie zanedbiesz się tem, co ci powiem, i zniesiesz wiadomość bardzo smutną, co ci zakomunikować muszę - prawdziwie po męsku...

- Ależ dobrze, dobrze, moja kochana... Lecz powiedz-że mi nareszcie, o co chodzi, bo siedzę, jak na rozżarzonych węglach, i po głowie latają mi wprost niemożliwe przypuszczenia!.. Mów prędzej, błagam - cóż z Olą się stało?.. - wybuchnął Gowartowski, ostatnie zaś słowa jego drgały wymówką i prośbą.

Wyraz współczucia przemknął po twarzy matrony siwej, i objąwszy rękami głowę brata, ucałowała ją czule.

- Ola... już po ślubie... - rzekła równocześnie szeptem.

Gowartowski, jak podrzucony, zerwał się z fotelu, i wzrokiem błędnym na marszałkową spojrzął. - Kiedy? jak? co? gdzie? - wykrzyknął w pierwszej chwili. - To być nie może!... - dorzucił i urwał... Wpatrzywszy się bowiem uważniej w twarz siostry, poznał, iż ona mówi prawdę, po chwili jęknął więc tylko cicho:

- Z kim?... i cały, zdawało się, zawisł na ustach pani Melanii... Głos zadrżał marszałkowej, gdy, jak mogła najspokojniej, panując nad własnym wzruszeniem, odpowiedziała wolno:

- Z Romanem Dzierżymirskim...

- Z Dzierżymirskim... z tym hołyszem... synem tej... tej Włoszki, śpiewaczki!... - głos załamał się panu Januaremu, i schwycił się on obiema rękami za głowę. - I bez... bez... - tu głos Gowartowskiego przeszedł w chrypkę, snąc wstrząsająca nowina zatamowała mu dech w piersiach - bez mego... pozwolenia... błogosławieństwa!... - wykrztusił; dokończył nareszcie, z bólem i gniewem... Twarz przytem znękanego otrzymaną wiadomością ojca, dotąd błada bardzo, zakwitła nagle ceglastym rumieńcem, nogi zaś widocznie zachwiały się pod nim, gdyż ciężko, bezsilnie, upadł na pobliski głęboki fotel.

Powtórnie, z macierzyńską iście troskliwością, objęła głowę stroskanego brata marszałkowa Warnicka, jakby ta czuła pieśczoła siostrzana ukoić pragnęła, choć chwilowo, cios, przed chwilą słowami przez nią zadany.

Lecz Gowartowski odtrącił ją prawie że brutalnie, niepomny niczego, a chwyciwszy w dłoń rękę siostry, przemówił zapalczywie, urywanym głosem.

- Jak to? I ty, Melanio, pozwoliłaś na to? ty, na opiece której, niby matki rodzonej, zostawiłem moje dziecię? Ty dałaś zezwolenie, nie zawiadomiwszy mnie o niczem?

I pan January ponownie z miejsca swego się zerwał, i wykrzyknął wzburzony:

- Wiedząc, że temu młokosowi, awanturnikowi odmówiłem dawniej, naumyślnie usypialiście czujność moją, by mnie podejść, oszukać, i myśleliście może, iż ja to przyjmę post factum, "tak sobie!"

- Ależ zmiłuj się, uspokój ! - pospiesznie przerwała marszałkowa. - Nic jeszcze nie wiesz dokładnie, a już obwiniasz innych na chybił-trafił. Proszę cię, bardzo proszę, cierpliwości trochę, spokoju, aż opowiem ci wszystko, - dodała błagalnie.

Pan January mimo woli ucichł i spojrzął pytająco na siostrę.

- Serce-ż ty moje, posłuchaj, a nie martw się tak okrutnie - drżącym od wzruszenia głosem, ze współczuciem, przemówiła znowu pani Melania, w nagłym rozzuczeniu zatracając przytem wyraźnie rodzonym ukraińskim akcentem, od którego odzwyczaiła się była swą ciąglą bytnością w mieście. - Posłuchaj, jak się rzecz miała - zaczęła marszałkowa, i ciągnęła tak dalej : - Przede wszystkim, kiedy już tak boleśnie dotknąłeś mię przypuszczeniem, że byłam w zмовіе przeciwko tobie, wytłumaczyć się winnam... Tak nie było wcale, jak sądzisz; przeciwnie do ostatniej chwili ja o niczem zgola nie wiedziałam...

Jak to? - przerwał siostrze zdumiony Gowartowski.

- Tak, serce, tak, Januarku, ja nic zupełnie nie wiedziałam - powtórzyła marszałkowa, z widocznym żalem w głosie - a dlaczego? Dlatego, że oni poradzili sobie bez nas... Roman porwał Olę i natychmiast wyjechali razem za granicę.

I pani Melania umilkła, wszystko najgorsze już było bratu wiadomem. Pod nowym ciosem pochyliła się głowa mężczyzny, i odbiło się na niej jeszcze boleśniejsze cierpienie.

- Olu!... Olu!... dziecko moje!.. Jakże zawiodłem się na, tobie! - z ciężkim westchnieniem wymknęło się z ust biednego ojca.

Marszałkowa spoglądała wzruszona na brata. Gniewu jego nie bała się ona; uniesienie przechodzi. Lecz czego lękała się dotąd najbardziej, to tej rany właśnie, zadanej kochającemu sercu ojcowskiemu przez córkę, depcząca przywiązanie do niej silne i bez upamiętania - dla ułudnej fatamorgany zmysłowych rozkoszy, dla miłości kwiatów i ponęt...

Pan January, z głową na piersi schyloną, milczał teraz, ukrywając twarz w dłonie. Ze wzrastającym coraz bardziej współczuciem patrzyła wciąż pani Melania na brata i myślała:

- O, dzieci, dzieci, pokolenia młode, jakże wy często i okrutnie ranicie serca starych! Przywiązuje się ich jesień smutna do waszych wiosen, pełnych wesela, a wy, jak te ptaki, szukające wciąż ciepła i słońca, lekkomyślnie rzucacie te serca, tratujecie miłość, zaparcia siebie pełną, a pogardzając dogasającymi, popielejącymi iskrami - szukacie, garniecie się do ognia, do młodych!..

Przecież i dla mnie pieszczotka Ola była dotąd wszystkim, lube dziecię!

Tak, lecz od genezy uczucia jej i brata nie biło słońce miłości młodej, ptaszyna zerwała jedwabne pęta przywizań domowych, bo w mroki cichych, dotychczasowych jej uczuć, do serduszka dziewczęcego, wdarł się promienisty blask potężniejszy, silniejszy! Zwykła kolej rzeczy tego świata...

Chcąc przerwać milczenie, pełne dla obojga rozmyślań przykrych, pani Melania poczęła mówić znowu przyciszonym głosem:

- Podziękujmy Bogu jeszcze, mój drogi January, że ślubem skończyło się to wszystko. Teraz z wolą Bożą pogodzić się należy, i z przeznaczeniem, to trudno... - ciągnęła dalej, widząc, że na jej słowa wyrwany z głębokiej zadumy brat podniósł głowę i słucha - Nie uwierzysz, ile ja przecierpiałam, nim doniesiono mi o tem, że oni gdzieś w pobliżu austriackiej granicy, w jakiejś tam wioszczynie ślub wzięli.

- Zkądże masz tę wiadomość? - złamanym i cichym głosem spytał Gowartowski.

- Marszałkowa ze smutkiem spojrzała na brata. Serce zabolalo ją, jakże bowiem innym, odmiennym całkiem, stał się on nagle teraz, po odebraniu wiadomości, tak dlań wszechstronnie bolesnej. Powoli, miękko, opowiadać mu ona poczęła stopniowo wszystko.

A więc, o ucieczce Oli, o własnych cierpieniach, o tem, że z tak licznych znajomych prawdy nie domyśla się dotąd nikt jeszcze, o Ładyżyńskim...

Pan January, przybity, słuchał teraz słów siostry pokornie, jak dziecko, nie odzywał się już wcale, trudno zaś było zaręczyć, czy w myślach bezustannie zatopiony - słyszał.

Skończywszy swą opowieść, marszałkowa rzekła:

- Bóg mi świadkiem, iż nic winną nie jestem... Po wyjeździe twoim i odmowie, którą dałeś Dzierzymirskiemu, gdy oświadczył się o Olę przed paru tygodniami, nie przyjmowałam go wcale. Gdzie widywał się z Olą, jak i kiedy ułożyli ze sobą wszystko? Dotychczas żadnego o tem nie mam pojęcia. Cóż robić - wola Boska!..

Gdy marszałkowa wymawiała te ostatnie wyrazy, instynktownie przysunęła się do brata, chcąc pocieszyć go zapewne, lecz w tej samej chwili spojrzenie jej padło na drzwi od salonu, i drgnęła nerwowo. Zdało jej się, że ktoś dotyka właśnie klamki...

Rzeczywiście, w sekundę później rozległo się trzykrotne pukanie, w ślad za tem zaś służący zawiadomił, że podano kolację i herbatę.

- Czy masz ochotę jeść teraz? - spytała łagodnie brata pani Melania.

Pan January, machnąwszy poprzednio ręką, zrobił głową ruch negatywy, pełny obojętności i zniechęcenia.

Marszałkowa westchnęła cicho.

-Będziemy jedli później! - rzuciła głośno.

Po drugiej stronie drzwi buduaru zaintrygowany lokaj schylił się i spojrzał przez dziurkę od klucza, poczem jeszcze bardziej zaciekawiony przyciszoną rozmową, której wątki schwycić nie mógł, postawszy chwilę, oddalił się na palcach by zakomunikować wiadomość tę pozostałej służbie.

Z dobrą godzinę, a może i więcej jeszcze, minęło nim roztworzyły się owe drzwi buduaru, i wyszło z niego rodzeństwo. Jakież jednak było zdumienie domowników, gdy zamiast spożyć wieczerzę, oboje rozeszli się do swoich komnat, nie tknąwszy jej wcale.

I późno potem w apartamentach marszałkowej Warnickiej paliły się dwa światła.

Długo, bardzo długo, na klęczkach przed zapaloną lampką i wizerunkiem Matki Bożej modliła się gorąco polska matrona, zanosząc prośby do nieba. Ukrywając głowę w dłonie, rozmyślała ona o ulubienicy swej, Oli, modliła się za nią, za brata wreszcie, by mu los przyszłość osłodził. W końcu światło u niej zgasło. Zmęczona wrażeniami ciężkich trzech

dni ostatnich, staruszka zasnęła twardo, pojednana z przeznaczeniem - wzmocniona modlitwą...

Inaczej się działo w komnacie Gowartowskiego. I on po jakimś czasie, zmęczony jednostajną po pokoju wędrówką, zgasił lampę, ułożywszy się do snu.

Lecz sen - ukoiciel daleko odleciał od znękanego starca.

Przez wielkie okno wkradało się półświatło usiane gwiazdami nocy letniej, sennej i cichej; mrugające na niebie gwiazdy zaglądały do wnętrza - komnaty, położonej na dole i zwróconej ku ogrodowi, a zawisłszy nad łóżem, wpatrywały się błyszczące, pytań niedyskretnych pełne, w pobladłe lica bolejącego tu człowieka.

O! jakże noc ta polska, swobodna, zadumana i jasna była inną dla zapomnianego ojca, a jak inna, choć ta sama, rozpięta na włoskim niebie, dla dwojga młodych w Wenecji!...

Tam, w upojeniu, w miłosnej ekstazie, dwie dusze, dwa młode istnienia zlewały się w jedno!... Na zegarach ich przeznaczeń teraz właśnie biła może zgodnie aksamitnymi cichymi tony, ziemską ułudną szczęścia godzina...

A tu?...

Z cierpieniem i bólem sam na sam borykał się starzec, tłumiąc łzy, cisnące mu się gwałtem do oczu...

Bo czyż, zaiste, to dziecię własne, drogie, nie sponiewierało go bezlitośnie? Czyż za tyle lat ojcowskich trudów, miłości i zaparcia się siebie, on, rodzic kochający, jak rzadko który może, zasłużył tego ostatecznego, pogardliwego zdeptania?

Więc on wobec córki własnej nic nie znaczył? Błogosławieństwo jego jest niczem, pozwolenie - zerem! On sam zaś, jego własne "ja," którego odzwierciedlenie niezatartem, zdawało mu się piętnem, odbite było na duszy Oli, także okazało się tak słabem tylko? O! do jakiego stopnia słabem nawet, kiedy nie potrafiło oprzeć się nowemu uczuciu - intruzowi!...

Uśmiech gorzki, bólesci pełny, przemknął się po ustach Gowartowskiego.

- Więc nic trwałego na tym padole! - myślał - wszystko marnością... rozwiewającym puchem!... Więc drogie kamienie, perły uczucia, powstałe w ojcowskiej duszy z tysiącnych życia szczegółów, cicho wyrosłe tam kwiaty trwałego rodzicielskiego przywiązania, z góry już skazane być muszą niemiłosiernie, by zwiędnąć zapoznane...

Ach, jakże on, naiwny, dalekim był myślą od tego! Jakieżże przykrem rozczarowaniem była dlań ta naga rzeczywistość, brutalna, bez zasłon, choćby konwencyonalnych tylko!

Gowartowski ścisnął głowę rękami, zdawało mu się bowiem, iż ona pęknie od myśli, cisnących się, jak nieproszone tłumy... Subtelny umysł jego giął się pod ich naporem, szumiał, niby rój brzęczących, dokuczliwych owadów.

Nagle, jakby dziwnym wpływem reakcji, w głowie leżącego zapanowała próżnia...

Gowartowski na małą sekundę tylko przestał myśleć...

I natychmiast zrećcznie z chwili tej skorzystała samowiedza.

- Przypomnij sobie własną przeszłość - szepnęła - bądź wyrozumiałym!... Poszukaj dobrze, a niewątpliwie znajdziesz tam moment, analogiczny z chwilą obecną!...

Wszak młodość ma swoje silne prawa, każdy w tym czasie korzysta z nich, a starość, ubrana w pożółkłe, lecące liście jesieni życia, swą głowę srebrną pochylić zawsze musi przed jej oślepiającym blaskiem, pomna, że i ona kiedyś taka sama była.

I pan January wysiłkiem woli uprzytomnił sobie nagle minione lata swoje, wpatrzył się w nie na chwilę...

- Nie, nie!... - wołać poczęło we wzburzeniu całe jego jestestwo.

Tego, co go dzisiaj spotykało, nie było tam zgoła. On szanował sędziwy wiek, przywiązania starych nie tratował; choć kochał i szalał, jednak zawsze godził jedno z drugim.

Tu zaś obecnie działo się zupełnie co innego. I Gowartowski w tej samej chwili odwrócił się do ściany, a przymknąwszy machinalnie powieki, i jakby chroniąc słuch od jakichś odgłosów, jak dziecię wcisnął w poduszki głowę swą siwą. Bo nagle zdało mu się wyraźnie, że czyn Oli przyoblekł się w słowa i w pustych, cichych ścianach pokoju krzyczy wielkim głosem:

- Idź w ką, stary niedołęgo! Czyż ja potrzebuję ciebie się pytać? Ja chcę żyć, kochać! Pragnę za męża mężczyzny drogiego sercu, a tu ty myślisz mi przeszkodzić?...

W ciszy pokoju, w uśpieniu letniej nocy, rozległo się bolesne, stłumione łkanie - starzec płakał...

Dawno niezmoczone łą sędziwe męskie powieki, zaszklily się rosą - stroskanego ojca uniósł ból począł rozsadzać piersi.

A jednocześnie przywidziało mu się, jakby w halucynacji nagłej, że oto skądś nagle, do ciasnych ram sypialni wpada, jak huragan, dziwny rydwan złocisty... Przytuleni, zrosli jakoby ze sobą, siedzą na nim Roman i Ola, zapatrzeni w siebie, nie widząc nic dokoła.

Rydwan zaś wspaniały zbliża się coraz bardziej...

Ciągną go ogniste piękne rumaki białe, a po jego stopniach, ozdobach i kobiercach, wszędzie sypią się kwiaty; zasypują

go, pochłaniają...

Muzyka wesoła, skoczna, zagłusza tymczasem tętent koni - nad zakochaną parą młodych roje cherubów unoszą się w górze, skrzydełka ich szumią radośnie, a czarowna miłość toruje im

drogę!...

I Gowartowskiemu zdaje się równocześnie, że pojazd ten wprost na niego wpada.

Tak jest, wyraźnie, wyraźnie!...

Czuje bo oto na piersiach swych bolesne grubijańskie uderzenia kopyt końskich...

Ach!...

To koła rydwanu przemknęły po nim zwycięsko!...

Zaszumiało... Posypały się znowu wonnym deszczem kwiaty, muzyka głośniejsz zabrzmiała.

Minęła chwila...

Ucichło wszystko, znikło i tylko jeszcze w milczeniu echem ostatnim zadrżał miłośnie pocałunku szmer...

Pojechali.

Zimny pot zaperlił się na czole Gowartowskiego. - Przez myśl przemknęło mu słowo: Waryuję?...

Lecz niebawem znowu powróciła myśl zbłąkana.

I cierpienie natychmiast ukłuciami drobnymi ranić go ponownie zaczęło.

Powtórnie, umilkłe na drobną chwilę, jak przyływ morza, niepowstrzymany, powrotny, rozległo się w cichym spokoju komnaty zduszone łkanie...

Szerokim korytem rozlewała się boleść upokorzonego, zranionego ojcowskiego serca, i przez otwarte okno cicho płynęła eterami, w dal...

Na dworze ściemniło się tymczasem; gdzieniegdzie na czystym niebie pojawiły się małe chmurki, przesłoniły zagląające ciekawie do pokoju gwiazdy...

Cienie rozkładały się obecnie w sypialni, a z nimi powoli, zmęczeniem snąć zwyciężane i wyczerpaniem, milkło bolesne łkanie starca, przechodząc stopniowo w płacz cichy. Cóż stało się powodem tego ukojenia, działającego łagodnie, jak balsam, na znękaną cierpieniami duszę stroskanego ojca?

Może to było przywidzeniem tylko, jednak w majaczących, coraz więcej zasiedlających pokój półcieniach, na ich tle widoczna zarysowała się niewyraźna jakaś postać, nachylona ze współczuciem...

Któż to był tak niepochwytny, z eterów zaledwie złożony cały? Mara, czy złudzenie?

Jednocześnie jakiś dziwny szelest jakby rozległ się również po pokoju... Z przytłumionym szelestem, jednostajnie, kropla po kropelce spadało coś w pewnych od siebie odstępach, za spadnięciem zaś każdej kropli rozlegał się w cichej komnacie jakiś pełny, oddzielny, harmonijny ton stłumiony - grała jednolita, oderwana, melodyjna nuta.

Cichła - i znów to samo czyniła druga, trzecia, czwarta...

Cóż to było na Boga? Czary, czy też tylko igraszka cieni i słuchu?.. Nie. To niewidzialny dla ludzkiego oka, przywołany ze sfer niebieskich prawdziwym cierpieniem, spłynął był Anioł pocieszenia, a siadłszy cicho przy łożu szarpiącego się z hydrą bólu starca, niósł mu ukojenie - od Boga!...

Ściany pokoju tymczasem coraz ciszej grały swą muzykę dziwną...

To ostatnie, do czary konchowej w dłoniach Pocieszyciela, zmieniając się tam w piękne drogocenne perły, spadały z oczu człowieka-ojca - łzy...

-----

Nad lekko zmarszczoną, a mieniącą się jeszcze w zielonkawe blaski powierzchnia Adryatyckiego morza, daleko na widnokręgu, łagodniała coraz bardziej czerwona wstęga zachodu, aż znikła, spełzła zupełnie, wyparta mrokiem idącego

wieczoru.

W zakładzie kąpielowym, na Lido, zapóźnieni, w rozmaitych kostymach goście, powoli, stopniowo, zdążali do kabin swych, aż objęta palami i sznurem ogromna przestrzeń morza, przeznaczona na kąpiel, zupełnie opustoszała niebawem.

Natomiast na werandzie pośrodku zakładu, na rubieży kąpeli, zaroilo się od gości, spragnionych wypoczynku.

Odcinając się od innych wysoką, smukłą swą postawą i dystynkcyą, zmierzający do wolnego miejsca tuż pod balustradą, nad morzem, przeciskał się pomiędzy licznymi zajętyymi już stolikami, Roman Dzierżymirski, w ubraniu całem białem, licującym bardzo korzystnie z piękną sniądą twarzą jego i czarnym zarostem. Znalazłszy w korku wolne miejsce, usiadł i kazał podać sobie napój odświeżający, a zdjęwszy zarazem biały kapelusz - z tegoż materiału, co odzienie zrobiony - spojrział wokoło...

Przytłumionym szmerem rozmów, prowadzonych w przeróżnych językach, brzęczał w jego uszach, jak rój owadów, zebrany tłum; na pięknego, a samotnego cudzoziemca spoglądało ciekawie i zalotnie kilka siedzących opodal, przystojnych Włoszek o grubych zmysłowych wargach i dużych, błyszczących, czarnych, jak węgiel, oczach.

Dzierżymirski przetarł czoło ręką, i popatrzył z kolei przed siebie. Otulone już mgłami zmierzchu morze marzyło jakby zadumane. Przyciszonym łoskotem uderzało o brzeg falą, mówiło coś, szeptało...

Na pokarbowanej, coraz bardziej ciemniejszej jego fali ścigały się teraz mroki, jakieś cienie tajemniczo pływały po niem, gwarzyły ze sobą gdzieś w oddali, a tłumione ich głosy niósł echem łagodny szmer fali...

Tęsknym wzrokiem wpatrzył się Dzierżymirski w bezmiar wód Adryatyku, zdało mu się bowiem, że wśród tych otaczających go, obcych ludzi, ono jedno brata się z nim obecnie, i przyjacielskim uchem myśli jego słucha.

A Roman całkiem swobodnie poddać się im mógł po raz pierwszy od bardzo dawna; nie oczekiwał bowiem na nikogo, był sam zupełnie; żonę, cierpiącą na migrenę, pozostawił w hotelu na własne jej żądanie.

Dotąd zaś po prostu nie miał czasu pomyśleć, wnikać w siebie.

Od chwili przyjazdu Romana do Wenecyi mijało dwa tygodnie, a w całym tym okresie, upojony haszyszem miłości dzielonej, przykuty do Oli złotymi łańcuchy uczucia, wprzagnięty w oszałamiające, ułudne jarzmo chwil miodowych - śnił on, spał, żyjąc życiem nie rzeczywistym, ale jakimś innym, oderwanem, lśniącym się li tylko jasnością, promieniami i blaskiem.

Prócz tego, jednocześnie doznawał on i wrażeń innych, subtelniejszych. Były zaś niemi: po pierwsze, wrażenia czysto zewnętrzne, a więc ciągłe, bezustanne pobudzenie poczucia piękna, wyzwane zetknięciem się z sztuką tego zakątka pamiętek Italii; - wewnętrzne, a tym razem również w ścisłej pozostające łączności z osią wszystkiego dlań teraz - z Olą.

Dzierżymirski z licznych dotąd miłostek obeznany był dobrze z kobietami, po raz jednak pierwszy odczuwał to, co dziś...

Bo dotąd tak zwykle zdarzało się zazwyczaj; że on był w miłości zawsze prawie nastrojonym na silniejszy diapazon, a kobieta bierniejszą była - poddawała się tylko sile jego uczucia.

Teraz zaś działo się wręcz przeciwnie: to on czuł się więcej pragnionym i kochanym - to on poddawał się sile szańców, pożądań...

Po stronie kobiety była widoczna przewaga, Roman zaś nurzał się w tej czystej toni niepokalanego dotąd niczem uczucia, jak w źródle świeżem, krycznym nowego złotego życia, odmładzał się w niem, orzeźwiał, i upojony, odurzony - zasypiał życie, marzył i śnił, wchłaniając w siebie całą moc i potęgę skierowanej ku niemu miłości.

A jednak, wszak i on kochał Olę: Któż by wątpił o tem, gdyby tylko mógł spojrzeć na ukrytą, starannie od ludzkiego oka, a zapisaną kartę jego tak niedawnej jeszcze przeszłości.

W tej chwili Roman, przeżywając jakby w myślach swych, poza terażniejszością i lata minione, wzdrygnął się, brwi zmarszczył, i machinalnie spojrział przed siebie.

Zupełnie spowił już morze mrok ciemny. Hen, daleko, błyszczwały światła, pozapalane na niewidzialnych prawie gołem okiem parowcach. Trzy z nich mrugały już na kołyszącym się wodnym obszarze, po chwili zabłysło czwarte, piąte...

Lekki wietrzyk wionął po fali, poruszył się zadumany wód olbrzym, zakołysał, zaszumiał tajemniczo głośniejszym, niż dotąd, chórem podszeptów, szelestów i szmerów - melodyjnie zagrał...

U stóp Romana silniej zapluskwały fale.

W uderzeniach zaś ich, teraz już zupełnie bliskich, wyraźnych, powtarzających się co chwila, jakiś ukryty, szyderyczy, szemrzący jakby głos wołał, zda się, gdzieś z głębin dalekich:

- No, i cóż, przywłaszczycielu cudzego złota, dobrze ci z niem, co, nieprawdaż? Ubóstwiają cię, grasz rolę milionera!

Ha-ha!-ha-ha!.. z kolei zaśmiały się nagle wody.

- Myślisz może, że teraz, dotykając się już pieniędzy innych, wytłumaczonym przez to jesteś? Że zapomniano, zagrzebano twą tajemnicę?

- Ha-ha!-ha-ha!.. - śmiało się morze ironicznie, i dalej znowu szydziło:

- A widzisz - zbladłeś! Ty dotychczas pewnym byłeś, że nikt nic nie wie o tem!..

- A ja wiem, dobrze wiem!... - szyderczo zaśmiało się morze, a śmiech ten wód ogromy coraz głośniejsze przedrzeźniać zaczęły.

Teraz już całe morze bezlitośnie drwiło.

Naraz głos Adryatyku ustał i cichym szeptem zaszemrała fala:

- Nie bój się! ja żartuję tylko... nie trwóż się, ja cię nie zdradzę...

- Patrz, jakie głębokie kryją się w mem łonie jak wielkiem jestem ja!..

- Tajemnicę twą zachowam, zginie ona w obszarach, w bezdnach utonie...

- Nie powiem, ci... cho będę... ci... cho... - zaszeptowała znów fala, i szept ten powtórzyły fale miliony...

I jak śmiech szyderczy, tak i teraz ten półszept cichy, stłumiony, drżący, szedł znowu po łuskach fal, tajemniczy, straszny...

Nie... po... wiem!.. ci-cho będę, ccci-cho...

Nerwy Romana zadrgały; podrażniły go te dziwne głosy Adryatyku, odsunął krzesło na drugi koniec stolika, podparł rękami głowę, a zatkawszy uszy przed pomrukiem wód, wzburzony jeszcze, blady, zadumał się głęboko.

Przeszłość, wywołana chwilą samotności, i dziwnymi morza pogwary, świeża i żywa, niby wczorajsza, stanęła mu przed oczyma, jak widmo.

Na ubogiem poddaszu, ujrzał zatem siebie budzącym się po śnie straszonym!

Dwa już lata od tej chwili mijały. A co on od owego czasu przecierpiał, przeżył, przewalczył! - nie zliczyć!..

Długo nie tknął wówczas cudzych pieniędzy; tajemniczy portfel leżał pod kluczem, pozornie zapomniany.

A on ciągle walczył ze sobą!..

Nie zanosił jednak zguby do biura policyjnego, sam osobiście właściciela nie szukał. Czekał...

Pod tym względem niepokojąca, tłocząca swą zagadką, głucha panowała cisza.

W żadnym piśmie nie było wzmianki o zgubionym pugilaresie - nikt o tem władzom nie doniósł...

A on wciąż szalał.

Wreszcie wyczerpały się wszystkie jego własne fundusze, parę ostatnich lekcji stracił bezpowrotnie; głód zajrzał do jego izdebki... Nie było rady, napoczął wówczas cudzego złota.

Jakby to było wczoraj, dziś za ledwie, pamięta wyraźnie te tygodnie męczarni, bojaźni, wyrzutów, gdy siłą okoliczności zmuszonym został „żyć” z mienia przywłaszczonego... Pamięta swą trwogę dzieciinną przy zmianie pierwszej sztuki znalezionych pieniędzy, i innych, następnych... Widzi siebie, jak naumyślnie zmieniał je na drugim końcu miasta, jak bał się wtedy własnego cienia, i tak dalej, tak dalej!..

Każda drobnostka żywo, jawnie staje mu przed wzrokiem.

A później znowu w murach rodzinnego miasta wytrzymać już nie mógł!..

Wyjechał. Błąkał się za granicą długo, bezmyślnie, aż dotarł do Monte-Carlo.

Tam, opanowany gorączką złota, widząc, jak strumienie jego, rzeki całe, płyną hojnie wokół - do gry w ruletę rzucił się z zapalem.

Początkowo miał szczęście szalone. Cudzy pieniądź dwoił się, troił cudownie, pewnego poranku jednak przegrał wszystko co do grosza. Nie stracił jednak odwagi. Dawszy się już poznać w domu gry, jako człowiek bogaty i nierachujący się wcale z groszem, oraz rozpowszechniwszy fałszywą pogłoskę o olbrzymich swych jakoby dobrach, pożyczł u poznanego amerykańskiego miliardera trzykroć sto tysięcy franków.

Poręczył za niego pewien lord angielski, z którym się on, Roman, poprzyjaźnił bardzo. Począł grać... Pieniądze Amerykanina, (który, mówiąc nawiasem, wygrywał w tym sezonie sumy olbrzymie), przyniosły mu szczęście.

Dzięki parokrotnym, a nader rzadkim i nieprawdopodobnej długości seryom "rouge", oraz kilku wygranym "en plein", pewnego dnia ujrzał się panem miliona franków. Uśmiech fortuny oszołomił go na razie. Począł grać ze zdwojoną energią i ryzykiem.

Znowu wygrał kilkakrotnie, lecz z kolei niebawem począł znowu przegrywać, z przerażającą szybkością. Opamiętał się. Przyszła chwila rozważli; oddał dług milionerowi zza oceanu i wyjechał. Względnie był jeszcze wygranym, i to dostatecznie. Przywoził z sobą do kraju blisko sześćdziesiąt tysięcy, a wyjeżdżając miał tylko dwadzieścia kilka.

Wówczas rozpoczęło się dlań nowe życie...

Przede wszystkim wracał spokojny. Niezrozumiały na razie, subtelny bardzo, posiadający jednak pewną podstawę ściśle logiczną, owładnął nim wtedy w duszy proces dedukcyjny, i zwyciężył.

Roman Dzierżymirski, cały pogrążony w swych wspomnieniach, odsłonił twarz, machinalnie powstał, i oparłszy się o balustradę, wpatrzył w bezmiar morza, coraz ciemniejszy i cichszy.

- Tak, zwyciężył! - myślał Roman dalej. Zdawało mu się bowiem wówczas, że nie jest tak bardzo winnym.

- Te pieniądze są teraz moje, "prawdziwie" moje - powiedział sobie wtedy, doszedłszy do tej pewności całym poprzednim skojarzeniem wywodzeń. A mianowicie: Złoto znalezione wszak przegrał; stopiło się ono, znikło, zlało w całość jedną z morzem przegrywanych w jaskini gry pieniędzy. Mienie zaś jego obecne - to była tylko wygrana z pożyczki Amerykanina, a zatem suma grosza, niemająca już bezpośredniego, dotykającego związku ze znalezionym portfelem.

Jemu, Dzierżymirskiemu, w dziedzinie sumienia wyrzutów, dociekań, zwątpień, ubywał jeden szkopał poważny - nie dotykał się on już wyjątego z "cudzego" pugilaresu grosza. Niezaprzeczenie przytem należał do niego ten pieniądz, ślepa igraszka losu nabyty; podwaliną zaś, przeszłością tylko fortunki tej było przywłaszczenie.

Pozostawał fakt, wprawdzie już daleki, znalezienia i nieoddania - pozostawało niezmiennie przekroczenie etyki ludzkiej, i uczciwości ze strony jego, jako jednostki społecznej - niczem niestarta, wieczna tego plama, ale w ówczesnym przynajmniej przekonaniu jego, to wszystko znośniejszem, nie tak piekącym, lżejszem bez porównania było od odległego straszno wczoraj.

Z głową podniesioną zatem do góry, pokrzepiony powyższymi w swoim rodzaju sofizmatami, rozejrzał się wówczas po świecie i zaczął działać. Rozpowszechniwszy, za pomocą ponownie odnalezionego przyjaciela i dawnego kolegi-światowca, pogłoskę o dziedzictwie niespodzianem, a dość okazałym, po stryju, zmarłym w Stanach Zjednoczonych, rzucił się w wir zabaw eleganckiego świata, w celu zbliżenia się do Oli. Dopiął tego, zawładnąc jej sercem potrafił, oświadczył się o jej rękę, odrzuconym został, i...

Powierzchnia morza spokojną już była. Obojętna całkiem równomiernie i łagodnie uderzała fala o podnóże werandy - milczała cicha...

Dzierżymirski obudził się ze swych myśli, zanurzył ręce w bujnej czuprynie, głową wstrząsnął, jakby pragnąc odpędzić roje wspomnień, i odwrócił się od wodnej toni.

Publiczności nie było już prawie, po platformie kawiarni, ziewając, przechadzała się służba. Zawoławszy kelnera, Roman rzucił mu dużą srebrną monetę, i odprowadzony głębokim jego ukłonem, opuścił zakład kąpielowy.

Niebawem znalazł się na drodze szerokiej, ocienionej drzewami, z szerokimi po bokach alejami dla pieszych.

W umyśle jego cichł szept przeszłości, niepostrzeżenie, stopniowo, obrazy jej niknęły - teraźniejszość wracała... Przed wzrokiem mężczyzny mignęła naraz rozkosznie sylwetka Oli; pragnienie miłości, życia, silnie nim owładnęło.

Śpieszył się.

Odpędził natrętnego wyrostka, zachwalającego mu świeże ostrygi i jakieś ślimaczki nadzwyczajne; niebawem zachnął się znowu niecierpliwie, ujrawszy zastępującego mu drogę rozczochranego starego Włocha, z manekami, pełnymi pieczonych homarów i drobnych raczków.

Po bokach drogi, w licznie rozsypanych restauracjach, roilo się od spożywających i zapijających wino ludzi, z oddali dolatywało echo muzyki. Roman, przyśpieszając bezustannie kroku, wyrzucał teraz począł sobie, że zostawił żonę samą; niepokoiła go myśl uporczywa, iż nie cierpi ona może na migrenę, lecz, że to początek zapewne słabości zupełnie innej; wszak wszystkie choroby zazwyczaj rozpoczynają się bólem głowy.

Po co tu przyszedł?... By bezużytecznie odgrzebywać minione chwile? Ależ to nonsens zupełnie. A tam ona, Ola, sama zupełnie - niewątpliwie chora!..

Miłość pani, z całym bogactwem bezpodstawnych swych wzruszeń i niepokojów, zawładnęła niepodzielnie Dzierżymirskim.

Spojrzał na zegarek - dochodziła dziewiąta. Przed nim już bardzo blisko widniały dwie małe platformy przystani; pełne były ludzi, przed jedną z nich stał parowiec, gotowy do odejścia. Dzierżymirski w obawie, że się spóźni, puścił się pędem, i spotniały dobiegł do przystani w tej samej właśnie chwili, gdy na pokład odrzucano już sznur gruby, przytrzymujący parowiec. Wskoczywszy nań szybko, Roman znalazł się pomiędzy natłoczoną ciżbą ludzi, jak głośny rój pszczół gwarzącą pomiędzy sobą, ze śmiechem i giestykulacją.

Otarłszy pot z czoła, Dzierżymirski wsparł się o poręcz balustrady pokładu. Boki statku łagodnie pruły fale; oddzielona ciemną tonią, w bliskiej już odległości mrugała kręgiem światła rzucona na wód obszary Wenecya.

Podniósłszy do oczu dalekoosną lunetę, wpatrzył się Roman w rząd domów, położonych nad brzegiem, ku któremu szybko płynący parowiec zbliżał się coraz bardziej. Szukał hotelu swego, i okna pokoju, gdzie pozostawił Olę.

Okno komnaty tej właśnie otwartem było szeroko. W ramie zaś jego stała kobieta, szatynka, smukła, o jasnym, habrowym spojrzeniu podłużnych, mieniących się oczu, o piersiach wypukłych, wznoszących się jak fala, a kształtach ponętnych, pełnych, jakby pragnących gwałtem wydostać się z ciasnych ram opiętej, białej, pikowej sukni. Małe wklęsnięcia po obu stronach wązkich usteczek zdradzały przy uśmiechu rozkoszne dołeczki, rączka maleńka i dystygowana całość postaci mówiły wyraźnie o rasie młodej osobki.

Ola, wypocząwszy w łóżku godzin kilka, wstała właśnie przed chwilą, czując, że nerwowy, spowodowany upałem i zmęczeniem ból głowy ustaje. Pragnęła po za tem rozerwać trochę myśli, z wyjściem bowiem Romana zasnęła i śnił jej się rodzinny Gowartów i ojciec, jak żywy, tylko jakiś smutny i zbolący.

I po przebudzeniu myśl Oli pobiegła stąd daleko... Mimo woli sama uleciała do ojczystych obszarów i jarów. Powonienie jej podrażnił wyraźny zapach polnego kwiecica, ziół i bodjaków, w uszach zabrzmiała melodia cicha szumiących borów, kołyszącego się miarowo stepu - smętna rodzinna Ukraina, z poza setek mil, ogarnęła ją tu, pod włoskiem niebem, poczuła, zda się, powiew jej, tęsknoty pełny, do uszu zaś doleciało jakby ginące echo żalostnej dumki, śpiewanej nieuczonym głosem młodocy...

I smutek ogarnął Olę... Czy wróci tam kiedy, czy wróci?

Wszak podeptała wszystko - jednym szarpnięciem się zerwała wszelkie więzy - sama otworzyła sobie przemocą bramę do wymarzonego szczęścia. Tak jest. Bo Ola czuła się przecież rzeczywiście szczęśliwą.

- Biedny ten ojciec jednak, który po swojemu, jak umiał, tak ją kochał - myślała dalej. - A droga ciotka Melania i przyjaciel ich, Ładyżyński? Gdzie Gowartów, z którym zrosła się jej dusza cała? Co się tam dzieje? Gdzie oni teraz, ci wszyscy, tak dotychczas sercu drodzy?..

Rozpamiętując w ten sposób przeszłość, przepędziła Ola z godzinę.

Moc upajającej rzeczywistości tak silną była, jednak, że stopniowo ścierać poczęła wrażenie snu i ożyłe chwilowo wspomnienia. Obecnie stojąca w oknie młoda kobieta myślą daleką już była od tego wszystkiego. Obejmując wzrokiem panoramę portu i morza - oświetloną Wenecję, wysepkę z kościołem S-to Giorgio Maggiore, oraz kanały z mknącymi cicho po nich licznymi gondolami, - Ola z niecierpliwością wypatrywała Romana.

Pragnęła już bowiem widoku męża. Przedłużona nieobecność Dzierżymirskiego i w jej duszy zasiała ziarnka niepokoju; tęskniła już za jego pieśczęcią, zapragnęła czułości i pocałunków...

Wziąwszy lornetkę, przyłożyła ją Ola do swych oczu, ścigając po chwili widnokrąg spojrzeniem. Pierś jej przytem unosić się poczęła miarowo, usteczka zaś zdawały się całować przestrzeń, rozchylone, proszące...

Zniechęcona, odjęła niebawem lornetkę od oczu. Jakiś statek w kierunku Lido zbliżał się wprawdzie, lecz znajdował się jeszcze tak daleko...

Ola odstąpiła od okna, i szeleszcząc jedwabiami swych spódniczek, poczęła niecierpliwie przechadzać się po pokoju, pytając sama siebie:

- Któż widział spóźnić się tak dalece? Widocznie zubożniała już ona Romanowi, czyż to jednak możliwe? Wszak tak niedługo trwa ich szczęście...

Myśli ostatnie i wątpliwości śmiesznymi widocznie zdały się młodej kobiecie, bo po zastanowieniu się twarz jej poweselała, a w ciszy pokoju rozległ się śmieszek srebrzysty. W ślad za tem zapaliła dwie świece i przystąpiła do dużego lustra. Długo, z lubością, wpatrywała się w nadobne własne oblicze. Przymknawszy z lekka powieki, lecz tak, by mogła widzieć siebie, przegięła swą ładną główkę i kibić nieco w tył, oraz rozchyliła usteczka...

Kształty postaci jej całej uwypukliły się ponętnie; w pozycji tej zatrzymała się chwilę... Uśmiezek zwycięski przewinął się niebawem po drobnych wargach pięknej kobiety; podniosła do góry ręce, łaszcząc, jak kocię, wyprężyła naprzód swe ciało, i uczyniwszy gest, podobny do przeciągającego się po śnie człowieka, wymówiła głośno: Aaaa...

Po chwili zaś, poprawiwszy poprzednio zalotnie tualetę swą i włosy, stanęła znowu w pierwotnej pozycji u okna, w ciemnym tak samo i tym razem pokoju, z lornetką przy oczach.

Zbliżający się tymczasem od strony morza parowiec stawał właśnie już w przystani. Po drewnianych pomostach wysypał się na ulicę tłum różnolity i barwny; światła, pozapalane w pobliżu padały nań skośnie, oświetlając wyraźnie ruszających się ludzi. Ola wśród nich starała się odnaleźć sylwetkę męża, niebawem dojrzała go rzeczywiście i z radością wykrzyknęła do siebie:

- Jest! jest!..

W oka mgnieniu odskoczyła od okna, zapaliła świecę, odnalazła szybko kapelusz i parasolkę, i wybiegła z hotelu. Zdążyła na spotkanie Romana, śmiejąc się z góry na myśl, jak on się zdziwi, ujrawszy ją na nogach.

Na Riva degli Schiavoni, spacerowem miejscu Wenecyi, roiło się od publiczności. W pobliżu hotelu, zamieszkiwanego przez Dzierżymirskich, muzyka grająca zazwyczaj na placu Świętego Marka, rozbrzmiewała kaskadą ochoczych tonów przed kawiarnią, przepełnioną ludźmi, snującymi się również wszędzie, gdzie tylko było rzucić okiem. Ola, zdążając ku przystani, wymijała ich szybko, w oddali widziała już wśród idących sylwetkę Romana, całą białą, górującą wzrostem nad innymi.

Dzierżymirski, niespokojny snąc dotąd jeszcze, szedł krokiem rażnym, z cygarem zapalonym w ustach, a kroczył tak zamyślony, że byłby, nie widząc wyminął Olę niewątpliwie, gdyby ta, ubawiona, nie roześmiała się wesoło i nie pochwyciła go za ramię. Na dźwięk znajomego srebrnego śmiechu podniósł Roman głowę i twarz, chmurna dotychczas nieco, rozpogodziła mu się natychmiast.

- Ty tu, filutko?.. - wykrzyknął radośnie, i ująwszy obie rączki Oli w swe dłonie, obsypywać je zaczął pocałunkami, a następnie pociągnął ją ku sobie, i nie zwracając zgoła uwagi na kilka mijających ich osób, ucałował w twarz serdecznie.

- A tak, Romeczku! - odparła żywo Ola - wybiegłam, bo zobaczyłam przez lornetkę, jak wysiadałeś! Fe! któż widział siedzieć tak długo, gdy się ma tak ładną, jak ja żoneczkę... - dorzuciła, przymilając się, z lekką wymówką w głosie, i do dała jeszcze:

- Myślałam już, że ci się co złego stało!

Promień przebiegł po twarzy mężczyzny, ujął ramię Oli, i odparł:

- A wiesz, moje życie, że i ja miałem co do ciebie myśl podobną?.. - uśmiechnął się i dodał - ale z mej strony to usprawiedliwione, zostawiłem cię przecie bowiem w łóżku...

Idąc wciąż szybko przed siebie, zamilkli oboje. Miłość odczuta, taka sama, drobną swą powyższą oznaką zamknęła im usta na chwilę.

- Skądś od Wielkiego Kanału, w pewnych od siebie, odstępach, dolatywało właśnie echo silnego męskiego głosu, przy akompaniamencie chóru innych.

- Pojedziemy może gondolą, jak myślisz? - zapytała Ola - słyszysz jak ładnie śpiewają?..

- Dobrze, moje życie, jedziemy!.. - odparł wesoło Roman.

Jak na zawołanie, w tej samej chwili Dzierżymirscy usłyszeli za sobą kilka okrzyków, silnie akcentowanych na pierwszej sylabie: "Gón-dola,. gón-dola signore... gón-dola!.."

Na lewo, obok idących, znajdowała się "Piazzeta", a naprzeciw wznoszącego się majestatycznie pałacu Dożów, największa przystań gondolierów.

Dzierżymirski, wybrawszy jednego z licznych, napraszających się przewoźników, podszedł ku przystani, gdzie wspólnie z Olą usadowił się niebawem w gondoli.

- Serenada, Canale Grande! - rzucił ubranemu biało Włochowi.

"Rematore"\*) uderzył w wiosła, i gondola z wolna, cicha, wysunęła się z pomiędzy dziesiątek innych, a kołysząc się na czarnej fali kanału, pomknęła we wskazanym kierunku. Roman objął kibić żony i począł muskać delikatnie ustami jej oczy, czoło, szyję i usta. Ona zaś uchylała się wciąż figlarnie, szepcząc:

[\*) Wioślarz.]

- Wstydź się... gondolier patrzy...

Lecz mężczyzna nie przestawał. Kilkakrotnie usta ich złączyły się w pocałunku gorącym, długim, od którego zdrżeli oboje, z ust Romana sypały się ciche i urywane, dyszące uczuciem i namiętnością, pieszczotliwe wyrazy...

A wkoło nich, szeleszcząc uderzeniami wiosł, sunąc również, jak i oni cicho, mknęły, migocząc kolorowymi światełkami, gondole, zmierzając wszystkie w jednym kierunku - ku Wielkiemu Kanałowi, całemu rozbrzmiewającemu w tej chwili, jak harfa ruszona śpiewem i muzyką. Oświetlone, ubrane kolorowymi, papierowymi latarniami, migały w oddali wielkie gondole, a raczej statki małe, tak zwane „serenady”, na których orkiestry ciał grajków i śpiewaków-samouków popisywały się ze swym wrodzonym, a rzetelnym nawet częstokroć arcyzmem.

Kilka podobnych serenad, rozrzuconych po kanale; wabiło światłami i stłumionym śpiewu odgłosem, koło nich zaś, w pobliżu, grupowały się kręgiem dziesiątki czarnych gondoli, z rozpostartymi w nich niedbale i wygodnie słuchaczami. Niektóre z rozbrzmiewających śpiewem i muzyką bark podjeżdżały pod okna dawnych dworców, a dzisiejszych pierwszorzędných hoteli i koncertując tam wyłącznie dla hotelowych gości, zbierali od nich dla siebie datki, sunąc różnobarwnymi światłami i gorejącym kadłubem stateczku zwolna u marmurowych stopni pałacowych balkonów.

Naprzeciwko dwóch podobnych serenad, śpiewających wprost kościoła S-ta Maria della Salute, pod oknami pałaców Ferro i Zucchelli, (dzisiejsze Grand-Hotel i hotel Britania) dalej nieco, poza kościołem, zabrzmiała właśnie nagle pieśń solowa ..

Zagłuszając inne głosy śpiewaków bliższych i dalszych, zadrgała ona uczuciem, i zręcznie modulowana przyjemnie pieściła słuch, coraz donioślejsza, bliższa...

- Pojedziemy tam! dobrze, Romciu?.. - zaproponowała Ola, ujęta głosem śpiewaka.

- Bene, carissima! - odparł Roman, i skinął na wiosłującego. Gondola ich, kierowana umiejętną ręką, wymijać zaczęła łodzie, coraz liczniejsze.

Roman i Ola, widząc się coraz bardziej otoczonymi, przestali pocałunków i pieszczot, chwilowo poddawszy się zupełnie czarowi pieśni, płynącej ku nim w ciszy wieczoru.

Oboje milczeli...

Gondola tymczasem skręciła powoli w lewo, ku rozśpiewanej barce, i wśliznąwszy się swym wysokim przednim dziobem, jak wąż, pomiędzy kołyszące się dziesiątki innych gondol - stanęła wreszcie, zatrzymana zręcznie. Gondolier przymocował sznurem swój pojazd do sąsiednich i założywszy na krzyż ręce, w skupieniu wspólnie z innymi zasłuchał w pieśń...

Szerokim półkolem, ciche, kołysały się wszędy inne gondole; wsparci w nich słuchacze poddawali się niewytłumaczonemu czarowi tej weneckiej, cichej nocy, tej pieśni szczerej, niewykwintnej, chwytającej jednak mimo woli niejednego za serce, zapadającej w duszę głęboko.

Po smętnych pieśniach następowały skoczne, i tak dalej, bez zmiany. Co kilka "numerów" z barki "serenady" schodził włoch, rozczochrany, od śpiewu wzruszony jeszcze, i z czapką w rękę zbierał "co łaska", przestępując ostrożnie z jednej gondoli na drugą.

W ciszy zaś względnej, a spowodowanej tym swego rodzaju antraktem, ruszały się z miejsc swoich niektóre łodzie, wracając, lub zdążając dalej do innych serenad; na puste miejsce wsuwała się milcząco nowoprzybyła gondola, a publiczność, zebrana w tych zaimprovizowanych wodnych łożach, natychmiast spoglądała ciekawie na swego sąsiada, półgłosem komunikowała sobie uwagi, w rozmaitych językach.

I w cichości powoli milkły, to znów z kolei rozbrzmiewały dalsze i bliższe rozśpiewane barki, wreszcie anakt się kończył, po wodach kanału mknęła znów ze „sceny” serenady pieśń namiętna...

Słuchały jej echa zdawało się, pobłażliwie i ciekawie gwiazdki, licznie rozsiane po gwiaździstym niebie południa - słuchały krzyże, i wieżycy licznych świątyni, i zadumane marmury wiekopomnych dworców.

Od czasu do czasu komunikując sobie przyciszoną uwagę, Roman i Ola słuchali również uważnie włoskich pieśni, nastrój zaś dzisiejszego wieczora rozmarzająco działał na nich. Myśli ich daleko ulatywały, pod wpływem tej nocy, tego krajobrazu niezwykłego, a pełnego czaru, i tej niewymuszonej, tchnącej uczuciem pieśni, wyrzucanej z ust ludzi prostych, dziwnie jednak atoli przejmujących się melodyą słów swoich, kochających tak wyraźnie pieśni owe, narodowe - własne!

Wywołana zatem świeżemi, tak niedawnymi wspomnieniami dzisiejszego popołudnia, myśl Oli biegła nieprzeparcie do stron ojczystych - przymrużała oczy, i widziała ogród Gowartowski... wyniosłe oblicze ojca...

Romana zaś trapiły z kolei te same, co i nad morzem myśli... Fałsz obecnego położenia, przyszłość niejasna, zakryta, ciemna, z tajemnicą na dnie duszy ukrywać się zmuszoną, przed okiem najdroższej nawet teraz dlań na świecie istoty, zaciemniały chmurą troski czoło Dzierżymirskiego, mgłą smutku matowały spojrzenie czarnych, rozumnych oczu.

I żał jakiś niezmierny, żał do życia, rozpierał mu piersi, do losu, że, postawił go na tak śliskim i kołyszącym się gruncie, że tylko za cenę tego fałszu i wyrzutów sumienia, pozwolił mu zdobyć to jego dzisiejsze nieograniczone szczęście!

Zatopiony w swem skrytem cierpieniu, Roman od czasu do czasu spoglądał na Olę. Ta, ze spuszczonej oczami, oparta niedbale na skórzanych poduszkach gondoli, zadumana, również marzyła cicho... Cienie przechodziły, przemykały się po jej wdzięcznym, zamyślonem obliczu, czasem na usteczkach zagaszczając błąkający się uśmiezek.

Roman wtedy z miłością bezgraniczną zatrzymywał dłuższą chwilę spojrzenie na ukochanych rysach, i znowu popadał w zadumę, lub słówkiem pieszczoty, albo spostrzeżeniem jakim przerywał milczenie. Ola odpowiadała mu skinieniem główki - zamieniali pomiędzy sobą zdań urywanych kilkanaście, i znowu milkli, poddając się nastrojowi zewnętrznemu otoczenia i wewnętrznemu dusz własnych. W ten sposób czas mijał.

Powoli, stopniowo rozluźniło się ścieśnione gondol półkole... Z cichym wioseł szelestem i pluskiem ruszonej wody odpływały one jedne po drugich - duże barki sąsiednich serenad ginęły również w oddali, śpiewy ich cichły...

Kilka tylko z nich jeszcze rozbrzmiewało po kanale ostatnimi tony, a między innemi i barka, koło której kołysała się gondola Dzierżymirskich. Z okien i balkonów hoteli poznikały już także liczne sylwetki i twarze gości, w pobliżu, na wieży kościelnej, wybiła rytmicznie godzina jedenasta...

Roman ocknął się pierwszy, dotknął delikatnie dłonią rączki Oli i rzekł:

- Pora już nam, kochanie... prawdaż?..

- Która? - zapytała Ola, zbudzona.

- Jedenasta, moje życie - odparł Roman.

- Już?.. - zdziwiła się Ola, westchnąwszy. To jedźmy, nie sądziłam nigdy, by już tyle czasu minęło...

- O czymże tak dumasz moja pani? - zapytał Roman, z uśmiechem.

- A ty? - odpowiedziała pytaniem Ola.

- O... ja?.. nic ciekawego - odparł pośpiesznie Roman, i jakby pragnąc, by powtórnie nie pytano go o to samo, odwrócił się szybko do gondoliera, informując go, dokąd ma ich zawieźć.

Gondola, wycofana z łatwością z przerzedzonego już kręgu, zawróciła i pomknęła ku oświetlonemu niebieskawym światłem latarni elektrycznych placowi San Marco. Na wieżach odległych kościołów, układającej się do snu Wenecyi, w milczeniu, różnymi tony dzwoniła godzina jedenasta, zdała dochodził jeszcze przyciszony odgłos muzyki...

Wyciągnąwszy się wygodnie w gondoli, Roman ujął znów kibić żony, i pieszcząc wargami jej szyję, począł mówić cicho, długo, ciągle.

Czuł potrzebę mówienia; chciał zagłuszyć, odpędzić natrętne myśli, wspomnienia, przechodził z tematu na temat, śmiał się, dowcipkował, całował Olę co chwila. A ona szczebiotała również...

Pełne wesela głosy dwojga młodych złączonym akordem przerywały co chwila milczenie i spokój "Canale Grande", padały i ślizgały się echem po ciemnej tafli jego wód, w których z kolei pływały się cienie pałaców, złotym deszczem igrały gwiazdy i swawolił powiew wietrzyka, idącego z morza, pokrytego ciemnością, śniącego w oddali...

Dostawszy się na pełnię wód kanału św. Marka gondola pomknęła chyżo, a niebawem po falistej tafli włoskiej laguny rozległa się śpiewana zgodnym liórem męskiego barytonu i kobiecego sopranu pieśń polska: "Szumią jodły"...

- A co, nie mówiłem, że to nasi, choć on taki czarny, jak Włoch - odezwał się po polsku, z gondoli, którą mijali

Dzierżymirscy, rubaszny trochę głos mężczyzny.

- No, tak dziobać się, jak gołąbki, to i inni potrafią... odpowiedział ironicznie ktoś drugi.

- Ba, ale, panie dobrodzieju, z takim humorem - to nie!... z przekonaniem, stanowcza, rozległa się odpowiedź szlagona.

Tymczasem gondola Dzierżymirskich malała już coraz bardziej, na tle nocy tylko czerwonym światłem migocząc z oddali. Wkrótce, zaleciała jeszcze ostatnia zwrotka, znanej Moniuszkowskiej melodi: Oj, Halino, oj, je - dy - no, dzie - wczy - no mooo - ja!...

- Moo - ja!... oddało echo lagun morza i zmiękło, cały zaś kadłub czarnej gondoli znikł gdzieś niebawem, ustępując miejsca innym, nadciągającym coraz gęściej od strony Wielkiego Kanału, coraz cichszego, coraz bardziej pogrążającego się w czerni bezbarwną, głuchą, zapadającego tam uśpienia - Nocy!

\* \*  
\*

- Patrz, patrz! jakież to piękne!..

Słowa te, półgłosem, z akcentem zachwytu, wymówiła Ola, i oboje wraz z Romanem stanęli na miejscu, jak przykuci. Nad ich głowami wznosiła swe dumne gotyckie arkady jedna z najpiękniejszych, po bazylice San Marco, świątyni w Wenecji, Santa Maria Gloriosa dei Frari - stali zaś przed mauzoleum Canovy.

- Prawda! - szepnął w odpowiedzi żonie Dzierżymirski. - Zdawałoby się, iż ten oto anioł, czy geniusz uśpiony, żyje, oddycha, stróż czujny... urwał, studując dalej pomnik z uwagą.

- A te postacie, nieprawdaż, iż rzeczywiście idą, ruszają się wolno, pogrążone w cichej boleści i smutku! - podchwyciła żywo Ola, podniecona widokiem, oraz wyrazem zakutego w marmurze piękna.

Oboje umilkli, z nieklamany zachwytem wpatrując się w rzeźbę.

Od grobowca bowiem, przez samego Canovę modelowanego niegdyś na pomnik dla Tycjana, było rzeczywiste, szczere piękno i chwytano za serce - mówiło...

Przyparty do ściany, cały z białego marmuru, a trójkątnym kształtem w minjaturze przypominający, piramidy Egiptu, stał sarkofag otworem...

Na lewo, jakby strzegąc doń wchodu, olbrzymi lew marmurowy leżał, z obwisłymi łapami, potężny, srogi, i jakby smętnie zadumany, a na nim, z rozpostartymi skrzydłami, opierał się wielki Anioł uśpiony...

I tchnące łagodnością, cudne oblicze Anioła zda się być rzeczywiście nie z tego nędz padołu!..

Z ludzką twarzą, to prawda, spoglądać się zdaje na widza, lecz oczy jego przymknięte nieco, skupienia i zadum pełne - znieruchomione w nadziemskim spokoju, ciszą zaświatów, wieczności milczeniem i bytu zagadką, nęcą oto wyraźnie, wzrok ciągną za sobą, unoszą duszę, myśl... gdzieś w strefy nadziemskie do nieba!...

A z prawej znów strony grobowca, jakby z ziemi, ze świata, wolno suną jakieś postacie, zmierzając do otwartych na ścieżaj wrót sarkofagu...

Pierwsza z nich, proporcjonalnie do innych, większa, kobieta młoda, jest już tuż blisko, u grobu prawie, w ślad za nią, z girlandami kwiatów, postępują postacie mniejsze - to dzieci.

Idą... Kroczą, z pochyloną głową, przygnębieni, smutni, niebawem już cisi przestąpią oni próg grobowca...

- Chodźmy! - szepnęła Ola pociągając lekko Romana za rękę.

Z widoczną niechęcią, jakby nie mogąc oderwać wzroku od pięknego pomnika, poruszył się Dzierżymirski, i wyrzekł półgłosem:

- Czy już obejrzelismy tutaj wszystko?

- Zdaje mi się, że wszystko - odpowiedziała Ola.

W pustej i cichej świątyni rozlegały się wyraźnie ich kroki, prócz nich bowiem obecnie nie było tu nikogo.

Dzierżymirski wyjął zegarek.

- Szosta! Wracajmy, musimy pożegnać jeszcze Wenecję z Campanili - rzucił żywo, i ująwszy ramię żony, skierował się ku wyjściu z kościoła.

Na progu Dzierżymirscy stanęli, obrzucając ostatniem spojrzeniem kościół; wzrok ich przesunął się raz jeszcze po wspaniałych grobowcach dożów, Tycyana i wyszli.

Upalny spokój włoskiego popołudnia objął ich natychmiast. Słońce paliło jeszcze, na uliczkach Wenecyi było pusto.

Dzierżymirscy szli przyśpieszonym krokiem, zmiierzając ku mostowi "di Rialto." Był to ostatni już dzień pobytu ich w Wenecyi, wyjeżdżali nazajutrz, żegnając dziś po raz ostatni urocze miasto pamiątek.

A żegnali je sumiennie. Zwiedziwszy bowiem kilka nieznanym sobie jeszcze kościołów, po raz wtóry obeszlili wszystkie miejsca, dokąd zachęcało ich do powrotu wspomnienie zoczonego tam piękna.

A więc pałac Dożów, jego archeologiczne muzeum i liczne przepiękne sale i ponure więzienia, pałac królewski, bazylikę, a także zarówno arcydzieła pędzla Tycyana, Tintoretta, Pawła Veronese, Belliniego, i innych, w Akademii "delle belle Arti."

- Wiesz, kochanie? musimy spieszyć się porządnie, gdyż o siódmej podobno zamykają już Campanillię\*)-odezwał się Roman po dłuższem milczeniu idąc z Olą bezustannie tak sarno szybko i słuchając zarazem szczebiotu jej, wciąż jeszcze znajdującej się pod wrażeniem pysznego dzieła Canovy.

[\*]Znana powszechnie pod tą nazwą dzwonnica Świętego Marka w Wenecyi, siegająca budową i stylem X wieku, dziś, jak wiadomo, już nie istnieje. Runęła dnia 14-go Lipca 1902 roku.]

- Co za świetną doprawdy miałeś myśl, Romciu, zestawić to obejrzenie Wenecyi z wyżyn na zakończenie! - rzekła Ola, i dorzuciła z ożywieniem: - Bo ostateczne owe wrażenie nie zużyte dotąd jeszcze, nowe, idealnie zamknie nasz pobyt tutaj...

- A widzisz, me życie, że nietylko moja pani miewa genialne koncepty - z uśmiechem odparł Roman, miłą mu bowiem była myśl, że ich wzajemne zapatrywania estetyczne zgadzają się tak dobrze.

W tem bo ostatniem los rzeczywiście nie był poskąpił zadowolenia Romanowi. Ola, była to dusza obdarzona zarówno, jak i on, wykwiśniętym poczuciem piękna i niezmierną wrażliwością na dzieła sztuki, zgrzytów pod tym względem pomiędzy nimi nie było wcale - dopełniali się wzajemnie.

- Poczekaj, kochanie - odezwał się znów Roman - spożyjemy sobie parę brzoskwiń... Mam ogromne pragnienie, a ty?...

- O! ja także!.. wykrzyknęła potwierdzająco i wesoło Ola, poczem oboje zbliżyli się do charakterystycznego, szerokiego, pod płóciennem okryciem od słońca, weneckiego straganu, przepełnionego różnemi owocami i jarzynami.

Minęli już byli właśnie "ponte di Rialto", znajdując się obecnie w okolicy i punkcie targu, oraz ożywionego ruchu. Wokoło nich szwendali się liczni przechodnie, przekupnie wychwalali głośno swój towar, t. j. drobiazgi, owoce, lub rzadkość w Wenecyi - zimną wodę do picia, mówiąc nawiasem, nadzwyczaj niezdrową.

Wybrawszy kilka przepysznych, wielkich brzoskwiń, i spożywając je, Dzierżymirscy puścili się znowu w dalszą drogę. Szli obecnie najbardziej ożywioną i handlową ulicą w Wenecyi, tak zwaną "la Merceria", wijącą się w kształcie szerokiego trotuaru pomiędzy domami i szeregiem ciasno jeden przy drugim położonych sklepów, a wiodącej zygakiem od mostu di Rialto do wieży zegarowej na placu San Marco.

Zaczepiani co chwila przez natrętnych właścicieli magazynów, przekupniów mozaiki i małych bosonogich chłopaków, narzucających się im co chwila, z pytającym słowem i spojrzeniem ładnych, czarnych ocząt: "Accompagnare, signore?...". Dzierżymirscy szli szybko, wygodną, choć krętą ulicą, rozmawiając wciąż ze sobą.

Niedosłyszane wzajemnie często w gwarliwym hałasie "Mercerii" słowa ich ginęły bez echa, gdy naraz i tym razem zupełnie głośno, po niewiele znaczących uwagach, odezwał się pierwszy Dzierżymirski.

-Czy wiesz, moje życie, iż to już trzy tygodnie blisko, jak wyjechaliśmy z kraju? Czas leci, kto by pomyślał, że niebawem już minie miesiąc, jak porwałem cię, szczęście moje, z łona rodziny?..

Choć w ostatnich słowach brzmiał ton żartobliwo-dobroduszny, jednak Roman niespokojnie spojrzął na żonę, pierwszy to bowiem raz tak wyraźną czynił alluzję do niedawnej, a przełomowej chwili ich życia; dorzucił zaraz:

- Ciekawy jestem, co o tem wszystkiem myśli i co czyni w tej chwili twój ojciec... przytem wahająco spojrzął z pod oka na Olę, uważnie, jakby zbadać pragnąc, do jakiego stopnia odczuwa ona to wspomnienie.

Lekka mgła jakby przemknęła po twarzy młodej kobiety, a brewki jej zmarszczyły się przelotnie, jednakże odpowiedziała natychmiast.

- Wiesz co, mój drogi? ja.... - i tu spuściła oczy, zarumieniwszy się lekko - bardzo często... podkreśliła akcentem te słowa, - myślę o tem...

I Ola z kolei podniosła swe przymglone oczy na Dzierżymirskiego, a jemu zdało się jednocześnie, że wilgotnemi były one...

W tej samej chwili młoda kobieta ruchem łagodnym, a wdzięku pełnym, położyła swą rączkę drobną na rękę męża.

- Nie gniewaj się, mój drogi, że ci to mówię - rzekła miękko - ale... ale wierz mi, że ja nieraz lękam się jakby po prostu,

by ta przeszłość nasza, a w szczególności gwałtowna chwila ucieczki mojej, nie przyniosła nam nieszczęścia... Biedny ojciec! - cicho westchnęła Ola i umilkła, spuściwszy nieśmiało wzrok ku ziemi, jak gdyby przestraszywszy się słów ostatnich.

Teraz Roman z kolei pochwycił rękę żony i uściskawszy ją serdecznie kilka razy, wzruszony, począł pocieszać Olę z cicha, w końcu zmienił zupełnie temat rozmowy, przeszedłszy pośpiesznie na przyszłe zamiary wspólnej podróży. Równocześnie jednak sponsepniał, i, choć drobna, mała chmurka, co niby cień, wśliznęła się pomiędzy ich dusze - względnie rozwiąła się dość prędko, zostawiła jednak w umyśle Dzierżymirskiego ślad trwały. Teraz zatem, gdy znowu zamieniał z Olą banalne nieco frazesy, myśl jego pracowała uparcie w dalszym ciągu.

Więc on nie mylił się, będąc częstokroć niespokojnym, gdy widział przychodzącą na czoło żony nagłą zadumę, na pozór niewytłumaczoną zgoła niczem.

Więc w główce tej, w której, prócz miłości dla niego, długo nie przypuszczał innego uczucia - tkwił jednak w swoim rodzaju wyrzut sumienia?.. Odmiennymi zatem krocząc drogami, dusze ich - ze źródła tylko innego całkiem płynące - obie jednocześnie miały swoje skryte zgryzoty i cierpienia. Zarówno, jak i on, tylko inaczej, Ola więc także cierpiała...

- Dziwne, to życie, dziwne! - omal że nie głośno wymówił Roman.

- O! patrz, już plac św. Marka - wesoło wykrzyknęła Ola w tej samej chwili, i wydobywszy miniaturowy zegarek, jednocześnie dodała:

- Wpół do siódmej! - Zdążymy!..

Dzierżymirski nie podniósł uwagi żony, przelotnie spojrzawszy tylko w jej twarz, a widząc Olę uśmiechniętą, poweselał sam również.

Wydostawszy się z wąskiej szyi ruchliwej ulicy, znajdowali się już oni na kwadratowym placu, obszernym, z trzech stron ramowanym wokół kolumnami pałacu królewskiego. Pod temi kolumnami, w pierwszorzędnym kawiarniach Wenecji, roiło się od ludzi; na mozaikach, krzyżach, brązowych koniach i kopułach bazyliki św. Marka grały promienie słońca, u stóp zaś Campanili, dokąd zmierzali Dzierżymirscy, i przed kościołem, pośrodku placu, gruchały i latały setki gołębi, karmionych ręką publiczności. Zapłaciwszy za wejście, Roman i Ola powoli zaczęli wstępować na górę.

Na szczyt dzwonnicy San Marco, oddzielonej od katedry, a strzelającej w górę wysoko i samotnie, szło się nie po schodach, lecz po lekko pochylonej płaszczyźnie spiralnej, nader wygodnej, choć krętej, wchodzącego wcale nie męczącej.

Co kilka minut postępującym na szczyt dzwonnicy Dzierżymirskim migwały z prawej strony małe okienka, pozwalające im pochwycić rąbek krajobrazu, ściany zaś wieży przepełnione były licznymi podpisami turystów.

Względnie dość długo, bo powoli, zmęczeni poprzednim pośpiechem, szli pod górę Roman i Ola, zanim dostali się wreszcie na obszerną szczytową platformę dzwonnicy. Prócz sprzedającego w zaimprovizowanym sklepie fotografie i albumiki: "ricordo di Venetia," kilka zaledwie osób znajdowało się tutaj. Dzierżymirscy zbliżyli się do balustrady, obrzuciwszy spojrzeniem cały widok, u stóp ich i henhen, daleko!...

- Śliczne, prześliczne! - rzekła po chwili Ola półgłosem, z przejęciem, Roman zaś, potakując żonie, wyjął noszoną stale ze sobą lunetę i regulował ją począł.

Słońce właśnie zniżalo się ku zachodowi. Z jednej strony krajobrazu, na prawo, tarcza jego, ziejąc purpurą, kąpała się promienistymi blaskami w morzu, rozświetlała jego tajemniczą głębię, rozżarzała, na kształt głowni, czerwonym ogniem zmarszczone grzbiety fal, złotym prostopadłym gościńcem zanurzając się stopniowo coraz bardziej w iskrzącą się światłami toń. I zielonkawe, łagodne Adryatyku fale, rozchyłały się przyjacielsko i gościnnie - roztwierały swe nurty do idącego na spoczynek słońca, wód szmerem kołysać się je zdając do snu cichego...

Po bokach fal tymczasem coraz dalej i dalej biegły ostatnie promienie jego; rozlewały się wkoło pożegnalnym odbłaskiem - pieściły już morze całe, zapalały na niem miliony barw i odcieni, skośne leciały w lewo ku Lido, "giardini publici," słały się krwawiące na dachach i wieżach leżącej w dole Wenecji - i ginęły nareszcie w zamglonej gdzieś dali, tuląc się do majaczących hen, hen, w perspektywie górskich alpejskich szczytów...

Roman i Ola, zapatrzeni, stali nieruchomo, w milczeniu.

Otulony ciszą bezmiarów, tchnący spokojem idącego wieczora, zachwycał ich ten krajobraz.

- Spójrz - no, jak smacznie zajadają sobie nasi brudni włosi swoje "pranzo" - rzekła nagle do męża Ola, wskazując ręką spiętrzoną u stóp ich, wśród wąskich kanałów, Wenecję, i ścieśnione dachy jej domów, gdzie na werandach spożywano właśnie posiłek.

- A, prawda! - potwierdził Roman.

- Zabawnie wyglądają na swoich daszkach, jak liliputy... - zauważył jeszcze i ujawszy ramię żony, zbliżył się znów ku balustradzie od strony morza.

- Patrz! - rzekł przyciszonym głosem, wskazując na prawo łąd stały - widzisz te otulone mgłami sylwety miast i gór?..

- Widzę - potwierdziła Ola.

- Oto Fusina - objaśniać począł żonie Roman - tam znów głębiej, to Padwa i Treviso...

Tu, na zachodzie - to otaczające Weronę szczyty górskie, a tam - wskazując ruchem ręki kolistym krajobraz, mówił dalej Dzierżymirski - to Monte Baldo, i u stóp jego jezioro Garda.

I Roman manewrując równocześnie lunetą odkrywał coraz to inne odległe góry i miasta, a używając lornety swej żonie, objaśniał ją, tłumaczył.

Tymczasem zaś platforma dzwonnicy opustoszała stopniowo. Prócz przekupniów, zalecających swe "ricorda," i miejscowych ludzi, nie było tu już prócz Dzierżymirskich, nikogo. Roman i Ola gotowali się do odejścia, gdy oto nagle przystanęli znowu, zasłuchani.

Z weneckiego starego grodu szła muzyka dziwna... Jak orkiestrą dobraną grana, wędrowała przez otulone milczeniem przestworza melodia kościelnych dzwonów...

Rozpoczęły ją, wprost Campanili dzwony kościołów: Redentore, na wysepce Giudecca, i Santo Giorgio Maggiore, opodal, a w ślad za nimi powtórzyły inne świątynie. Z Santa Maria della Salute na czele rozbrzmiały kolejno po całej Wenecyi, wstrząsnęły ciszą „królowej Adryatyku" - tu donośnie bijąc basem, tam znów skarżąc się łagodnie, kwiląc - wspólnie zagrały chórem swą pieśń wieczorną...

Dobranymi jakby akordy popłynęły dźwięcznie tony poprzez laguny i kanały, morzem, po grzbietach fal, uleciały w dal siną, zda się, niosąc swe echa aż do podnóży gór.

Roman, nachyliwszy się ku żonie, rzucił półgłosem:

- Co za wspaniałe i silne wrażenie, nieprawdaż?...

Chciał powiedzieć coś jeszcze, lecz w tej samej chwili instynktownie urwał...

Dzierżymirscy zadrżeli oboje. Kobieta przytuliła się, jak powój, do mężczyzny, on zaś objął opiekuńczym ruchem jej kibić i silnym ramieniem przycisnął wylekłą do siebie.

To z dzwonnicy św. Marka, tu, na szczycie jej, o parę zaledwie kroków od nich, zagrzemiał właśnie do wtóru innym, zadudnił, głośząc wszystko swą siłą, dzwon olbrzymi i potężny - "San Marco."

Głos jego tubalny, huczący, zmieszał się z ogólną aryą dzwonów, napełniając echemi grzmotów, trzęsąc platformą wieżycy.

A jednocześnie Roman i Ola dziwnego doznawali wrażenia. Zdało się im bowiem, jakby ich tutaj nie było już zupełnie.

Nie, oni stanowczo znikli, a znajdował się tu jeno jeden jedyny olbrzymi dźwięk, z którym istnienia wspólne zlały się, złączyły. Głos dzwonu przenikał ich do głębi, szedł aż do dna dusz, grał na fibrach nerwów; trząsał nimi, potężny w swej mocy - wielki...

Ola jeszcze bardziej przytuliła się do męża, jakby szukając obrony przed czemś, czy przed kimś, Dzierżymirski silniej przycisnął ją do siebie. Równocześnie, jakby kierowane wzajemnym odruchem jednomyślnym i uczuciem wzajemnym, twarze ich zbliżyły się i złączyły usta!...

Ostatni z ostatnich promień zachodu zapalił na sekundę jedną gwiazdę na czołach mężczyzny i kobiety, skojarzył się z ich pieśnią i znikł. Słońce zgasło... Roman i Ola jednak nie odrywali ust od pocałunku, a trwali w nim jeszcze...

Jakaś bowiem niewytłumaczona niczem chęć przedłużenia jakby tej chwili ogarnęła Dzierżymirskich.

W zapomnieniu pieśń jestestwa ich drgały uczuciem, a huczący głos dzwonu zdawał się bardziej jeszcze kojarzyć ich ze sobą... Łączył się sam niby z ekstazą ich pocałunku, a usuwając z niego zarazem pierwiastek zmysłów poziomy - wznosił dusze Romana i Oli w nadziemskie gdzieś strefy, uszlachetniał, budził w nich jakieś chęci i pragnienia i przypinał skrzydła do lotu i rozszerzał piersi i kazał się modlić pokornie...

Z ekstazy pierwsza zbudziła się kobieta.

Przybladła nieco, oderwała drobne wargi od ust Romana i szepnęła cichutko: - Chodźmy już!..

- Dobrze, złoto moje, kochanie najmilsze! - odparł pieśmiotliwie Dzierżymirski, i oboje w ślad za tem skierowali się ku wyjściu.

Nic nie mówili teraz do siebie. Zamyśleni, pogrążeni w swój dziwny stan duchowy, zapatrzeni w swe dusze, schodzili powoli, schodzili w dół ciągle.

I stopniowo, nieznacznie, reakcja nastroju wślizgiwać się poczęła w ich dusze, mózgi i serca...

Przy dźwiękach bo oto grającego obecnie nad nimi dzwonu-olbrzymia, jakieś zwątpienia obsiadły nagle ich dusze, a czar, tam, na górze, odczuty - nikał, wewnętrzne zadowolenie i napięcie duchowe słabło!..

Lecz czyż to złudzenie? Wszak głos tegoż samego dzwonu jest teraz jakimś całkiem innym, odrębnym; to nie ten na górze, wysoko!

Tamten, pełen otuchy, dodawał odwagi, wzmacniał. A ten, wstrząsając murami wyniosłej wieżycy, błąka się gdzieś tylko po jej zakamarkach, szczelinach, taki odmienny, ponury, smutny...

I pod jego wpływem, jakby pod działaniem czarodziejskiej siły, w myślach Dzierżymirskich, każdemu z osobna, zaszumiały znowu wyrzuty sumienia.

Jej, Oli, stanęła przed oczami, jak żywa, marsowa twarz ojca, i jego spojrzenie smutne, wyrzutów pełne. Źrenice rodzica wyraźnie przytem zdawały się skarżyć, mówić: Ja cię kochałem, drogie dziecko, a ty tak pogardziłaś mną, zraniłaś tak dotkliwie i boleśnie!

Romanowi zaś tak żywo przypomniała się z przed laty chwila pewna, iż zdziwił się sam niepomnie. Swą ubogą izdebką z przed laty, straszną noc walki ze sobą samym, i zwycięstwo złota ujrzał tu w Campanili-wszystko!..

A dzwon tymczasem huczał coraz bardziej, i przytem coraz jakby sroższy i bezwzględniejszy, surowszy... Dzierżymirscy bezwiednie, w mimowolnej po prostu obawie przed tym głosem karcącym z wysoka, pospieszniej w dół schodzić poczęli.

Cienie wieczorne kładły się już po pustych zakątkach starej, jak świat, wieżycy, mroki tajemnicze pełzały tu swobodnie. Przy dźwiękach dzwonu, który wciąż trząsł jej ścianami, wśród ciemniejącej stopniowo, a zamkniętej w nich pustki, schodziła, spuszczając się coraz szybciej, zniżala się para młodych.

Wreszcie zmierzch szary pochłonał zgrabne postacie, i zapanował bezpodzielnie w Campanili. Jednocześnie o jej mury odbiło się echo ostatniego uderzenia dzwonu, niby ostatnie dla Dzierżymirskich przypomnienie przeszłości...

W ślad za tem uspokoiło się wkrótce wszystko.

Wiekopomna wieżycyca, zasłuchana jakby jeszcze w końcowy zamierający dźwięk dzwonu, przycichła; szarość, smutek i głusza rozsiadły się tu wokoło... W milczącą senną zadumę, we wspomnienia przebrzmiałe, zapadała powoli Campanile.

-----

- Rojno i gwarno było dziś u marszałkowej nieprawdaż? Ha-ha-ha, wiedziałem doskonale, że się stawią wszyscy... Pocziwa jednak ta nasza światowa menażerya.... No, i cóż? Uwierzyli?

Pytanie to, zwrócone do pani Melanii Warnickiej w jej dużym, pięknym salonie, wygłosił, sadowiac się wygodnie na fotelu, Emil Ładyżyński. Był to mężczyzna lat przeszło pięćdziesięciu, wysoki, szczupły, od stóp do głów drobiazgowo wytworny, o wyrazie twarzy szyderyczym, przyrośłym jakby do rysów jego, świeżych i żywych jeszcze, oraz pięknych oczu podłużnych, zielonkawych, z pod pincenez patrzących rozumnie.

- Uwierzyli. To jest, może udali tylko, że wierzą... odpowiedziała marszałkowa rozpartemu z gracyą w krześle gościowi swemu.

- No, c'est tout ce qu'il faut, na razie; teraz damy sobie wielkiego i dystyngowanego nura n'est ce pas?.. A niech tam wszyscy myślą sobie, co im się żywnie podoba!- zawyrokował tenże głosem stanowczym.

- C'est ce qui me tranquillise, iż zamknęłam zupełnie dziś już rachunki z towarzystwem tutejszem - odparła z westchnieniem ulgi pani Melania.

Rozmowa potoczyła się dalej; treścią jej był przebieg dzisiejszego, a ostatniego czwartkowego przyjęcia u Marszałkowej.

Zniknięcie Oli, choć trzymane pilnie w tajemnicy, jak to zwykle bywa w takich razach, nagle, pewnego poranku przedostało się niewiadomo przez kogo, jak i kiedy, do miasta, a wieść ta, podawana z początku ostrożnie, cicho i pod wielkim sekretem, wkrótce była już na wszystkich ustach, komentowana, przeinaczona, a plotką i skrzydlatym ptakiem obmowy obleciała niebawem wszystkie niemal salony towarzyskiego świata w mieście. Pomimo to, nikt nie wiedział nic jeszcze dokładnie. Zaalarmowany pierwszy Ładyżyński, który, jako przyjaciel domu Gowartowskich, a zarazem bywający wszędzie światowiec, osaczonym był ciągle pytaniami, odbył dni temu parę istną sessyjną konferencyę z marszałkową: Co czynić, by ocalić pozory?.. I wówczas to postanowiono, co następuje:

Puścić natychmiast w świat niejasną pogłoskę o ślubie Oli z Dzierżymirskim, i opowiedzieć wyjazd marszałkowej, która, postanowiwszy już poprzednio przenieść się całkiem na wieś, teraz, po naradzie z Ładyżyńskim, zgadzała się tę chwilę odjazdu swego przyspieszyć. Za parę dni właśnie przypadła czwartek, jour fixe pani Melanii; łatwo było przewidzieć, iż towarzystwo całe, wobec rozsiewanych zręcznie półsłówki o wielkiej powyższej nowinie, nie omieszka, przywiedzione ciekawością i chęcią pożegnania czcigodnej matrony, zawitać na jej salony...

- Wówczas to wszystkim i każdemu z osobna damy do spożycia następującą pigułkę! - zdecydował wesoło na owej konferencyi pan Emil:

- Powiemy, że Ola i Dzierżymirski są już po ślubie, uznanym przez rodzinę najbliższą i przez nią urządzonym, lecz cichym i bez rozgłosu, a to na własne i wyraźne żądanie państwa młodych...

- Co się zaś tyczy dotychczasowej o tem wszystkim tajemnicy, wytłumaczymy ją tem, iż dzisiejsi państwo Dzierżymirscy kochali się w sobie na zabój od dawna, od lat, przypuścmy, ośmiu... że ojciec srogi nie chciał o związku tym słyszeć nawet, iż zmiękczone wreszcie zgodził się nań... Pani marszałkowa nie była na ślubie, no... bo jest słabego zdrowia,

January zaś, w ostatniej chwili, gdy jechał na kolej, zachorował... Państwo młodzi obecnie bawią zagranicą. Gdzie? - nie wiemy. Pour dérouter - powiemy na przykład, że w Szwecyi... Całą tę historyjkę, pani marszałkowa na przyjęciu u siebie, a ja u innych, tegoż samego dnia i w tychże godzinach ukolorujemy jeszcze należycie kilkoma pseudo-autentycznymi szczegółami, no... et il faut espérer, że nam chyba uwierzą!..

Tak ostatecznie uradził Ładyżyński, a do ultimatum owego, uznawszy jego słusność, marszałkowa Warnicka zastosowała się ściśle przez cały dzień dzisiejszego czwartkowego u siebie przyjęcia. Obecnie zaś w dalszym ciągu informowała przybyłego swego współnika o wywiązaniu się z zadania i roli własnych, opowiadając mu zarazem, jak wiele dnia tego odwiedziło ją osób ze świata, do tego stopnia licznych, iż chwilami w ogromnym jej salonie brakło po prostu dla nich miejsca.

- Każdy niemal po banalnym wstępie grzecznostek, pytał mnie o Ołę, nie przeoczył tego nikt - mówiła pani Melania, kończąc opowiadanie swoje - aż w duchu sama śmiałam się z tego...

- Więc któż był? któż był? - pytał ciekawie Ładyżyński.

- Wszyscy, powiadam panu, towarzystwo całe, nie zawiódł nikt - opowiadała dalej marszałkowa - szli wielcy i mali, sympatyczni i niemili, oraz nawet, którym się zdaje, że obecnością swoją czynią mi łaskę najwyższą, raz na rok zaledwie bywając u mnie... i lekceważąco na pozór przy tych wyrazach pani Melania machnęła ręką...

Pan Emil zaś słuchał i nieznacznie uśmiechał się pod wąsem, znał bowiem dobrze słabą stronę staruszki, którą gniewało zawsze, gdy ktoś ze „świata," mieszkający stale w mieście, omijał jej dom w wizytach.

- Par exemple... - odezwał się - ręczyłbym, że księżna Marya i hrabiowie Doliwscy...

- Oh! pas seulement, oni naturalnie, ale i książę Jerzy, hrabia Alfred, księstwo Staniccy, hrabina Manfredowa z córką i jej narzeczonym... Vous savez, ona wychodzi za tego księcia Ryszarda S. z Poznańskiego... A także Otoccy, Daworowscy, Igelhausenowie... już nie pamiętam wszystkich nawet... kończyła pani Melania, zadowolona w duszy z szumnej nomenklatury.

- Oh! mais, sapristi, c'est la fine fleur, śmietaneczka ze śmietanki naszej... Powinszować marszałkowej, powinszować... - rzekł z lekka drwiąco pan Emil. -L'essentiel - ciągnął dalej, - że wszyscy, jak przewidywałem, połknęli przygotowaną przez nas wiadomość.

- Wszyscy, bez wyjątku; robiłam przecież, co tylko mogłam - potwierdziła pani Melania.

- A więc n... i-ni-c'est fini; nie pokażemy się my im tu tak prędko na oczy; by sprawdzić to, co posłyszeli, Dzierżymirskich również mieć nie będą, a zresztą - pan Emil niedbale poruszył ręką - tout passe, tout casse, tout lasse... Niebawem wszyscy zawieszą sobie nowe sitko na kołek i... zapomną. Ainsi va le monde - dokończył, i wyjmując srebrną z monogramem papierośnicę, ujął w palce delikatnej swej ręki cienki papieros, uprzejmie pytając zarazem pani domu: - Vous permettez?..

Marszałkowa, z uśmiechem, przyzwalając kiwnęła głową. Ładyżyński zapalił, i wypuściwszy z ust mały obłoczek dymu, pogładził wytwornym ruchem ręki swe siwiejące już nieco, a starannie wyczesane, bokobrody.

- Ja także, według programu, nie próżnowałem, - odezwał się po chwili swobodnym tonem. - Wyszedłszy stąd temu godzin parę, byłem na jour fixe u Leliwów, hr. Dezydery Otocckiej, u księstwa Pilanich... Zastałem tam wiele bardzo osób i wszędzie opowiadałem, naturalnie en long et en large la nouvelle du jour, co należy, o Romanie i Oli - bref, Januarek powinien być kontent ze mnie: wykryłem, jak, co i dokąd wyfrunęła mu jedynaczka, teraz znów my z panią marszałkową tuszujemy za młodą parą ślady, z kunsztem prawdziwie artystycznym...

- Że też pan wszystko z wesołej tylko strony bierze - nieco smutnie i pobłaźliwie jakby uśmiechnęła się pani Melania.

- Que voulez vous, pani marszałkowo, świat pełen dramatów i tragedj w teatrze i w życiu, że cóżby wartem było ono, gdybyśmy się czasem starali przynajmniej komizmu choć trochę zeń wycisnąć - odparł pan Emil, poczem zaś dodał: - Więc pani marszałkowa jutro na Podole, do Ulanówki?

- Tak - potwierdziła pani Melania - do siebie jadę na dni kilka, potem zaś natychmiast do Januarego, a pan wyjeżdża?.. Il faudrait.

- Comme de raison, prawdopodobnie do Szwajcaryi, na sześć tygodni... Ale, a propos, cóż January?..

- Niespokojną jestem o niego - odpowiedziała marszałkowa - jak panu wiadomo, bawił tu u mnie tylko dzień jeden; nazajutrz po otrzymaniu smutnej wiadomości odjechał, pożegnawszy się ze mną, notabene, bardzo chłodno, i odtąd żadnej odeń z Gowartowa nie mam wiadomości. Może chory...

- Eee! cóż znowu!.. - okrzyknął się Ładyżyński - pani marszałkowa niech będzie spokojną, poluje sobie na kaczkę, i jedynaczkę swą wydziedzicza. Dobrze robi zresztą, bardzo dobrze... Wydziedziczać młodych! Niech nie lekceważą woli starszego pokolenia!.. Wydziedziczać!.. dokończył pan Emil z patosem, i powstawszy z fotelu, jednocześnie z panią Melanią żegnać się począł.

- Uciekam już, bo mam jeszcze parę wizyt, ale... Ładyżyński urwał - Wszak pani marszałkowa jedzie jutro dopiero o 3-iej, nieprawdaż? - mówił, całując z wdziękiem rękę staruszki - nie żegnam się więc, będę na dworcu, może wypadnie coś ułatwić, dopomóc...

- Dziękuję panu, dziękuję bardzo - odparła z uśmiechem pani Warnicka - do miłego zobaczenia się. .

Pan Emil, z cylindrem w ręku, ukłonił się u drzwi raz jeszcze, poczem jego elegancka, opięta w tużurek, zgrabna sylweta

zniknęła za portyera salonu.

Znalazłszy się zaś przed domem, na ulicy, Ładyżyński wskoczył pośpiesznie do oczekującej nań dorożki na gumach, i rzuciwszy niedbale adres, kazał się wieźć dalej.

Już na ulicach i w magazynach jaśniały rześście światła, gdy w dwie godziny później wysiadał z tegoż pojazdu przed piękną kamienicą w śródmieściu, a odprawivszy swój kawalerski ekwipaż, skierował się w bramę czteropiętrowego domu, gdzie na pierwszym piętrze zajmował eleganckie, z trzech pokoi, mieszkanie.

Mały, zwinny chłopczyna, ubrany w liberyjnę, ze złotymi guziczkami, granatową kurtkę, przekomarzał się właśnie na dziedzińcu, z którąś chichoczącą młodszą, gdy pan jego zjawił się nagle w bramie, a ujrawszy śmiejącą się dwójkę, pogroził jej laską, z uśmiechem. Służąca zaśmiała się zalotnie i głośno, lokajczyk zaś pędem porwał się z miejsca i poleciał na górę, w parę minut później, z pokorną miną, otwierając drzwi Ładyżyńskiemu.

- Ej, malutki!.. pogroził mu znów palcem pan Emil, poczem, zdjawszy paltot, zapytał: - Był tu kto?

- Owszem, proszę jaśnie pana, oto bilety odparł chłopak pośpiesznie, podając małą tackę ze stołu.

Pan Emil obojętnie przerzucił kilka biletów.

- Aaa!.. zadziwił się głośno przy jednym z nich, poczem odłożył wszystko na bok.

- Frak od krawca przynieśli? - zapytał jeszcze - wyprasowany?

- W sypialni u jaśnie pana powiesiłem - objaśnił mały lokajczyk.

- Dobrze. Siedz tu, smyku, i nie łobuzuj się!.. rzekł Ładyżyński, a minawszy przedpokój, zatrzasnął za sobą drzwi od gabinetu, prowadzącego do sypialni i ubieralni, gwizdząc jednocześnie pod nosem aryę z modnej podówczas operetkowej premiery.

Jako szanujący się kawaler, pan Emil, stale żadnego wieczoru nie przepędzał u siebie w domu. Dziś zatem również wybierał się na raut artystyczno-wokalno-literacki, punktualnie rozpoczynający się już o dziesiątej.

Dziewięta właśnie biła na kilku zegarach w mieszkaniu, pan Emil więc, znalazłszy się w gustownie umeblowanej sypialni, przystąpił natychmiast do toalety swej wieczorowej.

W tym celu wygodnie zasiadł na foteliku przed małą gotowalnią, przepelnioną wytwornymi, w srebrnych pudełkach i przykrywkach, przyborami toaletowymi.

Gdy tak stoliczny bywalec drobiazgowo i systematycznie stroił się na raut, marszałkowa, po wyjściu ostatnich, zapóźnionych, gości, przykazawszy pogasić światła, odpoczywała na kanapce znużona, po dniu tak pełnym dla niej zmęczenia i wysiłków. Oparłszy głowę o poduszki mebla, pani Melania, położyła się, i wyciągnawszy wygodnie swe członki, przymknęła powieki, stan zaś błogi nie krępowanego niczem spoczynku owładnął ją bezpodzielnie.

Jak szum niknący, daleki, w uszach jej tylko brzmiał jeszcze gwar prowadzonych do niedawna rozmów, dolatywały urywki z dali, a przed oczyma majaczyły, zmieniając się kolejno, postacie, zaludniające w ciągu kilku godzin jej salony...

Ponownie zatem widziała przed sobą staruszka w sąsiednim pokoju tłum elegancki, rozbawiony...

Mile pieścił on wzrok wytwornym wdziękiem kobiecych toalet, szeleszczących łagodnie, a zgoła nie krzyczących barwą i gustownych - nęcił powabem na jedną modłę elegancko skrojonych ubiorów męskich, pławił się cały w estetyce ogólnej manier, ukłonów, w szablonie światowej salonowej komedii, a poprawny - nie raził niczem harmonii, w całości swej nie wywołując również wcale fałszywo brzmiących zgrzytów. I uśmiech pół gorzki, pół smutny, w zamyśleniu okolił wąskie usta marszałkowej Warnickiej.

Jak nicości pełnem bowiem wydało jej się teraz, w oświetleniu dzisiejszej złośliwej ciekawości, to całe towarzyskie stado, kryjące swą przewrotność pod blichтром i szychem zewnętrznych pozorów, jak mało godnem żalu i marnem!

Ach, bo ileż schowanej zręcznie złości, tłumionych chęci sponiewierania rodziny jej i Oli, jej samej, ile wreszcie jadowitego fałszu kryło się w duszach tych wszystkich oto dzisiejszych jej światowych pseudo-przyjaciół i gości!..

Marszałkowa czyniła dalej w myśli przegląd galeryi osobników, widzianych na dzisiejszem przyjęciu; we wspomnieniu ich słów, wyrazów twarzy i gestów powtórnie czytała, zda się, ukryte myśli przybyłych; moralnie obnażała ich wszystkich, starając się zarazem znaleźć, przypomnieć choć jeden kwiatek prawdziwie przyjaznego uczucia, wykwitły wśród tych chwastów obłudy!..

Nie znalazła nic podobnego jednak. Były tam tylko same śmiecie.

Pani Melania, dumając w ten sposób, miała oczy wciąż przymknięte, niebawem znużenie wzięło górę nad jej myślami, głowa staruszki pochyliła się na piersi, cichy mrok wieczoru otulił postać marszałkowej. Zdrzemnęła się.

W kwadrans może później, w milczeniu wypoczywających po najściu gości apartamentów, rozległ się; silny odgłos dzwonka... Staruszka rzuciła się z lekka na kanapie, a otworzywszy swe rozumne szare oczy, poczęła wsłuchiwać się w mącą ciszę odgłos.

W drzwiach buduaru po chwili stanął lokaj i zaanonsował:

- Pan plenipotent z Gowartowa; mówi, że chciałby koniecznie widzieć się z jaśnie panią.

- Proś, proś natychmiast tutaj! - rzekła żywa marszałkowa i równocześnie powstała z kanapki. Lokaj wyszedł.

Zadowolenie, połączone z ciekawością osiadło na twarzy staruszki.

Bolesław Krasnostawski, syn szkolnego kolegi nieboszczyka marszałka, a zaprotegowany ongi przez nią samą na zajmowaną dotąd posadę ogólnego i głównego zarządcy dóbr pana Januarego, nareszcie więc przynosił jej wiadomość o bracie!..

Młodzieniec, lat dwudziestu ośmiu, ciemny brunet, ogorzały i przystojny, z dziarsko do góry podkreśnionym wąsem, stanął na progu.

- Sługa pani marszałkowej, moje uszanowanie - przemówił swobodnie, i podbiegłszy, ucałował z szacunkiem rękę staruszki.

Ubrany był niewykwintnie, ale starannie i czysto, ruchy zaś jego, oraz sposób mówienia, zdradzały człowieka, choć nie obytego może zupełnie z wytworniejszym towarzystwem, lecz dobrze wychowanego.

- Kochany mój panie Bolesławie, - zaczęła staruszka, zwracając się dobrotliwie ku przybyłemu - siadaj, proszę, i mów, mów jak najprędzej, co słyhać?..

Młody człowiek, widząc zaniepokojenie w oczach matrony, wyrzekł pośpiesznie:

- O, nic złego... zupełnie nic złego, pani marszałkowo, ale... i nic również dobrego - dokończył wahająco i ostrożnie.

- Jak to?.. -- zapytała pani Melania. Krasnostawski oczy spuścił, i ukrywając je po za swemi, jak u kobiety, długimi rzęsami, mówić czuł z wolna:

- Pani marszałkowej wiadomo, zarówno jak i mnie, co za cios dotknął pana Gowartowskiego, z powodu panny Oli...

- Więc pan już wiesz?.. Skąd? - z okrzykiem niepohamowanego zdziwienia, wyrwało się staruszce, pytanie.

Coś niemiłego snać dla ucha młodzieńca zabrzmiało nagle w tych kilku słowach, bo nie podnosząc oczu, jakby nie chcąc oneśmielać marszałkowej swym wzrokiem, spokojnie i poważnie odrzekł:

- Wiem wszystko, bo mi pan January, nie mając nikogo, zwierzył się z troski własnej, naturalnie pod słowem honoru z mojej strony, że słówkiem nawet o tem nikomu nie wspomnę...

Krasnostawski zatrzymał się chwilę, i ciągnął dalej:

- Obowiązki, jakie mam dla całej rodziny państwa, szacunek i poważanie me osobiste względem pana Gowartowskiego, stanowią, chyba dość trwałą rękojmię, iż słowa dotrzymam... I... o tem... nikt z państwa, przypuszczam, nie wątpi... - dokończył młody człowiek, podnosząc tym razem wzrok, jasny i pytający na marszałkową.

- Ależ naturalnie, panie Bolesławie, naturalnie! - skwapliwie pośpieszyła z odpowiedzią staruszka. - Lecz mówże mi pan, co się tam w Gowartowie tak niedobrego dzieje? - zapytała niespokojnie.

- To, pani marszałkowo, że z panem Gowartowskim jest źle... - i Krasnostawski, spuściwszy znów wzrok, ciągnął dalej:

- Pannę Olę, jak pani marszałkowej wiadomo, ojciec kochał bardzo, prawie, że bałwochwalczo; otóż skutki wypadków ostatnich bardzo, bardzo silnie odbiły się na nim. Nic go już prawie teraz nie zajmuje, ani gospodarstwo, ni wieś, ni inne zajęcia, do sąsiadów nie jeździ, u siebie nikogo nie przyjmuje - słowem obecnie z niego zupełnie inny człowiek...

Krasnostawski przerwał opowiadanie, jakby namyślając się, co mówić dalej. Staruszka, w zadumie, ze wzrokiem na dół spuszczoneym, milczała.

Po chwili wahająco ciągnął dalej:

- Wobec tego samotność dla pana Gowartowskiego jest wprost zabójczą, koniecznie potrzebuje on nieustającego towarzystwa, jednym słowem - potrzebuje obok siebie przyjaciela.

Krasnostawski ponownie zatrzymał się na sekundę.

- Moja osoba nie wystarczy - mówił dalej - zajęcia liczne, mieszkanie nie w samym Gowartowie, lecz gdzie indziej, stanowisko wreszcie moje... tu po twarzy młodego człowieka przemknął lekki cień - wszystko składa się na to, iż pan Gowartowski, choć zawsze dla mnie tak samo łaskaw, jest obecnie moralnie bezustannie - sam...

Z pod oka, przelotnie, spojrział Krasnostawski na marszałkową. Z misją nader delikatną i przykrą przybył on tutaj; w kieszeni surduta palił go własnoręczny list pana Januarego, w którym ten ostatni, żywiący jeszcze do siostry bardzo głęboką urazę za spełnione wypadki, pomimo wszystko, w głębi duszy posądzający nawet staruszkę, iż była, może w tajnej zmowie z jego córką - delikatnie, lecz stanowczo, odmawiał jej gościnności u siebie, wobec zapowiedzianego przez nią przyjazdu do Gowartowa.

Krasnostawski o zawartości listu wiedział, w chwili żalu bowiem Gowartowski wypowiedział mu wszystko, ba, polecił jemu nawet, jako protegowanemu i lubianemu przez marszałkową, napomknąć jej o tem przed wręczeniem listu.

Przerwawszy na chwilę opowiadanie, Krasnostawski ostatecznie zastanawiał się właśnie, czy poruszyć w rozmowie, lub nie, temat drażliwy. Postanowił jednak nie czynić tego wcale, a natomiast, czując, że na ustach domyślającej się już czegoś: marszałkowej, zawisa jakby jakieś pytanie, by powstrzymać je, odezwał się pośpiesznie:

- I dlatego, pani marszałkowo, polecił mi pan January, łącznie z innymi interesami, powołującymi mnie tutaj, zaprosić do Gowartowa na czas dłuższy pana Ładyżyńskiego, jego bowiem obecności tylko pragnie, jako prawdziwego swego przyjaciela... Muszę zatem być dzisiaj u niego w tej sprawie, nie wiem jednak, gdzie mieszka... Adres pana Ładyżyńskiego niewątpliwie znanym jest pani marszałkowej?..

Słowa powyższe i pytanie ostatnie zabrzmiały w ustach młodzieńca pomimo woli zimniej nieco. Nerwami uczuł chłód jakby w zachowaniu się staruszki, milczącej wciąż od chwili, gdy jej powiedział, iż: wie o wszystkim. Gniewało go to spostrzeżenie i raniło dotkliwie dumę jego.

Wypowiedziana głosem miarowym, a wskazująca ulicę i numer domu, zamieszkałego przez pana Emila, zabrzmiała odpowiedź marszałkowej.

Krasnostawski zerwał się natychmiast i rzekł szybko:

- Dziękuję stokrotnie pani marszałkowej...

Z udaną zaś swobodą, powodowany silnem życzeniem wycofania się stąd co prędzej, ciągnął żywo dalej:

- Nie zajmuję już więcej czasu pani marszałkowej, zapomniałem zupełnie, wszak to dzisiaj czwartek, dzień przyjęć - uciekam...

- Ach, tak... - z uśmiechem protekcyjnym nieco rzekła sędziwa matrona. - Ale już po wszystkim, wszak wieczór nadchodzi...

- Tak... tak, prawda, zapomniałem - bąknął Krasnostawski, sięgając jednocześnie ręką do kieszeni. - Przepraszam najmocniej panią marszałkową dobrodziejkę, cóż za roztrzepaniec ze mnie, doprawdy! Byłbym zapomniał... Mam list od pana Gowartowskiego, służę pani marszałkowej.

Pani Warnicka schwyciła list, Krasnostawski jednak równocześnie pochylił się do ręki jej, w ukłonie.

- Do widzenia, mój panie Bolesławie, do widzenia! - z roztargnieniem pożegnała go staruszka, podając mu rękę do ucałowania, poczem zaś gorączkowo rozerwała kopertę.

Młody człowiek już był na progu, ale, spojrzawszy z pod oka na marszałkową, zdążył być jeszcze dojrzyć na jej twarzy rumieniec oburzenia, zakwitły tam, po przeczytaniu pierwszych kilku wierszy. Dostrzegłszy to, młody plenipotent, jak szczupak w wodę, rzucił się całym ciałem w ciemności sąsiedniego salonu, pobiegłszy zaś na palcach do przedpokoju, chwycił paltot swój i umknął z mieszkania. Na schodach dopiero odetchnął.

- Uf! wyrwałem się wreszcie... - szepnął. - Ładniebym się ubrał, gdyby tak przy mnie list czytała!..

W ślad zatem wypadł na miasto, a mijając ulice jednocześnie pograżał się w myślach.

Wywołana wspomnieniem apartamentów marszałkowej, stanęła mu nagle przed oczyma powabna sylwetka Oli, zamajaczyło jej głębokie i zalotne spojrzenie, którym, jak wielu innych zresztą, witała i jego, gdy przypadek łączył ich kiedy na chwilę.

Krasnostawski od kilku już lat znał córkę pana Januarego; etykietalne utrzymując stosunki z pałacem Gowartowskim na wsi, widywał ją rzadko, najczęściej z daleka, na spacerze, w kościele, lub przelotnie w powozie - kilka razy u marszałkowej w mieście. Podobała mu się piękna panna, bo komuż zresztą nie potrafiła ona się przypodobać, pełna wdzięku, uprzejma i zalotna?.. Przedstawiała poza tem typ kobiecy Krasnostawskiego... Nie kochał się w niej jednak bynajmniej, za trzeźwym był na to; choć z upokorzeniem dumy własnej, stanowisko swe podrzędne oceniać potrafił, a jednak...

Żdziwiony analizą duszy własnej, przyznać się sam przed sobą musiał, że wieść o ucieczce i ślubie Oli zaboląła go, a raczej, bezpodstawnie na pozór, po prostu rozgniewała.

Rozmyślając w ten sposób, Krasnostawski wszedł do kamienicy, wskazanej przez marszałkową. Za parę chwil znalazł się już na pierwszym piętrze, ledwie jednak zadzwonił u drzwi apartamentów Ładyżyńskiego, w ramie ich, natychmiast prawie, w cylindrze i paltocie, ukazał się pan Emil, jak zwykle uśmiechnięty ironicznie i z pogodą na czole.

- A!.. pan Bolesław, herbu Rawita, powitać, prawico Januarego de Gowartów-Gowartowskiego, powitać!.. - i uściśnął serdecznie wyciągniętą rękę młodzieńca.

- Przepraszam, że nie proszę pana kochanego do siebie, lecz postacią swoją do odejścia gotową wypędzam go raczej, lecz powody ważne... - tu pan Emil uczynił obydwoma rękami ruch półokrągły, - skłaniają mnie do tego! - dokończył, i mówiąc to, elegancko zamknął drzwi przed nosem Krasnostawskiemu, a uśmiechnąwszy się pod wąsem ciągnął dalej wesoło, poufale wsunąwszy zarazem rękę pod ramię Krasnostawskiego.

- Nie gniewasz się na mnie, kochany panie Bolesławie, wszak prawda?.. Spieszę na raut; no, mówże tam, co słyhać?.. Kochany Januarek cóż tam porabia, poluje; weseli się, czy smuci?

Krasnostawski już chciał wypowiedzieć, z czem przyszedł, gdy Ładyżyński znowu odezwał się żartobliwie:

- Ale, zaiste, pysznie pan wyglądasz, jak rydz w maśle, powinszować! Nadobne grodu naszego mieszkanki lgnąć będą do pana, jak pszczołki do miodu! Słyszałem o pańskich sprawkach za studenckich czasów, za młodu! - tu poklepał z lekka młodzieńca poufale po plecach - słyszałem - powtórzył - nie będę więc wzajemnie nudził pana swoją osobą, opowiesz mi pan en rçgle, lecz szybko, co cię do mnie sprowadza, a posiedzenie to odbędziemy w dorożce. Podwożę pana... Zgoda?

- Ależ i owszem, dziękuję bardzo! - odparł Krasnostawski, z pośpiechem.

Znajdowali się już na ulicy, pan Emil skinął na stangreta parokonnej dorożki, rzucił adres, i pojechali.

Ruchem codziennym wrzało wkoło nich strojne wesołe miasto:

- Słucham pana - rzekł Ładyżyński.

Młody człowiek w krótkich słowach opowiedział mu o niepomyślnym stanie zdrowia i moralnego usposobienia pana Januarego, zamilczawszy zaś tylko o liście do marszałkowej, zakomunikował zaproszenie do Gowartowa.

Skrzywił się lekko przy ostatnich słowach pan Emil i odrzekł:

- Zapewne, zapewne, bardzo bym rad pocieszyć drogiego Januarka, ale właśnie wyjeżdżam za granicę i przyznać muszę, że na razie wybrał on się z zaproszeniem wcale nie na czasie! No, zobaczymy zresztą... Co pan wiesz, - tu spojrzął uważnie na Krasnostawskiego - o pani Oli i Dzierżymirskim?..

Zapytanie to postawionem było bardzo zręcznie mówiło nic, a pytało wiele. Krasnostawski natychmiast poinformował krótko i zwięźle pana Emila, iż wiadomem mu jest wszystko.

- Aaa!.. - wyrwało się tylko z ust Ładyżyńskiego, i dodał ironicznie:

- No, to w takim razie wiesz pan nie tylko o płaszczu gronostajowym przywiązania dziecinnego, szalonej miłości młodzieńczej, weselu pod niebem Italii, et caetera i t. d. ale i o odzieży codziennej, ukrytej przez nas starannie przed plotką, jedną - purpurą drugiej; zatem wobec tego, możemy mówić szczerze...

- Widzi pan - tu Ładyżyński spojrzął znów na Krasnostawskiego, jakby pragnąc się przekonać, czy warto wynętrzać się przed nim - ta cała rozpacz „górną chmurna” Januarka, ta dobrowolna wiwisekcyja przywiązania do córki i ów od początku do końca poemat „zbołałego ojcowskiego serca” - bref ten wielki w duszy jego ostatnimi czasy fajerwerk romantyzmu... entre nous soit dit - jest tylko od początku do końca jednym nonsensem. Czy nie miała racyi?

Krasnostawski milczał.

- Pieścili dziewczynę - ciągnął w tym samym tonie Ładyżyński - upodobała sobie Dzierżymirskiego - wara! Tego, owego - odmówili... To trudno, panie, kobiety także mają serca i temperament... Zachciało się Oli ładnego chłopca - nie dali jej go - wzięła go sobie sama, a raczej wziąć się pozwoliła... Niech Januarek lepiej dziękuje i śpiewa Hosannę na wysokościach, że bez plebana się nie obeszło! Lub niechże nawet gniewa się, i wydziedziczy córunię, lecz nie lamentuje, bo to i nie po męsku, i wcale nie ma sensu! Dixi. To moje zdanie. Cóż na to pan, panie Bolesławie, herbu Rawita?..

Krasnostawski zzymnął się niecierpliwie; denerwował go zwykle ton rozmowy Ładyżyńskiego, dziś jeszcze bardziej rozgniewał go przycinek "herbu Rawita", będący widoczną alluzją do używanych niegdyś przez niego biletów wizytowych: Rawita-Krasnowstawski. .

Podrażniony zatem, siłąc się na spokój, odparł zimno:

- Przepraszam, ale całkiem inaczej i zupełnie przeciwnie zapatruję się na tę sprawę, oraz rozumiem doskonale pana Januarego.

- Ha-ha-ha-! nie masz pan za co przeproszać, wiedziałem tylko, że i z kochanego pana także romantyk; w takim razie w korcu maku dobraliście się razem z Januarem... Wobec tego, ja w Gowartowie zgoła potrzebny nie jestem, doskonale się tam obadwa rozumiecie...

- Ale, cóż znowu! - przerwał żywo Krasnostawski, bojąc się, czy czasem mimo woli nieostrożnem słowem nie zepsuł danego sobie polecenia. - Mogę być tych samych zapatrywań na tę sprawę, co i pan Gowartowski i odczuwać jego charakter, lecz przecież w żadnym razie nie potrafię zastąpić szanownego pana, który jest tak dobrym jego przyjacielem...

- No tak, tak..., - urwał z kolei pan Emil - "Wszystko ginie bez litości, nic stałego na tej ziemi, prócz przyjaźni i miłości;" to wszystko nader pięknie brzmi i wygląda, lecz mego zdania, ja osobiście nawet dla przyjaźni zmieniać, niestety, nie uważam za stosowne. Czy zaś ono Januarcowi się spodoba - grubo wątpię..

Dorożka w tej samej chwili zatrzymała się.

- No, kochany mój panie Bolesławie, addio!.. - odezwał się protekcyjnym nieco tonem Ładyżyński podając Krasnostawskiemu rękę.

- Zakomunikuj pan z łaski swojej mój sposób widzenia rzeczy panu na Gowartowie, a jeśli potem jeszcze znać mnie będzie chciał - niechże mi napisze, a może przyjadę...

Wysiedli obaj. Pan Emil uchylił cylindra i skierował się ku bramie, na progu zaś jej rzucił jeszcze młodemu człowiekowi, tym razem jednak przyjaźniej nieco:

- A trzymaj się tam pan dzielnie, ba płeć nadobna ma tu na wieśniaków wilczy apetyt!.. Au revoir...

Ładyżyński znikł, Krasnostawski pozostał sam ulicy. Rozejrzył się...

Był w jednym z najruchliwszych punktów miasta; wieczór już rozpoczynał swe panowanie, nadchodziła noc, wielki gród żarzył się setkami świateł; środkiem ulicy pędziły pojazdy, po chodnikach szerokich zwartą gromadą wymijał go pośpiesznie tłum ludzi.

Piękne, zgrabne mieszczańki prawie że ocierały się o niego, rzucając co chwila zalotne spojrzenia na ładnego chłopca. Niewiele jednak z nich szło samych, większość miała już przy sobie czujących się towarzyszy, szepczących im z uśmiechem słodkie słówka.

Pod wpływem ostatniej uwagi pana Emila, Krasnostawski mimo woli przejrzał się uważniej w witrynie jednego z okazalszych magazynów, a zadowolony z przeglądu własnej osoby, spojrzał wesoło przed siebie. Jakieś puste pragnienie zabawienia się, oszołomienia, podobnie tym wszystkim, snującym się parom, owaładnęło nim.

Przekształcony okolicznościami życia w wieśniaka mieszczech przypomniał sobie naraz lata dawne, studenckie, pełne niefrasobliwego jutra i wesołych kawałów, a choć przeplatane często biedą i głodem, bogate jednak w miłość i swobodę!

Bawiąc przelotnie w murach miasta, którego każdy zaułek znał na pamięć, a mijających go mieszkańców, szczególnie kobiety, jednym rzutem oka nieomylnie segregował, jak znawca, - zapragnął nagle Krasnostawski napić się koniecznie z musującego uciech miłosnych kielicha.

I mimo woli młody człowiek począł uważniej przyglądać się kobietom. Ubrane „szykownie”, cienkie w talii, wysmukłe i zgrabne, mijaly go one, śmiejące się i wesołe, uprawiając z zamiłowaniem flirt uliczny, skrzący się miejscowym brukowym dowcipem, czujne jednak poza nim na każde spojrzenie przystojniejszego mężczyzny, odwzajemniające mu się zalotnym źrenic błysnięciem - "oczkiem" i obiecującym nieraz wiele uśmiechem.

A rozmaitość dzisiaj była wielka. Wieczór przedświąteczny, pogodny, lwią część właścielek nadobnych twarzyczek wywabił na pierwszorzędne ulice - na wspólną arenę letniego jakby "demisalonu" pewnych, a szerokich warstw miasta. Brunetki zatem, śniade, czarnobrewne, blondynki, powiewne - białe, szatynki, o ruchach omdlewających, a wszystkie prawie ubrane elegancko i z pewnym, właściwym tylko Polce naszej, gustem, wystrojone, żwawe - sunęły przed zachwyconym wzrokiem wieśniaka.

I od tego rozpedzonego, barwnego, poruszanego jakby tajną jakąś sprężyną tłumu, bił na Krasnostawskiego świeży, bo odzwyczajeniem dłuższym starty, urok; nozdrza grać mu poczęły, wchłaniał w siebie niewyraźny, niepochwytany powiew, sunący jakby ponad głowami publiczności, gorętszym okiem patrzył w twarz kobietom, swawolnie i niechcący, na pozór, zaglądał im prosto w oczy...

Co zaś przeważnie czytał w owych czarnych, szarawych, fijołkowych i modrych oczach, z natury już swej, zalotnych, bynajmniej nie zrażało go do tej; czynności.

- Pójdź, pójdź, nie zrażaj się pozornie skromną minką, bądź odważnym, śmiałym, a może... może... - szeptały, zda się, cicho wejrzenia nieśmiało, gorejąc ogniem, nieprzeparcie ciągnąc ku sobie; daleko więcej jeszcze mówiły spojrzenia inne, a wszystkie razem, wyzywane śmiałym wzrokiem mężczyzny, całować go jakby się zdawały, obiecując miłość-pieszczotę!...

Ruchliwą falą w pewnych godzinach przelewający się przez ulice miasta, a obejmujący sobą oddzielną warstwę wracających z zajęcia pracownic różnej kategorii, na wylot znany Krasnostawskiemu, roił się dalej przed oczyma jego kobieco-dziewczęcy świątek, i coraz bardziej liczny, barwniejszy - obejmował go swym ruchomym uściskiem. I młody człowiek, ulegając stopniowo nastrojowi chwili, wspomnieniom dawnym, a związanym ściśle z tymże samym światkiem, zapomniał o wszystkim.

Znikły mu z pamięci Gowartów, pan January, marszałkowa, Ładyżyński, Ola, a odżył w nim tylko dawny łobuz i bałamut, żądny swawoli i użycia.

Z szelestem spódniczek, zgrabnie ujętych małą rączką, a odkrywających modelowaną ślicznie, zgrabnie obutą, w ażurowej pończosze, nóżkę, otarła się prawie o Krasnostawskiego wysoka dziewczyna, smukła, jak gazella, czarnowłosa, i rzuciła młodzieńcowi przelotne spojrzenie. Spotkawszy wzrok jego, palący, śmiały, rzuciła mu takie same drugie, uważniejsze jednak, gorętsze. Z dwojga par młodych oczu posypały się iskry, a panu Bolesławowi stanęło w tej chwili w mózgu, nieodwołalne ultimatum: Ta, lub żadna!

Puścił się w pogoń za piękną dziewczyną. Dogał ją niebawem, zajrzał w oczy raz, drugi, trzeci, i począł iść w ślad za nią. Przy zbiegu jednak ulic kilku, dziewczę skręciło nagle w bok i znikło w bramie domu.

Zawiedziony i zły, Krasnostawski obrócił się na pięcie, a włożywszy rękę w kieszenie od palta, z humorem przystanął. W oddali zachęcająco zieleńiał ogród śródmiejski, jakby zapraszając gościnnie.

Młodzieniec skierował się w tę stronę, i w dziesięć minut potem wchodził już w bramę ogrodu.

O tej wieczornej i spóźnionej już porze cienie jago, tajemnicze i ciche, pochłonęły Krasnostawskiego natychmiast, a do uszu jego doleciały jednocześnie, z pogwarem drzew szumiących splecione, jakieś szelesty, i szepty, i przyciszone gwary...

To przytulone do siebie, tam i ówdzie po ławkach siedząc samotnych, gruchające przeróżne "pary" fabrykowały najczęściej udaną, rzadko szczerą miłość... Miejskami nieestetyczny, czasami wprost brutalny, tam znów, w kontraście subtelniejszy, miękkszy, ten sam flirt brukowy, rdzennie miejscowy, musował, kipiał po kątach ogrodu, przycajony do tego stopnia, iż w niektórych alejach dla uważnego słuchacza grała po prostu, zda się, powszechna jakby i wspólnie harmonijna nuta, złożona ze szmeru pocałunków, głośniejszych półsłówek, namiętnych protestów, zgody cichej, lub srebrzystego śmiechu...

Odgłosy te, drgając w powietrzu, leciały cicho ku wierzchołkom drzew, z których co chwila gdzieś spadał wolno pozołkły liść wczesnej jesieni, - jakby pragnąc przypomnieć bawiącym się tu ludziom, o końcu wszystkiego na świecie.

Przeszedłszy się po ogrodzie, Krasnostawski usiadł na jednej z ławek. Zmęczonym był nieco... Przyjechał kilka godzin

temu zaledwie. Marszałkowa, Ładyżyński, piękna nieznajoma, gwar miasta - wszystko to znużyło młodzieńca, przywykłego od lat paru do ciszy i regularnego wiejskiego życia.

Wyjąwszy papierośnicę, zapalił papierosa, ziewnął, a spojrzawszy obojętnie na siedzących obok na ławce sąsiadów, wpadł w mimowolną zadumę.

W myślach stanęła mu nagle własna przeszłość w tem samym mieście i przed oczyma migać poczęły przeróżne minionych lat obrazy.

Ujrzał zatem siebie maleńkim, u rodziców jeszcze, chłopcem, potem gimnazystą, a następnie akademikiem. Oblicza rozpięzanych gdzieś po świecie, a dawno niewidzianych kolegów zamajaczyły mu żywo, wspomniawszy ich przywary, zalety charaktery i serca...

W kalejdoskopie wspomnień odbiło się, przesunęło również, kilka twarzyczek kobiecych, parę szarów, niepomyślnych jutra, gorączkowych, pieniących się wówczas rozkoszą, płomieniem uczucia, a dziś spopielałych już i zagasłych zupełnie.

A wszystko w tem mieście, z którego murami zżyła się, zrosła jego dusza. Dla chleba porzucił kolebkę dzieciństwa - młodości...

- Cha!... - westchnął głośno młody plenipotent gowartowski, poczem instynktownie obejrzał się wokoło, i jakby nieco zawstydzony swem westchnieniem, z pod oka uważnie popatrzył na swoich sąsiadów.

Obok niego, w wytartej czapce, z daszkiem, nasuniętym na oczy, w wyszarzałej kapocie i z rękami w kieszeniach, drzemała jakaś męska figura, z głową, wciśniętą w ramiona, zgarbiona, o nędznej powierzchowności; był to zapewne pijak jaki ululany, lub może biedak bezdomny; z przeciwległego zaś krańca ławki jakiś staruszek zbierał się do odejścia...

- Przepraszam pana, która godzina? - zapytał go Krasnostawski, pamiętając, iż zegarek zostawił przez roztargnienie w hotelu.

Staruszek malutki, siwiuteńki, o jowialnym wyrazie twarzy, zerknął przyjaźnie na młodego człowieka, oczy przymrużył i roześmiał się głośno i dobrotliwie.

- Ha-ha ha.., a widzisz... - dorzucił w ślad za tem - nie przyszła... Ba!... la donna č mobile... - szczerze zaśmiał się jeszcze do siebie i podreptał dalej, nie odpowiadając na pytanie młodzieńca.

- A to ci mantyka jakiś ! - uśmiechnął się Krasnostawski i wzruszył ramionami, a zapaliwszy papierosa, instynktownie zamyslił się znowu.

Tymczasem w tej samej właśnie chwili siadała obok niego wysoka, zgrabna, przystojna brunetka. Gdy odchodzący staruszek wygłaszał swą sentencję, pośpiesznie przechodziła ona drogą, a usłyszawszy głośno wyrzeczono słowa, zwróciła uwagę na siedzącego młodzieńca i uważnie spojrzała nań; poczem zwolniła kroku, a po przelotnej wahanie chwilce usiadła na ławce. Teraz zaś, uporczywie z pod oka, patrzyła na Krasnostawskiego.

Ten zaś poczuł snąć na swojej twarzy magnetyczny wzrok kobiety, bo po chwili machinalnie obrócił głowę w jej stronę.

Na widok nowej sąsiadki, wyraz przyjemnego zdziwienia odbił się na jego twarzy, w towarzystwie obecnej bowiem poznawać się zdawał piękną nieznajomą sprzed półgodziny. Spojrzenia młodych skrzyżowały się. Z czarnych źrenic ładnej dziewczyny posypały się iskry, poczem opuściła na oczy powieki, z rzęsami długimi.

Krasnostawski jednak milczał w niepewności.

- Nie, to nie ona - myślał - tamta, smukła gazella, piękniejszą była, lecz ta znów... tu spojrzał przeciągle na dziewczę - kto wie, czy nie ponętniejsza, miłsza?... Bez wątpienia... co za oczy!... - dopowiedział sobie w duchu.

Nie ruszał się jednak z miejsca, nieznajoma bowiem wydała mu się dziwnie nieprzystępną - przynajmniej z powierzchowności. Ubrana była z miejskim szykiem, przeciętnym wprawdzie, ale nie rażąco bynajmniej, całkiem ciemno, z pewnym gustem, ba... nawet jakąś nieujętą jakby dystynkcyą.

Tak się zdało Krasnostawskiemu.

W tej samej chwili nieznajoma podniosła nań znowu oczy. Powoli zdjęła woalkę, wciąż paląc spojrzeniem pięknych, dużych źrenic i westchnęła cicho...

Krasnostawski instynktownie przysunął się do dziewczęcia bliżej. W parę jednak sekund później, raz jeszcze przyjrząwszy się delikatnemu profilowi nieznajomej i przywoławszy w pamięci całe swe znawstwo dawnego "don-juana", zawyrokował w myśli: - "szyk facetka, ale szkoda czasu," i obojętnie zgasłego zapalił papierosa.

Poza tem, przed godziną pełen werwy i animuszu, teraz czuł się zmęczonym i spać mu się po prostu chciało, rój myśli zaś, poruszonych niedawno, bezustannie mącił mu się w głowie. Ziewnął więc przeciągle i zamierzał już powstać, gdy oto nagle, prosząco, posłyszał wyrzeczone głosikiem dźwięcznym swej sąsiadki:

- Przepraszam pana... ale.... nie mogę dać sobie sama rady... Czy... nie byłby pan tak uprzejmym i grzecznym zwinąć mi parasolkę?...

Słowom tym towarzyszył wyraz twarzy, pełny miłutkiego wdzięku i przybranej okolicznościowo zaambarasowanej niby nieśmiałości; zatrzymała się pytająco...

Widząc jednak na obliczu młodego człowieka uśmiech i wyciągniętą już rękę po parasolkę, dokończyła zalotnie, podając mu ją:

- Tylko... tak ładnie... cieniutko...

- Pan się dziwi, zapewne - dygnęła już śmiało, lecz z tym samym nieokreślonym nieco twarzy wyrazem, - że ja, nie znając pana, ośmielam się, pomimo to, trudzić go... ale...

- Boli rączka? - podchwycił Krasnostawski śpiesznie i pochylił się ku dziewczęciu, z uśmiechem.

W oczach dziewczyny zapaliły się skry, nerwowo zadrżały jej wiśniowe usta i rozchyliły się kusząco... Zaśmiała się...

- Tak, mam reumatyzm w prawej dłoni... - odparła z powłóczystym spojrzeniem.

I rozmowa w ślad zatem potoczyła się gładko... Krasnostawski poczuł się w swoim żywiole, wpadł w zapał, dowcipkował, śmiał się, opowiadał. Towarzyszka zaimprovizowanego flirtu odcinała mu się dowcipnie, podtrzymywała rozmowę...

Gwar dwojga młodych odbijał się echem po coraz to pustszym ogrodzie; śpiący dotąd spokojnie na ławce sąsiad ich, bezdomny biedak, zbudzony, zaklął z cicha i bez ceremonii położył się na ławce, jak długi.

Wespół z towarzyszem roześmiało się piękne dziewczę. Powstali.

Pobłądziwszy zaś samotnie po alejach ogrodu, w pół godziny później wychodzili z niego, ochoczo i żwawo, na pustą ulicę, trzymając się pod ręce, po przyjacielsku już zupełnie. Młody pan plenipotent gowartowski skinął na stojące opodal "gumy", kazał stangretowi podnieść budę, wsiadł do powozu razem z piękną nową znajomą, rzucił adres - i pojechali...

Gdy w ten sposób odżyły w wieśniaku łobuz zabawiał się swobodnie w wesołym grodzie - na Ukrainie, w pałacu gowartowskim, który zaledwie opuścił był dwa dni temu, w tą samą noc wrześniową, pomimo spóźnionej już wielce pory, paliły się, jeszcze światła.

Po obszernych komnatach dużego piętrowego domu, otoczonego cienistym parkiem, przechadzał się, zamyślony, pan January Gowartowski, z rękami założonymi na piersiach. Kłaść się na spoczynek wcale nie miał ochoty, od czasu bowiem powrotu z miasta i otrzymania wiadomości o ślubie Oli, sen, wypłoszony cierpieniem i myślami, bezpowrotnie, zda się, uleciał od powiek starca.

Pan January już od kilku tygodni, ku wielkiemu zdziwieniu domowników, nie sypiał wcale. Chodził po pustych komnatach, myślał, czytał, czasami wychodził na przechadzkę, błąkał się po polach, z rzadka bardzo polując do świta na kaczkę - ulubionej tej swej rozrywce, oddając się teraz tylko odruchowo, machinalnie, nawet z pewnem jakby zniechęceniem.

By sobie zaś te nudne bezsensne noce czemkolwiek urozmaicić, pan January wziął się do pisania własnych pamiętników, a sunąc piórem po papierze i godzinami wypełniając go swem drobnem pismem, nieraz potem, znużony, zasypiał przy biurku, i tak go nazajutrz nad ranem zastawał lokaj. W ciągu dnia zaś wyraźnie nudził się coraz bardziej; czasami odwetował sobie długie białe noce ciężkim snem po obiedzie; poza tem nie wyjeżdżał nigdzie, ani do sąsiadów, ani nawet do kościoła, nikogo również nie przyjmując.

W pałacu wszyscy po cichu niepomierne ubolewali nad panem, dziwiąc się stanowi jego, kontrast bowiem dzisiejszego pana na Gowartowie był iście rażącym. Poprzednio, wesoły, uśmiechnięty, rześki, nad wiek swój żywy, biorący udział we wszystkich sprawach wiejskich, interesujący się najdrobniejszym niemal szczegółem, obecnie zmienił się rzeczywiście do niepoznania.

Wróciwszy do Gowartowa, po kilku dniach popadł pan January w trwający dotąd stan apatii, zniechęcenia i nudy, a powiększający się ciągle i coraz bardziej. Z małżeństwem Oli pogodził się, bo zgodzić się na nie musiał, rana jednak, zadana nieopatrznie lekkomyślną ręką córki, w ojcowskim sercu, nie zagoiła się bynajmniej. Pan January zamknął się w sobie i przeżuwał cierpienie własne, nie mogąc o niem zapomnieć.

I czyż nawet można było dziwić się temu? Każdy kąt, każda ścieżka i sprzęt w pałacu nasuwały biednemu ojcu na pamięć jedynaczkę, martwota zaś i cisza komnat, oraz ich głucha pustka przypominały stale nieobecność jej bezpowrotną.

Gdy Krasnostawski, zamieszkały w pobliskim folwarku, Tomaszówce, wpadał tu czasem w interesach i sprawach majątkowych, - ożywiał nieco obecnością swą te mury, teraz jednak, od czasu jego wyjazdu, dnie jeszcze bardziej dłużyły się panu Januaremu.

Na stole w jadalni gowartowskiego pałacu leżało kilka książek, obok w salonie i buduarze widniały porzucone pisma świeże - na biurku w gabinecie przyległym bieleły rozłożone arkusze, wypełnionego pismem papieru. Pan January przed chwilą przestał być czytać, oraz pisać teraz zamierzał, a przechadzając się tymczasem poprzez szereg czterech leżących obok siebie, otwartych, pooświetlanych pokoi, myślał.

W ciszy uśpionego już od dawna domu wybiła godzina druga...

Monotonny odgłos zegara zbudził Gowartowskiego z zadumy. Poruszył się szybciej, sam pogasił światła w czterech sąsiednich komnatach, poczem, westchnąwszy cicho, przetarł dłonią czoło i usiadł przy biurku przed rozłożonymi ćwiartkami papieru.

Nie wziął jednak pióra do ręki... Myśl leniwa odbiec na rozkaz nie chciała, podparł więc pan January dłońmi głowę i zamyślił się znowu.

Wokoło, z umilkłem echem jego miarowych kroków, zapanowała niezamącona niczem cisza, i trwale dość długo, nie przerywana zgoła niczem.

Wreszcie, zbudzony z swej zadumy, podniósł głowę dziedzic Gowartowa, sięgnął po pióro i zaczął pisać szybko. Jedne po drugich wypełniały się jego drobnym pismem arkusiki papieru, rozrzucone na biurku, zgrzyt zaś stalki w milczeniu głuchem donośnie rozbrzmiewał po pokoju. W ten sposób minęła godzina, a może i więcej...

Przestał wreszcie pisać ojciec Oli, odłożył pióro i schowawszy starannie papiery do szuflady biurka - powstał.

Wywołany zazwyczaj umysłowem znużeniem, sen nie kleił jednak dzisiaj powiek jego.

Przeciwnie. Zmuszony przed chwilą jeszcze, oderwawszy się od teraźniejszości, zanurzyć w przeszłość własnego życia, którą opisywał - pan January orzeźwionym był jakby, a wyraz melancholyi smutnej znikł z oblicza jego, oczy patrzyły jaśniej jakoś, zapatrzone, zda się, w odległe dawne wspomnienia...

I wyparte tą chwilą obecną, cierpienie pierzchno na chwilę, ojciec Oli zaś, spragniony snać powietrza, otworzył okno, wychodzące na ogród.

Dotykając szyb, zaszeleściły cicho gałęzie pnącego się wysoko po murze winogrodu, i powiew balsamiczny, świeży, wpłynął do pokoju.

Pałac gowartowski górował nad okolicą. Do stóp jego, poza parkiem i stawem, w półkole, tuliła się wioska, a dalej widniały uprawne pola, odcinał się na widnokręgu sinawy pas lasów, wśród rozległych zaś, jak okiem sięgnąć, płaskich obszarów - majaczyło kilka dalekich siół i futorów...

W chwili, gdy pan January stanął w oknie gabinetu, z którego krajobraz ten cały, jak na dłoni, można było objąć okiem - nad otaczającymi Gowartów wkoło równinami, pełnymi nieujętego jakby smutku i niewysłowionej dziwnej tęsknoty - nad zadumanymi jarami, sennymi łanami i bielejącymi szerokimi traktami - z wolna gasła właśnie jesienna noc, pogodna, a z nieba, stopniowo niknąc, pierzchały ostatnie gwiazdy... Jeszcze tylko mgły przedporanne błąkały się tam i ówdzie, półmrok zaś szarawy przedświtu, walczący z cieniami nocy, coraz bardziej zwycięski, hardy, panoszył się już dokoła.

Gowartowski stał nieruchomo w oknie, a odczuwając głęboko nieujęty czar, płynący ku niemu senną falą z ziemi rodzinnej, jednocześnie uczuwał w duszy chęć konieczną wyrwania się, choć na krótko z tych ciasnych ram pokoju.

W tej samej chwili ciszę drzemiacą przerwał nagle pojedynczy dźwięk, rytmiczny i daleki. Wplótłszy się melodyjnym akordem w ogólne milczenie, szedł coraz donioślejszy... bliższy...

Przez perlące się jeszcze nocną rosą łany zboża i łąki, zagony buraków i jary, leciało monotonne echo dzwonka, żalodne sobą i jakby smętne, błąkając się po uśpionych jeszcze obszarach, budząc drzemiące ptactwo, leniwo i niechętnie zrywające się gdzieniegdzie do lotu.

- Telegram! Może do mnie, pójdę i zobaczę... mruknął do siebie półgłosem pan January, i odstąpiwszy od okna, sięgnął kapelusza.

W tej samej chwili wzrok jego przesunął się po ścianie, na której wisiała strzelba i przybory myśliwskie. Gowartowski spojrział mimo woli na swój ubiór.

Był w butach wysokich z cholewami, których dobę całą nie zmienił, pełen apatyi.

Po przelotnej chwilce wahania, pan January wziął strzelbę, torbę, naboje i wyszedł przez balkon do ogrodu. Czuł potrzebę ruchu, powietrza i postanowił zapolować na dzikie kaczkę. Drzemiąca żyłka myśliwska przebudziła się w Gowartowskim, a odnalazłszy ulubieńca swego, legawca, śpiącego w ładnej budce, wyruszył przez park na pola.

Myśl jego była jakby wolniejsza, wzrok zaś uporczywie ściagał krajobraz, niejako wsłuchując się w bliski już teraz zupełnie odgłos dzwonka. Nadzieja zwodnicza podsunęła mu bezpodstawne przypuszczenie, iż może ten oto znajomy dźwięk, zwiastujący telegraficznego posłańca, przyniesie mu jakąś dobrą, a niespodzianą od Oli wiadomość.

Rzeczywistość, jak zwykle, rozwiła chwilowe złudzenie. Spokojnie i równomiernie, u rozstajnych dróg, przy krzyżu drewnianym, przesunęła się sennie, w jednego konia, dwukołowa bida, z siedzącą na niej skuloną postacią, i brzęcząc dzwonkiem, zginęła w mgłach porannych.

Dziedzic Gowartowa westchnął, i minawszy park oraz wioskę, boczną ścieżyną skierował się ku polom. Poprzedzany kręcącym się wesoło, całym czarnym, z białymi łapami, legawcem, w pół godziny potem spuszczał się w jar głęboki.

Otulony ciszą przedświtu, drzemał tu staw obszerne, cały zarosły sitowiem - siedziba kaczek dzikich; mały młynek drewniany, cichutko szemrząc przelewającą się wodą, odpoczywał, przyparty do wąskiej grobelki; w jej pobliżu małeńka, garbata chatynka młynarza dopełniała krajobrazu.

Po raz pierwszy od bardzo dawna poddał się pan January obecnej chwili tylko, zapomniawszy momentalnie o dręczącym go cierpieniu. Stąpając ostrożnie i cicho po zroszonej trawie, szedł wzdłuż stawu, nad jego brzegiem, rozglądając się bystro dokoła.

Milczenie i spokój panowały niepodzielnie w tym zakątku. Czasem tylko załopotano coś w sitowiacz i zaraz zcichło; tuż ponad senną taflą wód przeleciał wolno koło idącego myśliwca jastrzęb wodny, kulik, zniknąwszy niebawem z oczu...

I melancholijna szarość, jeszcze na wpół pogrążona we śnie, cicha, królowała dalej znowu, skupiona w sobie, niezamącona niczem, chyba tylko szelestem kroków ludzkich i biegiem legawca.

Nagle pan January przystanął:

- Wara! do nogi! - syknął cicho na psa. Legawiec, podniósłszy lewą łapę i wyprostowawszy ogon sprężyście, znieruchomiał.

Na czystą tafłę wód stawu, rzecz rzadka, wypływały poważnie dwie kaczki dzikie i kołysząc się niedostrzegalnie, zbliżały się, ufne, z wolna płynąc, na odległość strzału. Myśliwiec odwiódł kurka u strzelby, jak mógł najciszej, i przyłożył broń do ramienia.

Przeczekał chwilę jeszcze, i pociągnął za cyngiel...

Odbity w milczeniu dziesięciokrotnem echem huknął w ciszy pierwszy strzał!... Dosiągnął on jednocześnie obie kaczki, położył je trupem, i zbudził zarazem śpiącą w sitowjach zwierzynę.

Zagotowało się tam teraz wszędzie; tłumione szelesty rozległy się na wsze strony; kurki wodne, kaczęta, kaczki nawoływały się wzajemnie, kilka z tych ostatnich poderwało się nawet hen, w perspektywie, na drugim krańcu stawu... daleko. Jedna zaś, wynurzywszy skądś, z charakterystycznym poświstem skrzydeł, przeleciała: wysoko prostopadłe ponad głową myśliwego.

Posłuszny legawiec jednocześnie przynosił panu w zębach zabitą zwierzynę; Gowartowski, odebrawszy psu kaczki, zawiesił je u torby i poszedł dalej.

Powoli, stopniowo, rozjaśniało się tymczasem.. Na wschodzie, gdzieś w oddali, widnokrąg zaróżawiał się, niedostrzegalnie, leciutko...

Ojciec Oli Dzierżymirskiej, ze spuszczoną głową, postępował wciąż brzegiem stawu. Kilka kaczek po drodze jego zerwało się trwożliwie, myśliwiec jednak nie zadawał sobie trudu strzelać do nich, bo oto znowu, wywołane na pozór drobnostką, pochłoneły bezpodzielnie pana Januarygo wspomnienia smutne.

Rok temu, podobnie jak dziś, polował on tutaj.

Razem z Olą wyjechali o drugiej, nocą, i przybyli nad staw przy księżycu jeszcze. Tak samo cisza uśpiania panowała dokoła, tak samo, jak przed chwilą, na toń czystą, lśniąca się tylko w dogorywających, drżących promieniach miesiąca - wypłynęła zwierzyna...

Pamięta, jak dziś, ową chwilę, radość córki z tej przejażdżki i jej ciekawość asystowania przy polowaniu. Stoi mu żywo przed oczyma twarzyczka jej zarumieniona, ładniutka, wzruszona, ciekawie śledząca wzrokiem kaczki, płynące po wodach...

Pamięta doskonale, jak w ostatniej chwili, gdy już cyngla dłonią dotykał, szczebiot jej wesoly spłoszył zwierzynę, i jak wówczas Ola tego sobie darować nie mogła...

Westchnienie ciche podniosło pierś Gowartowskiego, brwi zmarszczył i zatopił się w myślach niepomny zupełnie otoczenia swego.

Tymczasem zwierzyna co chwila podrywała się tam i ówdzie, przelatując blisko idącego machinalnie naprzód myśliwego.

Legawiec, kręcąc ogonem, wiercił się na wszystkie strony, skamlał nieśmiało, z cicha, gonił uciekające kaczki i powracał, podnosząc rozumny swój wzrok na zamyślonego pana, z wyrazem zdziwienia, iż nie słyszy już strzałów - wyraźnie zgorszony postępowaniem jego.

Staw tymczasem już się kończył..

W pobliżu, nieco dalej, oddzielony od pierwszego stawu pasmem błotnistych moczarów, widniał taki sam prawie drugi, mniejszy tylko i sitowiem zarośnięty cały.

Znając snąc dobrze drogę ku niemu, pan January nie zatrzymał się, a tylko ciągle tak samo zadumany, ruszył w drogę dalej, prosto przez bagno, stawiając powoli stopy na trzęsących się kępkach zielonych.

Pod ciężarem ciała idącego myśliwca grunt ugiął się, kołysał niedostrzegalnie, a pod nim chlupotała woda i poruszał się krąg cały wodnistej ziemi.

Pan January nie zwracał jednak na to żadnej uwagi; w myślach rozpamiętywał coś ciągle, w oczach zaś uporczywie majaczyła mu wywołana przypomnieniem twarz i postać Oli, przesłaniając sylwetką swą wzrok jego zamglony.

Roztargniony jakby, tu, gdzie się znajdował, zgoła nieobecny, Gowartowski szedł przez moczary, coraz dalej, a raz nawet noga niespodzianie obsunęła mu się na małej kępce, i mało, mało, że nie stracił równowagi!...

Tymczasem poza nim, w dal roztwierały się niby widnokregu podwoje...

Stopniowo, wąskie pasmo skrytego jeszcze słonecznego światła, rosło na niebiosach. Z pod białych puchów posłania i spuszczonej dyskretnie jakby gazowych u łoża zasłon - zarumieniona, wstydliva wychylać się poczęła jutrzienka różana, przeciągając się lubieżnie jeszcze poza przejrzystą oponą obłoków białych...

Ponad stawem latały teraz ciągle kuliki; w dali na horyzoncie, z innego snąc legowiska, wysoko na pogodnym niebie, ciągnęło tutaj całe stado dzikich kaczek - prostopadłe pod nimi ogromny jastrząb krążył majestatycznie nad łąnem zboża...

Ostatnie wreszcie cienie przedświtu pierzchły nagle... Pierwszy promień słońca wyrzwał nieśmiało, błysnął po białych ścianach chatynki i blaszanym dachu starego młyna, dotknął się tafli stawu, zamigotał w mętnych błotach moczarów i musnął pieszczotliwie odwróconą sylwetę idącego mężczyzny.

Na błyszczącej lufie przełożonej przez plecy strzelby zapalił się blaskiem. Minęła chwila... i już tryumfalnie zajaśniał on, objawszy płomieniem światła liście kilkunastu drzew, rosnących wśród bagien. Postać kroczącego miarowo po moczarach człowieka na zakręcie, czy też w drzew cieniu, znikła nagle w mgnieniu oka...

Po chwili w dali rozległo się tylko głośnie szczekanie psa.

Umilkło...

Nad ziemią w tej samej chwili wstał dzień nowy, pełen nadziei, z radością na promienistym czole.

-----

Na platformie kawiarni, położonej na szczycie góry "Gütsch," wznoszącej swój cypel wyniosły ponad wdzięcznie rozrzuconą u jej stóp Lucerną, roilo się od turystów, siedzących przy stolikach.

Szmary prowadzonych rozmów łączyły się w akord wspólny z grającą smętnie i cicho orkiestrą, wzrok zaś wypoczywających gości pieścił widok cudny i wspaniały na miasto, tulące się zacisznie do brzegów jeziora, zapatrzone w jego ciemnoszafirowe głębie, w których lustrzanej toni milcząco przyglądały się również zadumane wierzchołki gór.

Zamykały one łańcuchem swym cały widokrąg naprzeciw miasta, po drugiej stronie jeziora, i ramowały na prawo krętą szyję wód jego, płynących cicho w dal...

Ozłociwszy purpurą i złotem śnieżne szczyty ginących we mgłę Alp, zamigotawszy krwawo na białych frontach nadbrzeżnych hoteli, spiczastych wieżach "Hofkirche" i szybach pomniejszych domostw, właśnie przed chwilą zgasł ostatni promyk słońca...

Natomiast zmierzch szary już obecnie wychylał się skądś nieśmiało, ślizgał się po gładkiej tafli jeziora, przechadzał po dwóch, krytych daszkiem, drewnianych mostach, starożytnych i wąskich, a omraczając sześciokątny czubek, położonej tuż przy jednym z nich, oryginalnej wodnej wieżycy, swawolnie zdawał się zatapiać ją, jedynaczkę, sterczącą zabawnie pośród wód szafiru.

A tymczasem, pod wpływem idącego wieczora, cichło jakby jeszcze bardziej wszystko dokoła... Senny spokój płynąć się zdawał od Lucerny, która, choć przepełniona gośćmi z całego świata, tętnić poczynająca właśnie o tej porze muzyką i gwarem - obserwowana jednak stąd, z "Gütsch" wierzchołka, wydawała się tak spokojną - tak cichą, jakby nie była zgoła punktem zbornym kosmopolitycznej towarzystw śmietanki, ale tylko - oazą wytchnienia i swobody.

W jednym z najlepszych punktów obserwacyjnych kawiarnianej platformy, przy stoliku, siedziało pięć osób.

Towarzystwo to składali: starsza wiekiem osoba, Polka, z córką i poważnym jegomościem, ojcem zapewne rodziny - młody, żwawy, przystojny Francuz i Dzierżymirscy.

Ożywiona, niemilknąca rozmowa, podtrzymywana głównie przez Olę i młodego Francuza, panowała przy tym, odosobnionym od innych, stoliku. Stary jegomość śmiał się co chwila serdecznie i jowialnie z dowcipów młodzieńca, panią również rozmawiała wesoło i jeden tylko Dzierżymirski stanowił w tym akordzie dobranym kontrast aż nadto wyraźny, zachowanie się zaś jego milczące i bierny, li tylko konieczny, udział w rozmowie, świadczyły dobitnie, że to wszystko nudzi go nad wyraz.

Oczy Dzierżymirskiego, pełne zamyślenia, prawie bezustannie spoczywały na krajobrazie u podnóża góry, z rzadka przenosząc się, obojętne, na towarzystwo. Wzrok jego wtedy zatrzymywał się głównie na Oli. Zaduma smętna, od otoczenia daleka, znikła wówczas na chwilę z jego oblicza, źrenice zaś czarne Romana, ciemniejszymi stawały się, badawcze... Nader korzystnie zaś dnia tego wyglądała pani Ola. Ubrana w zgrabną suknię, z jasnej materii, czyniła wrażenie wytworne i eleganckie; obnażone zaś dość głęboko, z okazji niby gorąca, pierś, szyja i ramiona, przykryte tylko ażurową koronką, stanowiącą całość z suknią - podnosiły jeszcze wdzięk jej postaci. Siedząc obok młodego Francuza, rozmawiali z nim przeważnie, śmiejąc się, dowcipkując, i bezwiednie zapewne tylko, rzucając mu od czasu do czasu rozbawione, zalotne jakby spojrzenia.

Trwało tak dosyć długo. Po jakimś czasie jednak Ola zauważyła snać dziwne trochę zachowanie się męża, bo, skorzystawszy z ogólnego powstania, spowodowanego czyjąś uwagą o krajobrazie, zbliżyła się do Dzierżymirskiego, i przytuliwszy się, otarłszy, jak kocię, swą rozkwitłą kibicią o niego, miękko i czule zapytała:

- Coś taki smutny, Romciu, co ci?

- Nic, kochanie! - odparł krótko Dzierżymirski i dorzucił po chwili:

- Ale, a propos, ja cię tu zostawię, bo sam wpaść jeszcze muszę na pocztę, tam, na dole...

- Koniecznie chcesz tam iść? To może jedźmy już razem?..

Dzierżymirski odczuł niechęć lekką w głosie żony; cień ledwie dostrzegalnego niezadowolenia, przemknął mu po twarzy, odezwał się jednak szybko:

- Nie, nie, zostań, ma chère, proszę cię... Spotkamy się później w alei nadbrzeżnej, będę czekał na ciebie... au revoir...

Dzierżymirski ścisnął zlekka rączkę żony i zręcznie wycofał się z platformy, zdążając po schodkach na dół, do stacy kolejki zębatej, zwanej "funiculaire," a łączącej w pięciu minutach czasu górę z miastem.

Zajęte lornetowaniem krajobrazu - którego wdzięk teraz dopiero, po chwilowym wyczerpaniu tematu rozmowy, zdołał przemówić do ich poczucia piękna. Towarzystwo nie zauważyło nawet odejścia Romana. Ten ostatni spuszczał się powoli po schodkach i zasiadł niebawem w wagoniku kolejki, wkrótce ruszyć mającej do Lucerny.

- A to mnie znudzili - mruknął - zakazane towarzystwo...

W tej samej chwili rozległ się sygnał odjazdowy, wagoniki poruszyły się z chrzęstem, i hamowane, powoli w dół spuszczać się zaczęły.

Roman obejrzał się; w wagonie, dziwnym zbiegiem okoliczności, znajdował się zupełnie sam.

Wygodnie wyciągnął nogi, rozparł się i patrzył w dół.

Przed nim czerniała stromo idąca para szyn kolei, z położonym pośrodku trzecim, dziurkowanym relsem; w dole, otulone mrokiem, drzemało jezioro - wierchołki gór stopiły się w zmierzchu, złały jakby z chmurami niebios, w ciemnościach zaś, coraz to większych, występowały teraz szaro domy miasta, w których, jak ogniki błędne, zapalały się co chwila tu i tam światełka.

Roman nagle przymknął oczy.

Bo oto jemu - wpatrzonemu ciągle w dół, w stromą pochyłość i powietrzną próżnię, dzielącą jeszcze kolejkę od jeziora i miasta - zakreśliło się w głowie, w wirze zaś tym wyłoniła nagle się jedyna szalona myśl, spowodowana jakimś jednoczesnym, nic nie znaczącym wagonów hałasem. Mianowicie zdało mu się po prostu, że oberwany pociąg leci w dół, coraz szybciej, i... że już... już oto w katastrofie, chaosie impetycznym - dotknie się on niebawem szklistej toni wód...

Po krótkiej atoli chwilce Dzierżymirski otworzył oczy i roześmiał się głośno.

Nic wokół nie zmieniło poprzedniego wyglądu. Wolno i ostrożnie staczała się kolejka dalej, jezioro było już tylko znacznie bliżej, u brzegu jego mrugała, iskrząca się dziesiątkami światełek, Lucerna; wagony, brzęcząc, spuszczały się ciągle, zawieszono nad miastem.

Roman wzruszył ramionami.

- Co mi dziś jest! sarn nie wiem! - mruknął.

W istocie był nie swój od samego rana. W silnej mierze niewątpliwie przyczyniło się do tego postępowanie żony.

Zapoznawszy się sama z kilkoma osobami, o natrętnej manji zaznajamiania się, zanudzała go od kilku dni pobytu w Lucernie ich obecnością bezustanną, bawiąc się wszakże sama znakomicie. I to właśnie ostatnie najbardziej irytowało Romana. Tak unikał dotąd ludzi, tak uciekał od nich, by być samym tylko z Olą, by bez zamącenia niczem pić szczęście chwili i tą miłością w sobie wszystko zagłuszyć!..

Ominął wszak nawet dobrowolnie Medyolan, rodzinne miasto swej matki, gdzie pochowaną była na miejscowym "Cimitero Monumentale," gdzie poza tem posiadał jeszcze krewnych nieboszczki - uczyniwszy to w jedynym celu uniknięcia musu obcowania z ludźmi, innymi, prócz niej, Oli...

A tu tymczasem ona sama wyszukiwała sobie jakieś zakazane figury!..

Roman przy tej ostatniej myśli, wyrzuciwszy z ust dogasającego papierosa, zachnął się niecierpliwie.

Bo na przykład ten Francuz, czyż nie wzbudzał w nim słusznego gniewu? Młodzik nieznośny, z bezmyślnym, banalnym wiecznie na ustach uśmiechem, z którego jednak Ola bezustannie tak szczerze się śmiała...

- Albo ta jej toaleta dzisiejsza, - mówił sobie dalej Roman, - w Wenecyi przecież było daleko goręcej, nie ubierała ona jednak gorsu swego tak przejrzyście, a tu chłód w porównaniu...

- Dla tego osła z Paryża niewątpliwie, by mógł cynicznie i lubieżnie napawać się kształtem i ciałem jej kibici! - półgłosem dopowiedział podrażniony Dzierżymirski.

- Że też te kobiety bez wabienia mężczyzny po prostu żyć nie mogą!.. - wyrwało mu, się jeszcze.

Spostrzeżenie powyższe, a tyżące się w danym wypadku własnej żony, gniewało go niepomiernie.. Od pewnego czasu bowiem, obserwując Olę, dostrzegł cechę w charakterze jej, nieznaną mu dotąd: chęć zalotną przypodobania się innemu mężczyźnie - nie jemu... Jątrzyło go to bardzo, choć pragnął pozornie traktować fakt ów lekko.

Wagoniki stanęły właśnie. Roman wyskoczył szybko i skierował się ku gmachowi poczty, położonemu koło głównego mostu, tuż przy dworcu kolejowym. Przed paru dniami wysłał list do kraju, do jednego ze swych dobrych znajomych. Powiadał go o swoim ślubie i zarazem prosił usilnie o napisanie mu, co w rodzinnym mieście mówią o jego małżeństwie i co porabia January Gowartowski.

Dzierżymirski najbardziej był ciekawym tej ostatniej wiadomości, ze względu na Olę i smutek, od niedawna, stopniowo

żłobiący, coraz częściej jej twarzyczkę.

Podał adres: "Poste-restante, Lucerna," teraz zatem, wyskoczywszy rażno z wagonu kolejki, w kilka sekund znalazł się już przy właściwym okienku, w obszernej sali gmachu szwajcarskiej poczty. Śpiesznie powiedział urzędnikowi swe imię i nazwisko.

Grymas pocieszny wykrzywił twarz tego ostatniego, i wykrztusił z trudnością:

- Dziez-Dzier... Cornment? Čcrivez, monsieur, sil vous plait! - podał kartkę Dzierżymirskiemu.

Roman posłusznie napisał swe nazwisko.

Urzędnik wziął papier do ręki, skrzywił się raz jeszcze, poczem wzruszył wymownie ramionami, a po chwili dopiero podał cudzoziemcowi list.

Roman chwycił go śpiesznie i wybiegł na ulicę.

Przy świetle latarni rozerwał kopertę i czytać począł zapelnioną bitem pismem ćwiartkę. Twarz jego wyrażała niepokój i zaniepokojenie widoczne, które po chwili dopiero ustąpiły wrażeniom, otrzymanym bezpośrednio z lektury pisma.

List ten, donoszący o towarzyskim życiu w rodzinnym mieście, o ostatnim przyjęciu u marszałkowej, i pogłoskach o stanie Gowartowskiego, nic w sobie zatrzważającego nie miał.

"Znam pana Krasnostawskiego, plenipotentą gowartowskiego; jeśli chcesz koniecznie mieć dokładne wiadomości o wszystkim, tyczącem się Gowartowa, napisz mi i podaj adres, a doniosę ci szczegółowo.." opiewał koniec listu szkolnego kolegi Romana, w postscriptum...

Uspokojony, Dzierżymirski złożył list i schował go do kieszeni; pod wpływem jednak ostatnich słów pisma, zawrócił, przestąpił raz jeszcze próg gmachu poczty, i kupiwszy pocztówkę z widokiem, napisał szybko, odręcznie, przyjacielowi swemu kilka słów szczerego podziękowania, z prośbą o dalsze wiadomości, podawszy adres "Vevey", dokąd zamierzał z Olą udać się nazajutrz. Poczem wyszedł śpiesznie i wrzuciwszy kartę, skierował się przez szeroki most ku nadbrzeżnej, ocienionej drzewami, szerokiej alei, spacerowemu miejscu Lucerny, pełnemu w obecnej chwili publiczności, rozbrzmiewającemu muzyką, wesołością i gwarem.

Minąwszy most, Roman wkrótce znalazł się w cieniu drzew i uszedłszy paręset kroków, siadł na samotnej ławeczce, kapelusz zdjął i położył obok siebie.

Wpółobróciwszy się jednocześnie, ujrzał stragan z owocami. Poczł nagle pragnienie, i skinął, kazawszy sobie przynieść parę gruszek i brzoskwiń.

Gdy usłużny szwajcar podawał mu je, z ugrzecznieniem, Dzierżymirski sięgnął do kieszeni, a wyjęta ruchem szybkim sakiewka jego rozworzyła się, i zawartość jej cała wysypała się szeroko i z brzękiem na ziemię.

Roman, widząc to, machinalnie schylał się już, by zebrać leżące na żwirze alei kilkaset może franków, w złocie i srebrze, gdy oto jakaś refleksja nagła powstrzymała go w pół ruchu. Wyprostował się.

Rzuciwszy zaś oczekującemu na zapłatę przekupniowi po francusku, niedbale: "Ramassez Ça! - odwrócił się obojętnie na pozór w drugą stronę, i utkwiał wzrok w jezioro.

Po chwili, w półobrocie głowy, z pod oka, spojrzawszy raz jeszcze na zoraną brudami, opaloną twarz szwajcara, zbierającego już rozsypany pieniądz - zamyślił się...

O, jakże on pragnął w tej chwili, by z garści tych oto pieniędzy, które mu wręczonemi będą za parę minut, zabrakło pięciofrankówki choć jednej!...

Podarowałyby on ją śmiałkowi temu, a biedakowi zapewne, z pewnością!... Bo czyż?... Czyż godziłoby się "jemu" rzucać na niego kamieniem?...

Roman, wpatrzony bezustannie w zadumie przed siebie, gorączkowo, niecierpliwie oczekiwał rezultatu swej próby.

- Weźmie, z pewnością weźmie! - mówił sobie równocześnie w duszy i głos jakiś cyniczny, drwiąco wołał w nim szydski.

- "Uczciwość ludzka!... ha... ha... ha!.. Frazesy, frazesy!.. malowana, wzorzysta zewnętrznie kraszanka, wewnątrz zaś skrycie cuchnąca!..."

Przed Dzierżymirskim roztaczał się tymczasem krajobraz wdzięczny nad wyraz. W drżących więc oto głębiach jeziora, na prawo, przeglądało się tysiącem światełek miasto... płynące wody, o kilka kroków od alei, skręcały w bok, tocząc swe ciemne fale, jak rozpięta nad niemi wrześnie noc cicha, hen! daleko, ku góróm; po powierzchni jeziora błąkały się łódki i małe stateczki, przy każdym zaś błyszcząca czerwona, duża, okrągła latarka, krwawym śladem, ścieżyną purpury znacząc głęboko swe przejście w przezroczej toni.

I ogniki owe, łącznie ze swem odbiciem, drżały tak bezustannie po jeziorze, sunęły z wolna, zmieniały miejsce - wreszcie mały, utożsamiając się jakby w dali latającym gdzieś świętojańskim robaczkom...

Na lewo zaś, tuż przy brzegu, u przystani statków parowych, inne znów ognie dotrzymywały tamtym towarzystwa. Ku uciesze zapewne spacerujących gości puszczano tam fajerwerki; kręciły się zatem młyńce, pękały rzymskie świece, strzelały wysoko barwne rakiety - spadały snopami iskier, ginęły w ciemnych falach jeziora.

Dzierżymirski, wpatrzony początkowo bezmyślnie, począł się teraz właśnie przyglądać uważniej, ujęty wdziękiem widoku, gdy nagle posłyszał głośno wyrzeczone koło siebie słowa:

- S'il vous plait, monsieur!

Roman odwrócił się szybko. Szwajcar, pozbierawszy pieniądze, oddawał mu sakiewkę.

- To dobrze, macie za owoce i fatygę! - pośpiesznie odparł Dzierżymirski i wręczył przekupniowi dwa franki, w srebrze.

- Merci, monsieur! - akcentując przeciągle ostatnią sylabę u wyrazu: pan, odparł zadowolony Szwajcar, skłonił się, bez uniżoności jednak, i odszedł.

Dzierżymirski wstał i skierował się ku innej, odleglejszej, skrytej cieniem drzew, a pustej również ławce. Wychodząc z domu, dziwnym trafem okoliczności, przerachował właśnie pieniądze i wiedział co do grosza, ile ich znajdowało się w portmonetce. Odrząciwszy w myśli wydanych kilkanaście franków, począł gorączkowo liczyć złoto i srebro.

Nie brakowało ani jednego centa.

Widoczne rozczarowanie odbiło się na twarzy Dzierżymirskiego. Pochylił się na siedzeniu, oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłonie.

- Więc ludzi uczciwych na świecie nie brak... Uczciwym być potrafi nawet człek prosty, więc tylko ty... ty!.. - huczało mu bezlitośnie w głowie, i rumieniec wstydu palił policzki.

Nie mogąc usiedzieć, Roman zerwał się po chwili z ławki i skierował przed siebie nadbrzeżną aleją.

Minął niebawem jeden z pierwszorzędných hoteli, przed którym co wieczór stale grywała orkiestra, dotarł aż do położonego na końcu "quai" - kursalu, - zawrócił, wciąż opanowany jedną i tą samą myślą.

W około niego roiło się teraz od eleganckiej, wytwornej publiczności; piękne kobiety, ubrane bogato i gustownie, wymuskani panowie przechadzali z wolna przed olbrzymim i urządzonym z wielkim komfortem hotelem "National", towarzyskie kółka siedziały grupami na bambusowych fotelach - bawiono się wesoło; wykwinnych gości pełno było również i wewnątrz hotelu, we wspianiałych salach na dole; przez otwarte na ścieżaj okna dochodziły dźwięki walca - tańczono.

Kosmopolityczny próżniacz high-life, zjechałszy się tutaj, używał do woli wywczasu i przyjemności, starając się zarazem opróżnić kieszenie z niepotrzebnego złota, oraz zabić czas miło i połknąć trawiącą nudę.

- A może między nimi znajduje się on "właściciel", "on", wówczas, przed laty, przez ciebie, kto wie, czy nie skrzywdzony - drażniąc Romana uporczywie, myśl dziwaczna męczyć go nagle poczęła. Wstrząsnął się i skrzywił boleśnie...

W tej samej chwili jednak, do uszu jego doleciał świeży, jędrny głos kobiecy.

Pieśń włoska, namiętna, jak krew i miłość dzieci południa, drżąca uczuciem, pomknęła po drżącej fali jeziora, ponad głowy przechadzających się gości, odbiła się o echo gór...

Ktoś z płci nadobnej śpiewał artystycznie i pięknie w jednej z sal "National'u"; Dzierżymirski podszedł bliżej i słuchać począł, zniewolony pięknnością głosu.

I powoli, rozpędzona czarem pieśni, w jego duszy równocześnie uspakajała się burza.

Gdy śpiew ustał, Roman już myślą był gdzie indziej; jak wpływ zewnętrzny życia przed chwilą poruszył był dotkliwie struny duszy jego - tak samo, ułagodziwszy je teraz, przeniósł naraz myśl Romana do chwili obecnej.

Dzierżymirski przypomniał sobie żonę, spojrział na zegarek i skierował się drogą powrotną do mostu; zaniepokojony raptem, że dotąd nie ma jeszcze Oli. Idąc zaś, przesuwiał wzrok uważny po twarzach przechodniów.

Nagle brwi zmarszczył. Bo oto o kroków kilkanaście przed sobą ujrzał Olę, ale samą i w towarzystwie tylko młodego Francuza, w ciemnej narzutce na ramionach, śnać nie swojej, gdyż żadnej podobnej ze sobą nie miała.

Roman uśmiechnął się ironicznie:

- Zmarzła, biedaczka! - mruknął z zadowoleniem. - Przyśpieszył kroku, a znalazłszy się tuż przy idącej parze, pochylonej z lekka ku sobie, szyderczo odezwał się po francusku:

- A, powitać !. . Cóż to, Ola w pożyczanych szatach?...

Urwawszy w pół zdania rozmowę, idący podnieśli jednocześnie głowy, Ola zaś zarumieniła się nieco i odparła:

- A tak. Pożyczyłam okrycia u panny K... po zachodzie słońca tak chłodno...

- Można się było z góry tego spodziewać; bardzo źle zrobiła, wyletniając się, a z odsyłaniem znów owych zarzutek kłopot tylko będzie! - rzucił Roman opryskliwie.

- Wiesz przecie, że jutro raniutko jedziemy! A te panie gdzież?...

Dwa ostatnie zdania wymówił Dzierżymirski po polsku tym samym, niezadowolonym wciąż głosem.

- Wstąpiły po drodze do znajomych - odparła Ola, onieśmielona nieco tonem męża.

- A... tak. No, to wracamy do domu! - zdecydował Dzierżymirski w tymże, co poprzednio języku, i odwrócił się szybko, pragnąc w duszy co prędzej pozbyć się towarzysza żony.

- Przecież już Ola nigdy tego cymbała nie ujrzy! - dodał w myśli zarazem.

- Państwo jadą jutro? O której? - pytał tymczasem właśnie młodzieniec.

Widząc, iż Ola pragnie poinformować Francuza, Roman rzekł śpiesznie.

- O, panie!... nie wiemy jeszcze!... Au plaisir - i wyciągnął rękę...

- Ach, więc już może nie będę miał szczęścia oglądać państwa? Doprawdy, jakże mi przykro! - rzekł młody Francuzik, ściskając podaną dłoń; nie odchodząc jednak, wciąż siedł obok Oli.

- Państwo w którą stronę? - zagadnął uprzejmie. - Tak mało miałem sposobności rozmawiać dziś z panem... - słodziutko ciągnął dalej, zwracając się do Dzierżymirskiego - umknął nam pan tak prędko...

Bawidamek z nad Sekwany umilkł nagle pod drwiącem spojrzeniem Romana.

- Państwo... w roku przyszłym zapewne przyjadą tu również? - jęknął jeszcze, podtrzymując rozmowę.

- A pan ?... - słodko i uprzejmie zapytał Dzierżymirski.

- O, naturalnie, iż będę! - pośpieszył z odpowiedzią młodzieniec.

- No, to my - nie! - odparł z przyciskiem, całkiem seryo Roman, lodowatym głosem, i uchyliwszy ledwo kapelusza, skinął na tramwaj elektryczny, by stanął.

- Wsiadamy! - rzucił krótko żonie.

- Przecież ten tramwaj do naszego hotelu nie idzie, a tylko w przeciwną stronę?! - zauważyła zdziwiona Ola.

- Nic nie szkodzi. Pozbędziemy się tego kulfona! - odrzekł po polsku Roman. - No, wsiadaj!... - rzucił gniewnie do ociągającej się żony, i pchnął ją z lekka do czekającego na nich tramwaju.

W sekundę później Dzierżymirscy ruszyli; wehikuł elektryczny pomknął i znikł, odprowadzony osłupiałym wzrokiem Francuza, który, postawszy na chodniku chwilę, cały, jak burak, czerwony, ruszył w drogę, i zginął niebawem w różnobarwnym tłumie.

Gdy w Lucernie odbywał się ten drobny epizod, jednocześnie prawie, szerokim ukraińskim traktem, w bezgwiezdną i ciemną noc wrześnieją, pędził konno na oklep wyrostek, w burej świtce, trzymając w ręku smolne łuczywo, tak zwany kaganiec.

Krwawy blask jego rozświetlał panujące wokoło nieprzejrzone ciemności, torując w ten sposób w ślad za jeźdźcem drogę małemu koczycowi, zaprzężonemu w cztery bułane żwawe koniki. W powoziku siedział Bolesław Krasnostawski, otulony burką i obłożony pakunkami. Jechał właśnie od kolei, a powracał z podróży swej do miasta.

Zabawiwszy tam, zamiast trzech dni, jak mu polecono, - dziesięć, dziś dopiero pośpieszał do swoich obowiązków, przez całą drogę łamiąc sobie właśnie głowę, jak upozorować przed starym Gowartowskim swą przydłużoną trochę nieobecność.

Bo zgola nie interesy służby przytrzymały pana Bolesława w wielkim mieście; o, bynajmniej! Młody pan plenipotent wracał goły, jak święty turecki. Całkowitą, naturalnie że tylko własną, zarobioną gotowiznę przehułał bowiem tam doszczętnie.

A teraz na ostatek, jadąc w swoim koczycu, rozpamiętywał on jeszcze miło, na odległość nawet nęcące chwile, w wesołym grodzie spędzone... Myśląc zaś jednocześnie o swym chlebobawcy, jedna szczególnie rzecz dziwiła go niepomiernie; mianowicie, dlaczego z Gowartowa nie otrzymał on dotąd wcale żadnej, naglącej do powrotu, depeszy, lub przynajmniej choćby jakiego listu ?... Bo że on nie dawał znaku życia - nie było w tem nic dziwnego - ale Gowartowski?... To zaiste, było całkiem niezrozumiałem...

I analizując fakt ten, po raz nie wiadomo już który, Krasnostawski ziewnął przeciągle i roztworzył oczy, przymknięte dotąd, usiłował bowiem zdrzemnąć się w powozie.

Patrzył teraz wokoło nieco bezmyślnie, dość szybko względnie wśród ciemności jadąc swym powozikiem. Na tle czarnej nocnej opony czerwony od blask kagańca ślizgał się szerokim kołem po obu stronach drogi i zapalał się kolejno na zżętych rzyskach, zaoranych polach, lub majaczył po grzędach zielonych plantacji buraczanych, ugorach, stepowych bodjakach - kwiatach i trawach. Czasem zajrzał do rowu, musnął kurhan, z pochylonym krzyżem, oświetlił przydrożne samotne drzewo...

- Żeby się tylko stary na mnie nie zaciął i za nieposłuszeństwo nie wymówił miejsca, hm... hm!.. - chrząkając niespokojnie, wymówił do siebie pan plenipotent, półgłosem. - E, chyba że nie... zanadto mnie potrzebuje! - uspokojony zakonkludował głośno.

Nagle wyteżył wzrok, bo oto zdało mu się, że w ciemnościach, w oddali, na prawo, rysują się jakieś cienie, a tuż, niedaleko, środkiem pola, jak gdyby drogą, posuwają się z wolna, zbliżają, dwa inne migocące małe światełka, eskortowane z przodu kręgiem, czerwoną plamą światła.

- Hej, Stepan, czujesz \*) ? ha?... - krzyknął na furmana.

[\*) Słyszysz.]

Człowiek, siedzący na koźle, w burce i ceratowej czapce, odwrócił się leniwie. Krasnostawski wskazał ręką na prawo.

- Co to takiego? - zapytał.

- Ktoś z kahańcem jide od Howartowa, - taj hodi \*\*) - zawyrokował stanowczo woźnica.

[\*\*)Ktoś z kahańcem jedzie od Gowartowa - i już.]

- To już Gowartów? - zdziwił się Krasnostawski.

Jadąc do folwarku Tomaszówki, rezydencyi pana plenipotenty, przejeżdżało się pod sam Gowartów, oddalony ledwo od traktu o pół wiorsty.

Kocz Krasnostawskiego, podniszczony nieco i roztrzęsiony, klekotał po drodze, konie szły rażno, wyciągniętym klusem, czując snąc w pobliżu już domową stajnię. Krasnostawski zapalił zapałkę i spojrzał na zegarek: dochodziła druga po północy.

- Hm... hm!.. Stary znów nie śpi, bo widocznie to we dworze się pali - ponownie mruknął, wpatrzony w gorejące w oddali podłużne wstęgi światła.

- Koło hresta - stanesz! - rozkazał, zwracając się do furmana, zaciekawiony naraz, kto może jechać z Gowartowa o tak późnej porze?

Furman huknięciem donośnym zakomunikował rozkaz wyrostkowi z kahańcem.

Na rozdrożu stanęli. Ramiona stojącego tu, omszałego starego krzyża, zabarwiły się od łuczywa purpurą. Czekali.

W nocnej ciszy dochodził już turkot powozu, tętent koni i dźwięk jazd zbliżał się szybko.

- Semen - Howartowskije koni! - nachyliwszy się ku Krasnostawskiemu z koźla, furman pospieszył z informacją.

Pierwszy pod krzyżem zjawił się na rosłym stajennym kasztanie parobek, z kahańcem, a poznawszy gowartowskiego plenipotentę, uchylił pokornie czapki.

- Kto to jide? - rzucił pytanie Krasnostawski.

- Pan dochtór! - brzmiała odpowiedź.

Pod krzyż nadjeżdżała zaprzężona w parę rasowych gniadoszów nejtyczanka, powożona przez wąsatego i porządnie ubranego stangreta.

Krasnostawski wychylił się ze swego kocza, począł machać kapeluszem i krzyknął donośnie:

- A!... pan konsyliarz kochany!... Powitać, witać! Stój, Semen!...

Nejtyczanka zatrzymała się posłusznie i w podwójnym migocącym świetle kagańców u rozstajnego drzemiącego krzyża, zeszło się dwóch mężczyzn.

- To pan? - Nie poznałem... - odezwał się nazwany przez Krasnostawskiego konsyliarzem.

- Dobry wieczór, a raczej dzień dobry! - pozdrowił młody człowiek przybyłego - bo to już dobrze po północy - dorzucił. - Czy szanowny pan z Gowartowa? Cóż to tak późno, ktoś chory, broń Boże, a może tylko z wincika?....

Z pod czapki spojrzała uważnie na Krasnostawskiego zdziwiona twarz doktora, okolona długą brodą.

- Jak to? To pan nic nie wiesz? - zapytał.

- Wracam z podróży... - objaśnił Krasnostawski.

- Aaa! nic nie wiedziałem... Pan January, chory od tygodnia, rozwinął się tyfus, o przebiegu silnym bardzo i niebezpiecznym... Poza tem komplikacje inne, nerwy et caetera... Teraz zresztą już lepiej... może Bóg da... doktor zatrzymał się.

- Ale, nie mówię panu, od czego się to wszystko zaczęło - dorzucił informująco.- Już był pono niezdrów, moralnie przynajmniej; wpadł, polując na moczarach, w wodę po szyję i zaziębił się...

- Nikt mi znać nie dał, mój Boże! - szczerze zasmucił się Krasnostawski. - Więc pan mówisz, że dziś lepiej?...

- O tyle, o ile!.. teraz śpi po lekarstwie, gorączka spadła nieco, lecz wczoraj było źle bardzo; notabene, prócz klucznicy - staruszki, w całym domu nikogo nie ma przy sobie...

- Możebym ja pojechał tam teraz, do pana Januarego, na noc, co? - rzekł Krasnostawski, na dobre zmartwiony.

Doktor przyjaźnie spojrzał na młodzieńca, uśmiechnął się z dobrocią i rzekł:

- No, zmęczony jesteś, kochany panie, podróż, mości dobrodzieju, wspomnienia po niej miłe zapewne, panie tego - tu poklepał Krasnostawskiego po plecach. - Nie, nie potrzeba - ciągnął dalej seryo - wyśpij się pan i jutro tam pojedziesz, bo zresztą, mówiąc między nami, przeszkadza tam tylko będziesz... Niech śpi sobie, nieborak, klucznica i służba przypilnują go. Ba ! żeby to tylko zawsze tak było, jak dziś....

- Jak to? więc obawa jest jeszcze? - zaniepokojonym znów głosem zapytał Krasnostawski.

- Obawa jest, jeszcze! - przedrzeźnił szorstko doktor i widocznie nadrabiając miną, dorzucił. - Wam wszystkim się zdaje, że doktor to prorok!... Naturalnie, że jest!... Czy ja wiem zresztą - wszystko w ręku Najwyższego - zobaczymy... No, tymczasem dobranoc! - doktor wyciągnął rękę na pożegnanie.

Krasnostawskiemu twarz spochmurniała, i niepokój wyraźny odbił się na niej; odczuł nerwami, czego nie było w słowach doktora i co on usiłował widocznie pokryć przed nim na razie, i posmutniał jeszcze bardziej.

Jednocześnie jakiś jakby wyrzut sumienia wezbrał mimo woli w jego duszy, iż on tak długo pozostawił starca w samotności, bez opieki, sam bawiąc się wesoło. Pożegnawszy lekarza, pomógł mu wsiąść do bryczki.

- Jakże tam zdrowie wszystkich u szanownego doktora, żony, dzieci?... - bąknął, aby coś powiedzieć.

- Dobrze, dobrze, serdecznie, dziękuję, dobranoc!

- Dobranoc! - powtórzył, jak echo, Krasnostawski, i ruszył do swego pojazdu.

- Czochoś meni ne skazał, szczo pan słabujut - rzucił wymówkę furmanowi.

Tenże odparł lakonicznie:

- Zabuł, pane!

- Do Tomaszówki! - rozkazał Krasnostawski.

Powozik ruszył w dalszą drogę. Turkot jego w milczeniu nocy połączył się z cichnym coraz bardziej odgłosem kół i dzwonekó nejtyczanki lekarza, a dwa kagańce, w dwie przeciwne strony, rzuciły znowu ruchome swe kręgi krwawe w pasmo uspionych, kirem nocy pokrytych, obszarów. Oddalając się od siebie, długo tak na horyzoncie, malejąc coraz bardziej, świeciły ich łuczywa, aż wreszcie, zamigotawszy czas jeszcze jakiś purpurowymi punkcikami na niezmiernych płaszczyznach - spełzły całkiem na widnokregu, znikły, zlawszy się z ciemnością, która wchłonęła je w siebie.

Turkot na trakcie ucichł. Szeroka taśma ukraińskiego szlaku, rozjaśniona na chwilę, znikła i czarność jeszcze większa zawisa nad polami, stepami i krzyżami kurhanów.

W milczeniu nocy, pełnem zagadek i szeptów tajemniczych, wszystko dokoła zapadło w sen twardy i cichy.

-----

- Bo ty nie wiesz, nie czujesz może i nie przypuszczasz nawet, jak ja cię kocham, jak bardzo ubóstwiam, ty skarbie mój najdroższy, ty moje życie, me wszystko!... - szeptał gorąco Dzierżymirski, nachyliwszy się ku Oli i tuląc ją do siebie.

- Ty zdać sobie sprawy nie potrafisz - ciągnął dalej, zapalając się coraz bardziej do słów własnych - ile ja gotów jestem rzeczy najdroższych nawet - poświęcić dla ciebie, co dla cię zdolnym stłumić, przecierpieć!... Ja gdybym był cię nie posiadał - podeptałbym bez namysłu wszelkie prawa ludzkie, jeśliby one stanąć mi śmiały wówczas oporem do zdobycia ciebie!... Ty nie wiesz... nie wiesz!...

Roman, poblądłszy, umilkł. Chmura osiadła mu na czole, skrzywienie bolesne zadrgało w ust kącikach. Pochylił na moment głowę.

Och, czemuż nie mógł, czemuż, powiedzieć jej Oli, wszystkiego?.. Na ustach mu drżało, przemocą prawie wyrывało się z nich wyznanie przeszłości, zdusił je jednak, wtłumił w siebie, z obawy, by te piękne lica ukochane nie odwróciły się odeń z pogardą. Po chwili znów mówił:

- Tak, ty obszaru, ty głębi uczucia, które wre we mnie, które dla ciebie niejedną już tamę zerwało, nie oceniasz, nie rozumiesz...

Dzierżymirski silniej przycisnął do siebie kibić żony, a pochwyciwszy jej rękę, przywarł do nich ustami, i pocałunkami okrywać je pocał.

- Ty... moja... moja! - szeptał w kółko namiętnie, coraz czulej... ciszej...

- Ty moja!... Ja za nic w świecie nikomu cię nie oddam, wydrzeć sobie nie pozwolę!...

A uspokoiwszy się stopniowo, ciągnął:

- I czyż wobec tego zatem dziwić się nawet możesz złemu humorowi memu, owego wieczora, pamiętasz, w Lucernie!... To nie był gniew, opryskliwość, jak to nazwałaś, dziwactwo! O, wierz mi - nie!... To była, wywołana cierpieniem tylko - zazdrość i żal duszy, że komu innemu pozwalasz choć częścią wdzięków twych się napawać, że na nie patrzy, rościć sobie może jakieś urojone, choćby imaginacyjne do nich prawa - mężczyzna inny - niżli... ja...

Roman mówić przestał wzburzony i wzruszony.

- Rozumiesz więc teraz, kochanie ty moje? rzekł znowu po chwili miękko, łagodnie, i spojrzawszy prosząco w oczy słuchającej go w milczeniu Oli, rzucił pytająco: -Przebaczasz?..

- Ależ przebaczam... przebaczam!... - rzekła, uśmiechem, pieszczotliwie Ola, a że nikogo podówczas właśnie w pobliżu nie było - siedzieli w cieniu alei nadbrzeżnej nad Lemanem - zarzuciła na szyję Romana swe długie białe ręce, i przytuliwszy się doń, poczęła mu z kolei szeptać:

- Ty mój drogi, jedyny!... Od kwadransa patrzę na ciebie i rosnę w duszy, takiś szlachetny, rozumny, piękny... Piękny!... - powtórzyła z zalotnością, namiętnie i przymilająco się musnęła wargami śniadą twarz Dzierżymirskiego.

- Nie taki, jak wówczas, zazdrosny, zły, brzydki!...- przekomarzała się z wdziękiem - ale taki zakochany... wielki!...

I Ola czulej jeszcze przycisnęła się do Romana, zbliżyła swe wargi świeże do jego ust zmysłowych, i mówić poczęła głuchym szeptem, urywanym od uczucia nadmiaru - przeplatany pieścizną, pełnym tętniących w nim młodych pragnień:

- Kocham cię!... kocham... kocham!... Jak nikogo dotąd... nigdy, nigdy!... - szept przy tem młodej kobiety zdrzął namiętniej jeszcze. - Nie ja - to ty przeciwnie nie rozumiesz, nie czujesz, jak cię kocham, uwielbiam !...

- Wszak dla ciebie porzuciłam ojca, Gowartów, rodzinę! Stłumiłam, zgmiotłam uczucia inne!... Pośpieszyłam na twe wołanie, pobiegłam za tobą, w twe objęcia, podeptałam wszystko... wszystko!.. O!... Ja bym sobie zarówno wydrzeć ciebie nie dała - tyś także mój!... mój!...

I szept młodej kobiety łaszący się, palący, zawrotny - skończył...

Zbliżone usta młodych silnie zwały się w pocałunku. Na chwilę, minut parę, znikło im z oczu wszystko, przesłonięte mgłą jakby, z której jedna jedyna wyłoniła się tylko - miłość.

Wokoło zaś wciąż nie było nikogo. W cieniu drzew tonął w mroku tajemniczym, ciszy zadumanych pełnym "quai Perdonnet," nadbrzeżna aleja w Vevey, wijąc się brzegiem Lemanu, u stóp rozrzuconego w górze szwajcarskiego miasta.

Nad "Lac Leman" drżał księżyc w pełni; przeglądał się w głębokich jego toniach, z pieszczotą ślizgał swe promienie po ciemno-modrych falach...

I w blasku miesięcznego światła tchnął krajobraz cały jakimś czarem dziwnym...

A więc, poza jeziorem, hen, gdzieś, w perspektywie, niewyraźnie srebrzył się mglisto Alpejski szczyt wyniosły - w tafli Lemanu, ogromnej, szklistej, niby morze, odbijały się gwiazdy, topił w nich swe wierzchołki wieniec pobliskich gór. Masy ich kadłubów miejscami zaciemniały jezioro, a w ciemniach tych, odbijających rażąco na obszarach wód od fali, tych oświetlonych taśm jasnych, błąkały - się jakieś mary i cienie, ze śnieżnym żagletem sunęła cicho zgrabna, wysmukła barka...

Księżyc tymczasem wzbijał się coraz bardziej i wyżej, malał, stawał się jaśniejszym, przezroczym - milczenie wzrastało... Fala u stóp Dzierżymirskich szemrała teraz cichutko, a tam, z mroków, od gór podnóża, na przestrzenie wód Lemanu, skrzące się pyłem srebrzystych promieni, marząco, niepokalana, biała, spokojnie wypływała z wolna ta sama łódź żaglistą...

Oderwawszy usta od gorących pocałunków, Roman i Ola patrzyli w zachwycie.

Do dusz ich, na piękno czułych, wślizgiwał się czar tej szwajcarskiej, boskiej nocy, studził krew rozigraną swym bezmiernym, majestatycznym spokojem, poniżał, równał z zerem ich troski ziemskie ogromem i potęgą przyrody - podnosił, wzmacniał ducha, dodawał mu skrzydeł, lejących w zaświaty...

Pierwszy z nastroju tego ocknął się Dzierżymirski i spojrzął na zegarek. - O, już mija dwunasta! Chodźmy, moje życie! - odezwał się do Oli.

Powstali.

- Ach, jakże noc dzisiejsza jest piękną - jak piękną!.. - z zachwytem szepnęła Ola - nie zapomnę jej chyba nigdy.

- Ani ja również! - potwierdził Roman w zadumie.

Wziął pod ramię żonę i ruszyli z miejsca, kierując się pod górę, ku rozsianym willom miasta.

Milczeli. W głowie Romana huczał chaos różnorodnych myśli. Z nich zaś jedna, najuporczywsza, wyłoniła się zwycięska.

- Miłość, miłość raz jeszcze, i miłość tylko, jedyna, wielka! - krzyczał w nim głos podnieconego mózgu - ocalić cię jest w stanie! W niej tylko znajdziesz zapomnienie, nią się upijesz, przy jej pomocy zmatujesz bolesną ranę przeszłości, zdusisz sumienia wyrzuty !..

- Bo miłość, to haszysz - wołał ten sam głos dalej - bo miłość, to szczęście na ziemi - to raj, to jedna rzecz z tych, tak rzadkich na świecie, dla której warto może walczyć i trudzić się, by ją zdobyć! - Ona częstokroć cierpieniem i rozczarowaniem tylko, lecz ileż razy bólów życia nagrodą - jego zapomnieniem!..

Dzierżymirski zdjął kapelusz z głowy, pod wpływem zaś myśli ostatnich, opiekuńczo i czule objął silnym ramieniem kibić żony.

Postępowali krokiem różnym, idąc pustemi, cichymi uliczkami bezustannie pod górę. Roman odezwał się po chwili:

- Zostaniemy dłużej w Vevey; tu tak cicho, samotnie, tak z dala od ludzi, od świata i jego pogwarów - zostaniemy, Oluniu, cóż ty na to? - pytająco nachylił się ku młodej kobiecie.

- Ależ i owszem, mój ty samotniku - odparła z uśmiechem Ola - a zresztą, wszak nie zwiedziliśmy jeszcze wszystkiego...

- Ach tak, prawda... moje życie, prawda... Koniecznie zobaczyć musimy wszystko! - mówił Roman. Umilkli znowu, zatopieni w myślach.

Od parodniowego pobytu swego w małym nadlemańskim miasteczku, Dzierżymirscy prowadzili żywot pracowity. Wstawali raniutko, odbywali wycieczki i spacerowały po okolicy; nie dalej, jak dziś, zwiedzili pobliskie Montreux i sławny "Chateau Chillon;" obejrawszy go wewnątrz dokładnie, jego starożytne sale i wieżycy, miejsca kaźni - ponure więzienia, z zachowaną dotąd tak zwaną "oubliette," nad trzystumetrową głębią Lemanu.

Wśród narodowych śpiewów szwajcarskiego ludu, towarzyszącego im w kolejce, zwiedzili oni również przed paru godzinami górę "Soim-Pčlerin," mając świeżo jeszcze w pamięci cudny z wierzchołka jej widok na szafiry jeziora i miasto Vevey, zaciszne, pogodne, rzucone niby na ekran zielonego podnóża gór - zadumane, pełne melancholy i cichego smutku...

- Wiesz, Oluniu, co ci powiem? - odezwał się nagle do żony Roman, gdy, mijając właśnie wysokie, gotyckie wieżycy pięknego kościoła katolickiego, zagłębiali się w aleję, poprzez drzew liście, rozjaśnioną tajemniczo cieniami księżycowego światła...

- Otóż - ciągnął po przelotnej chwili wahania - że napisałem do jednego z dawnych znajomych, by donosił mi, co się dzieje z ojcem twoim w Gowartowie...

- Ty zrobiłeś to? O, mój drogi, najdroższy, jakiś ty dobry, poczciwy, złoty! - wykrzyknęła szczerze uradowana Ola i przytuliwszy się do Romana, uściskała go serdecznie.

- A tak, ja, we własnej osobie, tak często bowiem smutną bywałam... - potwierdził Dzierżymirski, i urwał nagle.

Przyjemnego a jednocześnie i przykrego doznał on wrażenia. Miłą była mu myśl, że odgadłszy utrapienie żony, ulżył jej. Smutno nieco, widząc bowiem na twarzy żony tak pogodną radość, poczuł, iż o odebranych już liście wspomnieć nie mógł. Ten, choć nie wesoły, nie wiozł jednak jeszcze ze sobą złych wiadomości, gdy natomiast następne - kto wie?

- Ha, trudno, - powiedział sobie w duszy Dzierżymirski - niech cieszy się! Nie zatruję ja jej tej chwilki zadowolenia.

- I dotąd niema żadnej odpowiedzi? - skwapliwie pytała tymczasem Ola.

- Nie, kochanie - skłamał gładko Roman - ale nadejdzie niebawem, podałem adres Vevey...

- Podałeś? - ucieszyła się znów Ola - no, to dobrze, bo ja mimo woli biję się z przypuszczeniami nieraz, co tam oni wszyscy myślą o mnie, czy potępiają bardzo, czy gniewają się, czy smucą?..

Ola ucichła i cień smutku przemknął po jej twarzy.

- No, no, cóż to znów za niepokoje? - podchwycił Roman, korzystając zaś, iż na ulicy nikogo nie było, pośpieszył z pocieszeniem, pieszcząc czule młodą kobietę.

I znowu zagrała w nim nienasycona miłość namiętna, ogarnęła, zdeptała wspomnienia - zakrólowała sama!..

Niebawem Dzierżymirscy odszukali swą willę, już ciemną całkiem i uśpioną, a błędząc chwilę po pustych korytarzach, dotarli nareszcie do dużego pokoju z balkonem, który zajmowali tu na pierwszym piętrze.

Kroki zapóźnionych przybyszów zmąciły ciszę willi, skrzyp drzwi zgrzytnął fałszywym dźwiękiem w ogólnej harmonii powszechnego milczenia.

W pokoju okna były otwarte, i panowało w nim powietrze rzeźkie, świeże, od gór płynące. Wchłaniając je z lubością, Dzierżymirscy poczęli gospodarzyć u siebie. Roman po chwili wziął się do zamykania okien, Ola zaś, zapalwszy światło, zdjęła kapelusz i wolno poczęła się rozbierać.

Lecz oto nagle podskoczyli oboje. W zupełnej bowiem ciszy uśpionego domu, tuż po za ścianą sąsiedniego pokoju, rozległy się silne uderzenia. Ktoś bez ceremonii walił w mur pięściami, chcąc widocznie zamanifestować swoją tam obecność, a zarówno i fakt że, hałasując, spać mu przeszkadzano.

Wkrótce jednak rozjątrzone uderzenia ustały i posypała się garść nieestetycznych, wyrażonych głośno i ze złością epitetów.

Tyle było bezwiednego komizmu w stukaniu tem i w poirytowanym głosie, zaspanym jeszcze, że Dzierżymirscy roześmieli się wspólnie i szczerze.

- To ta słodziutko-grzeczna rozwódka, podstarzała, pseudo - wielka pani, elegantka, wiesz .. co to przy obiedzie, siedzi koło nas - objaśniła półgłosem Ola - (w szwajcarskich hotelach-willach, zwanych "pensions," obiadują wszyscy razem).

- Tak?.. - zdziwił się Roman - nie wiedziałem... A to oryginał baba, naturalnie, nie przypuszcza zapewne, iż my tu mieszkamy... Złapała się... Jak to jednak i pozory fałszywej układności zdradzają częstokroć to zwierzę, ukryte w człowieku - filozoficznie dorzucił. - Ale, ale... - ciągnął dalej, z uśmiechem - wyobraź sobie, Oluniu... Zapomniałem ci powiedzieć. Tu, na górze nad nami - wskazał sufit palcem i roześmiał się - mieszka drugie dziwadło: Pamiętasz... ta mała, nasze vis-a-vis, żółta stara panna... Otóż wynajmuje ona aż pięć pokoi próżnych naokoło siebie, a wiesz dlaczego? - Tu Roman po raz drugi głośniej jeszcze parsknął śmiechem. - Żeby jej w nocy nie hałasowano! Mądrzejsza od naszej sąsiadki, co?...

Ola zaśmiała się z kolei srebrzyście. Słuchając męża, zdjęła właśnie przed chwilą suknię, i siadała obecnie przed lustrem, z obnażoną szyją i ramionami. Pragnąc rozczesać włosy, przechyliła się w tył i poczęła rozwiązywać je leniwym ruchem rąk.

- Poczekaj - rzucił żywo Dzierżymirscy - damy tej babie odpowiedź muzyką całusów!.. Przypomni sobie może luba rozwódka małżonka!.. Ha-haha, a to się wściekać dopiero będzie!..

I swawolnie, ze śmiechem, Roman przyłgął wargami do ramion Oli, i począł całować je głośno, cmokając z lubością.

- Ohe!.. la - bas!.. On dort ici!.. - rozległ się po chwili za ścianą gardłowy, świszczący głos, pełen nienawiści i jadu.

- Buch! buch! buch! - rozległy się znów w pasyi uderzenia o mur wściekłe.

Ola śmiała się serdecznie, Roman nie przestawał całować zamasyście.

- Dostyc już, dostyc! - szepnęła młoda kobieta, z trudnością hamując wesołość, - proszę mi wynosić się teraz - szepnęła w ślad za tem, z pieszczotą w głosie. - Idź na balkon! - dodała, i przechyliwszy wysoko giętką swą szyję na poręcz krzesła, podała Romanowi do pocałunku rozchylone swe wargi zalotnie patrząc nań z pod długich rzęs...

Cudną i wdzięczną swych linii harmonią, biust kobiecy przemknął ponętnie w tym ruchu falistym przed rozkochanym wzrokiem mężczyzny.

Dotknął ustami ust i z wezbraną miłością w sercu wyszedł na balkon.

Tu zapalił cygaru i znowu wchłonął w siebie pełnym, szerokim oddechem, orzeźwiająca atmosferę cichej szwajcarskiej nocy. Spojrzał w dół. U stóp jego szkliło się w dali tam i ówdzie srebrem rozświetnione jezioro. Do powierzchni jego pieszczotliwie tuliły się jeszcze gdzieś tam ostatnie mgiełki, błakające się zazwyczaj dzień cały, od rana, po Lemanie, i wespol z białymi mewami muskające stale grzbiety jego fal.

Księżyc już był bardzo wysoko. Snopami światła dotykał teraz grzbietów gór, mienił się fosforycznie na wierzchołkach dalekich śnieżnych szczytów.

A tam, w dole, zadumane, ciche usypiało miasto... Jedne po drugich, jak iskry dopalającego się płomienia, ogniki - gasły w domostwach Vevey światelka, kolejno - stopniowo nikły...

Dzierżymirski, z zadowoleniem, wciągał wciąż w piersi zdrowy powiew, płynący z dali, wypuszczając zarazem z ust małe obłoczki niebieskawego dymu.

Obecnie - chwilowo, był on zupełnie szczęśliwym! Tu, w zacisznym gór zakątku, czuł on podwójnie, jako swoją wyłączną własność ubóstwianą kobietę, kochał ją zdwojonym sił żywotnych zapasem, a czując równocześnie wzajemność jej ku sobie nieklamana, nurzał się w uczuciu tem, z rozkoszą pływaka, rzeźko wśród rozświetlonych wód wesołych płynącego w dal radosnego jutra! Wizye przykre zniknęły zupełnie, robak wewnętrzny, toczący ducha Romana, przestał go dręczyć na chwilę... Dawką miłości ukołysane sumienie - spało.

- Romciu!.. Romeczku!.. - usłyszał naraz Dzierżymirski pieszczot obietnic pełny, wołający go głos kobiety.

- Idę... idę! - odparł pośpiesznie i rzuciwszy cygaro, przestąpił próg balkonu.

Światło w pokoju zgaszonym już było. Tajemnicze natomiast błękitno-srebrne księżycowe fale zalewały komnatkę, a w półświatle tem majaczyła postać Oli i białe alabastrowe jej ramiona.

Dzierżymirski, wchodząc, chciał przytknąć za sobą obite szarem suknem balkonowe okiennice.

- O, nie... nie zamykaj !.. Tak ładnie księżyc świeci, tak ślicznie!.. - posłyszał w tejże samej chwili prośbę Oli. Roman usłuchał, a zamknąwszy tylko szczelnie okienne ramy balkonu, skierował się szybko w głąb pokoju.

\*\*\*

Jeszcze we mgłach wczesnego poranku drzemały góry, jezioro i niezbudzone, senne miasto Vevey, gdy do drzwi pokoju Dzierżymirskich zapukał ktoś dyskretnie.

Roman, który obserwował właśnie przez okna mglisty krajobraz, na ten odgłos zerwał się pośpiesznie. Odziawszy się szybko, nie pytając przez drzwi głośno, kto zacz, by nie zbudzić Oli, skierował się ku wyjściu z komnaty... Otworzył drzwi cicho...

- Bonjour, monsieur! - pozdrowiła go, przeciągając śpiewnie, wpółubrana, uśmiechnięta wstydliwie, młoda Szwajcarka, i podała jakiś papier.

- Co to jest? - z cicha pytając rzucił po francusku.

- Telegram! - brzmiała odpowiedź.

- A... dziękuję - odparł Roman i zamknął drzwi. Niepokój wyraźny odbił się na wyrazistym obliczu jego; cichutko podbiegł na palcach do okna i gorączkowo rozwinął ćwiartkę papieru.

Stłumiony gwałtem okrzyk zabrzmiał w pokoju przyciszonym echem, i telegram z ręki Romana upadł mu na posadzkę. Poprzez szyby balkonu Dzierżymirski spojrzał błędnym wzrokiem przed siebie.

Tam, gdzieś w oddali, poza wierzchołkami gór, zaróżowiło się coś niewyraźnie, płonęło... W mgłach tajemniczych zniknął cały wczorajszy krajobraz, a poza niewidzialnymi tylko szczytami Alp, pokrytymi jakby woalem, gdzieś, daleko, - zakryta wstydliwie, wschodziła snąc jutrzeńka...

Roman, błąd jak płótno, przeniósł wzrok swój w przeciwną stronę komnaty. Uśmiechnięta, cicha spała tam Ola... Z pod lekkiej koldry wysunęła się jej główka urocza, rzęsy długie kładły swe cienie na rumianą twarzyczkę, usteczka ponętne z koralu marzącym, od rzeczywistości dalekim, rozchyłały się uśmiechem...

Dzierżymirski patrzył wciąż na nią, z czułością współczuciem, bólem...

- Biedna!.. biedna!.. - wyszeptał - Biedna!.. powtórzył ciszej jeszcze. Bolesne skrzywienie przemknęło mu po ustach, i odwróciwszy twarz, - nieruchomy, oparł się w zadumie o szyby okien balkonu.

-----

Babie lato snuło swą przedzę... Czepiało się na zagonach poruszonej świeżo czarnoziemnej gleby; łaskotało nozdrza siwych wołów, w trzy pary leniwie sunących u pługów, obmotywało się swawolnie wokoło ich przepysznie rozrostłych rogów i biegło dalej, unoszone wietrzykiem, by przytulić się do rozgorzałej w słońcu czerwieni i złotem ściany borów, do samotnych grusz polowych i zgarbionych strzech ukraińskich chat, a zagładając po drodze w ukołysane jesienną ciszą jary - ginęło gdzieś w stepie dalekim, splatając tam ze sobą uściskiem trawy, bodjaki i polne kwiecie - pracowicie przedząc wszędy ustawiczną nić swą białą.

Drogą do Gowartowa, galopem, co koń wyskoczy, pędziła czwórka koni, unosząc w tumanie iskrzącej się od słońca kurzawy powóz, a w nim dwie osoby. Pierwszą z nich był ksiądz proboszcz, z pobliskiego miasteczka, drugą - Krasnostawski.

Jak huragan, minawszy pochyloną garstkę ludzi, kopiących w pobliżu łąn buraków, oraz cmentarzyk wiejski, cichy, pełen uroku - pojazd wpadł do sióła. Z zagród chłopskich wyskoczyły psy i szczekać poczęły zajadle; wystraszone dzieciaki, o płowych, prawie białych, włosach, rzuciły się, uciekając w popłochu, a przedzące konopie wieśniaczki, w barwnych swych strojach, chustkach i wyszywanych koszulach, stawały zdziwione, przeprowadzając migający pędem pojazd niespokojnym okiem.

Zzianą, okryta potem czwórka koni, zwolniła wreszcie biegu, i stępa, wolniutko, ostrożnie spuszczać się zaczęła z pagórka na wiejską groblę.

- Czy księdza dobrodzieja nie znużyła nasza tak prędką jazda?.. Cóż robić jednak, kiedy inaczej nie zdążylibyśmy może... - odezwał się Krasnostawski, korzystając z mniejszego pędu powietrza.

Barczysty ksiądz, o inteligentnym wejrzeniu dużych czarnych oczu i brwiach kruczych, odbijających wyraziście od białych włosów, wymykających mu się spod kapelusza, obruszył się na to pytanie.

- Ale, cóż znowu!.. - odparł. - Oby tylko ten zacny pan January dożył błogosławionej chwili i mógł pojednać się z Bogiem!..

Umilkł ksiądz, i niebawem z pobożnym westchnieniem, dorzucił:

- O to ostatnie właśnie od czasu, gdy jedziemy, myśl mą ku Najwyższemu wznoszę... Może jej usłuchać raczy!..

- Doktor mówił, że z godzin trzy pożyje - odparł Krasnostawski, a wyjmując zegarek, rzekł jeszcze: - Od chwili tej minęło dwie godziny...

- Ach, ci lekarze! - machnął ręką ksiądz stary - cóż tam ostatecznie wiedzieć oni mogą - wszak wszystko w ręku Stwórcy-Pana! Ja, na przykład, pewnego razu byłem już konającym, a jednak, po przyjęciu Przenajświętszego Sakramentu i Olejów Świętych - wyzdrowiałem...

Umilkli. Ksiądz zaś po chwili, widząc, że furman wciąż jedzie stępa, zauważył:

- Ale może byśmy znów pojechali nieco prędzej, nieprawdaż?

- Naturalnie, niech minie tylko most i groblę - odrzekł Krasnostawski.

U stóp ich szumiało w tej chwili koło u młyna, pryskająca odeń wodna piana szeroko rozlewała się na senną taflę dużego stawu, w której przeglądały się poźółkłe szczyty gowartowskiego parku.

Za groblą znowu ruszyli galopem, i niebawem, wyminąwszy jeszcze część wsi, zajechali przed ganek pałacu. Na spotkanie wybiegł stary lokaj, klucznica i kilku domowników.

W ciszy, przerywanej tylko parsaniem i sapaniem spienionej zziąjanej czwórki koni, z lękiem, na stopniach kocza, Krasnostawski zapytał głośnym szeptem:

- Żyje?..

- Żyje !.. Żyje !.. - odparli wszyscy chórem, lokaj zaś natychmiast dorzucił:

- Chwała Bogu na wysokościach... Pan doktor powiedział, że może i do jutra rana...

- A gdzie pan doktor? - pytał dalej Krasnostawski.

- A ot, tylko co patrzeć, jak odjechał.. Pono do Karolówki, bo tam młodsza jaśnie pani niezdrowa...

- Niezdrowa!.. - obruszył się plenipotent. - Tu przecież konający w domu, mógł chyba zostać jeszcze! - dorzucił gniewnie, zły na widoczną obojętność wiejskiego eskulapa. Obejrzał się.

Ksiądz z nim przybyły wysiadał właśnie z powozu, poprzedzany towarzyszącym mu chłopaczkiem... Rozległ się wkrótce dźwięk uroczysty kościelnego dzwonka - w progi pałacu wstępował Syn Boży, utajony w Przenajświętszym Sakramencie...

W parę minut później, do pokoju chorego już wchodził ksiądz; idący w ślad za nim Krasnostawski został na progu i spojrzał w głąb sypialni chorego.

Na łóżku zamajaczyła mu blada, już nie z tego prawie świata, sędziwa twarz pana Januarego. Drzwi zamknięto jednak w tej chwili - Krasnostawski cofnął się dyskretnie i począł przechadzać się wielkimi krokami po pokoju.

Od czasu powrotu z podróży swej do miasta, na nim jednym prawie spoczywało wszystko. Przepędzał noce całe u chorego, doglądał go osobiście, wzywał lekarzy, konsylia.

Dziś, widząc, iż już koniec nieodwołalny się zbliża, a śmierci widmo błąka u progów pałacu, znaglony, pojechał po księdza, dnia poprzedniego już, cięty przecuciem, zatelegrafowawszy o nieszczęściu do marszałkowej, Ładyżyńskiego oraz do dawnego kolegi swego, Tarnopolskiego.

Od tego ostatniego bowiem odebrał list isticie enigmatyczny, w którym proszono go usilnie, by doniósł szczegółowo o wszystkim, co się dzieje w Gowartowie.

Zanadto przyrodzonego sprytu posiadał w sobie Krasnostawski, by nie odgadnąć, że poza kolegą jego, Tarnopolskim, ukrywa się ktoś inny, zainteresowany bardzo. Domyślił się, iż był nim prawdopodobnie dobry znajomy tegoż, Dzierżymirski, i dlatego nie ominął wyżej wzmiankowanego Tarnopolskiego, również donosząc mu, że Gowartowski umiera.

Smutny i blady, w przechadzce swej po pokoju, przystanął nagle Krasnostawski, posłyszał bowiem w tej właśnie chwili głosy i szepty w przyległej komnacie chorego.

- Spowiada się... - rzekł do siebie, i zbliżywszy się do okna, spojrzał w zadumie.

Tak samo, jak codzień, podlewano dzisiaj pod zbliżający się wieczór klomby kwiatów, tak samo zniżające się już słońce słało cienie na aleje parku, na staw, porozrzucane w ogrodzie ławki, na chaty sioła, i step w perspektywie.

- I tak samo będzie jutro, pojutrze - zawsze! Tak samo słońce i wszystko weselić się będzie, nic porządku swego nie zmieni, choć dusza tego zakątka uleci w zaświaty!.. - szeptał Krasnostawski, i rzuciwszy się na fotel, podparł rękami głowę, a myśli goniąc się przelatywały mu po głowie.

- O, jakże okrutną jest śmierć! - myślał. - Jak pełną zagadki niezwalczonej potęgi, przed którą tylko w pokorze chylić musimy milcząco czoła!

I nic kamiennego jej serca nie wzruszy, nic nie zatrzyma - ona w swej nieublaganej godzinie przyjść musi !..

- Straszne, straszne!.. - szepnął znów do siebie pochylony mężczyzna. - Tem straszniejsze, iż niezrozumiałe, nieujęte rozumem ludzkim, zawsze, zda się, nowe, choć prawieczne w sobie; zawsze tak samo niedościgłe, niezmiennie na wszelkie pytania odpowiadające sfinksa zagadką...

- I mnie to kiedyś przecie spotka, wszak i ja umrę!.. - rzekł głośno do siebie Krasnostawski. - A potem ?.. - szepnął z trwogą.

I z pytaniem tem na ustach utkwiał wzrok błędny we drzwi sąsiedniego pokoju...

Drzwi te tymczasem roztwarły się cicho i na progu ukazała się, natchniona w tej chwili jakby twarz księdza i postać jego wyniosła. Krasnostawski, zbudzony ze swych myśli ponurych, żywo podbiegł ku niemu.

- Cóż, księżu proboszczu? - zapytał.

- Wszystko dobrze... Zbratała się dusza jego z Panem... - odparł tenże z powagą.

- Ale? ale, czy ksiądz dobrodziej nie uważał przypadkiem?... To jest... - plątał się Krasnostawski - powiedzieć chciałem, czy choremu przypadkiem nie lepiej?...

- Ha, Bóg wiedzieć raczy... Nam pozostaje pogodzić się tylko z Jego Najwyższą Wolą!.. - tym samym tonem odrzekł sługa Pański.

- Zapewne!.. - bąknął Krasnostawski. Zapanowało chwilę ciężkie, ołowiane milczenie. - Ach, ale przepraszam najmocniej księdza dobrodziej - uprzejmie przerwał pierwszy młody człowiek - w tej chwili podwieczorek podać każe, ksiądz dobrodziej utrudzony drogą, głodny zapewne!... - i Krasnostawski ku drzwiom się skierował pośpiesznie.

- Nie, dziękuję ci, panie Bolesławie! Jechać muszę...

- Już? - zdziwił się młody plenipotent.

- A tak, serce, jutro odpust u mnie, roboty huk!.. Każ zaprzęgać, jeśli łaska, a ja tymczasem w ogrodzie poczekam i modlitwy swe przedwieczorne odmówię.

- W tej chwili służę księdzu dobrodziejowi... - rzucił w półukłonie Krasnostawski i znikł za drzwiami.

Ksiądz zająrzył jeszcze do chorego; pozostawiony na opiece staruszki-klucznicy, z pogodą na obliczu swem dziwną leżał on spokojnie.

Widząc to, proboszcz wyszedł.

Z dobry kwadrans migała wysoka, czarna sylwetka jego na tle zieleni, po wygracowanych starannie alejach parku, poczem w pobliżu modlącego się w skupieniu księdza pojawił się Krasnostawski.

Zaturkotało jednocześnie... Z uszanowaniem przez wszystkich odprowadzony, proboszcz wsiadł niebawem do powozu. W parę minut później pojazd, unoszący go, znikł za wjazdową bramą pałacu...

Stojący na ganku Krasnostawski poruszył się machinalnie i przez milczące pałacowe komnaty skierował do pokoju pana Januarego.

- Cóż? jakże?.. - zapytał zapłakanej staruszki, siedzącej koło łóża chorego.

- Teraz... leży niby spokojnie - wyjąkała cicho.

- No, to proszę iść odpocząć, ja zostanę i dam znać, gdy zajdzie tego potrzeba - stanowczo odezwał się Krasnostawski.

Po opieraniu się dłuższem, staruszka, znużona i senna wysunęła się z pokoju, Krasnostawski zaś, podszedłszy do fotelu, stojącego przy łóżku, usiadł ciężko.

Cisza martwa zagościła w komnacie... Gowartowski, oddychając niepostrzeżenie lekko, spokojny, leżał wciąż nieruchomo; znużeni domownicy rozpierzchli się, każdy do swego zakątka i odgłos żadny nie dochodził tutaj, tylko poprzez zapuszczone firanki oraz story rzucało swe jaskrawe blaski zniżające się już słońce...

Krasnostawski, zmęczony życiem ostatnich dni kilku, zamyślił się głęboko, fizycznie wypoczywając zarazem.

Od czasu do czasu spojrzenie przenosił na starca, poczem zapadał znów w zadumę, połączoną z nieokreśloną apatią, gniotącą go swym ciężarem, z poczuciem bezradności, w obliczu zbliżającej się nie odwołalnie, kroczącej śmiało śmierci!

Minęło w ten sposób dwie godziny.

Na ciemne żaluzje u okien padały teraz prostopadle dogasającą czerwoną luną ostatnie zachodu promienie, majaczyły ognikami krwawymi po posadzce i ścianach, a spoza parku, z oddali, niewyraźnie jakieś dla ucha dochodziły odgłosy...

To pracowity, znoyny kończył się gdzieś tam, po polach i siołach pogodny dzień jesieni; to, śpiewając chórem smętną ukraińską dumkę - wracały po pracy dziewczęta i młodycy, z buraczanych łąnów, gromadą...

Nagle Krasnostawski, z przymkniętymi oczyma w fotelu swym zagłębiony, ocknął się, drgnąwszy na całym ciele nerwowo. Spojrzył na chorego...

Usta pana Januarego szeptały coś niewyraźnie, poruszały się szybko - wreszcie uniósł się on na poduszkach i wzrokiem błędnym spojrzał wokoło.

Krasnostawski już był się zerwał i stał teraz koło łóżka blisko.

- Kto to jest?.. Kto to?.. - wyszeptał chory, z trudnością.

- To ja, Krasnostawski, Kra-sno-staw-ski - powtórzył dobitnie.

- A, a... to dobrze... dobrze... - pan January zaczerpnął płucami powietrza i po chwili zupełnie już przytomnie przemówił łamanym, cichym głosem:

-Mój panie Bolesławie, odsłoń, proszę cię, okno, choć jedno... Tak tu ciemno...

Krasnostawski, usłuchawszy natychmiast zlecenia, podniósł roletę.

Słońce już było zaszło. W pierwszych uściskach nadchodzącego zmierzchu stały cicho półobnażone drzewa parku,

przeplatane gdzieś czerwienią, słały się aleje żółtawym od opadłych liście kobiercem - bieleły niewyraźnie w dali zagrody sioła, ciemniały jego osady, senna i mroczna świeciła tafla stawu.

Krasnostawski, odwróciwszy się od okna, spotkał smutny, pełen tęsknoty wzrok starca, utkwiony w roztaczający się poza oknem krajobraz.

Do łóżka zbliżył się pośpiesznie.

- Dziękuję ci... mój kochany... pani Bolesławie... dziękuję - odetchnął Gowartowski i dokończył ciszej:

- Ostatni to raz... ostatni widzę to wszystko! - uczynił ręką ruch słaby, a wskazujący widok otulonego mrokiem sioła i pól szerokich.

- Dlaczego? - podchwycił szybko Krasnostawski, - uważam właśnie, że głos pański ma dziwnie zdrowe brzmienie - da Bóg, będzie lepiej...

- Och... nie! Nie będzie lepiej - westchnął pan January - nie będzie... to tylko na chwilę...

Znów przestał, i zaczerpnąwszy powietrza, ciągnął dalej, uczyniwszy jednocześnie prawą ręką ruch zniechęcenia pełny.

- Ja czuję, widzę, że koniec, śmierć się zbliża... Nic mi już nie pomoże - wola Boska!.. - znów przerwał... w minutę zaś mówił:

- Właśnie... właśnie powiedzcie coś chciałem tobie... kochany panie Bolesławie... usiądź... - i pan January wskazał swą woskowo - żółtą ręką taborecik.

Krasnostawski usłuchał.

- Poczekaj chwilę... odpocznę... - wyszeptał osłabiony bardzo. Oparł głowę o poduszki i oddychać począł ciężko, na bladej zaś twarzy jego zakwitł i zgasł niebawem rumieniec nikły.

Krasnostawski wyczekiwał, milcząc.

- Może podać panu co do picia? - zapytał po chwili.

Przeczący ruch ręki był całą odpowiedzią pana Januarego. W dziesięć zaś może minut później głosem słabym, przerywanym co chwila ciężkim oddechem, przemówił cicho :

- Tyś dobry... ty jeden... tak, jeden, jedyny, coś mnie nie opuścił... Uczynili to wszyscy: siostra, Ładyżyński, córka... - spuścił głowę i umilkł, a dwie lzy duże, perliste zabłyśły w jego niebieskich, przybladłych źrenicach i stoczyły się z wolna po wychudłej twarzy. Po chwili ciągnął znowu:

- Źle uczyniła Ola, źle bardzo... Nie poniewiera się tak rodzicem, nie depce się tak przywiązania ojca... nie, nie, po stokroć razy nie!... - powtórzył z mocą w osłabłym głosie, i z tą skargą na ustach przeciw dziecku ostatnią, upadł na poduszki w znużeniu, jak ściana bladej.

Krasnostawski, ze współczuciem, ujął rękę starca w dłoń prawą, a gdy Gowartowski ponownie uniósł się na posłaniu, opiekuńczo i silnie podparł, podtrzymał swem lewym ramieniem jego ciało wychudłe.

- Dziękuję ci, bardzo dziękuję!.. - wyszeptał pan January i mówić począł dalej, głośniejszo, lecz ochryłym już od zmęczenia i wysiłku głosem :

- Ale nie o tem mówić chciałem, nie o tem! Przeciwnie... - znów zamilkł sekund kilka.

- Przeciwnie - powtórzył - ja Oli przebaczam, majątek cały zapisałem jej wyłącznie, tylko... tu zatrzymał się starzec dłużej nieco, jakby w ostatnim wysiłku trudno mu było jasno wyrazić myśl swoją - tylko - ciągnął - że testamentów jest dwa: jeden u notaryusza, złożony dawno, na korzyść Oli... drugi... na jej niekorzyść...

Umilkł znów Gowartowski bladej i zmęczony, a po chwili kończył:

- Ten ostatni, późniejszy, napisałem w chwili nierozumnego gniewu... Jest w moim biurku, szuflada lewa, na wierzchu... Podrę go!..

Tu pan January, oswobodziwszy się od podtrzymującego go ramienia Krasnostawskiego, opadł na poduszki wycieńczony.

- Czy przynieść mam ten testament? - poddał Krasnostawski.

Ojciec Oli Dzierżymirskiej przyzwalając skinął głową i słabym ruchem ręki poruszył kluczyk od szufladki stojącego obok łoża stoliczka.

Krasnostawski zrozumiał. Wysunął szybko szufladę, wziął stamtąd pęk kluczy i oddalił się cicho.

Blady, oddychając ciężko, w oczekiwaniu młodego człowieka, odpoczywał Gowartowski... W ciszy głuchej minęło z dziesięć minut. Na progu wreszcie ukazał się Krasnostawski, trzymając w ręku dużą kopertę.

Na jego widok pan January gorączkowo, o własnych siłach, uniósł się na posłaniu i wyciągnął rękę po testament.

- Dziękuję... - wyszeptał.

Odebrawszy zaś od Krasnostawskiego kopertę, otworzył ją drżącą ręką, wyjął arkusz papieru, znajdujący się tam i rozerwał z wolna na cztery części. Potem włożył na powrót do koperty zniszczony test, a zwróciwszy się do Krasnostawskiego, głosem dziwnie dźwięcznym, stanowczym, wymówił:

- Oddasz to jej... Oli - i umilkł, opadłszy znowu na poduszki.

Młody plenipotent machinalnie wziął kopertę schował ją do kieszeni surduta. Wpatrzony w starca, na którego twarzy igrał w tej chwili jakiś pełny dobroci uśmiech, blady, tkliwy - milczał wzruszony, a dwie łzy nieposłuszne zakręciły mu się w oczach.

Głosem cichym, jakby dogasającym, mówił tymczasem jeszcze pan January:

- Nie zapomnij oddać... Pamiętaj!.. - urwał, a po chwili:

- Powiedz... także Oli... że przebaczam... jej... i... jemu!..- dokończył z trudnością, w wysiłku ostatnim i z wypiekami na twarzy, trupio blady, umilkł...

Pałaca się u obrazu Matki Boskiej nad łóżkiem, z czerwonego szkła, lampka rzuciła w tej chwili promień jasny na oblicze starca...

W zmierzchu idącego wieczora twarz Gowartowskiego zajaśniała jakimś nadziejskim jakby wyrazem szlachetnej dobroci... Krasnostawski jednocześnie poprawił poduszki u łóżka i pochylił się nad chorym, zdało mu się bowiem, iż tenże porusza ustami.

Rzeczywiście. Niedosłyszalnym, urywanym szeptem młody człowiek posłyszał jeszcze:

- Dziękuję... tyś dobry!.. Mówić już... więcej... nie... mogę...

Poruszony słowami chorego starca, zdenerwowany, wzruszony odstąpił od łóżka Krasnostawski i przygnębiony, usiadł w fotelu.

Minęło z dziesięć minut.

Widząc, że chory leży teraz zupełnie już cicho, młody człowiek po chwili powstał, posłuchał oddechu jego, poczem wysunął się cichutko z pokoju. Dusilo go coś w gardle...

W sąsiednich komnatkach pusto było całkiem i szaro już zupełnie. Mrok wieczora wciskał się do pałacu coraz natarczywszy, wszędzie, samotny, cichy, smutny. Krasnostawski bez hałasu otworzył podwoje balkonu i wyszedł na werandę, spragniony odetchnąć świeższym powietrzem...

Oparł się o balustradę, chłodzić począł rozpalone czoło zimnym powiewem jesiennej wieczora i stał tak nieruchomy dość długo, ogłupiały jakby na razie, bezmyślny...

Nagle milczenie pogrążającego się coraz bardziej w mroki domu i parku, przerwał jednostajny donośny, odgłos dzwonu w pobliżu. To codziennym, panującym w Gowartowie, zwyczajem, zwoływana służbę na wieczorną kolację.

Krasnostawski się ocknął, a jednocześnie poczuł pragnienie i głód.

Wrócił do komnaty, zamknął drzwi oszklone od werandy, a napotkawszy po drodze jakąś pozostawioną świecę, zapalił ją pośpiesznie i na palcach skierował się poprzez kilka komnat do jadalnej sali. Dobę całą Krasnostawski nic, prócz kilku szklanek herbaty, w ustach nie miał - młody organizm dopominał się o swoje prawa.

W kredensie znalazł pochowane zimne mięsiwa i chleb razowy; posilił się, popił wodą i przez puste komnaty znowu skierował się do pokoju Gowartowskiego.

Tu już zupełne panowały ciemności. Krasnostawski zapalił lampkę, przykrył ją abazurem i spojrzał na chorego.

Leżał w tej samej pozycji, tak samo spokojny, oddychając lekko, cicho, bledszy tylko, żółtszy jakby... I w jednym również zaszła, zmiana nagła.

Oto ręce pana Januarygo wykonywały po kódrze jakieś niewyraźne i dziwne ruchy, jakby szukały czegoś, szczypały powierzchnię sukna, zatrzymywały się chwilę, i znów rytmiczne poruszały się z wolna, jednostajnie...

Krasnostawski, postawszy czas jakiś, zbliżył się do stolika, wzięwszy do ręki machinalnie stojące tam lekarstwo. Spojrzał na receptę. Przeczytawszy zaś, westchnął.

Były to leki zwykle, przepisywane dogorywającym...

- Czyżby naprawdę tak źle już było? - szepnął do siebie młodzieniec - tak przytomnym był jednak przed chwilą!.. E!.. może Bóg da... pocieszając się - dokończył głośno.

Tymczasem zmęczenie fizyczne i moralne waliło wprost z nóg Krasnostawskiego.

Zbliżył się chwiejny do fotelu. Usiadł i po kilkakrotnie ziewnął mimo woli nerwowo. Po chwili jednak energicznie wstrząsnął się...

- Ooo... jakże mi się spać chce!.. - mruknął i ponownie ziewnął przeciągle z cicha.

- Ale nie można... nie można!.. - szepnął znów do siebie przekonywająco i sięgnął po stojącą opodal flaszkę kolońskiej

wody.

Przetarł sobie skronie, powąchał, poczem napił się zimnej wody ze szklanki, i jak mu się zdawało, zupełnie obecnie rzeźki, zagłębił się w fotelu.

Tymczasem minęło minut dziesięć zaledwie, gdy młody pan plenipotent spał już na dobre, pochrapując nawet z lekka czasami.

Sen zwyciężył... Milczenie i spokój jakiś złowrogi zapanowały w komnacie.

A zewnątrz pałacu tymczasem noc z wolna i stopniowo królować zaczęła.

Na ciemnym tle nieba zamrugały wkrótce gwiazdy, od pół wionął wietrzyk i cichym żółkniejących liści pogwarem zaszumiał nad domem park stary.

Wewnątrz zaś dworu usnęli wszyscy... Milczały tu wszystkie kąty, a w oddzielonej kilkoma komnatami jadalnej sali dochodził tylko regularny odgłos staroświeckiego zegara, który brzdąkał i tykał i bił przeciągle godziny jedna za drugą.

Nagle w głuchej ciszy sypialni pana Januarego rozległo się początkowo słabsze, niebawem coraz silniejsze charczenie. To chory starzec już konał...

Za łożem, w półświatle komnaty, niewidzialna dla oka ludzkiego, stanęła śmierć, lepu swego chciwa - jęki zgłuszone umierającego dziesięciokrotnem echem wstrząsnęły ciszą domu...

Coś zbudziło Krasnostawskiego. Co? - sam nie wiedział na razie. Zerwał się z fotelu, oczy przetarł i spojrzął na pogrążone w cieniu łoże. Zdrętwiał nagle i włosy dębem stanęły mu na głowie.

Z oczyma, wywróconemi po białka źrenic, postawionemi w słup, nieprzytomny, z ustami otworzonymi, żółtkły, zzieleniały - straszny, jęczał starzec, łapał powietrze, stękał żałośnie - charczał złowrogo...

Krasnostawski zrozumiał, lecz znieruchomiał na razie do tego stopnia, że nie był w stanie poruszyć się z miejsca.. Po raz pierwszy w życiu znajdował się wobec konającego człowieka, patrzył więc bezprzytomny prawie i błędny nieustannie na Gowartowskiego... Drżał przy tem na całym ciele, chwyciło go coś za gardło, przykuwało do miejsca, do ziemi.

Równocześnie przygnębiająca cisza gniotła mu piersi ciężarem, konające drgnienia i jęki umierającego, niby ostrzem ze stali krajały niemiłosiernie wyprężone nerwy, a zarazem lęk niewytłumaczony, dziwny, zatrzęsł nim.

Więc to śmierć!.. śmierć idzie już, przybliżyła się, okropna, bezzębna, oto jej szkielet sunie obok, mija go!.. Zbliżyła się teraz obojętna do łoża... nachyla nad konającym...

- Ha-ha-ha!.. ha-ha-ha!.. ha-ha-ha!.. - wstrząsa ścianami pokoju - oto śmiech jej straszny!.. Rzęzenie konającego odpowiada mu echem coraz przeraźliwiej, głośniej... Ponuro jęczy on, skarży się, miota !..

- Boże!.. Boże!.. Co... to? Co... to? - krzyknął Krasnostawski, schwycił się za głowę, zadygotał raz jeszcze i porwawszy ze stołu dzwonek - wybiegł.

W milczeniu powszechnego uśpienia rozległ się niebawem rozpaczliwy dźwięk pokojowego dzwonka, wstrząsnął murami !..

Gowartowski tymczasem czynić począł teraz rękami jakieś szalone ruchy, gwałtownie odpędzał coś, bronił się przed kimś, jęczał jeszcze donośniej, chwycił powietrze, bezustannie charczał..

Bieganie napełniło niebawem dom cały. Garstka domowników i służby w kilka chwil później napełniła pokój dogorywającego człowieka. Ostatnia przyszła staruszka, klucznica, z gromnicą w ręku.

Żałobną świecę zapalono pośpiesznie i uklękli wszyscy. Krasnostawski przy samym łożu, trzymając w dłoni rękę pana Januarego.

Chłodziła mu ona w palcach coraz bardziej; stopniowo, powoli, charczenie, jęki, również ustawały, ucichły wreszcie...

Skupione milczenie komnaty, zamagnetyzowane wyczekiwaniem, trwogą, przerwał szelest, dla ucha prawie niedosłyszalny. Ostatnie w tej chwili ziemskie westchnienie człowiecze ulatywało z piersi starca - mknęło w zaświaty...

- Skończył... - szepnął Krasnostawski. Wśród klęczących rozległ się płacz... Gdzieniegdzie płomyk zapalanej gromnicy oświetlił ponuro żółtawą plamą ściany, sprzęty i szyby komnaty, drgać zaczął błyskotliwy po twarzach klęczących ludzi.

Poczęto się żegnać pobożnie...

Wspólna, cicha, a pełna głębokiej wiary prostych dusz modlitwa, z wolą Najwyższego godząca się, pokorna, napełniła mury pokoju, i aż do stóp Stwórcy-Pana uleciała skrzydlata - wzniosła się tam, gdzieś wysoko, w ślad za zagadkową drogą duszy zmarłego, jakby mu niebo otworzyć pragnęła.

Pokraśniałe, czerwono-złote dzikiego wina liście, pnące się po białych ścianach gowartowskiego dworu, zaglądają przez otwarte okno do małego gabinetu, obitego kirem, a ruszane z lekka wietrzykiem, kołyszą się w promieniach jesiennego słońca, powiew zaś zefiru delikatnym dreszczem przebiega również po rzędzie żółtawych u świec płomyków, palących się wokoło katafalku, ginącego w zieleni cieplarnianych kwiatów.

Obcisnięty w ubranie czarne, wytworny - pan, nawet tu, za życia progiem, na podwyższeniu leży January Gowartowski...

Zesztywniałe palce jego trzymają kurczowo w dłoni krucyfiks, zaczesany starannie wąs mlecznosiwy, sumiasty, polski, odbija pięknie na białym, jak marmur, obliczu starca, a twarz ta, zadum pełna, pogrążoną być tylko się zdaje w głębokim, cichym śnie.

Kamienny to sen!.. Sen zaświatów, wieczności, zagadki bytu i świadomości prawdopodobnie tego, o co w dumie swej pokorny, rozbić się musi rozum ludzki; sen straszny - obojętny na wszystko dokoła!..

I niczem już są dla niego sprawy tego padołu; niczem troski, cierpienia ziemskie i niepokoje, niczem radośnie igrające po pokoju słońce - niczem wreszcie boleść i smutek klęczącej u stóp katafalku, sędziwej kobiety-siostry!..

Przybyła w przeddzień marszałkowa Warnicka, drzącemi, zbieletemi usty szepcze teraz modlitwy, z ócz jej zmęczonych co minut parę upada łza cicha, a wzrok z boleścią tłumioną wpatruje się w rysy ukochane.

I modli się znów pokorna!..

Lica Gowartowskiego bowiem nic nie mówią zupełnie !.. Spokój i martwość nieziemską wyrzute są na nich, a pogoda tylko jakaś nieuchwytna, cicha, świadczyć się zdaje, że nie czuje on już nic, a w każdym razie, iż docześnie na pewno nie cierpi już wcale.

- Módlcie się, płaczcie... przyjdźcie - odejdźcie... zakopcie w ziemię... Róbcie, co chcecie - wszystko mi jedno!.. - mówią sobą wyraźnie zesztywniałe członki zmarłego.

A tymczasem przez otwarte okno do ciasnego narożnego pokoju wpadają, igrają coraz radośniej promienie słońca, płyną jakieś dalekie z pól pieśni, pogwary - oddalone życiowe echa...

Babiego lata nic wpada tu z wietrzykiem i osiada cicho na bujnej siwej czuprynie zmarłego... W tej samej chwili drzwi od komnatki odmykają się ostrożnie i do pokoju wsuwa się rosły, siwiejący już mężczyzna...

To Ładyżyński. I on, przygnany straszną wieścią choroby groźnej, podążył do przyjaciela lat młodych, przybywszy jednak - za późno.

Twarz jego, zazwyczaj pogodna, ironiczna, wyraża w tej chwili ból nieklamany. Zbliży się milcząco, opatruje płomyki świec, przestawia kwiaty, a poprawiwszy poduszkę - zrzuca z głowy Gowartowskiego swawolną nic jesieni, i ukląkwszy, głowę opiera o katafalk, w bolesnej zadumie.

Mija tak długa chwila.

Poczem drzwi skrzypią znowu, na progu ukazuje się dorodna Krasnostawskiego postać. Objąwszy wzrokiem pokój i znajdujące się w nim osoby, wzdycha ciężko, następnie zaś zbliży się do Ładyżyńskiego i opiera lekko swą rękę na jego ramieniu. Potrząsa niem delikatnie raz, drugi...

Za trzecim dopiero dotknięciem budzi się Ładyżyński z bolesnego zamyślenia i unosi głowę..

- A, to pan? - pyta cicho - cóż to?...

Jakby w odpowiedzi jednocześnie do pokoju wpada wyraźnie oddalony jeszcze nieco dźwięk dzwonek, i zgłuszony gdzieś po sioła drodze, daleki tętent i turkot kół powozu.

I w ślad za tem szeptem na pytanie pana Emila odpowiada Krasnostawski.

- Ze stacyi konie wracają... O ile wzrok mnie nie myli, ktoś jest w faetonie... Zdaje mi się, że to - oni...

Ładyżyński, słuchając go uważnie, już powoli powstał był z klęczek.

- Może szanowny pan dobrodziej będzie tak łaskaw wyjść na ganek - ciągnie dalej Krasnostawski. - Panią marszałkową - tu zniża głos jeszcze bardziej - fatygować nie wypada... Ja zaś pana Dzierżymirskiego nie znam... A tu, do wiadomości zgonu...

- Tak, tak! - przerywa pan Emil, - dobrze, mój panie, idę... Ale prawda - zatrzymuje się - trzeba uprzedzić marszałkową, bo się biedaczka wystraszy.

Ładyżyński pochyła się ku klęczącej pani Melanji i szeptem coś jej przekłada.

Wpółprzytomnie słucha go marszałkowa Warnicka, po chwili zaś wstaje i ze smutkiem bezbrzeżnym, wzdycha kilkakrotnie...

Jednocześnie dwaj mężczyźni wychodzą szybko, oddalony bowiem przed chwilą jeszcze turkot pojazdu wstrząsa już oto murami domu i powóz śnać zajeżdża śpiesznie na dziedziniec. Odgłos dzwonek donośnie przerywa martwą ciszę...

Powóz staje.

A następnie, aż tu, popod stopy umarłego człowieka niewyraźne jakieś zgłuszone dochodzą głosy i szmery...

Nagle, o milczące ściany pałacu obija się krzyk kobiecy bolesny, straszny, oraz stłumiony jeszcze oddaleniem jęk rozpaczliwy. W ślad za tem rozlegają się kroki, coraz szybsze, bliższe, a później już całkiem donośnie tym razem, szelest sukni i łkanie.

Jeszcze chwila...

I cisza pokrytego kirem, tonącego w słońcu i gromnic światła, zakątka, sfinksowy, dumny majestat śmierci brutalnie przerywanym zostaje.

Drzwi roztwierają się nerwowo, ruchem gwałtownym, od silniejszego prądu powietrza gaśnie przy katafalku świec kilka, i do pokoju wbiega ubrana w podróżne szaty, płacząca Ola...

Za nią, ukazuje się śniade spokojne oblicze Dzierżymirskiego i wytworna sylwetka jego.

Jednocześnie murami komnaty wstrząsa krzyk bólu, rozpacz, a zarazem hałas drugorzędny jakiś, inny...

To Ola już na kolanach... Obejmuje ona ramionami zimne, martwe ciało rodzica, odrzuciwszy równocześnie niebacznie przeszkadzające jej wysokie srebrne lichtarze, z chrzęstem padające w tej samej chwili na ziemię...

Ktoś schyla się pośpiesznie i opodal ustawia je ponownie...

Tymczasem krzyk beznadziejnego cierpienia wydziera się z ust Oli.

- Tato !... tatusiu !.. przebacz!.. - woła młoda kobieta, płacząc, wijąc się z rozpacz. - Ojczy!.. ojczulku!.. przebacz!.. - kończy w łkaniu, szlochając.

Na dźwięk słów ostatnich chmura osiada na wyniosłym czole Romana.

- Tyś winien także!.. ty również!.. To dzieło także twoje! - szepce mu coś w duszy w tej chwili i instynktownie błędnie, pochyla się i klęka po drugiej stronie katafalku.

A Ola ściska, całuje teraz ręce, twarz i zimne czoło starca, oblewa je łzami, włosy ojcowskie pieści i tuli swą głowę do serca, co bić już na zawsze przestało!..

- Ty nie umarłeś - szepce - ty śpisz tylko!.. ty nie umarłeś!.. - powtarza uparcie. - To być nie może - nie może!!!

Powstała z klęcek marszałkowa Warnicka podtrzymuje wijącą się w bólu kobietę z jednej strony - z drugiej opiekuńczo podpiera ją Ładyżyński.

Wszystkim łzy kręcą się w oczach, jeden Roman tylko nieczułym być się zdaje pozornie, ale twarz jego kredowo - biała i brwi ściągnięte świadczą, iż i on, w tej chwili przynajmniej - cierpi. Klęczy wciąż nieruchomo, myśli...

Poza nim, świadek niemy tej sceny, stoi Krasnostawski, wzruszony, bezradny. Opodal stary lokaj domowy patrzy osowiały.

- Złoty tatuniu !!.. złoty !!.. - woła znów Ola, prosząco, błagalnie; z przerwami małemi, jękliwy, przeplatany łkaniem, odzywa się bezustannie głos córki-sieroty, a echo jego płynie przez okno w dal, do parku, na step i pola!..

I za głosem zrozpaczonej jedynaczki, hejnałem wspólnym płakać, łkać oto zdają się stare drzewa parku; szumem swych liści drobnych brzoza nad wodą wieść tę powtarza dalej, płacząc sama, a jęk boleści, podchwycony akordami przyrody, płynie, płynie w dal...

I wszystko, zda się teraz, za panem swym boleje !..

A więc i staw, śniący fali swej szmerem, i łany, i polne kwiecie, i step, strząsający z traw swych niby łzy żalu - drobne kropelki rosy...

Jeden tylko umarły, jak głaz nieczułym jest na jęk, ból swego dziecka.

Lecz czyż to złudzenie?..

Pod pocałunkami przed chwilą i łzą jedynaczki, zdawało się, że oto znika z alabastrowego czoła starca głęboka, zastygła tam zmarszczka, i całkiem już teraz pogodne, obojętne, śni ono dalej bez końca...

Może dusza z poza stref świata niewidzialna zabłąkała się jeszcze tutaj przed dalszą w wieczność zagadkową wędrówką?.. A może trup słyszał jeszcze ?

Któż wie? któż zgadnie?

- Ojczy!.. ty żyjesz!!.. tato... tatusiu!.. Biedna ja... biedna... nieszczęśliwa... - bezzmiennie; tylko coraz ciszej i ciszej, rozlega się dalej u stóp starca wołanie Oli, w spazmach łkań bolesnych, bezsilne, straszne w swej grozie, bólu - coraz beznadziejniejsze.

- Tatuniu!!! Ta... tu... niu!.. - kona wreszcie krzyk młodej kokiety... Milknie, oddany echem parku, pogwarami sioła i pól szerokich... półomdlała i słabą żonę wynosi pośpiesznie na rękach Dzierżymirski z powleczonej kirem komnaty.

Wystraszeni podążają za nim wszyscy...

To życie już ze śmiercią walczyć poczynało. Przepotężne w swej sile, nie lubiące, by zapomniano o niem, odrywało w tej chwili despotycznie od nieboszczyka, w skupieniu otaczających go dotąd ludzi. Troska o żywym wzięła górę!..

W promieniach radosnych jesiennego słońca, w ciszy, grającej tylko poważnym szumem drzew ogrodu - w chwilowym nieładzie wespół przygasłych świec i podsuwanych kwiatów, niewzruszony w swym majestacie śmierci - umarły pozostał sam.

\*\*\*

Od pogrzebu Januarego Gowartowskiego minęło dni kilka.

W pogrążonym już we śnie pałacu w Gowartowie paliło się jeszcze światło w jednym pokoju, rzucając w noc ciemną promień jaskrawy przez okienne szyby.

W kancelaryjnym gabinecie dawnego pana, a dziś sypialni nowego dziedzica, Dzierżymirskiego, on sam, znużony dniem minionym, a nader dlań obfitym w niezwykle zdarzenia, kładł się do snu i z wolna rozbierał leniwie.

Na stoliku obok łóżka stała odkorkowana butelka szampana i kieliszek wysoki, z kryształu, oraz odemknięte pudełko cygar.

Roman po chwili zapalił jedno z nich, nalał sobie wina i wypił haustem jeden kielich, poczem zmęczony, wsunąwszy się pod kołdrę, zgasił światło.

Odetchnął parę razy głośno, z ulgą, przeciągnął się, aż zatrzeszczało staroświeckie łożo, ziewnął smakowicie, zaciągnąwszy się zaś wyborowem cygarem, myśleć począł o ukończonym dniu dzisiejszym, a przełomowym w dotychczasowym życiu jego.

Dziś to bowiem odbyło się otwarcie testamentu nieboszczyka.

Stosownie do woli zmarłego, córka jego stawała się jedyną spadkobierczynią kilkakroćstotysięcznego majątku...

Dzierżymirski powtórnie wyciągnął się z lubością w szerokim, szeleszczącym pościelą łożu.

- Tak, kilkakroć-stoty-sięcz-nego... - szepnął do siebie z zadowoleniem. Uśmiechnął się... Dwa dni temu jeszcze, jadąc tu, a przeczuwając zgon ojca Oli, - był pewnym niemal, iż on córkę za nieposłuszeństwo wydziedziczył.

Już dnia następnego po przybyciu do Gowartowa przyjemnie bardzo rozwiały się jego trwogi; wzruszonej opowiadaniem o ostatnich chwilach pana Januarego córce, w obecności Romana, wręczył był Krasnostawski podarty własnoręcznie przez umierającego ojca testament.

On zaś, pomimo to, wątpił jeszcze... Bał się otwarcia ostatniej woli nieboszczyka, złożonej oficjalnie u notaryusza; i tutaj zdawał się przeczuwać podstęp jakiś może i przykrą niespodziankę.

Dziś wreszcie pierzchły bezpowrotnie niepokoje ostatnie. Z nią uciekał również strach bliskiego bezpiętnego jutra, które czekało nań, czyhało z wydaniem ostatnich paru tysięcy, pozostałych z poprzedniej fortunki, życiem nad stan przez lat trzy lekkomyślnie wydanej.

Tu Dzierżymirski uśmiechnął się szydersko.

Nie, stanowczo, pieniądź do niego się garnie!.. Ten, który posiadał dotąd, choć wygrany, palił go częstokroć, pomimo wszystko, przypomnieniem przeszłości. Sofizmatami wtłumiał w siebie wspomnienia gryzące, lecz jednocześnie i instynktownie jakby rozrzucał, pozbawiał się grosza, tam, gdzieś na dnie duszy własnej, choć nie przyznawał się pozornie do tego, rad nawet będąc, iż złoto wątpliwe szło - nikło...

Jakby otrząsając się z tego samopoczucia, Dzierżymirski poruszył się niespokojnie i powrócił myślą do terażniejszości milej.

On i Ola - wszak to jedno. Dziś zatem, pomimo praw miejscowych, de facto, stawał się panem okazałej i pańskiej, własnej fortuny.

I pokryta, stłumiona ważnością chwili, smutkiem Oli, oraz całego domu - przez dzień cały - teraz dopiero, w ciszy uśpienia pałacu, w czterech ścianach sypialni, rozsadzać zaczęło Dzierżymirskiemu piersi egoistyczne zadowolenie wewnętrzne.

Szczerze żałować zmarłego Roman w istocie nie mógł. Poza innymi cechami charakteru dodatniemu i miłemu, arystokrata z przekonania, nieprzystępny i dumny względem tych, których pragnął trzymać od siebie z daleka, takim tylko, a nie innym, okazał się nieżyjący pan January, w stosunku do dzisiejszego swego zięcia.

Dzierżymirski nie bolał więc wcale nad stratą teścia swego... Teraz zaś, powoli paląc cygaro, myśl jego, przesunąwszy

się obojętnie po wypadkach śmierci pana Januarego i jego pogrzebu, zatrzymując się przy tych zdarzeniach tylko ze względu na boleść drogiej mu Oli - swobodna, pomykała obecnie chyżo w przyszłość.

Od jutra staje się panem!.. Będzie administrował dobra, zbierał dochody...

I Romana upajało to jutro!..

Lat temu parę skromny student, korepetytor bez grosza przy duszy, źle odziany, odżywiany - biedny... Później zrządzeniem losu ślepego właściciel sumki okazał grosza... Dziś dziedzic, pan całą, gębą!..

- Do dyaska !.. - mruknął Dzierżymirski i uśmiechnąwszy się z zadowoleniem, musiał przyznać jednak, że świat nie tak zły i nic nie wart, jak nazywał go ongi, w pesymizmu chwilach, i że życie czasami bywa wcale miłym.

- I cóż mogą o mnie złego powiedzieć ludzie, świat cały? - rezonował dalej w myślach swych Roman.

- Nic zupełnie. O zgubie niezwróconej wszak nikt nic nie wie, każdy zaś znający mnie przedtem, gdy dziś mnie spotka, powie tylko z przekonaniem: Zuch, poradził sobie w życiu!..

- A jak? ktoś o to pytać będzie...

Dzierżymirski, poczuwszy znów pragnienie, w półświatle pokoju odnalazł kieliszek i butelkę szampana, którą, powodowany jakimś dziecinny wprost kaprysem, przyniósł sam sobie wieczorem z "własnej" piwnicy; nalawszy wina, napił się chciwie.

Radość zaś jego wewnętrzna, poza egoistyczną samowiedzą przyszęłego bytu, miała również na jego obronę, przyznać należy, i szlachetniejszą podstawę.

- Teraz będę miał na to, by oddać to, co znalazłem - mówił sobie właśnie w tej chwili, trzymając machinalnie w rękę wysoki kryształowy kielich od wina, a w myślach bezwiednie i niejasno układał już względem tego plany na przyszłość.

- Ukrytym celem życia mego będzie znaleźć, odszukać koniecznie zagadkowego właściciela zgubionych dwudziestu siedmiu tysięcy - szeptał cicho Roman do siebie, - a oddawszy mu jego pieniądze, oczyścić się w ten sposób z plamy przeszłości!..

- Muszę ją zmasać! Czystym być muszę!.. - z siłą powtórzył głośnie. - Choćbym miał świat z posad poruszyć! - dokończył z mocą i umilkł, a równocześnie w piersiach jego zapalała się teraz jakaś gorączka czynu.

Zdawszy zaś sobie natychmiast sprawę z tego stanu swego, Dzierżymirski poruszył się w pościeli swej niespokojnie.

- Tak, ja go znajdę! - mówił sobie w myśli dalej. - Znajdę, dla tego choćby, iż nie unikać bojaźliwie, jak dotąd, ale śmiało szukać go będę. Ale... - tu Roman zatrzymał się w myślach, - ale, by dopiąć tego - powtórzył - wszak muszę wypłynąć na arenę szerszą świata!.. Bo przecież tu, choć będę panem Gowartowa, nic przecie w tym względzie uczynić nie zdołam!..

- A więc - gdzie ?.. - dręczyć go, męczyć poczęło pytanie. Dzierżymirski brwi zmarszczył.

Powtórnie, znowu poczuł w sobie jakąś nieprzepartą chęć czynu, a równocześnie zrozumiał nagle, że radość jego chwilowa, przelotna z odziedziczenia majątku była słomianym tylko ogniem!

Bo, rzeczywiście...

Ambicya bowiem, czasem źle umieszczona - pojęta, lecz jedna i ta sama zawsze, która dotąd pchała go ślepo naprzód, i teraz, choć został panem i zdobył, czego pragnął, ukaże mu niewątpliwie inne znów braki obecnego położenia, "iść" naprzód każe, wynieść się ponad drugich zachęcać będzie - nurtująca, despotyczna - nie pozostawi go w spokoju!

Wziąwszy zaś jeszcze pod uwagę uśpiony wyrzut sumienia i chęć zmasania plamy z własnej uczciwości - przyszłość ta, przed chwilą jeszcze wymarzona, idealna... już teraz przed wzrokiem Romana pokrywała się cieniem.

Samowiedza powyższa pokryła chmurą na chwilę piękne rysy Dzierżymirskiego.

- Ha!.. zobaczymy!.. - rzekł zupełnie głośno, a wypiwszy do końca szampańskie wino, postawił kielich na stole tak silnie, że lejkaty, delikatny, prysł on i szczątki kryształu upadły z brzękiem na ziemię.

Pierwszym ruchem pana na Gowartowie było sięgnięcie po zapalki, myśl zaś zapalenia świecy, by zebrać szkło stłuczone, przemknęła mu przez głowę.

Powstrzymał się jednak i mruknął zcicha:

- Po co? Mam przecie na zawołanie kamerdyra i dwóch lokai... Sprzątną jutro...

Poczem, znużony myślami, przytulił głowę do poduszki, usiłując zasnąć.

-----

Była wiosna...

Od opisanych zdarzeń piąta już z kolei tak samo urocza zawsze, uśmiechnięta i wesoła - nowa wiecznie, w zieleni i blaskach wschodziła ona znowu nad światem. Pełna w przyszłość wiary i nadziei krzepiła serca, rozjaśniała umysły, siała po twarzach ludzkich uśmiechy radosne, a rozogniając wyobraźnię, zmysły - upajając swem tchnieniem, majowem, świeżem - szła zwycięska, królewska, wspaniała...

Przez w półprzymknięte okno powiew jej, łącznie z głuchym gwarem ulic wielkiego miasta, wdierał się do umeblowanego poważnie, obszernego gabinetu, gdzie przy biurku okazałem, a zarzuconem papierami, listami, księgami i pismami, siedział Roman Dzierżymirski i słuchał mówiącego coś do niego młodego mężczyzny.

Po chwili tenże umilkł, w pokoju zapanowała cisza, zamykająca snąc poważną i czas dłuższy toczącą się rozmowę.

Roman zamyślony, ująwszy w dwa palce jakiś papier, złożony we czworo, postukiwał nim machinalnie o amarantowe sukno biurka, przybysz zaś milczał, wpatrzony w niego - na odpowiedź czekał cierpliwie, bawiąc się tymczasowo trymanem w rękę nożem do rozcinania.

Gość nieznajomy był niskiego wzrostu; twarz miał myślącą, ruchliwą i zmienną, cała zaś jego powierzchowność, wyraźnie zdradzać się zdawała, kogoś ze sfer finansów, lub przemysłu.

Przeniósłszy niebawem wzrok z twarzy Dzierżymirskiego na otaczające go sprzęty w gabinecie, pobieżnie przyglądać mu się zaczął.

Rzucił więc okiem na stojący opodal stół duży, przykryty zielonem suknem, a przeznaczony zapewne do sesji i narad, na otaczające go fotele, skórą kryte, na dwie, szafy książek, zegar - cacko starożytne; spojrzął na parę konsol, stolików, i innych zbytkownych gracików - wreszcie, zniecierpliwiony dłuższem milczeniem gospodarza, zagadnął:

- Zatem... panie prezesie?

Dzierżymirski ocknął się, i już otwierał właśnie usta, by coś odrzec, lecz zatrzymał się nagle, drzwi bowiem skrzypnęły, i wszedł lokaj, trzymając duży list na tacy.

- Jakiś pan to przyniósł, czekał bardzo długo, - objaśnił, - w końcu kazał mi list oddać jaśnie panu, a sam poszedł...

- Przepraszam pana!.. - rzucił Roman gościowi swemu - pan pozwoli, nieprawdaż? - i rozerwał kopertę przyniesionego pisma.

Spojrzął na ćwiartkę papieru formatu handlowego, z kilkunastoma tylko wierszami, pisanymi czytelnie na maszynie, i kilkoma hieroglifami podpisów.

Lokaj znikł tymczasem, a, jednocześnie Dzierżymirski, skończywszy czytanie, ponownie zwrócił się do gościa swego, lecz i tym razem znowu przeszkodzono mu.

Ktoś pukał do drzwi dyskretnie.

- Proszę!.. - rzekł Roman głośno.

Drzwi roztworzyły się szybko. Do gabinetu wszedł młodzieniec bardzo wysoki, ubrany modnie, o powierzchowności wytwornej i pańskiej, oraz ruchach naturalnych, swobodnych, nerwowych nieco tylko i zbyt prędkich.

Przeprosiwszy pośpiesznie siedzącego przemysłowca, Dzierżymirski zerwał się na widok wchodzącego.

- Pardon... mille fois... pardon!.. Kochany prezesie, słówko tylko jedno - mówił już tymczasem przybyły, a ujrawszy powstającego instynktownie gościa, dość grzecznie rzucił w jego stronę.

- Przepraszam bardzo, stokrotnie... pana... sekundę tylko!.. - ująwszy zaś ramię Dzierżymirskiego, nachylił się ku niemu, odprowadził dalej nieco i półgłosem mówić począł coś, z żywością i gestykulacją, stojąc z nim razem pośrodku gabinetu.

Po chwili, odprowadzony aż do drzwi, z atencją wyraźną, pożegnał się serdecznie z Romanem i zniknął za portyerą i drzwiami.

Dzierżymirski tymczasem powracał już do gościa swego, a przeprosiwszy go raz jeszcze, dodał na pozór niedbale:

- To właśnie księżę-ordynat B... nie zna pan?... Miał do mnie interes bardzo pilny... Tu znów - wskazał na otrzymaną przed chwilą korespondencję, - zaproszenie na ogólne zebranie akcyonaryuszów jednej z naszych kolei. Dziś mam pięć sesyj... - ciągnął dalej w tym samym tonie, - tam - uczynił głową niewyraźny ruch ku drzwiom, - czeka masa interesantów... Wszystkie godziny dnia policzone...

- Wobec tego - zatrzymał się znowu Roman - nie wiem doprawdy - mówił zwolna - czy przyjąć mogę tak zaszczytny wybór panów... Po prostu nie mam w ogóle czasu... Nie, nie mogę !

Cień przeszedł po obliczu nieznajomego, chciał coś zaprotestować, lecz Dzierżymirski już mówił:

- Przykro mi tylko, iż panowie z tego powodu ambaras prawdopodobnie mieć będą... - zatrzymał się chwilę i wskazał na trzymaną do niedawna, w rękę odezwę jednego z pierwszorzędných akcyjnych towarzystw węglowych, w której donoszono mu właśnie o wyborze go podczas ostatniego zebrania akcyonaryuszów na przewodniczącego w komisji rewizyjnej.

- Lecz wyznać muszę - ciągnął dalej i uśmiechnął się przy tem z lekka, - że nawet czynność, proponowana mi przez panów, zastaje mnie całkiem nie przygotowanym. Po prostu - tu po wargach Romana przemknął powtórnie uśmiech - dziedzina to rzeczy, dla mnie nie tak dokładnie i zupełnie znanych... Terra incognita... - skłonił głowę ruchem lekkim - stanowiska podobnego nie miałem jeszcze dotąd...

I Dzierżymirski zamilkł na chwilę poczem swobodnie dorzucił:

- Ale! prawda... Zapomniałem jeszcze powiedzieć szanownemu panu... Za parę dni wyjeżdżam na czas dłuższy za granicę, dla wypoczynku.

Roman zatrzymał się i pytająco spojrział na gościa swego.

- O!.. to najmniejsza... - odparł szybko przemysłowiec - czynność komisji w roku bieżącym wypada dopiero za miesiący kilka, a odbywa się w ogóle nieczęsto... Co zaś do pierwszego punktu... rzecz to również małej wagi...

- Nie chodzi nam bynajmniej o jednostkę tak dalece rutynowaną, - przepraszam za wyrażenie i młody człowiek uśmiechnął się lekko - lecz o człowieka tych wpływów i stanowiska, oraz zaufania szerokich kół naszego miasta, jakie pan prezes po paru latach zaledwie zdobyć sobie potrafił, i które niewątpliwie, rzecz można, posiada obecnie już w zupełności...

Dzierżymirski teraz z kolei uśmiechnął się na tak jasne postawienie kwestyi.

Rzeczywiście, lat temu kilka, gdy nieznanu tu zgoła jeszcze przybył osiedlić się w mieście, czyżby śniło się nawet komu przyjść doń z tego rodzaju propozycją. Błysk zadowolenia miłości własnej przemknął w tej chwili po licach Dzierżymirskiego.

- Nie traciłeś czasu daremnie - mówił mu wewnętrzny głos i uczucie pychy rozpie-rało piersi.

Milczeniu zaległe przerwał tymczasem głos przemysłowca.

- Zatem - rzecz załatwiona nieprawdaż? Pan prezes - przyjmuje?...

Dzierżymirski zawahał się sekundę jeszcze, pochlebstwo jednak, podane zręcznie, działać poczynało. Zdecydował się dać odpowiedź przychylną.

- No... trudno!.. - wycodził z wolna, obojętnie i z pozornym przymusem. Pomimo obowiązków i odpowiedzialności, które wkładają na mnie czynności i stanowisko przewodniczącego w komisji, przyjąć już chyba muszę!..

- Wybór panów akcyonaryuszów zresztą takiego związku, jakim jest Towarzystwo panów - tu Roman skłonił się grzecznie w stronę gościa swego, a będącego - ciągnął dalej - bez pochwał i przesady, w rozkwicie obecnym jednym z pierwszorzędných w kraju - zaszczyt mi tylko przynosi - i Dzierżymirski w tem miejscu przemówienia swego pochylił z lekka głowę. - Co zaś do czynności rewizyjnych, mam nadzieję również - kończył - iż chyba im podołam, tymbardziej - uśmiechnął się tym razem nieco dumnie - że zajęć bardzo podobnych, choć tak różnorodnych, piastuję od pewnego czasu moc niezliczoną...

- O, naturalnie! - przyświadczył gość skwapliwie, - zresztą przyjemność miałem powiedzieć już panu prezesowi w toku rozmowy dzisiejszej, że zdaniem jest jednogłośnie akcyonaryuszów naszego Towarzystwa, iż w całym mieście nie ma formalnie nikogo, kto by lepiej od pana prezesa czynność wzmiankowaną objąć zdołał.

Dzierżymirski na to znowu pochlebstwo nowe w milczeniu nisko pochylił tylko głowę i powstał z siedzenia.

Gość jednocześnie z krzesła zerwał się szybko.

- Dziękuję i uciekam, panie prezesie, czas - to pieniądz, a przysłowie to nigdzie chyba lepiej, niż tutaj, zastosowanem być nie może.

- Proszę wyrazić tymczasowo moje podziękowanie panom z Rady Zarządzającej,- odparł uprzejmie Dzierżymirski. - W sprawie tej zresztą wpadnę osobiście do biur Towarzystwa, przed mym wyjazdem.

- Sługa pański!.. - rzucił jeszcze przybyły w ukłonie i w ślad za tem znikł za drzwiami. Dzierżymirski krokiem miarowym przechadzać się począł po pokoju.

- Więc i ta akcyjna spółka węglowa - myślał - obracająca kapitałami, najpotężniejszymi może w kraju, ceniona, znana, wybrała go również! Więc i oni doń przyszedli! Wpóśród siebie nie znaleźli nikogo, godniejszego, by piastować urząd, tak pełen zaufania!.. - w umyśle Romana bezustannie nad innemi górowało wrażenie wizyty ostatniej.

Duma wciąż rozsadzała mu piersi, uśmiech zadowolenia błękał się po ustach; Roman, zamyślony, przebiegał ciągle swój gabinet wielkimi krokami.

Nagle rozmyślanie to, tak wielce dlań miłe, przerwane zostało wejściem lokaja.

- Jakaś nieznanajoma pani w żałobie chce widzieć się z jaśnie panem - zaanonsował.

- Jak się nazywa?

- Oto bilet, jaśnie panie...

Dzierżymirski wziął z rąk sługi kartkę brystolu i przeczytał wylitografowane na niej nazwisko; nic jednak nie powiedziało mu ono.

- Proś! - rzekł krótko.

Lokaj wyszedł, a Dzierżymirski zbliżył się z wolna do swego biurka i usiadł przed nim, spojrzawszy przy tym mimo woli na leżące tam porozrzucane papiery.

- A... prawda!.. - mruknął półgłosem do siebie i sięgnął jednocześnie po papier listowy, oraz kopertę.

Przed nim, jako wice - prezesem zakładów dobroczynnych, leżał list znanego w mieście i wpływowego księcia S., z prośbą o umieszczenie w jednym z przytułków jakiegoś schorzałego biedaka.

Odpowiedzi przychylniej w tej sprawie - którą dnia poprzedniego sam już załatwił osobiście - nie dał jeszcze księciu; umoczywszy więc pióro, Roman począł pisać zamasyście.

W tej samej chwili do komnaty wsunęła się przysadzista, krępa postać czarno ubranej kobiety. Małymi kroczkami podeszła natychmiast do biurka i przemówiła głośno:

- Przepraszam bardzo, że tak natarczywie...

Dzierżymirski, niezadowolony nieco, że mu tak z nagłą przerwano wątek listu, spojrzął niechętnie z pod oka na nowo przybyłą.

Przed nim stała kobieta lat pięćdziesięciu może, o znękanych rysach, ubrana nieco z staroświecka, dość zresztą poza tem układnej powierzchowności.

- Niech pani spocznie, proszę... za chwilę służę! - rzekł uprzejmie i począł pisać znowu.

- Doprawdy nie rozumiem sama, jak ośmieliłam się przyjść tutaj, ale szlachetność, zacność szanownego prezesa... - usłyszał znowu Roman.

Niecierpliwie tym razem wznosił na przybyłą spojrzenie i przerwał jej grzecznie, lecz sucho:

- Przepraszam. Jak widzi szanowna pani, chwilowo zajęty jestem... Wszak pani nie pilno?..

- O, nie... przeciwnie... Tylko...

Roman spuścił oczy i myślące czoło, oraz począł pisać dalej, najspokojniej w świecie. W pokoju zaległo milczenie, przerywane li tylko zgrzytem pióra po papierze.

Gdy Dzierżymirski list skończył, podniósł machinalnie oczy na nieznaną.

Uśmiechnął się mimo woli; spotkał się bowiem z dziwnie zabawnym i uszczypliwym wyrazem jej twarzy, oraz wejrzeniem złem i jakby obrażonym, które pod niespodzianym wzrokiem jego złagodniało jednak natychmiast, przeistoczyło się w słodkie i potulne, jak u baranka.

Zaadresowawszy list, Dzierżymirski zadzwonił na lokaja. Gdy ten się zjawił, polecił mu odesłać pismo natychmiast.

- Czy jest kto? - zapytał.

- Pan hrabia z Melsztyna... Czeka w salonie - brzmiała odpowiedź.

- Powiedz, że przepraszam, i za chwilę go proszę! - rozkazał Roman, gdy zaś lokaj znikł za drzwiami, uprzejmie z kolei zwrócił się do nieznanym.

- Słucham panią... Czem służyć mogę?

Przybyła poprawiła się na krześle, zrobiła minę słodsza jeszcze, i zmieszana nieco przemówiła:

- Mój mąż, znając tak dobrze szanownego pana prezesa, tak często wspominał mi o jego szlachetności, zacności, dobrem sercu, że... - tu przerwała na chwilę, widząc zdumioną minę Dzierżymirskiego, poczem ciągnęła znów dalej, straciwszy widocznie wątek poprzednich myśli, bo nie dokończyła już poprzedniego zdania:

- Mój mąż, Nepomucyn, zawsze mawiał mi takich ludzi potrzeba nam więcej, jak prezes Dzierżymirski; ludzi hartu, żelaznej woli, inteligencji rzutkiej, prawości charakteru... O, mój mąż bardzo, bardzo cenił pana prezesa... - i zawikławszy się ponownie w wygłaszane przez się pochwały, nieznaną zatrzymała się chwilę.

Dzierżymirski, zniecierpliwiony nieco, skorzystał skwapliwie z przerwy.

- Przepraszam panią - spytał grzecznie - jak godność i imię męża pani? Czy żyje?...

- Nepomucyn Wygrzywalski - odparła zapytana - zmarł rok temu... Świeć, Panie, nad jego duszą! - westchnęła.

Dzierżymirski zmarszczył brwi i zamyślił się chwilę.

- Nie przypominam sobie, bym miał przyjemność znać osobę tego nazwiska... - wycedził z wolna.

Z pod uśmiechniętych słodkawo i mile, siłą woli ułożonych rysów przybyłej, błysło ku Romanowi urażone i groźne spojrzenie.

- Jak to ? - odezwała się obrażonym nieco i kwaskowatym jakby tonem. - Być nie może ?.. Pan prezes chyba przypomnieć sobie tylko nie raczy...

- A jak dawno? - łagodniej nieco przemówił Dzierżymirski. - I ile razy - słowa ostatnie podkreślił, uśmiechnąwszy się ironicznie - widział mnie mąż pani?

- O! kilka razy zaledwie miał sposobność... - pośpieszyła z odpowiedzią przybyła. - Dwa, trzy może... Ale widzenie się to było dlań przyjemnem nad wyraz - utkwilo mu w pamięci...

- Ach, mąż mówił mi tyle razy - ciągnęła dalej słodkawo, z wymuszonym okolicznościowym uśmiechem, - że, naturalnie, poza zasługami społecznymi, tak przyjemnego, sympatycznego, miłego człowieka, jak pan, nie znał był dotąd, i dla tego też myślałam, że i pan prezes... - tu urwała swe przemówienie pani Wygrzywalska, śledząc na twarzy Romana wrażenie słów swoich.

Ten jednakże, zrażony nieco rzucanemi mu w twarz ni przypiął, ni przyłatał, pochlebstwami już powtórnie, i całkiem notabene, niezręcznie, odrzekł zimno:

- O, proszę pani... Ja widuję po trzydzieści, czterdzieści interesantów dziennie... Połowa z nich nieznaną mi bywa zazwyczaj - liczbie tych więc znajdował się zapewne mąż pani... Dlatego też nie przypominam go sobie.

Jak pocisk zjadliwe tym razem i całkiem już obrażone uderzyło w lica Dzierżymirskiego spojrzenie pani Wygrzywalskiej.

- Dziwi mnie to niewymownie, że tak uporczywie pan prezes przypomnieć sobie mego męża nie raczy... - odezwała się uszczypliwie, a w głosie jej czuć było śmiertelną obrazę.

- Przecież ostatecznie - mówiła w tym samym tonie dalej - jak i mnie, tak i jego, tu w mieście znało dużo osób... Nie dalej, jak hrabiowie Olscy, zacności i pocziwości ludzie, z którymi mnie łączy nawet stosunek przyjaźni... Wyjechali za granicę wczoraj właśnie... Następnie również i nieodżałowanej pamięci książę Topór-Toporski Alfred tak łaskaw był za życia opiekować się nami... - kończyła przybyła z godnością.

- Chce zaimponować mi znajomością z książętami, a to oryginał baba, - przemknęło przez myśl Dzierżymirskiemu i uśmiechnął się jednocześnie, zrobił bowiem i inną w tej chwili uwagę, a mianowicie, że jakoś za wiele było nieboszczyków w gronie ludzi, na których powoływała się siedząca przed nim jejmość.

Chcąc przytem przeciąć zarazem zapowiadającą się prawdopodobnie znów na długo tyradę słów, pozbawionych, jak i poprzednie, ścisłej logiki, rzekł szybko:

- Przepraszam bardzo: Nie mogła by mnie szanowna pani powiadomić jednak, czemu właściwie zawdzięczam jej wizytę?

Na tak jasno postawione ultimatum zmieszała się przybyła i wyjąkała:

- Nie wiem doprawdy, jak ja, wdowa nieszczęśliwa, zdobyłam się na taką śmiałość... Ale, przynaglona materyalnem położeniem bez wyjścia, ufając w przyjaźń, którą żywił mój mąż nieboszczyk do pana prezesa, chciałam prosić o drobną pożyczkę... - urwała na chwilę, poczem głosem śmiałym już teraz i godności pełnym, dodała:

- Co do oddania - nie może być obawy żadnej, ponieważ ludzie mnie znają... A zresztą... - tu uśmiechnęła się z dumną - pochodzę sama z arystokracji, więc...

To „więc" było wypowiedziane takim tonem, iż rozwiewać się zdawało wszelkie co do zwrócenia kwoty wątpliwości; jejmość nie dokończyła zdania, a spojrzała tylko przenikliwie na słuchacza swego, jakby pragnąc odgadnąć, jakie wrażenie nań uczyniło powiedzenie jej ostatnie.

Dzierżymirski zaś tymczasem, zdziwiony nieco tym epilogiem, uśmiechnął się pod wąsem nieznacznie.

- Czy wolno wiedzieć - z której? - z kurtuazyą zapytał.

- Rodzę się z domu kniaziówna Rąrowska - z godnością i namaszczeniem odparła dumnie wdowa.

Dzierżymirski ponownie uśmiechnął się z ironią. Rodzina ta prawie, że już całkiem wygasła, aczkolwiek dawna bardzo, według heraldycznych i historycznych danych, nigdy nie miała praw do żadnych w ogóle tytułów, prócz kopertowych chyba.

Słyszcząc zatem wypowiedziane tak czelne kłamstwo, Roman nie odpowiedział nic, a tylko wpatrzył się badawczo, z uwagą, w twarz siedzącej przed nim kobiety.

Od początku już samego dziwiły go jej rozmowa i zachowanie całe, teraz więc, gdy wiedział cel wizyty, bystrym wzrokiem rozumnych oczu wpatrywał się wciąż w rysy przybyłej. Trwało tak minut parę.

I pod spojrzeniem tem nagle spuściła wzrok kobieta...

Po raz pierwszy od kwadransa spadła z twarzy jej obłudna, fałszywa i układna, a przyodziana li tylko w imię pozorów, maska. Zorane policzki wdowy okraślił lekki rumieniec, a pod wpływem jakiejś myśli zapewne, wyraz jej oblicza, prawdziwy i szczery, mignął na chwilę przed oczyma obserwującego mężczyzny.

I to ocaliło nieboraczkę. Zniecierpliwiony bowiem dotąd obecnością jej Roman, i zdecydowany już prawie wyprosić za drzwi kniaziównę "de domo", zamyślił się nagle.

Po chwili zaś, jakby wynik przelotnego egzaminu fizjonomii przybyłej, był dlań wystarczającym zupełnie, spuścił wzrok.

I snąć wiele niekłamane, a tajonego bólu, oraz nieszczęścia prawdziwego może wyczytał był na tej twarzy gościa swego; bo po minutach jeszcze paru zastanowienia i wahania, milcząc, sięgnął rękę klamki drzwiczek wbitej w ścianie ogniotrwałej kasy, i - wyjąwszy stamtąd papierek dziesięciorublowy, położył go na stole.

Posunąwszy zaś banknot ten z lekka ku siedzącej, rzekł tylko:

- Służę pani!

Poczem, gdy pieniądz ów schowała, obsypując ofiarodawcę swego potokiem słodko przyprawionych komunałów, zadzwonił na lokaja:

Posłuszny, zjawił się sługa za chwilę.

- Proś pana hrabiego! - rozkazał Dzierżymirski.

- Już wyszedł. Mówił, że wpadnie kiedy indziej, bo czekać więcej nie miał czasu... Kazał przeprosić jaśnie pana, bardzo i zostawił tu bilet swój, na którym coś napisał, - i przy tych słowach lokaj podał bilet.

Roman rzucił nań okiem...

Pani Wygrzywalska jednak przerwała mu czytanie. Do swej roli wracała powtórnie.

- Przepraszam bardzo szanownego pana prezesa - poczęła mówić swym poprzednim tonikiem - ale wiedzieć chciałam właśnie, jak adresować mam przy zwrocie tej kwoty, tak wspaniałomyślnie, szlachetnie, mi udzielonej... Pan prezes podobno na długo wyjeżdża?..

Roman na te słowa uśmiechnął się złośliwie i odparł:

- O, łaskawa pani ! Adresem zupełnie dostatecznym będą dwa słowa : "R. Dzierżymirski." Żegnam panią... - tu powstał z siedzenia i skłonił się z daleka.

Pożegnany z kolei ukłonem sztywnym nieco odchodzącej "pseudo-arystokratki", Dzierżymirski zwrócił się do lokaja:

- Jest kto? - zapytał.

- Jakiś pan powiada, że jaśnie pana zna dawno, chce się widzieć koniecznie.

- Jak wygląda?

- Taki sobie... nie bardzo okazały...

Codziennie, od dziewiątej do dwunastej z rana, każdy miał wstęp wolny do "pana prezesa". Dzierżymirski nie odstępował nigdy od powziętej raz reguły, tym razem więc zarówno rzucił obojętnie:

- Proś!..

Sam zaś do biurka zasiadł, by skończyć czytanie biletu hrabiego z Melsztyna.

Minęło parę minut.

Zaczytany, nie spostrzegł był Roman, że na środku pokoju od pewnego już czasu stał młody człowiek, lat około trzydziestu pięciu, i patrzył nań uporczywie.

Pod siłą tego wzroku podniósł oczy Dzierżymirski, a ujrawszy przybysza zbladł; poznał go bowiem od razu, nie dał jednak poznać tego po sobie, nie podniósł się z miejsca nawet, a tylko ruchem ręki obojętnym wskazał krzesło.

- Proszę pana... Przepraszam... za chwilę... Nieznajomy zarumienił się, nie rzekłszy nic jednak, usiadł pokornie na koniuszczku stołka, Dzierżymirski zaś sięgnął po jakieś księgi, leżące - opodal i zagłębił się w nich, ze skupieniem.

Ale tylko na pozór... W rzeczywistości zaś potrzebował czasu, by ochłonąć z doznanego przed chwilą wrażenia.

Przed nim znajdował się towarzysz, niewidziany już od lat siedmiu - jeden z dwóch pierwszych ludzi, z którymi się był zbratał, przyjechawszy niegdyś do kraju sam, nieznanymi i biednymi!..

I nagle, wywołane przypomnieniem, stanęły mu w myśli jasno te chwile dawne !.. Ukazała mu się żywo w wyobraźni straszna noc moralnego przełomu jego życia, noc udręczeń w izdebce na poddaszu - noc walki z uczciwością z jednej strony, a nędzą, ułudą miłości, pragnieniem życia - z drugiej!..

Wszak siedzący oto teraz przed nim młody człowiek był jednym z tych dwóch właśnie, którzy, gdy on nurzał ręce w kuszącym go swą potęgą złocie, stukaniem nagłym we drzwi izdebki wstrząsnęli nim tak silnie...

I Roman, przebiegając spojrzeniem w duchu to wszystko, mówił do siebie jednocześnie:

- Dziwnem jednak jest to życie nasze... O, jakże dziwnem !.. Gdyby nie to złoto, a później Monte Carlo, Ola i śmierć jej ojca, oraz dziedzictwo po nim, nie byłbym przecie nigdy tem, czem dziś jestem!..

Przepastna ironia - koło bez wyjścia!..

Dzierżymirski, pochylony nad grubą księgą, której cyfr i kolumn ich nie widział zgoła - pogrążonym się ciągle być zdawał całkowicie, w rachunku i pracy.

Milczenie zupełne - panowało w pokoju, w ciszy zegar wydzwonił niebawem godzinę wpół do dwunastej. Roman się ocknął; zostawało mu już tylko pół godziny czasu. Uczynił nad sobą wysiłek i głosem spokojnym zupełnie przemówił obojętnie:

- Z kim mam przyjemność i czym służyć mogę?..

- Herman Zieliński. Czy pan.. prezes naprawdę mnie sobie nie przypomina? - odparł młody człowiek dobitnie.

Dzierżymirski zawahał się chwilę.

- Zielińskich znam wielu - rzekł z wolna - nazwisko pańskie ma przedstawicieli tak licznych... Zresztą... może... Przykro mi bardzo, lecz doprawdy nie przypominam sobie...

- Ja za to - odpowiedział młodzieniec, akcentując silnie słowa - przypominam sobie aż nadto dobrze... Poznaliśmy się przed laty siedmiu; ja, pan i Jasio Zboiński stanowiliśmy przez czas jakiś nierozzerwalną nawet trójkę. Potem... pan przestałeś stopniowo nas poznawać... Kolej to zwykła rzeczy świata tego, prawo ludzkie - być może... Pan wznosiłeś się po drabinie społecznej wysoko, my ginęliśmy w cieniu... Pan osiągnęłeś jej szczytów obecnie, my, to jest ja, zostałem u jej podnóża...

Zatrzymał się w przemówieniu swem młody człowiek, po chwili zaś dodał; z goryczą:

- Jednak... myślałem, że pan... prezes, pomimo to, raczy mnie sobie przypomnieć. Cóż robić - omyliłem się!.. - młodzieniec powstał, gotów do wyjścia.

- Ale cóż znowu !.. - wykrzyknął słuchający go dotąd w milczeniu wahającym się Dzierżymirski, a zarazem, powstawszy śpiesznie z miejsca, przyjaźnie wyciągnął rękę ku przybyłemu.

- Witam i przepraszam... Pamiętam te czasy doskonale, tylko pan zmieniłeś się do niepoznania. Cóż Zboiński, cóż pan - porabiacie teraz?.. Niechże pan spocznie, proszę bardzo... - dorzucił Roman łaskawie i swobodnie, teraz bowiem panował już całkiem nad sobą.

Zieliński, poznany, usiadł i ośmielony odparł:

- Cieszy mnie niewymownie, że pan przypominasz sobie lata owe.. Dla mnie, wyznać muszę, okres ten cały życia mego stanowi przyjemne nader wspomnienie - urwał, i uśmiechnąwszy się ironicznie, zachowując jeszcze swój ton sprzed chwili, dorzucił dobitnie:

- Ba, dawniej przecie my ze Zboińskim, we trójkę, mówiliśmy sobie "ty" nawet!

- Cóż pana obecnie do mnie sprowadza? - przerwał Dzierżymirski pośpiesznie, niechcący jakby, puszczając mimo uszu ostatnią uwagę.

- Rad jestem niezmiernie z widzenia się naszego, z przyjemnością usłużę, jeśli będę mógł to uczynić...- dodał jeszcze, jak mógł najprzychylniej.

Choć zmrożony nieco początkiem zdania, Zieliński spojrzał przyjaźnie na Romana, poczem odezwał się:

- Dziękuję, i zobowiązany jestem panu bardzo, bardzo, panie... prezesie!., - uśmiechnął się znowu,

z goryczą - początkowo jednak winienem w krótkich słowach objaśnić go nieco o położeniu mem obecnem.

- Słucham - przerwał szybko Dzierżymirski i spojrzał na wiszący mały zegarek, wskazujący w tej chwili trzy kwadranse na dwunastą.

Zieliński dostrzegł ruch jego.

- O! to niedługo potrwa! - pośpieszył z zapewnieniem.

- Nic nie szkodzi, proszę bardzo... - odparł Roman. - O pierwszej mam ważną sesję, a że wyjeżdżam już za dni parę, obecność moja jest tam bez opóźnienia konieczną. Ale... słucham pana... - powtórzył znowu uprzejmie.

- Otóż więc, streszczam - rzekł Zieliński.

- Życie moje odmiennem potoczyło się korytem od życia pańskiego, a nawet Zboińskiego Jana. Pan - nie ma co mówić o tem ; całe miasto godzi się jednogłośnie, że o zdolniejszego i bardziej wpływowego zarazem człowieka u nas trudno... Zboiński jest lekarzem na prowincji i wie dzie mu się niezgorzej, a ja... - tu Zieliński zatrzymał się chwilę - zostałem za wami, panowie, w tyle, o, bardzo w tyle nawet!... Dlaczego? któż odgadnie ?.. Zdawałoby się, że los nie poskąpił mi zdolności; szkoły ukończyłem, z medalem, prawo, z odznaczeniem, ale, niestety, los nie obdarzył mnie szczęściem do życia! - Młody człowiek znowu, wzruszony jakby mimowolnie, mówić przestał.

- Trzy lata temu - ciągnął dalej niebawem - ożeniłem się z miłości, bez grosza... - rysy, dość regularne Zielińskiego ożywiły się promieniem wewnętrznym - kochałem ją, tę moją Maniutę, tak, jak kocham ją do dziś dnia jeszcze, choć jak nie miała, tak i nie ma ani szeląga posagu!.. Obecnie mam troje drobiazgu... - tu z kolei twarz gościa Romana zasępiła się smutnie, zatrzymał się, jakby trudno mu było wykrztusić resztę, czoło zaś białe pociemniało mu od rumieńca - jednym słowem - dokończył - w domu u mnie - nędzal!..

Umilkł, nie podnosząc oczu. Po dłuższej chwili, ciągnął:

- Pomny naszej dawnej znajomości, przyszedłem tu, do pana prezesa, z pokorną prośbą o posadę, o pracę, choć byle jaką, ale - płatną, o zarobek, bo jałmużny nie zwykłem przyjmować!.. Byle z głodu nie umrzeć... byle osłodzić życie tej kobiecie, która mnie kocha, a której doli dotąd w żaden sposób ulżyć nie mogę!.. - wyrzucił z siebie z mocą.

Zamilkł i wstydząc się jakby słów własnych, nie podnosił już wcale oczu na Romana.

Dzierżymirski zaś z kolei przez czas ten cały śledził słowa i grę fizjonomii Zielińskiego, a w myślach jego równocześnie stanął wyraźnie kontrast rażący, pełny ironii, między życiem jego, a życiem tego oto Hermana, znanego mu dobrze, jako najzdolniejszego studenta uniwersytetu - z przed laty... Stanowczo nie popłaca być idealistą!

Ożenił się bez majątku... No, a gdyby tak on, Roman Dzierżymirski, zgrzeszył był idealizmem, i biedak, ale nieposzlakowany, uczciwy, pozbył się przed laty nietkniętych banknotów i ożenił się następnie z jaką dziewczyną zupełnie biedną ?..

- No, w każdym bądź razie, jakoś dałbym tam sobie radę! - odpowiedziało coś butnie w duchu Roman natychmiast. - Posiadam hart, wolę, rozum, rzutkość, dar oryentowania się trafnego, i spryt - to wiele; a on? Szlachetny, zdolny, lecz jednak trochę... głupi!

- Ale czysty ! - ukłuło coś, jakby żądłem Romana. Spuścił głowę i słuchając dalej losów kolegi Zielińskiego, mówił sobie zarazem:

- Jednak pomoc trzeba... należy. Dla wspomnień, no, i dla zasady.

Gdy zaś dawny towarzysz mówić już przestał, odezwał się z kolei:

- Więc życzyłyby pan sobie otrzymać zapewne miejsce na kolei, gdzie jestem prezesem... Niestety, nie mogę, postanowiłem bowiem podczas całego trwania tam moich rządów, od siebie nie narzucać nikogo... Ale mógłbym pomieścić pana gdzie indziej. W Banku Handlowo-Przemysłowym, na przykład, należę do zarządu... Czy znane są panu: rachunkowość kupiecka, buchalterya i języki obce biegle, jak francuski, niemiecki, a może i angielski ?..

- Niestety, nie! - odparł Zieliński. - Fachowego wykształcenia nie posiadam, gimnazya klasyczne zaś i wydział prawny uniwersytetu nie wyszkoliły mnie dostatecznie w żadnym z nowożytnych języków europejskich... Co innego grecki i łacina... Co się zaś tyczy rachunkowości, poza arytmetyką i matematyką wyższą, t. j. algebrą, geometryą, trygonometrią, inną służyć nie mogę...

I machnąwszy przy tych słowach ręką, w zniechęceniu, młodzieniec, westchnąwszy smutnie, dodał.

- Zresztą, panie prezesie, mówiąc szczerze całkiem, przekonywam się teraz coraz bardziej, iż szkoły nie dały mi zgoła żadnej nauki życiowej i praktycznej.

- Ma pan słuszność, zapewne... - potwierdził Roman. - Niedaleko, szczególnie przy obecnej nadprodukcji w naszym mieście ludzi fachowych, zajechałbyś pan ze swym dyplomem, ale nie martw się pan... Spotkałeś mnie na swej drodze. Ja zaproteguję pana po pierwsze w imię lat dawnych, po drugie, że należysz pan, jak widzę, do prawdziwie potrzebujących pracy! - ostatnie słowa silniej zaakcentował Dzierżymirski. - Czy ładny i czytelny masz pan charakter pisma?

- Owszem, staranny i czytelny w zupełności! - pośpieszył z odpowiedzią Herman.

- No, to dobrze - odparł Roman, i przy tych słowach sięgnął do stojącego na biurku pudełeczka po bilet wizytowy. - Napiszę słówko do Dyrekcji Towarzystwa Ogniwego "Esperanza"... Z dyrektorem jestem w ścisłych bardzo stosunkach, w tych dniach oprócz tego sam z nim pomówię - odmówić mi nie może... Od pierwszego przyszłego miesiąca dadzą panu posadę. Przypuszczam, iż... na początek z jakieś 500 rubli... Będziesz pan obrachowywał, sprawdzał, a potem przepisywał zapewne ubezpieczeniowe polisy... Jak się pan zaś wprawisz w owem przepisywaniu, wyrobisz, iż dadzą panu polisy do kopjowania w domu, w ten sposób zarobisz pan więcej. Zgoda?...

- Ależ naturalnie - dziękuję stokrotnie, dziękuję po tysiąc razy! Wdzięczność moja, panie prezesie, nie ma granic!... - i zerwawszy się z krzesła, Zieliński, wzruszony i uradowany, uściśnął z przejęciem dłoń Romana.

Ten ostatni, napisawszy słów kilka, zapieczętował list i powstał, a podając go młodemu człowiekowi, rzekł:

- Życzę szczęścia i powodzenia!.. Bardzo kontent również jestem, że pan zwróciłeś się bezpośrednio do mnie, i że znajomość naszą odnowiliśmy znowu... Doktorowi Zboińskiemu moje ukłony, gdy go pan zobaczysz!..

I Roman Zielińskiemu podał rękę.

- Dziękuję... Nie zapomnę tego panu nigdy!.. - z serdecznym ciepłem w głosie odparł młodzieniec, ściskając dłoń dawnego swego towarzysza.

Dzierżymirski odprowadził go uprzejmie do drzwi, a gdy z Zielińskim znikło mu z przed oczu przeszłości widmo, odetchnął swobodniej, i zadzwonił na, lokaja.

Ten zjawił się natychmiast, niosąc w ręku tacę z kilkoma biletami.

- Czekają jeszcze? - zapytał Roman, i spojrzał pobieżnie na bilety, a równocześnie wyjął z kieszeni zegarek, wskazujący już parę minut po dwunastej.

- Proszę tych panów i powiedz, że dziś za późno!.. - rzucił czekającemu słudze.

Lokaj wyszedł, a Dzierżymirski przechadzać się począł z wolna po pokoju i cygaro zapalił, wypuszczając od niechcienia z ust małe kółeczka dymu.

Cały był jeszcze pod wrażeniem ostatniej wizyty, oraz tej odżyłej z nią tak nagle świeżo minionej przeszłości.

I Dzierżymirskiemu czoło porało się w drobne bruzdy, zamyślony wciąż tak samo, nerwowym krokiem przebiegał komnatę.

Od lat kilku, gdy ożenił się był z Olą, nie zmienił się Roman prawie że wcale. Ta sama inteligentna i piękna twarz południowca, taż sama młodzieńcza szybkość ruchów, oraz niezmienna wytworność sylwetki całej - cechowały go obecnie tak, jak i przed paru laty.

A ileż, ileż zdarzeń przewinęło się dotąd w życiu jego!

Po odbyciu żałoby na wsi, w Gowartowie, przyjechał z Olą do miasta. Tu, dzięki dziedzictwu pana Januarego, położeniu towarzyskiemu żony i, odnowionym własnym stosunkom, zdobył Roman to, co do dziś dnia posiadał.

Energiczny, rzutki, giętki, sprytny i pełen ambicyi zaszedł wysoko. Ola kochała go dotąd niezmiennie, ludzie korzyli się przed jego rozumem, stosunkami, wpływami, a jednak nie był on zgoła szczęśliwym!..

I teraz po twarzy jego odgadnąć to również łatwe było. Cierpiał!..

Rozpamiętując w myślach przeszłość własną, zapomniał widać zupełnie o terażniejszości. Niby wczorajsze świeże, we wspomnieniach żyły znów te lata minione, dawne... Jak fata morgana ułudna mamili wzrok duszy jego niedościgłą, bo bezpowrotną już dałą, rozpięzchały się, nieuchwytnie, to znów wracały jawne - żywe!

Widział się więc Roman w poślubnym roku miłości wzajemnej, haszyszów i upojeń, z dysonansem śmierci teścia swego na końcu i widział siebie potem lata całe w ciągłych zabiegach, trudach, w prawdziwej, namiętnej energii czynu, w bezustannej gonitwie za popularnością, wielkością i znaczeniem.

Wznieść się!.. wznieść ponad drugich, ponad tłumy - to stało się życia jego celem!.. Widzieć kornymi te ludzkie masy u stóp swoich - marzeniem - pomimo samopoznania w głębi duszy, że na to wszystko nie zasługuje się zgoła, pomimo gryzącej go, jak jad, toczącej go, jak robak, samowiedzy, że on moralnie nie godzien może żadnego z tych, którzy go ponad siebie wynoszą!..

Bo rzecz zaiste dziwna... Setki zdarzeń, tysiące ludzi przemknęły, jak w kalejdoskopie, w życiu Romana, a tajemnica jego odległego "wczoraj", pozostała nadal - tajemnicą... Nikt jej nie odkrył, nikt nie przypomniał. O właścicielu dwudziestu siedmiu tysięcy głucho i cicho było, jakby fakt ten cały był li tylko snem strasznym, zaklętą bajką z tysiąca i jednej nocy!

A tymczasem życie, tocząc się wartkiem kołem, pochłaniało sobą Romana, pochłaniało go tak dalece, że bywały chwile, iż zapominał. Ale, niestety, były to tylko... chwile.

Sumienie uparcie czuwało bezustannie. Nie było dnia jednego, by Dzierżymirski w cichości ducha nie uchylił głowy przed przypomnieniem strasznym; nie mijał miesiąc, by godzin kilka, z dała od ludzi, nie był zmuszonym przepędzić sam na sam ze sobą i z wyrzutami sumienia.

O! jakże pragnął on nieraz oddać to złoto cudze, jak pragnął!..

Oddać! Ale komu?.. Zwrócić, ale jak, nawet gdyby się i znalazł właściciel zagadkowy, by nie splamić nieskazitelnego połysku czci własnej, honoru i opinii człowieka, przodującego społeczeństwu całemu?..

W tym samym, ozdobionym granacikową koroną hrabiowską, pugilaresie, leżały odłożone przezeń na miejsce, owe dwadzieścia siedem tysięcy, w banknotach i rulonach złota, schowane w tajemnej i nikomu nie znanej skrytce. Przeznaczone dla zagadkowego właściciela - czekały one nań tam daremnie.

Bo gdybyż przynajmniej, choć promykiem małym, rozdarła się ta tajemnicza ciemność, kryjąca dotąd w swych czeluściach bezustannej zagadki prawnego pieniędzy tych pana!

Och, wtedy, będąc choć trochę przygotowanym, niewątpliwie dałby on jakoś sobie radę! Wolałby bowiem zobaczyć nawet roztwierającą się przed nim przepaść bez wyjścia, gdyż ufny w swój rozum, znalazłby je na pewno, niż widzieć ciągle przed sobą ten pełny milczenia sfinksowy spokój, idącego przed nim ciemnego, nieodwołalnego jutra!.. Przestraszał go on - przejmował zgrozą!..

Bo Dzierżymirski poza licznymi zajęciami swemi społecznej natury, czynił dotąd niemal bez skutku wszystko, aby zrzucić z siebie, już raz na dobre, gniotący go skrycie ciężar wspomnienia!..

Podawał więc kilkakrotnie nad wyraz przebiegle i sprytnie ogłoszenia w pismach, nie tylko w kraju, ale i za granicą, w nadziei, iż wpadnie na trop właściwy.

Sam pozatem odbył kilka tajnych wycieczek do ludzi, o których wiedział, że zgubili niegdyś, bez znalezienia, sumy większe...

Zbadawszy ich jednak podstępnie, z ostrożną, wracał zawsze z niczem. Zagadka trwała.

Teraz wreszcie również, nie dalej, jak za dni już kilka, postanowił Roman raz jeszcze uczynić próbę w tym względzie i wyjazd za granicę, zapowiedziany przezeń, dla wypoczynku, "de facto" był związanym ściśle z tą tylko samą, wiecznie

jedną, sprawą.

Przechadzający się wciąż szybko po gabinecie Dzierżymirski, w chaosie jątrzących go myśli i wspomnień, schwycił się nagle za głowę i szepnął do siebie przejmująco:

- Och, czemuż, czemuż, na Boga, natura obdarzyła mnie sumieniem tak czujnym, wrażliwym, czemu?.. Byłbym położenie moje brał filozoficzniej, prościej... Wszak z pieniędzy znalezionych w rzeczy samej korzystałem tak mało! Przegrałem je przecie wszystkie w Monaco, do ostatniego grosza, a wygrałem z pieniędzy zupełnie innych! - sofizmat, niezmiennie ten sam, powracał w umyśle Romana.

O ile jednak dawniej pocieszał on go chwilami, teraz, dziś - nie działał już bynajmniej.

Dojrzały obecnie, w niejednym jeszcze przekształcony życia szkołą, patrzący z odległości lat kilku zimniej daleko na uczynek swój własny "przywłaszczenia", Dzierżymirski, nie wyzbywszy się dotąd wcale wszczepionych silnie w dzieciństwie zasad uczciwości, nieprzejednanej, prawej, czystej, - rozumiał, iż, pomimo pochłonięcia cudzego złota przez jaskinię gry i dotychczasowej bezkarności - zblądził, i że wina jego zgoła nie była mniejszą. Czuł, że życie moralne wykoleiło go niemiłosiernie, i cierpiał...

Roman przetarł ręką rozpaloną głowę; atak apatii nerwowej pesymizmu, żalu i goryczy, szeroką falą napływał znowu do duszy jego.

W tej samej chwili na ściennym zegarze wybiło wpół do pierwszej. Roman się wstrząsnął.

Sesya, obowiązki, przodownictwo społeczne - trzeba być silnym!.. Odpocznie później, gdy wyjedzie - za dni parę, teraz odwagi!.. spokoju!..

I uczyniwszy nad nerwami swymi i myślą wysiłek, Dzierżymirski wyprostował się. Rzuciwszy opodal do połowy spopielałe, cygaro, począł porządkować śpiesznie porozrzucane na biurku papiery.

W tej samej chwili do drzwi zapukano trzykrotnie. Roman drgnął i odwrócił się. Poznał sposób stukania żony, co dzień bowiem, o tej porze, Ola zwykła była odwiedzać go po pracy.

- Entrez!.. - rzucił donośnie i czoło jego wypogodziło się natychmiast.

Ma ją przecież, najdroższą żonę, podporę-kochankę i przyjaciela! Wszak wzajemnie nie posiadają przed sobą żadnych tajemnic, prócz jednej - jedynej!

Przez próg komnaty do gabinetu wchodziła już Ola, ubrana do wyjścia, w kapeluszu i sukni, skrojonej elegancko i szeleszczącej jedwabiami spódnic.

I ona od lat tych pięciu nie zmieniła się prawie. Wypiękniała tylko jeszcze bardziej, bujniejszymi stały się kształty i linie jej ciała, ponętniejszymi, w całym swym czerwcowym rozkwicie, lat już niespełna trzydziestu.

Z uśmiechem, przywitali się małżonkowie; Roman ucałował żonę w czoło i zapytał:

- Dokądże to tak moja pani?

- Na ogólne zebranie pań Opieki Ś-go Franciszka z Assyżu; a ty wychodzisz także?..

- A jakże. Na sesję Związku Kredytowego.

- Na którą godzinę?

- O pierwszej się rozpoczyna...

- Pysznie!.. - zawołała uradowana Ola.- Kazałam właśnie do powozu zaprządz, podwiozę cię... A śniadanie drugie już jadłeś?

- Nie, kochanie, czasu mi nie starczyło. Przekąszę coś nie coś na mieście...

- Mój ty biedaku !.. - i pogłaskawszy pieścizotliwie męża po twarzy, uściskała go Ola serdecznie, - taki zajęty zawsze, że nawet prawie nie można nigdy pomówić z tobą swobodnie...

- A czyja wina? - przekomarzał się wesoło Dzierżymirski.- Gdy ja do domu wpadnę, nigdy pani mej nie ma... To zebranie Ś-go Antoniego, Kalsantego, Ambrożego, - wszystkich świętych jednym słowem... To znów z kolei opatrywaniu chorych, wenta na przytułki, obrady na zabawy filantropijne, rozdawnictwa, gwiazdki dla dzieci, rozbieranie ich, ubieranie... Czy ja w końcu wiem i pamiętam, wszystkie owe tam wasze damskie pseudo-prace?..

- No, no... Bardzo proszę, nie wyśmiewać mi się z nas... Niby to wy, panowie, robicie co na owych sesjach. A jakże! Rozmawiacie zgoła o czym innym, papierosy palicie, kłóćcie się i rozchodzicie. Ho-ho, już ja wiem dobrze, co mówię!..- odparła z przekonaniem obrażona niby Ola.

I w ten sam sposób dłużej jeszcze przekomarzałyby się żartobliwie małżonkowie, gdyby nie wejście lokaja, który zaanonsował:

- Proszę jaśnie państwa, powóz już czeka...

- Aaa... to dobrze! - rzekł Roman żwawo, daleki już myślą od dręczących go do niedawna wspomnień.

- Nie przebierzesz się Romciu? - zapytała Ola.

- Ani myślę, nie mam czasu! Patrz, dochodzi już pierwsza... Cóż to, moje życie, uważasz może, że nie po dżentlemeńsku wyglądam?... - zapytał lekko.

- Ale gdzież tam... Cóż znowu?.. Tego myśleć się nie ośmielam - roześmiała się Ola. - tylko tak trochę... nie świeżo...  
Czekaj, przeczeszę cię, poprawimy krawat i oczyszczę...

Dzierżymirski poddał się pokornie wymaganiom estetycznym żony.

- No, fertig! Wyglądasz znośnie!.. - zadecydowała Ola po chwili.

- Phi... tylko? To niezbyt pocieszające, - odparł, śmiejąc się, Roman - i wyszedł z Olą do przedpokoju.

W bramie domu czekał już powóz odkryty; Dzierżymirscy wsiedli doń pośpiesznie, lokaj wskoczył na kozły i ruszyli. Znany w całym mieście pojazd "prezesowstwa", zaprzężony w dwa rosłe mieszańce, krwi anglo-arabskiej, wytoczył się na ulicę i pomknął chyżo.

Co chwila z pośród idącej po szerokich chodnikach publiczności, lub z wymijanych powozów, kłaniał się ktoś uprzejmie Dzierżymirskim, a oni, uśmiechnięci, weseli, tak samo grzecznie oddawali wszystkim ukłony. Po dłuższej chwili milczenia, odezwał się Roman:

- Ale, a propos, musisz się tem zająć, Oluniu, bo ja, doprawdy, czasu nie mam. Dziś, lub najdalej jutro, wysyłamy zaproszenia do wszystkich naszych znajomych... W sobotę damy raut pożegnalny... J'espere, że nic nie masz przeciwko temu, moje życie ?..

- Ależ, naturalnie!.. - pośpieszyła z zapewnieniem Ola, - lecz musimy przecież złożyć wizyty...

- Nie ja, nie ja, chérie!.. To ty za mnie nieodzownie zrobić musisz, kochanie... Kto nie przyjdzie - pal go licha!.. A zresztą, pas de crainte, stawia się wszyscy...

- Dlaczego nie chcesz jechać ze mną?

- Nie nie chcę, lecz nie mogę. Mam przed wyjazdem jeszcze zajęcia huk! Nie możesz mieć nawet wyobrażenia, moja droga, co to znaczy wyrwać się na miesiące kilka, jak tego pragnę, z tego kołomych rozlicznych obowiązków - c'est un vrai tour de force!.. - Dzierżymirski zamilkł na chwilę, poczem kończył:

- Bo pomyśl tylko... Tu znaleźć na czas ten cały zastępcę, tam znów wycofać się zręcznie, by nie obrazić nikogo i załatwić wszystkie czynności już z góry... Więc chyba rozumiesz teraz, iż w wizyty światowe bawić się nie mogę, najwyżej do kilkunastu wybitniejszych osobistości, i koniec.

- Ależ dobrze, już dobrze, nie tłumacz się, nie broń - zrobię wszystko, mój władco i panie! - z uśmiechem, pocieszyła go Ola. - Pytałam się tak tylko... Czy wracasz dziś na obiad ?..

- Pas possible! - odparł Dzierżymirski stanowczo. - Akurat o szóstej zebranie nadzwyczajne akcyonaryuszów i komitetu nowego przedsiębiorstwa, wiesz, Komercyjno -Agronomiczny Związek krajowy... Zjem na mieście.

- A wieczorem? - pytała dalej Ola.

- Muszę być koniecznie u księcia Artura, w sprawie budowy nowego kościoła Św. Jana Chrzciciela; zebranie prywatne w jego mieszkaniu - obiecałem.

- Niemożliwym jesteś człowiekiem !.. - roześmiała się Ola, - ja już o czwartej wracam do domu.

Umilkli. Wkoło nich śmiało się w słońcu miasto; wiosna czarodziejka nawet tu, w ciasne ogrodu mury, swój powiew balsamiczny tchnąć potrafiła - oddychało się swobodniej, szerzej, świeżość majowa pieściła twarze śpieszących zewsząd tłumów, śmiejących się i wesołych.

- Stań! - rzucił nagle i rozkaz Dzierżymirski, dotykając z lekka laską liberyjnych pleców stangreta. Dojeżdżali do wspaniałego gmachu Związku Kredytowego.

Powóz zatrzymał się posłusznie.

- A ce soir! - rzekł Roman, i lekkim uściśnieniem ręki pożegnawszy żonę, wyskoczył z ekwipażu. Po kamiennych stopniach krużganka skierował się ku olbrzymim kutym drzwiom, które, w powitalnym, niskim ukłonie, otwierał już usłużnie szwajcar miejscowy.

Na progu gmachu Dzierżymirski obejrzał się i spotkał ze wzrokiem Oli. Spojrzeniami wzajemnie pożegnali się jeszcze pieszczotliwie, poczem Ola odwróciła się pierwsza, Roman zaś, ścigając ją oczyma, zatrzymał się i uśmiechnął...

W oddalającym się powozie, młoda kobieta po chwili, instynktownie jakby, raz drugi spojrzała za siebie. Dzierżymirski jednocześnie skinął głową i znikł za drzwiami, Ola zaś odwróciła się i niedbale rozpięła białą, koronkami obszytą, parasolkę. Promienie i blaski majowe zaślniły się jeszcze na jej postaci chwilę, i powóz znikł, pochłonięty wielkomięjskim wirem.

Kaskadą światła i blasków płoną rzęsiście apartamenty Romanowstwa Dzierżymirskich...

Z pół otwartych lilii z kryształu, zdobiących gazowe po bocznych ścianach kinkiety, z zyrandoli i lamp - tu jaskrawo, tam znów łagodniej, drżą w dusznej atmosferze salonów pęki promieni, spadają deszczem na tłum wesoły, elegancki i strojny, grają, załamując się w klejnotach kobiet - pieszczą ich nagie gorsy i ramiona, głaszczą je swym niewidzialnym dotykiem.

Gwar stłumiony prowadzonych z ożywieniem rozmów, oraz tłok i ciasnota panuje w kilku obszerkach salonach; część tylko gości siedzi, większość, wahadłowym ruchem płynącej fali, przechadza się bezustannie, a raczej dyskretnie przeciska.

Nie omylił się bowiem w przewidzeniach swych Dzierżymirski. Całe towarzystwo i wszystkie jego sfery stały się na raut pożegnalny prezesa, wice prezesa, dyrektora i członka licznych instytucji - rade i poczuwające się do obowiązku obecnością swą złożyć daninę grzeczności światowej temu, kto trzymał obecnie w silnej dłoni wąż ich spraw i interesów - natury społecznej, przemysłowej, filantropijnej, a często gęsto i osobistej nawet.

Pełni uprzejmości, dystynkcji i gościnności szczerzej, wśród tłumu swych gości, uwijali się Dzierżymirscy, zmieniając się kolejno w pobliżu wejścia pierwszego salonu, dla witania wchodzących co chwila nowych przybyszów. W końcu jednak i ten czasowy posturek ich okazał się wprost niemożliwym...

Roman i Ola zmuszeni zostali zmieszać się z tłumem rautujących gości, ustępując sami naporowi ścisłu.

A kwadrans tymczasem mijały szybko. Liczba napływających osób powiększała się coraz bardziej, wśród szeleszczącej zaś, barwnej fali gości, w liberyi i pończochach, ukazywać się poczęli, posuwając się z trudem, lokaje, z wielkimi srebrnymi tacami... U wejścia zaś salonów, wyparta zwiększającą się falą ludzi, stanęła zwarta gromada mężczyzn, tamując w ten sposób po prostu komunikację do przepelnionych nad miarę apartamentów.

Młodzieniec, ciemny szatyn, nieposzlakowanie elegancki, o impertynenckiej nieco, choć wielkoświatowej powierzchowności, wchodził w tej chwili do mieszkania prezesowstwa Dzierżymirskich.

Znalazłszy się niebawem poza zbitą u drzwi garstką panów, na razie nie mógł postąpić ani kroku naprzód. Widząc to, skrzywił swe wąskie usta, i wspiął się dyskretnie na palce.

Ponad zbliżonymi, wypomadowanymi głowami stojących mężczyzn, ujrzał dokładnie kołyszące się morze kobiecych biustów, główek czarownic, pięknych, różnobarwnych tualet, gorsów i fraków i mruknął do siebie:

- Ho-ho!.. pas mal...

Spojrzał następnie na stojących opodal rautowiczów. Nie znał żadnego z nich. Zachnął się niecierpliwie i szepnął znów z cicha do siebie, po francuzku:

- Que diable, je ne suis pas venu ici pour garder l'antichambre...

I jednocześnie posunął się zręcznie naprzód, potrąciwszy zaś lekko po drodze swej parę sąsiadów, rzucił, z wytwornym ukłonem, kilka: "Pardon", w rezultacie jednak znalazł się zaledwie o parę kroków naprzód.

Popatrzył znowu przed siebie, wspiąwszy się na palce.

- Ach, przecież choć jeden!.. - szepnął z ulgą, tym razem już po polsku, dojrzał bowiem właśnie poznanego w przeddzień Emila Ładyżyńskiego.

Rzuciwszy po francusku parę ugrzeczniczonych przeproszeń, młodzieniec postąpił znów kroków kilka, aż stopniowo, przepraszając dalej bezustannie, zdołał dotrzeć do Ładyżyńskiego.

Ten już go był zoczył. Podali sobie ręce, witając się uprzejmie.

- Eh bien, chër comte - zagadnął, z uśmiechem pierwszy pan Emil - jakież wrażenie z rautu "koroniarzy?.." Trudno się dostać, co? Et, ce qui touche, gospodarza, prezesa, vous ne le verrez probablement pas, bo jest akurat pod przeciwnym biegunem.

- A ja właśnie muszę, bo go nie znam. Pani Dzierżymirska była tak bardzo uprzejmą zaprosić mnie, bo złożyłem jej wizytę, lecz prezesa, jako nader zwykle zajętego podobno, nie widziałem...

- Ba... ba... c'est simple - potwierdził Ładyżyński - nasz prezesunio jest to człowiek, który jest wszędzie, ale nigdy u siebie w domu... Voulez - vous, przedstawię pana. W drogę zatem... Płynmy, płynmy, póki czas!.. - zanuciwszy półgłosem wyrazy ostatnie, rzekł starzejący się kawaler, i prowadząc za sobą przybysza, puścił się naprzód.

Ostrożnie, z wolna, dwaj panowie posuwać się zaczęli. Czynność to zaś niełatwą była. Prócz obawy niezręcznego potrącenia kogoś z wytwornego, a ścieśnionego grona - musieli oni pozatem lawirować jeszcze bardzo zręcznie pomiędzy długimi trenami pań... Ładyżyński jednak radził sobie wybornie. Co chwila kłaniał się komuś uprzejmie z daleka, lub witał z bliska, przystawał, rzucał dowcipnych słów parę - rozstępowano się przed nim. Szedł dalej.

- Uf, nous y voilr!.. - rzucił po jakimś czasie towarzyszowi swemu.

- Widzę Romana, jak peroruje, cr va sans dire, o społecznych sprawach... - Och, i pani Ola jest również niedaleko!..

Quelle chance...

I pan Emil, odwróciwszy się, skorzystał z wolniejszej nieco około siebie przestrzeni, wziął pod ramię młodego człowieka i zbliżyć się począł wolno, ku otoczonemu kilkoma rozmawiającymi żywo panami, Dzierżymirskiemu. Idąc zaś, podrwiwał z cicha, cytując dolatujące głośniejsze wyrazy i zdania.

- A co? nie miałem racji? słyszy pan? Cel społeczny, - potęga działalności, - punkt kulminacyjny, - przesilenie finansowe - etc. i tak dalej. Jak dowodzi, co? Prawdziwa dystygowana wieża Babel szumnych frazesów!

Młody człowiek słuchał uważnie, uśmiechając się z lekka, tymczasem zaś jednak znaleźli się obaj tuż koło grupy rozprawiających zapalczywie mężczyzn.

- Stój, panie hrabio, skromnie, aż ja zatamuję, przerwę ten oto rwący potok dyskusji!.. - odezwał się znów Ładyżyński.

Nie okazało się to jednak potrzebnym. Dzierżymirski, bierniej od innych biorący udział w rozmowie, dojrzał już właśnie zbliżającego się pana Emila. Wyciągając przyjaźnie rękę ku niemu, z serdecznością, przemówił:

- Emilu? Jak się masz? cóż tak późno?

Romana z Ładyżyńskim łączyły obecnie stosunki przyjaźni szczerzej. Dzierżymirski polubił szczerze tego wesołego zawsze, patrzącego na życie trzeźwo bywalca, a przyjaciela rodziny - żony, nie mającego mu przytem za złe - jak wiadomo - postępku ongi z Olą.

- Bynajmniej nie za późno - odrzekł swobodnie zapytany, - od godziny dziś tak rojno, niby u ministra... Dojść do Jego Ekscelencji nie mogłem... - z ukłonem, dokończył ironicznie.

- A... tak. Rzeczywiście. Żegnają mnie czule, - w tym samym tonie odparł z uśmiechem Dzierżymirski.

- Czy widzisz, Romane, - ciągnął Ładyżyński - tego młodzieńca w monoklu, z takim znawstwem dyskretnem oglądającego w tej chwili tors hrabiny P?

- Widzę i nie znam!.. - zadziwił się Dzierżymirski.

- Co? pas possible!., - zadrwił pan Emil. - Nie znasz swoich gości? O, panie prezesie, wstyd i hańba!.. No, ale nic, wybawię cię z kłopotu i przedstawię ci go. Ja go znam!..

- Jak się nazywa? Il a l'air assez bien!..

- Parbleu, çr va sans dire. Potomek znakomitego rodu: hrabia Topola-Topolski - objaśnił Ładyżyński, z ironią.

- No, już "Topola", to pewnie dodatek twój, Emilu - zaśmiał się Roman - ale skądże go wyrwałeś?..

- Przybył z Galicyi, rodem z Księstwa Poznańskiego - zaprosiła go twoja żona. Strzeż się, prezesie, pani prezesowa ma swoich protegowanych!..

- No, nie gawędź, przedstaw mi go, bo biedak się zanudzi, tak czekając - rzekł Roman, i ująwszy ramię przyjaciela, skierował się ku Topolskiemu, idąc zaś, nachylony dyskretnie, szepnął:

- Tylko nie przedstawiaj mi go comte Topolski, bo ja zmuszonym będę wobec drugich uczynić to samo... Przecież to nonsens wierutny tytułować jakiegoś tam Topolskiego hrabią tu u nas, gdzie roi się od autentycznych, historycznych rodów...

- E !.. daj pokój, obrazi się, zresztą bogaty i epuzer... - odrzekł z niechęcią Ładyżyński - in faut lui laisser son illustre illusion.

- Ależ właśnie, przeciwnie! - przerwał Dzierżymirski. - "Bez złudzeń", to najlepsza reguła. Et je t'en prie, zrób, jak cię proszę...

- No, dobrze, dobrze... Uspokój się zresztą... Połknę "comte", ale jeśli mnie ten dudek wyzwie na pojedynek, to musisz być sekundantem! - zawyrokował, po swojemu, Ładyżyński.

- Monsieur Topolski... - szybko wyrzucił po chwili, gdy znaleźli się koło czekającego na nich młodzieńca.

- Dzierżymirski...

Pośpieszył osobiście przedstawić się Roman uprzejmie i natychmiast zagał rozmowę.

- Bardzo mi miło widzieć u siebie gościa z za Kordonu... Wszak pan przybywa z Galicyi?..

- Tak jest. Wczoraj właśnie miałem zaszczyt przedstawić się... i tam dalej - recytował pośpiesznie Topolski banalną światową odpowiedź, wyjaśniającą jego tutaj obecność i dotychczasową znajomość z gospodarzem.

- Nie zna pan zatem pewnie wiele osób - wysłuchawszy go cierpliwie do końca, przemówił Dzierżymirski - tymczasem przedstawię pana par ci, par l'r, zgoda?.. Venons! - dorzucił przyjaźnie.

- Bonsoir, monsieur le comte! - w tej samej chwili tuż obok nich rozległo się powitanie zwrócone do młodzieńca, i przed trzema panami stanęła Ola, w prześlicznej jasnozielonej sukni balowej, mieniącej się, przetykanej srebrem, wdzięcznie ubranej kwieciami wodnych nenufarów.

Topolski skłonił się wytwornie i przywitał z gospodynią domu, oraz, z wprawą obytego światowca, rozpoczął natychmiast rozmowę.

Po twarzy Dzierżymirskiego tymczasem na słowa powitalne żony przemknęło niezadowolone widoczne i skrzywił się nieznacznie. Stał chwilę w niepewności, poczem, zrezygnowany, rzucił Topolskiemu uprzejmych słów parę i znikł w tłumie gości.

Topolski tymczasem, pomimo powierzchowności, na pierwszy rzut oka aroganckiej nieco, okazał się miłym i wprawnym "causeur em", a idąc wolno obok Oli, z ożywieniem rozmawiać z nią nie przestawał.

- Jak to? - mówiła Dzierżymirska - więc to pan odziedziczył majątek w naszych stronach... Wolno wiedzieć nazwisko dóbr pańskich?..

- Szczęsnaja - odparł Topolski.

- Ależ to zaledwie o pięć mil od Gowartowa, gdzie z mężem mieszkamy - objaśniła towarzysza Ola. - Śliczna rezydencja, znam z widzenia... Nie przypuszczałam zgoła, że będę miała w pana sąsiada. Bardzo mi miło! - dokończyła uprzejmie. Topolski skłonił się, rzuciwszy jednocześnie zdawkowo - banalną grzeczność.

- To pan dziedziczy po hrabi Teodorze Irenhauzie? wszak prawda? - pytała dalej Ola.

- Tak, pani; to był mój dziad stryjeczny... - Tak? no, widzi pan... Znałam doskonale swego czasu dziadka, pańskiego, nous sommes donc en pays de connaissance... Był to bardzo dystyngowany, zacy i miły człowiek...

- Oh, vous êtes bien aimable, madame...- zaczął swą wytworną francuszczyzną młodzieniec, lecz przerwała mu, snać niedosłyszawszy, Ola:

- I objął pan już swe dobra ?..

- Nie, pani, jadę tam dopiero za parę tygodni...

- Pozna pan zatem Ukrainę, - ciągnęła dalej swobodnie młoda kobieta, - kraj to cudny, śliczny, zobaczy pan... Ja go tak lubię, tak kocham, z całego serca!.. - kończyła, z ożywieniem.

- Ot bynajmniej nie jest mi obcą Ukraina - pośpieszył z odpowiedzią Topolski. - Zaznałem już jej uroku, bywałem bowiem u stryja dawniej, et je suis tout à fait de votre opinion madame, c'est un pays charmant... Tyle wdzięku, cichego czaru, w tych drzemiących stepach i polach, tyle poezji, w jej dumkach, a tyle, tyle tęsknoty we wszystkim!.. - z zapalem, wygłosił ostatnie słowa Topolski.

Ola, po raz pierwszy, spojrzała nań uważniej. Twarz młodzieńca w tej chwili pozbyła się całkiem nałożonej konwenansowej maski światowca, zlagodniała jakby i wypiękniała.

Przesunawszy uważnie swe rozumne spojrzenie po twarzy swego nowopoznanego sąsiada wiejskiego w przyszłości, Ola zdziwiła się w duszy niepomiernie, tymbardziej, że nie poza bynajmniej, ale przeciwnie, szczerłość w ostatnich słowach jego dźwięczała. Nie spodziewała się podobnego zwrotu w rozmowie banalnej przeciętnego salonowca, za jakiego wzięła nowego gościa, zamyśliła się zatem chwilę, umilkła, i dopiero, w parę minut później, przypomniawszy snać sobie obowiązki gospodyni, uprzejmie bardzo zwróciła się do Topolskiego.

- Gawędzę z panem, et j'oublie tout à fait, comte, que vous connaissez ici très peu de monde... Wszak prawda? Przyjechał pan dni temu parę zaledwie... Przedstawię pana... donnez moi votre bras, s'il vous plait.

Z wdziękiem, Topolski podał natychmiast Oli swe ramię, rozplywając się jednocześnie w podziękowaniach, grzecznościach i zasypując zręcznymi komplementami młodą kobietę... Uprzejma gospodyni tymczasem prowadziła go ku grupie siedzących starszych dam. Im naprzód przedstawiwszy gościa, skinęła następnie na jednego z kręcących się beczynnie młodych ludzi, a zapoznawszy z nim swego protegowanego, poleciła zaprezentować go młodszym paniom i pannom.

- Comte Topolski... hrabia Topolski... monsieur le comte Topolski...- rozległo się po chwili tu i tam po salonach, w milknącym właśnie rozmów gwarze, tło fortepianu bowiem, stojącego na zaimprovizowanej estradzie, zbliżała się w tej samej właśnie chwili sławna artystka, śpiewaczka włoska...

Akompaniować jej zamierzał znany profesor i muzyk.

Topolski zaczął przyciszonym głosem zabawiać grupę pań i panien, wespół z wyfraczoną i wymuskaną młodzieżą, uwaga zaś powszechna zwróciła się jednocześnie na młodą i piękną Włoszkę.

Coraz ciszej i ciszej, choć opornie, umilkł w końcu, niby morze, tłum wytworny i słuchać poczęto, z pozornym zajęciem...

Wreszcie, w ciszy względnej jeszcze, odezwały się pierwsze akordy, a w ślad zatem obił się o ściany salonów i uszy słuchaczy melodyjny, o cudnym aksamitnym brzmieniu, kontralt kobiecy. Złączona w harmonijną całość z muzyką fortepianu, rozległa się, zadrżała uczuciem włoska pieśń namiętna i jak świeże tchnienie z pod nieba Italii, spłynęła urocza, na rojną masę gości...

Wstrząsnawszy zaś gamą tonów przepelnione salony, poleciała pieśń czysta, skrzydlata, daleko - wyrwała się przez okna na ulice miasta potężna, silna, wcisnęła się do każdego zakątka mieszkania Dzierżymirskich - zbudziła swym czarem dalekim siedzącego w zadumie w jednym z najbardziej oddalonych fumoir'ów, Romana.

Podniósł głowę instynktownie, wsłuchał się w modulowaną artystycznie pieśń i westchnął po kilkakrotnie...

Korzystając ze zwróconej ogólnie uwagi na mający się rozpocząć wkrótce popis koncertowy, Dzierżymirski znudzony schronił się był tutaj.

Myśli dłużej go przytrzymały. Teraz zaś, słysząc daleki, cichnący stopniowo szmer tłumnego zebrania, a później wyraźne tony pieśni znakomitej śpiewaczki, złagodzone oddaleniem, piękne, marzące, drgające uczuciem i siłą - Roman, w milczeniu słuchał nieporuszony - jakby zaklęty... I odejść stąd nie chciało mu się wcale...

Poddając się bowiem urokowi słuchanej pieśni, poruszały się, trącone jakby czyjąś dłonią z lekka, jakieś struny w jego duszy, kwiliły cicho, grały...

Tymczasem namiętny głos Włoszki rósł, potężniał...

Wreszcie w pożegnalnym rytmie ostatnie, donośne, słowa pieśni zabrzmiały - połały się lawą jakby ekstazy, rozkoszy, upojenia, wstrząsnęły ścianami cichej komnaty, a dobiegły aż tu, pod stopy Dzierżymirskiego, i zgasły...

Nastała drobna chwilka zupełnego milczenia, poczem, zgłuszony nieco oddaleniem, zabrzmiał oklask przeciągły, długi, szczyry...

Roman przetarł dłonią czoło i powstał... Trzeba było powracać do obowiązków niestrudzonego gospodarza domu.

A tak dobrze było mu tutaj! Dawno nie pamięta tak cichej, niczem nie zamęczonej chwili, bez zgrzytu żadnego, bez rozterki...

Rozterka!.. Była przecież ona jego życiem. Tak. Nie tem zewnętrznem, dla ludzi, dla świata, ale tem prawdziwem, wewnętrznem - dla siebie.

Cień smutku powlekleł piękne rysy Dzierżymirskiego; rozpamiętując coś, zadumał się on znowu.

Nagle brwi zmarszczył, i jakby przypomniawszy coś sobie, sięgnął szybko do kieszeni fraka, skąd wyjął welinową podłużną kopertę. Rzuciwszy uważnem okiem na wypisany, drżącą ręką, dokładny adres, odczytywać go począł. Był to zaś list do niejakiego pana Wiktora Orłęckiego w Paryżu. O pismo to chodziło Romanowi bardzo od kilku już tygodni, to jest od czasu, gdy się dowiedział, że wzmiankowany powyżej, Wiktor Orłęcki, zamieszkał w stolicy świata z oszczędności i musu po stracie -majątkowej, wynikłej, jak mówiono, ze zguby, przed samym terminem licytacji majątkowej, sumy pieniężnej.

Opowiadanie to, posłyszane przypadkiem, uderzyło Romana Dzierżymirskiego. Rodziny Orłęckich nie znał, szczegółów dowiedzieć się nie mógł... Wiadomość ta jednak niepokoiła go; ogarniać go poczęła chęć niezbadana stanowczego zobaczenia się, z owym Wiktorem Orłęckim, oraz wybadania go zręcznego.

I od chwili tej nie znał już pragnień innych...

Wreszcie poznał się umyślnie pewnego dnia z bogaczem, sławnym odludkiem i dziwakiem, Hugonem Orłęckim, jedynym krewnym zamieszkałego, w Paryżu Wiktora, by w jakikolwiek bądź sposób móc dotrzeć przez niego do nieznanego mu zgoła człowieka, a trzymającego, może, kto wie, nic jego własnej zagadki! Dziś dopiero, na kilka godzin przed rautem, udało się zdobyć list od starego samoluba, dla którego napisanie go nawet było ofiarą niewątpliwie wielką, zerwał bowiem zupełnie stosunki ze swym krewnym.

Pismo to było w kwestyi oderwanej całkiem; treść, poddana przez samego Romana, polecała tylko oddawcę w pewnej sprawie względem synowca starego bogacza, posiadając jednak list ów w kieszeni, Dzierżymirski odetchnął. Łatwiej mu już bowiem było, mając sposobność poznania owego Orłęckiego, potrącić w rozmowie z nim o temat pieniężnej zguby, którego, jako obcy zupełnie, prawdopodobnie tknąć by nawet z nim nie mógł.

- Ba!.. jeszcze jeden... - westchnął Dzierżymirski i skierował się śpiesznym krokiem ku rozbrzmiewającym już wrzawą salonom.

Tam, po uczcie artystycznej ducha, przechodzono właśnie do dużej pustej jadalnej sali, by z kolei przystąpić do uczty ciała i pokrzepić się jadłem, za stawionem pokaźnie i suto, na olbrzymim podłużnym, przybranym kwiatami, stole.

Roman stanął w cieniu portyery, u wejścia jednego z ustronnych buduarów, gdzie w tej chwili nie było nikogo, i objął spojrzeniem swych gości.

W jego ogromnych salonach było już nieco przestronniej; tu i tam siedziano jeszcze, rozmawiano, lub przechadzano się swobodniej... Wypukleje występowały teraz wspaniałe toalety kobiet, mieniły się tęczowymi kolorami.

Na alabastrowych szyjach, piersiach i ramionach wachlujących się zalotnie dam, łatwiej można było dojrzeć obecnie wspaniałe klejnoty, połyskujące, na równi ze spojrzeniami ich oczu...

Na lewo zaś, ku sali jadalnej, ścisk natomiast panował. Wiele osób dyskretnie w ostatnim, trzecim z rzędu, salonie, oczekiwało, rautując tymczasowo, kolei swej, bo przy stołach biesiadnych pełno już było gości, posilających się, przeważnie stojąc, wystawną, urządzoną na zimno kolacją. Paniom i pannom usługiwali panowie, jedząc, flirtując, śmiejąc się i bawiąc wesoło.

Obejmując sale wzrokiem, dłuższą już chwilę stał tak Dzierżymirski, a na twarzy jego, w ślad za

pewnym jakby odbłaskiem wewnętrznej próżności, zawitał teraz melancholijny cień...

- Przyszli tutaj - myślał - tak, stawili się z różnych obozów, sfer, przybyli i wielcy, i mali, bawią się obecnie swobodnie, weseli, splatając zarazem swą obecnością dług grzeczności światowej, zaciągnięty u niego - pożyczkę moralnych usług,

czynności, zabiegów...

Ha, zapewne! Lecz gdyby tak oto niespodzianie, nagle, dowiedzieli się tutaj oni wszyscy, co poza jego, Dzierżymirskiego, powłoką się kryje, gdyby w zawrotną głęb duszy jego zajrzeli!..

O, niewątpliwie! Przeczytawszy ukrytą tam tajemnicę, odwróciliby się ze wzgardą...

Dzierżymirski nieuczciwy? Jak to?.. Prezes, wiceprezes, człowiek czynu, energii, żelaznej woli, nasz najzdolniejszy, znany i poważany w szerokich kołach miasta?..

Jakaś pełna zgrzytów, piekąca ironia roześmiała się na głos w duszy Romana.

- Ha-ha-ha!.. ha-ha-ha!.. Oszukujesz ich ty!.. Ty, czczony, wielki! Zasypujesz im oczy błyszczącym piaskiem, kpisz sobie w duchu z nich wszystkich!..

Roman wstrząsnął się... W przywidzeniu nagle ujrzał on te klasy, sfery - tych wszystkich, przechadzających się przed nim, strojnych ludzi, unikających jego wzroku, ukłonu, uchylających się od podania mu ręki, ze wzgardą zimną, suchą na obliczu...

I Dzierżymirski, wzburzony nagle, podniósł głowę hardo, wstrząsnął bujną czupryną, śniada twarz jego przybrała wyraz energii, oraz niezłomnej woli, i wyszeptał:

- Nie dam się, nie dam!.. - zacisnął instynktownie pięści i dokończył ciszej jeszcze: - Korzą się oni przede mną, kornymi zostaną; bo ja tak chcę i tak być musi!..

Dzierżymirski bowiem w tej chwili nie bał się rzeczywiście ciemnej, nierozwiązanej jeszcze życia zagadki - ufał w siebie!..

W ukryciu swem, niedostrzeżony przez nikogo, stał długo jeszcze... Uspakajał się stopniowo, a z równowagą umysłową, wywalczaną zwykle wolą żelazną - codzienny, tajony przed drugimi, smutek, pełny samowiedzy, po raz setny znowu wstępował do duszy jego.

- Galernikiem jestem!... - szepnęła Roman z goryczą. - Nie tym, z piętnem ludzkiej sprawiedliwości na czole, potępianym, ale może gorszym jeszcze, bo moralnym - tym, któremu honory pod nogi rzucają hojnie, a on je z rumieńcem wstydu ukryć by rad przed sumieniem, lecz nie może!. W ciemnię zagadki wpatrzony błędnie, wijący się bezustannie w ducha rozterce, niewolnikiem błędnego koła przeznaczenia własnego jestem, bryzgającym światu fałszem mego "ja", potrafiącym go odurzyć komedią, graną znakomicie, nie mogącym zaś, niestety, zagłuszyli tylko - siebie!..

(przypis - tu książką jest spalona, elementy wzięte w nawias kwadratowy są dokończeniem wyrazu, bądź oznaczeniem przerwy w tekście)

I Dzierżymirski przesunął dłoń po czole, jakby pragnąc zetrzeć z niego ostatecznie myśli nieposłuszne. Stał po chwili przed lustrem, rozczesał starannie włosy i brodę, poprawił szczegó[ły swej] toalety, a przybrawszy zwykłą codzie[nną pozę] oblicza - przestąpił sprężyste próg z[ bu]duaru... Rzucił znowu oczyma po salac[h ].

Druga, czy trzecia partya gości [ ]raz wieczerzę, a tamci, syci, przechad[zali się po] nim. Nagle ujrzał w dali sylwetkę w[ ] szukającej uparcie wzrokiem kogoś ws[zak po] chwili oczy ich spotkały się, Ola uśmie[chnęła się ] i przyzywać go poczęła skinieniem głowy. [Równocze]śnie ktoś szybko uchwycił za rękę Romana.

- Qua diable, ekscelencyo!.. - zabrzmiał głos Ładyżyńskiego. - Co z tobą się dzieje? Kolacja rozpoczęta, pani Ola cię szuka, goście dopytują się o ciebie bezustannie, a tyś, jak w wodę wpadł... Bój się Boga, wielki człowieku, cóż z ciebie za gospodarz domu!?! - i pan Emil, wzięwszy pod rękę Dzierżymirskiego, prowadzić go poczał poprzez salony.

Roman zaś teraz dopiero zdał sobie sprawy dokładnie, jak widocznie długo nie było go pomiędzy gośćmi.

- Telefonowano do mnie, interes bardzo ważny!.. Naprędce załatwić musiałem korespondencyę... - skłamał gładko.

- Ach, zawsze z ciebie ten sam interesoman - zaśmiał się Ładyżyński - wiesz co ? Ja myślę, że jeżeli tak dłużej potrwa, to i w nocy będziesz przewodniczył sesjom, a niby ś. p. Napoleon godzin parę tylko spoczywał w objęciach Morfeusza!..

(przypis - druga strona spaleniźny)

[Rom]an na tę uwagę nic nie odpowiedział, bo [ ]go. Panowie i panie przywłaszczali so[bie ]gi nieobecne tak długo gospodarza do[ ]lię z nim w rozmowy, na których dnie, [ ]rył się tu nawet, zręcznie wyzyskujący [ int]eres osobisty.

[Dzierży]mirski zaś, ze zwykłą sobie pozorną po[wagą ] poddawał się temu wszystkiemu uprzej[mie rozmaw]iał z ożywieniem i niebawem znikł z oczu, [ ]fałą gości. W tryby swe, kólecza i koła [ ]jała go znowu machina życia, ścierając walkę [my]śli, wrażenia z przed chwili, barwnym, bawiącym się "towarzyskim światem", tak, jak wczoraj czyniła to interesami, sesjami, pracą społeczną, lub czem innym wreszcie...

To właśnie życie czynne było największem może czasowem lekarstwem Romana - było jego morfiną, której za moralną dawką zapominał chwilowo o wszystkim.

Tymczasem czas mknął szybko. Po skończonej już zupełnie kolacyi, przez czas krótki do kulminacyjnego punktu ożywienia doszedł raut prezesowstwa Dzierżymirskich... Salony rozbrzmiały zdwojoną zabawą i rozmową. Na wszystkich prawie twarzach widniało szczere zadowolenie, co w wielkiej mierze zawdzięczano niezmordowanemu, gościnnej uprzejmości pełnym zabiegom Romana i Oli.

Eleganckie ich sylwetki, wśród barwnej lśniącej fali zaproszonych osób, migały szybko, znajdowały, zdawało się, wszędzie, by tylko uprzyjemnić, rozruszać i zabawić wszystkich, umiejętnym przedstawianiem, dobieraniem wzajemnym kół i kółeczek swych gości.

Wreszcie stopniowo, z wolna, w salonach ukazywać się zaczęło coraz więcej swobodnego miejsca...

Wybiła gdzieś godzina wpół do trzeciej. High life miejscowy pierwszy dało hasło do odwrotu, za jego przykładem, śladem poszły i sfery inne... Przed domem, oraz na asfalcie obszernego dziedzińca zatętniały liczne uderzenia kopyt końskich, zamajaczyły ogniki u latarń dziesiątek powozów i karet. Rozjeżdżało się tłumnie i coraz szybciej.

U wejścia wyludniających się coraz bardziej salonów, znowu stali teraz Dzierżymirscy, żegnając wszystkich serdecznie i grzecznie nad wyraz.

- N'est ce pas ? do zahaczenia w Gowartowie?.. - rzuciła na pożegnanie Ola odchodzącemu już w tejże chwili Topolskiemu.

- Najmilszym to dla mnie będzie obowiązkiem!.. - zabrzmiała, w ukłonie wytwornym skwapliwa jego odpowiedź.

\*\*\*\*\*

Noc wiosenna, cicha, przez otwarte wszystkich apartamentów okna, zajrzała w swej gwiazdzistej szacie do salonów Dzierżymirskich.

Ciepłym, rzeźkim powiewem mieszała się ona z pozostałą tu wonią perfum, potu ciała i oddechów ludzkich, - tchnieniem swem dotknęła głów siedzących w zacisznym buduarze Romana i Oli.

Ola z lubością wciągnęła w piersi oddech wiosennej nocy, poczem rzekła:

- Ach, jak przyjemnie... czujesz, Romciu? Co za miły i świeży powiew!..

Dzierżymirski, palący w zamyśleniu papierosa, spojrzął na wdzięczną postać żony, opiętą zgrabnie w śliczną dekolowaną suknię, i dłużej zatrzymawszy na niej spojrzenie, milcząc, z uśmiechem skinął potakująco głową; po chwili zaś rzucił papierosa precz od siebie i przysunąwszy fotel bliżej do kanapki; gdzie siedziała Ola, położył miękką dłoń swą na jej małej rączce.

- Wiesz, kochanie - rzekł łagodnie i z wolna - że ja już jutro do Paryża jechać muszę...

- Już jutro?.. - wykrzyknęła ze zdziwieniem Ola. - Mieliśmy jechać razem do Gowartowa - dodała następnie z żalem - a ty za granicę dopiero później...

I oczy Oli pociemniały nieco, na twarzy zaś odbił się cień widocznego jakby rozczarowania. Dzierżymirski uśmiechnął się na tę minę niezadowoloną.

- Dbaj jednak o mnie i kocha... - przemknęło mu przez myśl, poczem łagodnie, głaszcząc dłonią rączkę Oli, mówił pieszczotliwie znów dalej, paliły go już bowiem gorączką: list schowany w kieszeni i nadzieja wpadnięcia może na tak dawno poszukiwany trop.

- Wierz mi, zwlekać nie mogę, muszę jechać natychmiast... Zresztą przyjadę do Gowartowa później.

- Ależ wczoraj jeszcze - zachnęła się Ola - mówiłeś mi, że nic tak dalece pilnego nie powołuje cię...

- Ho-ho gniewy!.. - zauważył lekko i żartobliwie Dzierżymirski. - Cóż to, może moja pani chciałaby mnie mieć tak ciągle ś ses trouses?.. - I mówiąc to, powstał, zbliżył się do żony, a ująwszy jej obie dłonie, położył je uśmiechnięty sobie na twarzy i wargami muskać począł delikatnie, bawiąc się jednocześnie bręczącymi na rączkach Oli bransoletkami.

- Oj, kotku, koteczku ty mój drogi, kochany! wczoraj... - przedrzeźniał z kolei - wczoraj nic nie wiedziałem jeszcze, a dziś... - tu Roman spuścił oczy - na raucie właśnie uchwaliliśmy razem z członkami nowozakładającej się spółki Przemysłu Fabryczno - Krajowego, że ja, jako delegowany, muszę, jechać czempredzej do Paryża, w celu obejrzenia na miejscu udoskonaleń fabrycznych...

Roman umilkł, puścił delikatnie dłonie żony i wyjął ruchem szybkim zegarek.

- Oho - po trzeciej... Późno, cherie, już kłaść się pora - i kończąc jakby poprzednią rozmowę, dorzucił: - No, i cóż, moje życie, widzisz teraz, iż nie jechać jutro nie mogę...

- Zapewne. Ty zawsze nie możesz, gdy nie chcesz! No, ale cóż robić... Jedź... Tylko w takim razie proszę mi długo tam nie siedzieć i pisać listy codziennie. Koniecznie... By nie zapomnieć o mnie zupełnie - tu Ola z uśmiechem pogroziła mężowi palcem i dodała jeszcze: - bo Paryż - Paryżem, ho, ho, ja znam się na tem!.. Nie oszukasz mnie tak łatwo...

- Ale cóż znowu? - zachnął się Dzierżymirski, ale tym razem zupełnie szczerze. - Cóż za myśli - uśmiechnął się, a potem dorzucił całkiem poważnie: - Wiesz przecie, że prócz ciebie, żadna na świecie kobieta nie obchodzi mnie zgoła!..

Z wdzięcznością spojrzała nań Ola.

- Wiem i wierzę - rzekła - a ponieważ i mnie tęskno bez pana mego będzie, więc i ja jutro pojedę...

Zatrzymała się, spojrzawszy filuternie na męża, cień bowiem mimowolny przebiegł po twarzy jego...

- Nie, nie do Paryża!.. - roześmiała się szczerze, jakby myśli Romana zgadując - ale do Gowartowa!..

Uśmiechnął się z kolei Dzierżymirski.

- Dobrze! - wykrzyknął wesoło. - Zatem jutro - marsz! Ponieważ zaś pociąg mój wychodzi później od twego, wyślę pakunki nasze przez służbę i odwiozę cię na kolej powozem. A teraz - ciągnął dalej - spać!... Dobranoc, kochanie, zmęczoną jesteś.

Pocałował Ołę serdecznie w obie ręce i czoło - małżeństwo znużone rozeszło się...

Niebawem w apartamentach prezesowstwa Dzierżymirskich pogasły wszystkie światła. Cisza i uśpienie, prowadząc się za ręce, wstąpiły do rojących się tak niedawno od ludzi salonów, buduarów - rozpostarły się wszędzie i mrokiem sennym otuliły wszystko dokoła.

-----

- Paris!.. Tout le monde descend!.. Paris!..

Okrzyk ten jędrny, donośny, a wyrzeczony najczystszym francuskim akcentem, obił się o słuch pasażerów pociągu, podjeżdżającego pod oszklone arkady paryskiego dworca, i zbudził drzemiącego w wagonowym przedziale Dzierżymirskiego.

- Par... - ris !.. - zabrzmiało przeciągle raz jeszcze pod samem oknem wagonu i drzwiczki szybko roztworzono nagle... Roman zerwał się, a pochwycawszy podróżną torebkę, wyskoczył śpiesznie na peron.

Bieganina, ruch, zgiełk, ogarnęły go natychmiast, oszołomiły chwilowo całkiem; w parę minut dopiero, zorientowawszy się, poszedł Dzierżymirski do rewizyjnej sali, gdzie pobieżną z bagażem swym załatwiwszy formalność, w kwadrans później znalazł się już w dorożce, na bulwarach.

Zapaliwszy cygaro i rozparłszy się wygodnie, z przyjemnością przypatrywał się on teraz od bardzo już dawna nie widzianej nadsekwańskiej stolicy.

Środkiem bulwaru Sewastopolskiego, ulicą, wymijały go ogromne, zielone tramwaje elektryczne, różnobarwne omnibusy konne, ekwipaże, samochody; cały zastęp ruchliwy pojazdów tamował co chwila wir miasta, na sekund kilka wielokrotnie zatrzymywać się była zmuszona wioząca Romana dorożka; policyjna w mantylach ciemnych krzykliwie czyniła porządek - poczem ruszano znowu.

A pod wyniosłymi drzewami, po bokach, snuły się pośpiesznie przechodniów roje; na werandach mnogich kawiarni, zajmujących część chodnika, pełno było również i gwarno od konsumentów - płci obojga oraz różnych stanów.

I jakiś prąd kielkującego, czynnego bezustannie życia, lecącego na oślep jakby przed siebie, niepomnego byłego, znikłego już "wczoraj", w ciągłej, śpiesznej pogoni terażniejszości i jutra - bił od tych uganiających się mas ludzkich, zawrotną siłą ciągnął jakby ku sobie - pochłaniał i wabił...

W płuca swe wciągając bezwiednie tchnienie tego życia, toczącego się z łoskotem swego perpetuum mobile, Roman dojechał wreszcie do jednego z centralnych hoteli, gdzie rozlokowawszy się niebawem, znużony położył się i zasnął.

Przespawszy w kamiennym śnie zmęczenia dobrych godzin kilka, Dzierżymirski zabrał się energicznie do celu swego tutaj przybycia. Wybiegł na miasto.

Dla oryginalności i pod wpływem przypomnienia używanej za studenckich jeszcze czasów jazdy na "impérial'i" omnibusów, "pan prezes" usadowił się na dachu jednego z nich i z zadowoleniem, rozglądać się począł wokoło.

U stóp jego, blisko, w granitowym podłożu toczyła sennie swe ciemne, stalowe fale Sekwana. U jej brzegów w oddali, na lewo, wznosiły się ponure nieco kwadraty wieżyc katedry Notre Dame, w prawo zaś majaczył Luwr olbrzymi. Dalej znów błyszczał ozdobami most Aleksandra III-go, odcinała się na tle nieba wieża Eiffel - w perspektywie, kopuła pałacu Inwalidów złościła się w promieniach majowego słońca...

A po Sekwanie, krążąc, uwijały się parowe statki, zatrzymywały się u licznych przystani, obsługując bezustannie mieszkańców stolicy.

Trzęsąc niemiłosiernie, żółtawy, w trzy siwe konie zaprzężony, omnibus zatrzymywał się właśnie na jednym z przystanków, gdy obserwujący ciągle Paryż Dzierżymirski, zdał sobie nagle sprawę, że mieszkanie Orłęckiego może być już blisko, i począł schodzić szybko po krętych schodkach, łączących piętnastocentymową impériale z trzydziestocentymowym padołem.

Znalazłszy się na bruku, Roman przyspieszył kroku, i wyminąwszy kilka wąskich zaułków, znikł w bramie jednego z domów. W chwilę później dzwonił na krętych ciemnych schodach starej, jak świat, kamienicy - u drzwi pomieszkania Orłęckiego. Otworzyła mu młoda, fertyczna służąca, w charakterystycznym białym czepeczku na głowie.

- Monsieur Orłęcki? - zapytał Dzierżymirski.

- Sorti et ne reviendra qu'a dix heures du soir - posłyszał zwięzłą odpowiedź.

Zawiedziony Roman skrzywił się, z niechęcią i zagadnął:

- A jutro o której godzinie zastać go będzie można?

- O, jutro zgoła co innego. W Niedzielę pan przyjmuje od drugiej do obiadu - poinformowała przybyśza młoda Francuzka.

- A zatem przyjdę jutro o te same godziny - odparł Dzierżymirski, i sięgnąwszy po bilet wizytowy, oraz list Hugona Orłęckiego, wręczył je służącej,

- Proszę oddać to panu... Do widzenia!.. - skinął głową uprzejmie.

- Bonjour, monsieur!.. - odwzajemniając się dzień dobrym, według miejscowego zwyczaju, pożegnała go dziewczyna uśmiechem i zalotnym błysnięciem czarnych oczu.

Wydostawszy się na ulicę, Dzierżymirski, niezadowolony ze zwłoki, a cały pochłonięty nadzieją rozwiązania za pomocą Orłęckiego dręczącej go zagadki - szedł naprzód przed siebie odruchowo czas dłuższy. Od otoczenia swego daleki jeszcze myślami, nagle zatrzymał się jednak, spojrzawszy uważnie dokoła siebie.

Znajdował się obok filarów wejściowych Panteonu - przed nim zaś w perspektywie już bliskiej zieleniał za kratą ogród Luksemburski.

Pustymi chodnikami skierował się w tą stronę; wkrótce był już w ogrodzie i iść zaczął bez celu szerokimi alejami, niebawem zaś znalazł się na obszernym tarasie. Na lewo, w oddali, zamajaczyły wieżycy Obserwatorium, przed nim wznosiło się muzeum Luksemburskie.

- Wpadnę tam i obejrzę, co jest!.. - pomyślał, zadowolony nagle na widok gmachu, a ponieważ wejście do pałacu nie było od ogrodu, lecz od strony bulwaru Ś-go Michała, Dzierżymirski skierował się boczną aleją parku ku wyjściu, na prawo. Twarz chmurną, znudzoną, okraślił mu uśmiech; przestąpił sprężyste próg muzeum i spojrzawszy jednocześnie na zegarek - mijają czwarta, podwoje pałacu zaś zamykano o piątej.

- Zdązę chyba zobaczyć wszystko!.. - mruknął, kontent już tym razem zupełnie, z przyjemnego zabicia czasu.

I rzeczywiście.. Pod wpływem bowiem pierwszego rzutu oka na salon sztuki, Dzierżymirski zapomniał o wszystkim, co go dręczyło.

Znajdował się w otoczeniu, ustawionych w pierwszej sali, licznych rzeźb nowożytnych...

Więc oto najprzód spojrzenie jego przykuła ustawiona na małym wzniesieniu, w pobliżu wejścia, rzeźba Moreau-Vauthier'a, a była nią postać naga, leżącej na wznak, w lubieżnej pozie i upojeniu, bachantki, z gronem winogron w lewej dłoni... Naturalność pozy i ruchu, a szczególnie modelowane doskonale ciało kobiece, tętniące po prostu w zimnym białym marmurze, żarem krwi młodej - zatrzymało dłużej na sobie wzrok Romana.

Rozglądając się, przystając co chwila, poszedł dalej!.. I niebawem znowu zapatrzył się dłużej, tym razem przed przegiętą w tył, w stojącej postawie, i unoszącą się jakby w przestrzeni, postacią nagiej również dziewczyny. Oczy jej były przymkniętymi, twarz owiana mgłą uśpienia, w ręku trzymane chwiała się kwiecie...

Było to "Złudzenie" F. Charpentier'a, oddające subtelnie pochwyconą nieuchwytność illuzji, jak sen, jak marzenie, nieujętej - rozplywającej się jakby w przestrzeniach...

Niezrównanem bowiem oddaniem czaru uśpionych pięknych rysów kobiecych, zdawało się, że znajdujący się tutaj przedstawiciele rzeźby turniej urządzili sobie.

Wśród wielu innych w tymże rodzaju posągów, wyróżniała się jeszcze rzeźba, nader piękna, zatytułowana : "Wspomnienie". Twórcą jej był Mercié Autouin.

Przedstawiała ona młode dziewczę, o rysach drobnych, z głową przechyloną w tył nieco, z obliczem, tonącym jakby w głębokim, cichym śnie. Na kolanach jej, na ziemi - wszędzie, widniały rozsypane kwiaty; dwa gołąbki, niosąc w dzióbkach również kwiecie, leciały ku niej, rozmarzonej cicho, we wspomnieniu dalekiem...

Poświęciwszy względnie dość czasu na rzeźbę, Dzierżymirski przeszedł spiesźnie do salonów, zawieszonych obrazami, dochodziła już bowiem godzina zamknięcia. Szybko, jak mógł najuważniej, zaczął oglądać obrazy wszystkie; w ten sposób dobiegł do sali ostatniej. Poczem, wolniej nieco, powracać zaczął.

I teraz w jednym salonie uwagę jego zwrócił nader oryginalnie, bo, jakby całkiem po świecku traktowany, a mimo to nadziemskością tchnący, obraz: "Najświętsza Maryja Pocieszycielka..." Z ram patrzyła na widza, natchnionego oblicza, o dużych oczach czarnych, siedząca postać Niebios Królowej... Na kolanach Jej, rzucona na klęczkach, oparła się kobieta, z twarzą ukrytą, z rękoma załamane, w bezbrzeżnym bólu, szukająca na łonie Świętej Maryji pocieszenia! U stóp tych dwóch postaci kobiecych - poniżej, leżało wdzięcznie uśpione dzieciątko, śniło, osypane całe, obrzucone puchem białych róż śnieżnych, w rozkwicie...

Dzierżymirski, zachwycony wdziękiem i poezją, bijącymi z obrazu tego, pędzła "Bouguereau"; po chwili znów pospieszył dalej.

Naraz zatrzymał się ponownie. Ujrzał bowiem naprzeciwko siebie obraz dość duży, przez Detaille Edwarda. Nosił miano "Le rêve (Sen)".

Na olbrzymim oto polu, otuleni płaszczami, z czapkami nasuniętymi na czoło, pokotem, jeden obok drugiego, leżą setki

odpoczywających, pogrążonych we śnie żołnierzy... Poranek cichy; niebo hen! daleko zaróżawia się leniwie jutrzenką, - wśród śpiących ludzi błyszczą w szarem świtanii rzędem poustawiane, ułożone w kozły bronie, a gdzieś z boku, blisko, dogasa już ognisko...

Lecz cóż to za cienie mającą tam, w górze, nad nimi?

To górą, w obłokach, płynie mgłą przesłonięty jakiś hufiec inny, zwycięzki - mar i duchów, nie ludzi!.. Grzmi tam muzyka, bębnią, strzelają, proporce się chwieją, chorągwie szumią... tamci, tam, zwyciężają niezawodnie!..

I ponad głowy uspionych żołnierzy, których potwór wojny może już jutro pochłonie, przesuwa się, jak marzenie, ułudne widzenie ostatnie: oni śpiąc, widzą siebie, jak zwyciężają, pełni chwały!..

To sen...

Piąta wybiła głośno w salonach sztuki, i Dzierżymirski opuścić musiał muzeum. Niebawem znalazł się na bulwarach Paryża i równocześnie instynktownie poczuł głód.

Włoch z matki i duszą całą artysta, myślą wspominał on jeszcze widziane przed chwilą dzieła sztuki i pogodnym spojrzeniem ogarniał biegnące wokoło siebie tłumy, przepełnione kawiarnie i huczące pojazdy.

- La Presse!.. La Patrie... La Pres-se!.. - krzyczano mu nad uchem na wszystkie strony; w restauracjach, na platformach, spożywano już posiłek, popijano wino, absynt i inne wyskokowe napoje - cały Paryż obiadował.

Na świeżem powietrzu, przy jednym z takich stolików, zachęcony przykładem, zasiadł i Roman, a kazawszy podać obiad, zapalił swobodnie cygaro.

Niebawem przyniesiono pierwszą potrawę. Wśród przelewającego się kaskadą paryskiego życia i huku ruchliwej stolicy, Dzierżymirski spokojnie zaczął spożywać zupę, słuchając ciekawie, z uśmiechem, głośnych rozmów swych przeróżnych sąsiadów i charakterystycznych częstokroć ich bulwarowych dowcipów.

\*\*\*

Punktualny, pomiędzy drugą, a trzecią po południu, wchodził nazajutrz Roman do mieszkania Orłeckiego. Służąca wprowadziła go natychmiast do saloniku, zaledwie jednak wszedł tam, roztworzyły się już zamasyżycie boczne drzwi komnatki i w ramie ich ukazał się mężczyzna rostry, blondyn; łysawy i dość otyły, o siwiejącym, z polską podkręconym, wąsami.

- Jakże mi miło... Jak miło mieć w swoich progach tak dostojnego gościa... rodaka!.. - zaczął od proga, z polską szczerością i uprzejmością w głosie, roztworzył przytem machinalnie ramiona, jakby chciał do piersi przycisnąć niemi przybyłego, po chwili opamiętał się jednak i wyciągając uprzejmie prawicę; czysto już tylko salonowym gestem, przedstawił się: Orłęcki... Wiktor... - siostrzeniec Hugona.

- Nie uwierzy pan - ciągnął natychmiast bardzo grzecznie - jaką rzetelnie prawdziwą radość uczynił mi list stryja i zapowiedź tej pańskiej wizyty... Proszę, niech pan prezes siada!... Proszę bardzo...

I Orłęcki wskazał, z grzecznością, fotele, widząc zaś zdziwienie na twarzy Romana, na dźwięk tytułu "prezesa", uśmiechnął się, odgadłszy myśl gościa.

- Dziwnem się panu prezesowi, jak widzę, wydaje - przemówił, - że tytułuje go... Cóż to, przypuszcza pan może, - ciągnął dalej, ze swadą, - że my tu na obczyźnie nic nie wiemy, kto w kraju u nas przoduje? Przeciwnie, przeciwnie! - śledzimy gorączkowo i z uwagą ruch naszych ziomków, współbraci!.. A jakże... a jakże!.. Ja sam osobiście trzymam wiele gazet polskich, wiem o wszystkim, a z nazwiskiem pańskim - tu skłonił się grzecznie w stronę Romana - spotykałem się w nich tylokrotnie, ceniąc zawsze ruchliwość pana prezesa i oddaniu się jego społeczeństwu naszemu...

Umilkł, a po chwili

- Ale!.. przepraszam bardzo!.. Pan prezes wszak pali zapewne?.. służę natychmiast - i zerwał się miejsca, przynosząc wkrótce Dzierżymirskiemu pudełko papierosów.

Roman sięgnął po jednego z nich i bąknął niewyraźnie:

- Dziękuję bardzo!..

Obserwując wciąż ciekawie, spod oka swego gospodarza, chciał przytem już przemówić, lecz pełny bezustannej uprzejmości Orłęcki przerwał mu zanim usta otworzyć zdołał:

- A może cygaro?.. Przepraszam stokrotnie... Za chwilę! - i nie czekając odpowiedzi, znikł za drzwiami przyległego pokoju, Dzierżymirski zaś uśmiechnął się.

Pocziwy człowiek jakiś - pomyślał - i choć, zdaje się, blagier nieco, lecz szczery i z gatunku nieszkodliwych. Dowiem się prawdopodobnie, czego chciałem...

Ledwie Roman określenie to w umyśle sformułować zdołał, gospodarz domu stał już przed nim, podając szerokie puzderko cygar.

- Doskonałe - pochwalił - prawdziwe pruskie... O, bynajmniej nie tutejsze, które są po prostu ohydne - zaopiniował.

- Dziękuję bardzo. Pan tak łaskaw... - poczuł się w obowiązku odrzec Dzierżymirski, powstawszy zarazem z miejsca swego.

- O, panie prezesie! - pospieszył, z odpowiedzią, Orłęcki, - Siadać proszę en bons amis... Ot -tutaj... - wskazał na kanapkę - wygodniej będzie! - i zapaliwszy równocześnie zapałkę, zbliżył płomień do koniuszeczka cygara Dzierżymirskiego.

- Merci!.. - skłonił się tenże raz jeszcze, i wypuściwszy kółeczko dymu, odezwał się wreszcie, skorzystawszy z sekundy milczenia gościnnego gospodarza.

- Czytał pan list stryja, pana Hugona, wszak prawda?.. Wiadomy panu więc zatem cel mego tu przybycia... Nie znając nikogo w Paryżu, zdecydowałem się prosić stryja pańskiego, o tarte d'entree do pana...

- Och, i bez tego, panie prezesie - przerwał Orłęcki - każdego rodaka witamy tu z całego serca! Tembardziej zaś pana prezesa, tak w kraju zasłużonego...

- Ach, tak, nie wątpię - z wolna potwierdził Roman - lecz i mnie chodziło również - tu uśmiechnął się z lekka - o specjalną protekcję do kogoś, by potrafił ułatwić wiadomą nam sprawę przemysłową...

- A tak, tak! - przerwał znów Orłęcki, niezadowolony jakby, że poruszano tę kwestię. Pan prezes radby obejrzeć drobiazgowo i gruntownie urządzenia fabryk tutejszych, przy mojej pomocy... Owszem, postaram się, panie prezesie, choć uprzedzić muszę, że ja... - zatrzymał się - nie mam tak rozległych stosunków ze sferą handlowców... to jest, chciałem powiedzieć... ze sferą fabrykantów... przemysłowców... Paryża... panie dobrodzieju... Jednakże... - tu zająknął się, zaplątał w swem przemówieniu Orłęcki i zamilkł, widocznie zmieszany.

Uśmiech niedostrzegalny okolił wąskie usta Romana.

- To nic nie szkodzi - odparł. Mam niepłonną nadzieję, iż razem z panem damy sobie z tem wszystkim radę... Zresztą, to chyba drobnostka. Chodzi zaledwie o jakieś dziesięć fabryk tylko...

Roman zatrzymał się i zapytał jeszcze, chcąc konsekwentnie doprowadzić do końca zmyślony swój interes i misję:

- Wszak fabryki owe wymienione są w liście pana Hugona...

- Tak jest, tak jest... w istocie... - potwierdził Orłęcki i zająknął się znowu.

- To dobrze, mógłby mi może szanowny pan powiedzieć, czy właściciele ich znani są jemu?.. Gdzie to zakłady fabryczne znajdują, w jaki sposób, oraz kiedy obejrzeć je można by było?..

- Nic doprawdy nie mogę jeszcze panu prezesowi w tym względzie powiedzieć - odrzekł Orłęcki i dodał natychmiast:

- Co się tyczy, czy znam właścicieli, to... prawdopodobnie... Zresztą zna się tutaj osób tyle... - zatrzymał się. - Tylko, vous savez, panie prezesie... otrzymałem list dopiero wczoraj - urwał, i dokończył po chwili - więc, vous comprenez, czasu nie miałem...

- Ależ naturalnie!.. - pospieszył z uspakajaniem Orłęckiego Dzierżymirski. - Ja tylko dlatego się pytam, iż to jest celem mego tutaj przybycia, i że to mnie nader interesuje, jako delegata nowa zakładającej się u nas w kraju spółki Handlowo-Przemysłowo-Fabrycznej...

- A tak, słyszałem,.. Czytałem nawet o tem gdzieś w gazetach - odparł, z przekonaniem Orłęcki.

- Kłamie, jak z nut - pomyślał Dzierżymirski, i uśmiech dyskretny ponownie przemknął po ustach jego. Zaciągnął się jednocześnie cygarem i wpatrzył badawczo w Orłęckiego. - Bonne pâte d'homme... - myślał zarazem - ale jak tu zacząć o tych zgubionych pieniądzech?

Tymczasem, niechętny milczeć Orłęcki, widocznie również pragnący zręcznie odwrócić rozmowę, już mówił:

- Pan prezes zapewne nie po raz pierwszy i na dłużej przybył do Paryża, nieprawdaż?..

- Och, tak... - odruchowo potwierdził Roman, nie myśląc o tem, co mówi.

- No, to mam nadzieję - opowiadał uprzejmy gospodarz dalej - że będę jeszcze miał okazję przedstawić panu prezesowi moją żonę i córkę... Dziś pojechały do Versailles. Panu prezesowi wiadomo zapewne, iż w pierwszą niedzielę każdego miesiąca puszczają wodę ze wszystkich fontann w Wersalskim parku... Widok zaiste bywa wówczas wspaniały. C'est charmant!.. - zatrzymał się chwilę i sięgnął po zegarek do kieszeni. - O! trzecia już dochodzi... Niebawem wrócą...

Dzierżymirski tymczasem, słuchając, nie słuchał, pogrążony wciąż w myślach. Naraz twarz śniada jego ożywiła się, przeleciał po niej promień... Strzepując delikatnie popiół z cygara, przemówił z wolna:

- Proszę pana... - zatrzymał się. - Za niedyskrecję popełnianą może, najmocniej przepraszam... Czyżby pan nie był rad powrócić do kraju..

I Dzierżymirski badawczo spojrział w twarz Orłęckiemu, czekając odpowiedzi, jednocześnie myślał.

- Każdy Polak na obczyźnie tęskni za krajem, pewnik; dlaczegobym ja nie miał użyć tego sposobu do osiągnięcia mego prywatnego celu? No, zobaczmy...

Orłęcki zaś już mówił:

- Czy ja nie pragnąłbym powrócić do kraju? Ależ, panie prezesie, to moje najgorętsze życzenie! pragnienie żony mojej, córki - codzienne marzenie nas wszystkich! - dokończył, z zapałem.

- No, dobrze, mam cię!.. - przeleciało przez umysł Romana.

- Czy wolno zapytać jeszcze - przemówił - o rzecz jedną, a mianowicie... Czy życzenie to państw - marzenie - poprawił, z uśmiechem - ma już dotąd jakie pewne i konkretne podstawy?..

Orlęcki na te słowa spuścił wzrok ku ziemi.

- O, bynajmniej - odparł.. - Tam, w kraju, stosunki zerwałem wszystkie prawie... tu zaś zawiązałem niektóre, potrzebne mi. Mam poza tem stałe zajęcie, przynoszące mi dochód pewny...

- Tak, tak, zapewne, rozumiem - przerwał szybko Dzierżymirski - wchodzę w położenie i przepraszam bardzo za me pytania... - dokończył grzecznie, a widząc równocześnie na twarzy gospodarza zakłopotanie widoczne...

- Nie ma za co jechać nieborak - to jasne, i żyć by z czego nie miał -wśród swoich - pomyślał i w tejże chwili zapytał:

- Lecz gdyby tak trafiła się na przykład szanownemu panu okazja dobra do objęcia w kraju zyskowej posady? Przypuszczam, że w takim razie przeszkody do wyjazdu nie byłoby żadnej?..

- No, zapewne... Lecz o tem i myśleć niepodobna, nie posiadam bowiem już żadnych w kraju stosunków - powtórzył Orlęcki, ze smutkiem.

- A pan Hugo, krewny pański?.. - zagadnął Roman.

- Och... ten... - przeciągle odparł gospodarz, z niechęcią wyraźną, i z wybuchem szczerości nagłej, rzekł z goryczą:

- Stryj Hugo od czasu, jakem emigrował i wieść mi się w życiu przestało, znać mnie już nie chce, ani wiedzieć nic o mnie... Dziwię się nawet niewymownie, iż raczył napisać pod moim adresem, w interesie prezesa, słów kilka...

Na twarzy Orlęckiego, przy tych słowach, osiadł cień, po chwili dorzucił:

- Zwykła kolej ludzka... nic dziwnego. Świat pamięta o tych tylko, którym się powodzi.

Dzierżymirski wpatrzył się uważnie w Orlęckiego; ostatnie słowa, wypowiedziane przez niego, odkryły mu utajoną stronę życia siedzącego przed nim człowieka - nieszczęście, gorycz skrytą, a powodów jej łącno domyślił się Roman. Pomimo woli, żal mu się Orlęckiego zrobiło.

- To szkoda jednak - przemówił z wolna - że panowie mieszkają tak od siebie z daleka... Pan Hugo, choć odludek i egoista, poza tem jednak człowiek nieposzlakowanej opinii i nadzwyczaj przy tem wpływowy i bogaty.

Orlęcki na te słowa uczynił niewyraźny ruch ręką; - nastąpiła chwila milczenia.

- Wypada mi raz jeszcze przeprosić stokrotnie pana - odezwał się znów pierwszy Dzierżymirski - że ośmielam się wkraczać w stosunki jego, tak osobiste, lecz po pierwsze wyjątkowe położenie nasze tu, na obczyźnie, jako rodaków, skłania mnie do tego; po drugie zaś, że w tym względzie może mogę stać panu użytecznym...

Orlęcki, zdziwiony, spojrział na Romana.

- Tak jest - rzekł Dzierżymirski, z uśmiechem - cóżby szanowny pan bowiem powiedział na to, gdybym... -- tu zatrzymał się sekundę - ułatwił mu... - Dzierżymirski przy tem zaakcentował wyraźnie ostatnie wyrazy - powrót do kraju... Stosunkami zaś dał mu jaką posadę korzystną?..

- Ależ, panie prezesie! - wykrzyknął Orlęcki, i zerwawszy się z fotelu, uchwycił dłoń gościa swego, ściskając ją serdecznie.. - Wdzięczność moja i sercu memu bliskich nie miałyby granic!.. Lecz doprawdy, nie pojmuję... nie rozumiem!.. - urwał wzruszony... - Skąd taka łaska pana prezesa dla mnie?... Wszak poznaliśmy się tak niedawno! - dokończył i zamilkł, nie wiedząc snąć, co powiedzieć, jak się obrócić i znaleźć w sytuacji, tak dlań niespodzianej...

Roman tymczasem powstał również z miejsca, i oddawszy serdecznie uścisk Orlęckiemu, po przyjacielsku ujął go za ramię.

Przeszli po pokoju tak razem kroków kilka, poczem Dzierżymirski, wciąż idąc pod rękę z Orlęckim, rzekł całkiem swobodnie:

- Przyznaję, poczułem do szanownego pana szczerą sympatyę, rozumiem przy tem w zupełności położenie jego tutejsze, i gotów jestem uczynić dla niego wiele...

- Dziękuję, po tysiąc razy dziękuję! - uściśnął Orlęcki serdecznie trzymane ramię Romana, z równowagi cały wprowadzony.

Dzierżymirski mówił tymczasem dalej, pomny celu swego:

- Lecz daruje pan rzecz jedną... Nim przystąpimy mianowicie do obchodzącej pana sprawy, wiedzieć muszę dokładnie - Roman zatrzymał się - zupełnie szczegółowo - poprawił - przebieg dotychczasowego jego życia. Nic w tem dziwnego z mej strony, wszak prawda?... Znać mam przyjemność szanownego i kochanego pana od tak bardzo niedawna! - - dokończył, z przyjaznym uśmiechem, i jak najnaturalniej na pozór.

- Ależ, rzecz prosta! Tajemnicy w tem zresztą nie ma żadnej! - odparł Orlęcki szybko, przekonany zupełnie. - Opowiem prezesowi wszystko natychmiast! - ciągnął dalej rozradowany.

- No, to siadajmy!.. - rzekł wesoło Dzierżymirski.

Usiedli jeden naprzeciw drugiego. Roman wpatrzył się badawczo w twarz Orłęckiego, a w oczekiwaniu zwierzania, którego w duszy tak bardzo pragnął, twarz mu pobladła mimo woli, aksamitne zaś spojrzenie ciemnych oczu stało się bardziej jeszcze przenikliwym i rozumnym.

- Słucham pana - rzekł poważnie.

Uśmiechnięty, radosny, poprawił się Orłęcki na krześle, i sięgnąwszy po cygara, zapalił jedno, w roztargnieniu częstując nimi Romana.

- Dziękuję, palę jeszcze - uśmiechnął się niedostrzegalnie Roman, i spojrzał z pod oka na gospodarza. - Rôti r point! - zdecydował w myśli sarkastycznie.

- A, przepraszam! - odrzekł Orłęcki i mówił dalej:

- Otóż, co do mego, technicznie tak zwanego curriculum vitae, postaram się opowiedzieć je prezesowi w kilku słowach. Rzecz ta przedstawia się zatem jak następuje:

- Urodzony lat temu, czterdzieści i siedem, dobiegam już bowiem pięćdziesiątki - uśmiechnął się - z ojca Ryszarda i matki Józefy z Lancjarskich de domo, przepróżnowałem, kształcąc się w domu, do lat piętnastu... Potem oddano mnie do Jezuitów, następnie kończyłem uniwersytet w Bonn, nad Renem, i wróciwszy do kraju, objąłem klucz majątkowy, dziedziczny Orlin...

- Bywając w, świecie przez lat kilka, starając się o pierwsze w kraju partye, żyjąc nieco szeroko, straciłem majątek... Następnie spotkałem dzisiejszą żonę moją, z domu hrabiankę Bożkowską... Przez ż - uśmiechnął się Orłęcki, - bo są i Borzkowscy przez rz, bez tytułu i nie pochodzący wcale z karmazynów - zwyczajne szaraki - objaśnił.

Dzierżymirski w tem miejscu uśmiechnął się pobłaźliwie - sarkastycznie, lecz słuchał w milczeniu dalej.

- Pobraliśmy się, - ciągnął tymczasem Orłęcki - i osiadłem na roli, już nie jako pan, ale jako skromny obywatel na kilkudziesięciu włókach ziemi, i naturalnie, z czasem zerwałem przy tem zupełnie dawne światowe stosunki... Gospodarowałem sobie tak cicho lat kilkanaście, stałem się domatorem - przekształcałem stopniowo, o ile mogłem, w czcigodnego pana sąsiada... Wreszcie, niestety, jak piorun z nieba, spadło na mnie zdarzenie pewne... Nie wspomóżony przez nikogo, sprzedać musiałem dobra, i przybyłem tu - za chlebem!..

Orłęcki umilkł na chwilę, poczem, dodał nieco smutnie :

- Jak najpiękniejsza od słońca płowieje materya, tak i najbarwniejsze życie blaknie od nieprzychylnych ciosów życia. Szarzyzną ono dla mnie dzisiaj - trudno! - westchnął, i zamilkł znowu.

W nadziei, iż dowie się jeszcze oczekiwanego przezeń "clou" historii tej całej, milczenia tego nie przerywał Dzierżymirski. Po dłuższej jednak chwili, widząc, że Orłęcki, pochłonięty myślami, zapominać zdaje się nawet o jego obecności, zagadnął uprzejmie:

- I jeśli wiedzieć wolno, cóż dalej?

Jakby ze snu jakiego dalekiego zbudzony, Orłęcki podniósł powoli posmutniałe oczy na Romana.

- Nic! - odrzekł bezbarwnie, głosem twardym.

- Być nie może? - zadziwił się Roman, jak mógł najszczerzej. - I pomyśleć - ciągnął swobodnie - że ja tam w kraju tyle przeróżnych rzeczy o panu słyszałem...

Urażony jakby tem, co usłyszał, Orłęcki zapytał z kolei sucho:

- No, i cóż takiego, ciekawym, wymyśliła na mnie luba opinia, czy wiedzieć mogę?

Roman niecierpliwie poruszył się na krześle.

- Cóż u licha! - pomyślał - czynię dotąd tyle, i prawda wciąż wymyka mi się sprzed nosa...

Po chwili zaś, jak gdyby nagle na coś zupełnie już stanowczo zdecydowany, odpowiedział z wolna, przetarłszy przytem ręką czoło:

- Och!.. potem o tem... Teraz znowu powrócić muszę do jądra zajmującej nas kwestyi. Pragnę dać panu posadę... Czy wolno zapytać - jakie są jego mocne - zaakcentował - kwalifikacje fachowe?..

- Fachowych ściśle żadnych - przerwał niezadowolonym trochę głosem Orłęcki. - Posiadam jednak języki: angielski, francuski, rosyjski i niemiecki, oraz zdobyte pracą i praktyką obecną - rachunkowość i buchalteryę - w banku, gdzie urzęduję i skąd w razie potrzeby otrzymać mogę świadectwo odpowiednie.

- A! - zadziwił się mimo woli Roman - to dobrze... to bardzo dobrze...

Wzrok jego przy tem, z zadowoleniem objął dłuższą chwilę całą postać Orłęckiego, mówiąc do siebie mimo woli wyraźnie; - Patrzcie?.. nie spodziewałem się!..

- Zatem - odezwał się niebawem - objąć może szanowny pan inną, lepszą nawet posadę od tej, którą przeznaczałem w myśli dla niego.

- Cóż to za miejsce? - zagadnął Orłęcki.

- Une place de confiance...- wycedził z wolna Dzierżymirski. - Przy tem równocześnie jedno z wyższych przy korespondencji i buchalteryi w Banku Komercyjno-Przemysłowym, otworzyć się mającym za miesiąc kilka... Do komitetu należę, odmówić mi nic nie mogą... Skoro zaś pan w tej właśnie dziedzinie już posiada praktykę pewną, tem łacniej więc wybór mój zatwierdzą...

Roman skończył i spojrzał znów spod oka na obywatela - emigranta.

Zdziwienie radosne biło z twarzy Orłęckiego.

- No, teraz chyba wyśpiewasz mi wszystko - pomyślał Roman, w duchu.

- Pensa znaczna - ciągnął dalej całkiem obojętnie, - ile, nie wiem jeszcze na pewno... W każdym razie tysięcy kilka .. - urwał niedbale.

- Ależ to miejsce idealne! - wykrzyknął żywo Orłęcki. - Dziękuję po raz wtóry! - uściśnął dłoń Romana.

Dzierżymirski uczynił wysiłek nad sobą, by nie zdradzić się przypadkowo nerwowem głosu brzmieniem i przemówił:

- Tylko zachodzi tu jeszcze kwestya jedna... A mianowicie - zawahał się...

- Bo to, widzi szanowny i kochany pan, ci panowie, tam, w Zarządzie, są bardzo trudni... Czepiają się byle czego...

I znów Roman mówić przestał, poczem zaś, poirytowany nagle, że będzie zmuszony iść prosto do celu i palcami dotykać kwestyi, którą zręcznie obejść zamierzał, wyrzucił z siebie twardo:

- Mówiono mi tam, o jakichś pieniądzach, zgubionych przez pana, nieodnalezionych, czy coś tam podobnego... Pojmuje pan zatem, że ja, protegując - zatrzymał się Roman sekundę, i uprzejmie nieco dorzucił, z wymuszonym uśmiechem. - Powiedzieć muszę wszystko, wszak pan to rozumie chyba?.. Nic zaś o tem dotąd szanowny pan mi nie mówił...

- Ależ nie powiedziałem? - obruszył się urażony widocznie Orłęcki. - Bo uważałem to, jak i uważam dotąd, za sprawę czysto osobistą...

- Masz tobie! - omal że nie wykrzyknął Dzierżymirski, ze złością, lecz opamiętał się w porę, i zapytał w ślad za tem spokojnie, wpadłszy zarazem na pomysł przebiegły.

- No tak, zapewne... Czyjeż to jednak pieniądze były?..

- Aaa! - wyrwało się z ust Orłęckiego natychmiast, i powstawszy gwałtownie z krzesła, wykrzyknął:

- To prezesowi tak powiedziano!.. Rozumiem teraz i przepraszam... Łotry dopiero, infamisy!.. - wyrzucił z siebie z oburzeniem.

Dzierżymirski śpiesznie położył swą kobiecą miękką dłoń na żylastej ręce szlachcica i pomimo woli rzucił niecierpliwie:

- Ja również bardzo przepraszam! - zawahał się - i słucham... - dokończył.

Orłęcki usiadł, wzburzony jeszcze odsapnął i przemówił:

Powiesz mi później, prezesie kochany, kto mnie tak oszkalował. Pierwsza rzecz, gdy do kraju powrócę, wyzwę go na pojedynek, jak mi Bóg miły, a teraz słuchaj:

- Było to tak: Posiadałem majątek na Litwie, gdzie, jak wiadomo, hipoteki nie ma, ni Towarzystwa Kredytowego... Są tam tylko tak zwane "Banki Ziemskie", które w razie nie uiszczenia się z wypłaty na termin, egzekwują bardzo szybko... Otóż w jednym z banków owych miałem grubą pożyczkę... Minął termin jeden, drugi, trzeci, płaciłem mało, zebrały się zaległości, wystawiono mi dobra na sprzedaż... Zapłacić musiałem zaległości - razem dwanaście tysięcy... Nie miałem ich, pożyczyłem więc sumę żadaną u paru osób i w drodze, gdym jechał płacić na miejsce, w ostatniej niemal chwili pieniądze te zgubiłem... Majątek mi naturalnie sprzedano...

- To bolesna prawda!.. Chyba pan prezes przysięgi żądać ode mnie nie będzie, a zresztą?.. Gotowym! - i Orłęcki powstał uroczyście...

- Ale, cóż znowu?.. - rozległ się w milczeniu suchy głos Dzierżymirskiego, a słowa te, wymówione zimno, zabrzmiały niemiłym dla ucha dźwiękiem:

Od chwili bowiem, gdy z ust Orłęckiego padła cyfra "dwanaście tysięcy", Roman zmienił się całkiem. Giestem, pełnym zniechęcenia, wypuścił z rąk trzymane cygaro, twarz zaś, przybrawszy wyraz obojętny, chłodny, poorala się w drobne zmarszczki. Więc ponownie oto rozprysła mu się w palcach mydlana bańka!.. Życie, z przerażającą logiką dawało mu do zrozumienia, że kpić z usiłowań jego nie przestaje... I drwina ta nowa, szydercza, zraniła go boleśnie, jednocześnie zaś gniew niewytłumaczony, instynktowny, zawrzał w Dzierżymirskim.

Cóż go, zaiste obchodzić mógł Orłęcki, historye i przysięgi jego?

- Osioł!.. Myśli może - rzucił w duchu gniewnie - że obecnie, kiedy nie dwadzieścia siedm, a dwanaście tylko zgubił tysięcy, zajmować się nim będę!.. Ba, nie głupim! - i uśmiech zły, sarkastyczny wykrzywił wąskie usta Romana.

Powstał sztywno, mając zaś już z wieloletniej swej praktyki na ustach gotowy do pozbycia się ludzi zdawkowy komunał, wyciągnął rękę na pożegnanie...

Lecz oto niespodzianie fakt na pozór drobny pomieszał mu całkiem szyki - zadzwoniono. Gadatliwy Orłęcki,

rozpoczynający właśnie, mało już obchodzący teraz Romana, dalszy ciąg swych życia kolei, przeprosiwszy, wybiegł do przedpokoju, w ślad za tem rozległy się dwa głosy kobiece, szelest okryć i sukien damskich. Rozbierano się, potem szeptać zaczęto, po chwili zaś znów dwa wykrzykniki zdziwienia i radości obyły się o słuch Dzierżymirskiego.

Słyszac je, skrzywił się Roman nieznacznie, chrząknął i znudzony zbliżył się powoli ku oknu salonika. Nie trudno było domyśleć się, że tam, w przedpokoju, ten "pocziwy" Orłęcki wygadał już rodzinie swej niemal wszystko.

- Wpadłem! - pomyślał Roman, i zdenerwowany, stuknął palcami w powietrzu.

Drzwi zaś poza nim roztwierały się już spiesźnie. Odwrócił się.

Naprzeciwko niego szły dwie kobiety, zaróżowione, uśmiechnięte. Jedna z nich, starsza, brunetka, piękna jeszcze, dobrze zakonserwowana, - druga, dziewczę młodziutkie, szesnastoletnie zaledwie może, hoże i świeże...

- Prezes Roman Dzierżymirski, nasz obecny zbawca, opiekun, a jak ci mówiłem przed chwilą, najszlachetniejszy z ludzi, których dotąd w życiu poznałem! - przedstawił szumnie Orłęcki gościa żonie, głosem ciepłym, jakby wzruszonym jeszcze od doznanych z przed chwili wrażeń.

Sklonił się Dzierżymirski, a na dźwięk ostatniego zdania lekki rumieniec pokrył mu lica. Wstydział się za swe myśli - za siebie...

Tymczasem ruchem wspólnym, uprzejmie wyciągnęły się ku niemu dwie małe kobiece rączki.

- Bardzo mi miło poznać pana, bardzo miło! - mówiła, ściskając dłoń jego, pani Orłęcka. - Tembardziej, że jak mi właśnie mąż powiada, pan prezes staje się aniołem opiekuńczym naszych losów, przyszłości - zwiastunem, iż zobaczymy kraj nasz, za którym ciągle tak bardzo tęsknimy! - kończyła wzruszona.

- Moja córka, Mita - przedstawiła z kolei Romanowi młodziutką pannę.

Dzierżymirski trzymał, ścisnął właśnie w dłoniach drobną jej rączkę, a choć nie powiedziało mu dziewczę nic zgoła, z uścisku jednak przyjaznego, ciepłego, ze spojrzenia jasnych, niebieskich oczu, w których czytały się w owej chwili wdzięczność bez granic, radość i nadzieja - poczuł Roman, iż okrucieństwem niemiłosiernem byłoby teraz z jego strony cofnięcie obietnicy.

I jednocześnie reakcja nagła wstąpiła weń. Jakiś przyptyw jakby dobroci zalał mu duszę, serce; zarazem zaś pomyślał:

- Nazwano mnie "najszlachetniejszym", ha-ha-ha!.. Ironii może w tem wiele, ale... jednak... dlaczegożbym i ja czasami nie miał być szlachetnym? A poza tem, cóż de facto winien ten oto Orłęcki, że nie jest tym właśnie, którego tak szukam bezowocnie?.. Jestem wpływowym, silnym, dlaczegoż więc nie dopomógłbym człowiekowi, pokrzywdzonemu bądź co bądź przez nieznanego pieniędzy jego znalazcę, tak, jak pokrzywdzonym jest może przeze mnie również i ten osobnik nieznanany - "mój!.."

I starczyło w ślad za tem jednej chwili, by w głowie Dzierżymirskiego powstał plan gotowy.

- Cieszy mnie niewymownie, że los pozwala mi stać się - tu zwrócił się, z uśmiechem, ku pani Orłęckiej - Aniołem Stróżem tego domu... Dziś zaraz zatelegrafuję do panów z komitetu nowego banku o kandydaturze pana - wskazał nieznacznie Orłęckiego ruchem głowy.

W milczeniu, wzruszony szlachcic uściskał dłoń Dzierżymirskiego. Ten ostatni zaś zastanowił się chwilę...

Kiedy czynić coś, to czynić zupełnie i wszechstronnie, - pomyślał, a sięgnąwszy do kieszeni, dyskretnie począł długo szukać czegoś w portfelu... Znalazłszy wreszcie tam przekaz na okaziciela w "Credit Lyonnais", wskazujący sumę dwóch tysięcy franków, rzekł swobodnie:

- Choć to niegrzecznie bardzo z mej strony tak zaraz niemal po poznaniu opuszczać panie, - skłonił się uprzejmie w stronę dwóch kobiet - jednak panie wybaczą, uczynić to będę zmuszony, i...

- Ależ, cóż znowu... - obruszyła się Orłęcka. - Obiad, podadzą w tej chwili, prosimy bardzo... Mito! - zwróciła się do córki - każ dawać!..

- Dziękuję serdecznie! - skłonił się z uśmiechem Dzierżymirski w stronę młodego dziewczęcia. - Wychodzę natychmiast, a to z powodu naglących spraw, które nieodzownie dziś jeszcze załatwić muszę...

- Żegnam panie! - wyciągnął uprzejmie rękę do pani domu, a następnie do panny.

Ta ostatnia podała mu ją, z niewysłownym wdziękiem i cicho rzekła:

- Przyjm pan, panie prezesie, i ode mnie szczere podziękowanie za to, co czynisz dla ojca mego... Jesteś szlachetnym, dobrym i wdzięczność moja nie zapomni panu tego - nigdy!..

- Szczęściem prawdziwym dla mnie, że i pani będzie z tego korzystać... Bo, o ile zgaduję, pani tu chyba najwięcej wrócić by rada do rodzinnego kraju?..

- O! tak... - przyznała, z zapałem, szczerze: Wykołysały mnie nasze łąny i lasy, wychowała ta ziemia nasza, tak piękna chyba, jak żadna!..

Z sympatyą, spojrział Roman na dziewczę, i skłoniwszy się raz jeszcze, zwrócił się z kolei do Orłęckiego.

- A do kochanego pana to mam jeszcze i interesik drobny... - wziął gospodarza za ramię i poprowadził ku oknu:

- Rzecz przedstawia się, jak następuje - rzekł, o ile mógł, najpoważniej. - Na zasadzie jednego z paragrafów ustawy, urzędnikom nowego banku, naturalnie protegowanym, daje się z góry na instalację... Kwestyę tę jednak obmówić trzeba poprzednio na zebraniu. Otóż, ponieważ pan, pomimo, że bank nie funkcjonuje jeszcze, za miesiąc najdalej musisz już być na miejscu, a to, w celu ulokowania się i objęcia, de nomine, wakansu ofiarowanej posady, ja zaś dopiero za miesiący kilka tam będę - zatem...- Roman urwał, dobierając jakby w umyśle wyrazów. - Zatem - powtórzył - awansuję tu kochanemu, panu przekazem, sumę właściwą... Przypuszczam, będzie ona odpowiadać mniej więcej kwocie, którą w swoim czasie przyznają panu na zebraniu Rady... Cóż, zgoda? Dobrą myśl miałem? - dokończył Roman.

- Ależ z kochanego prezesa anioł prawdziwy, nie człowiek!.. - wykrzyknął Orłęcki i po staropolsku, uściskawszy go szczerze, podziękował, z zapalem.

- Kłociu, czy słyszysz? - zawołał na żonę. Pan prezes na instalację awansuje mi, przekazem! - i szlachcic poinformował dobrodusznie, szczegółowo małżonkę o wspaniałomyślności Romana. Nastąpiły w ślad za tem ponowne podziękowania, wykrzykniki...

Odprowadzony aż do drzwi, żegnany serdecznie i czule, Dzierżymirski wy dostał się nareszcie na schody, a potem na ulicę, sam pomimo woli wzruszony, z głową pełną najsprzeczniejszych myśli.

Gdy po jakimś czasie, wracając z wolna do rzeczywistości, podniósł głowę, spostrzegł w pewnym oddaleniu przed sobą złoconą kopułę tumu Inwalidów. Tknięty nagłą myślą, z miejsca natychmiast skierował się ku furtce, a wyminawszy ją i strzegącego wejścia kulawego inwalidę, znalazł się na obszernym placu tumu, odgrozonego kratą od ulic miasta.

Wkrótce, po stopniach wschodów wstępować począł do wnętrza przybytku, kryjącego w swych murach grobowiec wielkiego Napoleona.

W gmachu milczenie i jakby uroczysty powiew jakiś potęgi niewidzialnej i grozy objął Romana natychmiast.

Cichym tylko szmerem rozlegały się tu kroki kilkunastu osób... Na dole, w szerokim, na kształt basenu, pogłębieniu, drzemał olbrzymi sarkofag, z ceglasto - wiśniowego marmuru...

Dzierżymirski zbliżył się do balustrady grobowca, i stanął smutny, cichy...

Wobec prochów możnego władcy poczuł się równocześnie drobnym, nikłym... Huczące jego troki zmalowały również - uspakajał się...

I myśli jego nagle wzięły również obrót zupełnie inny.

- Więc to tu - mówił sobie Roman - leży zwycięzca z pod Marengo, Ulm, Austerlitz, i.t.d., i.t.d. Więc tu spoczywają snem, nieprzebudzonym, wiecznym, prochy tego, wielkiego duchem - małego imperatora!..

Dawno bardzo nie bawiący już w Paryżu, pamiętający go za ledwie w zamglonym tylko wspomnieniu, z minionych lat młodzieńczych, Dzierżymirski, w skupieniu i z nabożeństwem w duszy, wpatrzony, milczący, z głową pochyloną, zadumał się przed trumną cesarza Francji.

Wokoło niego z prawej i lewej strony, w wewnętrznym półkręgu tumu, widniały wklęsłe pogłębienia, z grobowcami małymi; przed nim zaś, poza drzwiami do grobu, wznosił się rozpięty na krzyżu Syn Boży umęczony...

Dzierżymirski po chwili ocknął się z zamyślenia i postąpił wzdłuż kolistej baryery grobowca, w kierunku jego wejścia:

Zamknięte szczelnie drzwi pomnikowe połyskiwały hebanem czarnego marmuru; u progu ich i wschodów, wiodących do wnętrza "tombeau", w mundurze granatowym, poważny, ze wstęgami i orderami, brodaty, stary, stróżował inwalida...

Na górze zaś błyszczał wielki napis złocisty: "Je désire, que mes cendres reposent sur le bord de la Seine - au milieu de ce peuple francais, que j'avais tant aimé" \*).

[\*] "Pragnę, aby me prochy spoczęły u brzegów Sekwany - wśród tego ludu francuskiego, który tak bardzo kochałem."

Dzierżymirski patrzył, przejęty mimowolnie do głębi powagą, skupienia pełną, i jakąś melancholią rzewną, wiejącą od tego grobu zmarłego geniusza despoty, śniącego tu cicho, zapomnianego jakby w samym sercu republikańskiego dziś Paryża.

Nagle, gdy poruszony, niemy, stał tak, wciąż, zamyślony, drgnął gwałtownie.

Bo oto w tejże samej chwili wybiła w ciszy głośno godzina czwarta, a z jej uderzeniem, jako sygnał zamykania już gmachu, raptowny, rozległ się właśnie odgłos bębna.

Grano bojową pobudkę... Donośnie rozchodził się w milczeniu uderzenia krótkie, wzbijały się pod strop wysoki, echem dudniły w zagłębieniach, arkadach, owalnej kopule wysokiej.

- Messieurs et dames sortez!.. sortez, s'il vous plait, sortez, sortez!.. - rozległ się jednocześnie twardy głos szwajcara, stróża Napoleonowego grobowca... Postukując grubą laską, iść począł on i rozpędzać energicznie przed sobą, ku wyjściu rozsypanych po gmachu tam i ówdzie gości.

- Sortez! - rozkazujący, wojskowo - lakoniczny, - bezustanny rozbrzmiewał głos jego i mieszał się! z bojową fanfara bębna!..

Dzierżymirski jednak nie ruszał się wcale z miejsca przeciwnie. Wrósł jakby w ziemię; ucho jego łowiło łapczywie donośne, jędrne tony pobudki, wyobraźnia, podsycana nerwami, w rozstroju - poruszona, snuła mu przed oczyma obraz

fantasmagoryczny.

W gmachu panował mrok...

Ostatnie dźwięki surmy bojowej konały, a Romanowi zdało się, iż z milknącym coraz już dalszym echem bębna, poczynają oto zaludniać tum wspaniały jakies wyrosłe jakby zewsząd mary i cienie poległej dawno Napoleońskiej gwardyi starej, i wyraźny o słuch jego objaja się przy tem stuk ich butów i ostróg o kamienie posadzki!..

Idą! Ustawieni w szyku, gotowi do walki, stoją oto niezliczeni wokoło grobu wodza swego... Przebóg, cóż to jest?..

Huk jakiś rozlega się w gmachu - to marmur grobowca pęka, unosi się...

W trójgraniasty kapelusz przybrana, z założonemi na piersiach rękoma, staje wyraźnie przed wzrokiem Romana postać Napoleona - wodza!..

- Paf, paf!.. - w tej samej chwili tuż koło Dzierżymirskiego o posadzkę uderza ktoś zamaszycie.

- Sortez, sortez donc, monsieur!.. Quatre heures... la consigne!.. - rozlega się głos twardy i szorstki.

Roman budzi się, rozgląda... A zirytowany natychmiast, że tak obcesowo przerwano mu jego widzenie marzące, gotów już jest a to rzucić w twarz stającemu nad nim miejscowemu szwajcarowi jakąś ostrą okolicznościową uwagę... Otwiera już usta, spojrzawszy jednak na twarz wybladłą, pooraną zmarszczkami, o wyrazie pełnym melancholii i smutku, milknie.

W tych rysach bowiem czyta wyraźnie gniew tłumiony, lecz nie bezmyślny, - bynajmniej. Nie, przeciwnie. Oburzenie to jakieś inne, szlachetniejszej, podnioslejszej jakby natury, i mówić zda się:

- Ach idźcie, już idźcie!.. Odejdźcie wy wszyscy, profanatorzy wstrętnei, kalający te progi ciekawością banalną - nieprzystojnym szumem, hałasem, gadaniną i gwarem mącący bezmyślnie spokój i sen wieczny wielkiego imperatora!..

- Cóż wy? - mówiły z pogardą te szare smutno oczy starca. - Cóż wy, karły, nie ludzie dzisiejsi, mali -wiedzieć możecie? Co sądzić o czynach olbrzymich "Jego?" Co odczuć? Cóż zrozumieć jesteście zdolni?..

Dzierżymirski z uwagą wpatrywał się dalej w stojącego przed nim niecierpliwie szwajcara - inwalidę.

Czyżby istotnie w umyśle tego starca uczucia podobne się kryły? - myślał i zatopiwszy raz jeszcze, milcząc, badawcze spojrzenie w mętnych źrenicach starca, bez słowa, skierował się ku wyjściu z tumu.

Otworzono przed nim, zamknięte przed chwilą: z hukiem drzwi wchodowe, i zatrzaśnięto je poza nim.

Wydostawszy się na ulicę, Roman, znużony, wszedł do pierwszej dorożki; tu zaś, ochłonawszy nieco od wzruszeń i wrażeń, porządkować zaczął w głośno zdarzenia minionych godzin kilku.

- Raz jeszcze zatem, miast rzeczywistości, chwytałem marę, cień ułudny!.. - mówił sobie w duchu, z nagłą goryczą. - Pochłonięty wciąż jedną myślą, przybiegłem tutaj nadziei pełny, i znowu nic - zero!..

- O, ironio, niezrozumiała, dziwna!.. - dumał dalej. - Czyż nigdy nie trafię na ślad pewny? Czyż wiecznie, biczowany sumieniem, dręczyć się tak będę, zmuszony?

Dzierżymirski opuścił ręce na kolana, w zniechęceniu i pochylił nisko głowę. Z chwilową samotnością, z pogłębieniem się w siebie, wracała bezlitosna samowiedza, błędne koło tajonego w duszy cierpienia zacieśniało się, wirowało, rzucając mu jednocześnie na ekran duszy wizerunek nagły własnego moralnego "ja".

Nie kryły go obsłony złociste, utkane z pozorów, zdolności osobistych, rozumu, energii, czynu, bezinteresownego poświęcenia dla drugich, szlachetności i wielu innych przymiotów, w które, jak w śnieżną, lamowaną purpurą, togę patrycyusza - przed ludźmi, przed światem, stroił się prezes Dzierżymirski...

Nie, był to szkielet tylko!.. Otulony w płachtę jaskrawą szalonej ambicyi, krył on za jej fałdami bagno moralne pamiętnej w życiu Romana chwili, gdy dla osobistego szczęścia, użycia, pogwałcił on był etykę społecznego prawa!..

Z tej kałuży jednak brudnej, a pozornie już zapomnianej, wyrastał kwiat - niby niepokalana biała lilia - zasiany ziarnem silnych, choć podeptanych zasad, wszczepionych za młodu - kiełkujący, przy pomocy czujnego zawsze sumienia!..

Kwiatem tym - była chęć szlachetna, instynktowna, konieczna, oddania bądź co bądź, prawemu właścicielowi przywłaszczonych pieniędzy. Ona, wytrwała, popychała bezustannie Romana naprzód przed siebie; ona - ześrodkowująca w sobie również najpiękniejsze pierwiastki jego charakteru - zniewalała go - do czynów, tam i ówdzie szlachetnych. Jej to niewątpliwie zawdzięczał Dzierżymirski swój postępek z Orłęckim!..

I Romanowi w tej chwili mignął obraz wdzięczności tych trojga ludzi ku niemu.

Znów tu więc fałsz mimowolny - życia ironia!..

Dzierżymirski westchnął. Pomimo jednak, iż czuł zgrzyt w duszy, rosło tam w nim jednocześnie pewne zadowolenie, zazwyczaj odczuwane przez subtelniejsze natury, po spełnieniu dobrego, lub szlachetnego czynu.

Spojrzał wokoło weselej nieco... Dorożka mijała właśnie bardzo ożywioną dzielnicę miasta.

Na lewo widniała wieża St. Jacques, a tuż obok kościół St. Germain -l'Auxerrois; naprzeciw ogromem rozwiłmożył się Luwr wspaniały.

Roman, zapłaciwszy woźnicę, wyskoczył z dorożki i skierował się ku muzeum.

Odcięty w podróży od zwykłego, pełnego czynu, życia, pochłaniającego go całkowicie - Dzierżymirski poczuł nagle potrzebę nieodzowną, konieczną, odwrócenia jątrzących mu mózg myśli czemkolwiek, uciekał się więc znowu do kościelki-sztuki.

Niebawem przez jedno z licznych wejść wchodził do jej świątyni, pogrążonej w milczeniu, tchnącej majestatem zapatrzonych w siebie twórców ludzkiego geniusza, szybującego na skrzydłach sztuki we wszelakich jego odmianach i fazach - wcielającego piękno, by szło, niby tchnienie żywe, do dusz ludzkich, umiejących wznieść się i oderwać od poziomów!

Znajdował się w salach dolnych. Zabytki starożytnej rzeźby rzymskiej, greckiej otaczały go zewsząd. Setki ich z epok różnych patrzyły na niego piękną wyrazem, ręką mistrzów zakutym w kamień i marmury...

Dzierżymirski, rozglądając się wokoło, szedł wolno, zamyślony.

Jak w kalejdoskopie, przesuwały się wciąż kolejno przed nim posągi, coraz piękniejsze.

Tutaj więc wychylały się oto rzędem ku niemu biusty i srogie oblicza wszystkich prawie imperatorów rzymskich - tam znów wykwintnie modelowanym ciałem pochyłały, gięty posągi Apollinów - rzymskiego dęta, o rysach grubszych, pełnych męskości i siły, - greckiego, traktowane daleko subtelniej z finezyą, o ciele jakby miękkszym i drobniejszym, przedziwnie wykończone w szczegółach i wyrazach twarzy...

W oddzielnej sali, naprzeciw siebie, drzemały, na wzór oryginałów w Watykanie, olbrzymie odlewy, z brązu: śpiącej Aryadny, Laokoona, Apollina i Dyany; dalej znów, z Tripolisu w Afryce sprowadzona, bez końca nóg i głowy, unosiła powabnie draperye piękna Venus, bieliły się bez liku dziesiątki rzeźb pomniejszych - stał Apollo z Lycyi, oparty o pień, koło którego obwijał się wąż zdradliwy... Apollo z Paros, patrzył łagodnie na widza; o rysach drobniutkich, w draperyi fałdach - wdzięczyła się grecka muza...

Dzierżymirski, z powodu braku czasu spieszyć się zmuszony, szedł pomimowolnie szybko, zatrzymując się jednak co chwila to krócej, to dłużej, zniewolony ku temu pięknem, hojną ręką i dzięki nieustrudzonym zabiegom, nagromadzonemu, tak obficie wokoło.

Tak więc, pomiędzy wieloma, wieloma innymi zajęła go jeszcze rzeźba Tyberjusza cesarza, okrytego fałdami togi, z ręką wyciągniętą przed siebie, w oratorskim geście, tak wymownie, iż zdawało się, że oto już zaraz przemówi... Tam znów uwagę zwróciły dwie postacie kobiece, zabytki, przeniesione z greckich cmentarzy. Jedna z nich, owiana szatą przejrzystą, w stojącej postawie, zadumana smętnie, - druga, w takiejże pozycji, z wieńcem laurowym na głowie, w bolesnym pogrążeniu, z prześlicznie przytem wyrzeźbionym obliczem, przybrana w draperyę, której fałdy, wykończone subtelnie w marmurze, za lada powiewem poruszać się w oczach zdawały.

Dzierżymirski wpadł w labirynt sal, salek, i szedł coraz dalej i dalej... Jednocześnie poddawał się stopniowo coraz bardziej urokom sztuki, a przypatrując się ciągle, z uwagą, okazom starożytnego dęta - zapominał coraz bardziej o dręczących go myślach z przed chwili; czarne i smętne niepostrzeżenie pierzchały one cicho...

I niebawem Romana znowu zajął marmurowy posąg z wyspy Paros... Przedstawiał on Aleksandra Wielkiego, z połową włosów złamaną i biustem, bez rąk, z twarzą natomiast zachowaną doskonale. Później zachwycała go z kolei "Venus accroupie" w marmurze, również bez rąk, ze śladem na plecach odłamanej rączki Amora, potem znów dziesiątki rzeźb innych, jedne charakterystyczniejsze, piękniejsze od drugich...

Po chwili, oparty o pień drzewa, zatrzymał go jeszcze, względnie do otaczających maleńki bardzo posązek, zatytułowany "Amor, jako Hercules", następnie inny: "Walczący Gladiator", a w końcu, cudna w swej prostocie, postać muzy poezji lirycznej: "Polymnie..."

Była to rzeźba wziętej z profilu kobiety, opartej, w zadumie, bokiem o kolumnę, w zwojach fałdzistej draperyi. Głowę pochyloną miała nieco, a upiększały ją włosy, falujące z lekka w marmurze, jedną rączką podpierała oblicze, natchnione, o rysach drobnych i subtelnych - drugą dotykała niedbale swej sukni, z ujmującym wdziękiem...

Wymijając tłum nieruchomych posągów, gubiąc się wśród tych rzeźb, zadumanych, cichych, śniących jakby o wielkiej swej przeszłości - znalazł się wreszcie Roman niebawem w salce kwadratowej, małej, gdzie, otoczona sznurową baryerą - na wzniesieniu, ubranem bordo tkaniną, stała, królując, zda się, nad wszystkim dokoła, perła zbiorów posągowych Luwru - Venus grecka z Milo.

Zmęczony nieco, Dzierżymirski usiadł na ławeczce, zdjął kapelusz i wpatrzył się w stojącą, bez rąk, półnągą postać z marmuru.

Pozornie kroczyła ona...

Wprzód pochylona niedostrzegalnie, przytrzymując fałdów upadającej w pasie draperyi, zdawało się, że idzie, z szyją swą, wyciągniętą nieco naprzód, z oczyma przymrużonymi jakby, z włosami, karbowanymi z lekka i uwiązanymi z tyłu w węzeł, z twarzą blondynki, anielską - boską!..

Od twarzy tej i półciała nagiego do draperyi, Dzierżymirski oczu oderwać po prostu nie był w stanie...

On w oblicza tem czytał - a przynajmniej tak mu się w danej chwili zdawało - zapatrzenie się w siebie i dumę, ale zarazem i słodycz, zakutą w przedziwną regularność rysie każdym, i choć sam osobiście nie odczuwał w rysach twarzy tej silnego promienia wewnętrzznego, jak zadumy lub marzenia - to jednak piękno linii królowało w nich - tak niepodzielnie, że zachwyty tylko wzbudzać mogło... A ciało?..

Po prostu żyło ono, nie tylko zaś nagie, dla oka widoczne... Z przodu, pod fałdami draperyi - czyniącej wrażenie, iż spada - w kilka zaś zgięć karbowanej z tyłu - tętniło ono, ożyłe jakby, nie martwe, w ruchu kroczącego, wzniesionego nieco kolana, w odkrytych piersiach i biuście bez rąk, przegiętym w prawo z zachowaną przedziwnie w marmurze, miękką, jak w ciele żywym - subtelną linią przegięcia...

Czas mijał... Przesiedziawszy na ławeczce dość długo, Roman z trudnością powstał i oderwał się od arcydzieła sztuki. Spojrzał na zegarek - dochodziła piąta - godzina zamknięcia Luwru. Postanowił obejrzyć jeszcze, choć pobieżnie, galerię obrazów...

Skierował się spiesznie na pierwsze piętro gmachu. Minąwszy salę pierwszą, zatrzymał się w drugiej, maleńkiej. Dwa, dlań osobiście przepiękne, obrazy zajęły całkiem jego uwagę.

Na jednym z nich, w aureoli blasków nad głową, umarła, cicha, po fali sennie płynęła postać biała z twarzą anielską i łagodną, - to sławne dzieło Delaroche'a "La jeune Martyre". Wisiało ono na prawo, równoległe z wejściem do salki, na ścianie zaś bocznej od tego wejścia, w lewo, od innych odbijało wdziękiem, pędzla "Girodet - Trioson'a" Przebudzenie Apollina, pięknego, jak marzenie, w postawie leżącej, pogrążonego we śnie głębokim. Na cudne oblicze boga Olimpu i zamknięte jego źrenice, z wysoka, prostopadły padał promień światła!.. Roman po chwili ruszył dalej...

Mijał teraz z wolna jedne za drugimi olbrzymie sale.

A w salach tych milczących, wielkich, unosił się jakby nadprzyrodzony jakiś duch idei piękna, zakłęty, olbrzymi i brał despotycznie w posiadanie każdego, kto korzył się przed kultem sztuki, czyja dusza, drgnieniem zachwytu, wyciągała w ekstazie ku jej nieśmiertelnemu czarowi pragnące swe ramiona!

Najpierw mistrzowie szkoły włoskiej, flamandzkiej, francuskiej, hiszpańskiej i innych - wielcy w swym majestacie, w aureoli wiekopomnej sławy, wyglądali z ram dziełami, niewidzialną dłonią zatrzymywali, jakby przed sobą, mówiąc, zdawało się, do Romana dumnie: - "podziwiał nas!.."

Idąc wciąż przed siebie w ten sposób, dotarł wkrótce Dzierżymirski, do sal ostatnich.

Było ich dwie; w jednej, podłużnej, wielkiej, a tak zwanej "Rubensa", pełno było przepysznych obrazów, wziętych przeważnie z życia królowej Maryi Medici - w drugiej, przedostatniej i mniejszej, noszącej miano "Van-Dycka", zwróciły uwagę Romana, wśród kilkunastu może dzieł tego mistrza, portrety: Dzieci Karola I-go; jego samego, stojącego na tle krajobrazu, obok giermka, z rumakiem, i kardynała Richelieu'go, całego w purpurze.

Dotarłszy do końca pałacowych sal, Dzierżymirski puścił się w powrotną drogę, zaglądając tam i ówdzie, idąc, wracając - błądząc wśród tych drzemających w chwale własnej, nieprzeliczonych dzieł pędzla - tworców talentu ludzi cenionych i wielkich...

Setki obrazów przeoczonych, nowych, zastępowały mu drogę...

I Dzierżymirski przystawał ciągle... Zachwycał się niejednym obrazem, ustępującym może innym, pod względem piękna, lecz przemawiającym żywiej do indywidualnego jego poczucia i pojęcia sztuki.

Tak więc w jednej z sal zatrzymał się dłużej śliczną główką szkoły francuskiej, "Greuz'a", złotawą blond, z oczyma, wzniesionymi smutnie, w zamyśleniu błądzącymi gdzieś daleko, może w ideałów niepochwytnej krainie, z wyrazem twarzy, tchnącym melancholią i rozmarzeniem...

Tamże również zajęły go dwa obrazy tegoż mistrza: pierwszy "La laitiche" przedstawiał rozwożącą nabią młodą wiwandyerkę - wspartą, w zadumie cichej, o karego z białym łbem konia; drugi pod tytułem: "Rozbity dzban", wdzięczny nad wyraz, wyobrażał dziewczátko w bieli... Włosy miała ona rozczesane skromnie na dwie strony, stroiło je białe kwiecie, - w fartuszkowi różowo - blade róże, na rękę zawieszony rozbity niebacznie dzban, a w całej twarzyczce miluchnej nieporównany wyraz dziecinnej naiwnej rozpacz.

Dzierżymirski coraz szybciej wymijał sale; nie znalazł się w galerii podłużnej i olbrzymiej, w kształcie salonowego korytarza, szerokiego i przestronnego.

Na ścianach wisiało tu wiele pięknych okazów; między innymi zatem dzieła Rafaela Sanzio, jak na przykład portret Joanny d'Aragon, w purpurowej sukni, przetkanej złotem, S-go Jana Chrzyciciela, oraz śliczny portrecik młodego człowieka, o włosach blond, w czapeczce czarnej, podpartego, w zamyśleniu i parę innych tegoż mistrza.

Patrzyły tu również na Romana rządem liczne dzieła Marina, jak Urodzenie Najświętszej Panny Maryi, cud San Diego, czyli anielska kuchnia... Opodal obraz, przypisywany malarzowi hiszpańskiemu Riberze, występował z ram postacią umarłego Chrystusa, o twarzy przedziwnie spokojnej, w wypoczynku jakby po bólu pozostającej - z ciałem ran pełnym, ociekającym, zda się, krwią ciepłą jeszcze... Bitwa Salvatora Rosy tamże nęciła oko realizmem i grozą - dziesiątki, setki obrazów zatrzymywały spojrzenie, a wreszcie dwa z nich najbardziej; pędzla Leonarda da Vinci: Jan Chrzyciciel i Bachus...

Oba przedstawiały ciemnokoch, pięknych młodzianów, o bujnie i naturalnie kręcących się włosach, cerze śniadej i dziwnie wiele, mówiących twarzy, zbliżonych rysami do siebie...

Obrazy te, w ogólnym zarysie, również zlewały się ze sobą. Nagłym skojarzeniem myśli, przypomniały one Romanowi, podobnie nieco traktowaną głowę o włosach, złotawo - miedzianych, pędzla Ferrari'ego, w Pinakotece Medyolańskiej. Przedstawiała ona Matkę Bożą, całą w czerwieni, z przechyloną w tył głową i przymkniętymi oczyma, z wyrazem nadziemskiego upojenia, gdy Dzieciątko Jezus równocześnie wyciąga przed siebie w przestrzeń swe rączyny maleńkie, jak gdyby niemi pochwycić coś w powietrzu pragnęło...

I z przypomnieniem tem nagle do duszy Dzierżymirskiego spłynęła fala wspomnień...

Mignął mu więc przed wewnętrznym wzrokiem duszy Medyolan, rodzinne gniazdo matki i tam "Cimitero Monumentale", gdzie zapomniane przezeń leżały jej prochy, wreszcie rysy matczyne, jak żywe, przeszłymi latami zamglone...

Z powiewem zaś lat tych minionych, z przeszłości tchnieniem, w mózgu Romana znowu zaświdrowały wyrzuty sumienia, dawne - te same.

Zadumany, powracał Dzierżymirski, kierując się w olbrzymie sale ku wyjściu, opanowany na nowo - wewnętrzną troską - niezdolny obecnie po prostu patrzeć na dzieła sztuki.

Poza tem zresztą i czasu na to nie było... Zamykano już Luwr.

Spieszono się powszechnie. Rozrzućeni tam i ów turyści - malarze, dyletanci pędzla, kopiujący tu zapamiętałe od samego rana na rozstawionych stalugach wszędy, hałaśliwie składali swe przybory, a odgłos ich rozmów, zarówno jak i kroki odchodzącej tłumnie gromady ludzkiej, przeciągłem echem odbijały się o ściany i próżnię olbrzymich sal muzeum.

Wyludniały się one nader szybko; niebawem cisza utulać zaczęła stopniowo twory człowieczego geniusza, a jeden jeszcze samotny i niewidzialny pozostał tu tylko, zda się, król Piękna - bóg Sztuki!..

W dziesięć może minut później Dzierżymirski wychodził na ulicę, gdzie zoczywszy niebawem napis podziemnej kolejki elektrycznej zwanej : "Metropolitain", po schodach spuszczać się zaczął ku stacyi.

Zagłębiając w myślach, kupił Roman machinalnie bilet na prawo jazdy i wyszedł na peron podziemnej poczekalni. W głowie jego, wśród myśli wielu, nieukształtowany jeszcze, niewyraźny, zakiełkował projekt opuszczenia Paryża, nieprzedstawiającego dlań już teraz, jako pobyt, celu żadnego, i udania się do - Medyolanu...

W tej samej chwili, z chrzęstem, świstem, wpadł na platformę zręczny, mały, elektryczny pociąg miejski.

- Louvre!.. Louvre!.. - wrzaśnięto donośnie, kilkanaście drzwiczek u wagonów otworzyło się spieszenie... Wysypała się z nich garstka ludzi, partya druga szybko zajęła ich miejsce, Dzierżymirski wskoczył za innymi do pociągu, z wielkim pośpiechem, nie minęła bowiem minuta, gdy już zatrzaśnięto na powrót z hałasem u wagoników wszystkie drzwiczki.

Kolejka ruszyła z miejsca pędem prawie, zanurzyła się i zniknęła, jak zmyta, w oświetlonej gdzieniegdzie tylko elektrycznymi lampami czeluści ciemnej podziemnego tunelu, biegnącego, jak wiadomo, pod większą częścią nadsekwańskiej stolicy.

-----

Letnie, upalne popołudnie drzemało jeszcze nad ziemią, skwarne jednak słońca promienie zniżyć się już poczynaly stopniowo...

Ochoczo uwijały się po polach dziewczęta robocze, w swych krótkich kolorowych spódnicach i haftowanych barwnie koszulach - z sierpami w ręku, znac zboże, układając je w snopy i kopy, a z łąk i łąnów dalszych odzywało się od czasu do czasu rytmiczne ostrzeżenie kos i ich chrzęst w ślad za tem, ścinający trawy, owsy i jęczmień, rozlegał się echem miarowem.

W otaczające go, tętniące ruchem i pracą pola zapatrzony, na ciemnym tle parku nieposzlakowanie biały milcząco wsłuchiwał się dwór gowartowski w odgłosy, idące z łąnów dalekich.

Na werandzie, w głębokim fotelu siedziała marszałkowa Warnicka, pracując z zajęciem nad robótką ręczną; dalej nieco, w parku, poprzez drzewa alei migiała jasna letnia suknia kobieca i sylwetka siedzącego obok niej mężczyzny; przez otwarte na ścieżaj wreszcie tuż koło balkonu okno saloniku dolatywały dwa męskie głosy, zmieszane z miarowemi uderzeniami kul bilardowych.

W saloniku owym grali w karambole Ładyżyński z Krasnostawskim.

- Patrz, młodzieńcze, i ucz się! - mówił w tej chwili pan Emil, pochylony nad bilardem.

Biała bila jego, musnąwszy poprzednio lewy bok czerwonej drugiej kuli, wracała właśnie teraz posłuszna, dotykając lekko stojącej opodal trzeciej żółtej bili.

- Aha!.. - wykrzyknął z tryumfem Ładyżyński. - Uderzenie znakomite, a rzadkie, jak kruk biały!..

Spojrzał na Krasnostawskiego. Ten ostatni, bez ceremonii zwrócony do okna, stał gdzieś zapatrzony, przez grzeczność w ostatniej tylko chwili obróciwszy się szybko ku mówiącemu.

- Barbarzyńco! - wykrzyknął Ładyżyński, oburzony szczerze.

- Jak to? - pytał zdziwiony dalej. - Na seryo zatem nie widziałeś pan wcale ?

- Ale cóż znowu, i owszem! - zaprotestował Krasnostawski, zmieszany nieco.

Partner z pod oka spojrzał na młodzieńca i mruknął złośliwie:

- Co pan ciekawego wypatrujesz wśród alei? Nikt tam, que je sache, nie spaceruje, prócz Oli i kochanego Topolsia, hrabiego na Szczęsnojej... A tu tymczasem straciłeś pan coup de maître, cug iście wspaniały...

I wskazując dłonią stojące kule, objaśnił już spokojnie:

- Przez czerwoną... Zamiast zwyczajno-pospolicie - tyłem, przez pięć band, i serya notabene gotowa - pochwalił się.

- Wiele mam? - zapytał po chwili. - A, prawda... - odpowiedział sam sobie pan Emil, - osiemdziesiąt sześć!... Przepadłeś pan z kretesem. Za chwilę - requiescat in pace!..

Przy tych słowach, Ładyżyński pochylił się znów bilardem. Pod wprawnym uderzeniem jego kija, dotykane, cofane, kierowane zręcznie, posypały się niebawem liczne karambole.

Krasnostawski, od początku partyi kilkakrotnie do gry zaledwie dopuszczony, ziewnął skrycie, znużony.

- Ta zdradziła Radziwiłła!.. - wykrzyknął w tej chwili pan Emil. - Chybiłem - graj pan!..

Krasnostawski z kolei zrobił kilka dość umiejętnych karamboli.

- Brawo, bravissimo! - potakiwał Ładyżyński - Z jakim przestajesz, takim się stajesz, niedarmo tak głosi przysłowie...

A ze znanstwem, śledząc dalej uważnie grę partnera, dorzucił jeszcze, w rodzaju pochwały:

- Czołem, czołem!.. Wstępujesz w me ślady.... bardzo dobrze, wcale nieźle!...

Krasnostawski, z przymusem, uśmiechnął się lekko, po paru uderzeniach wreszcie chybił.

- Przeszła, minęła, jak sen jaki złoty! - zadekłamał Ładyżyński, z patosem. - zgubionys młodzieńcze! - dorzucił, i pochylił się nad sukniem zielonem.

- Gram z tyłu - poinformował - ostatni, śmiertelny cios...

Pchnięta, nakredowaną poprzednio starannie, muszką kija - biała kula, obleciawszy szereg band, w skomplikowanej geometrycznej figurze - niebawem pokorna, grzeczna, za jednym uderzeniem, musnęła cicho dwie pozostałe bilardowe kule.

- N, i... ni - c'est fini !.. - odsapnął z ulgą pan Emil.

- No, teraz siadamy! - ciągnął dalej.- Dziękuję panu za partyę! - podał uprzejmie rękę Krasnostawskiemu, poczem wyjął papierośnicę.

- Służę panu! - rzekł, wyciągając ją w stronę młodego człowieka.

- Dziękuję bardzo! - odparł Krasnostawski, skłoniwszy się grzecznie, wziął papierosa, podsuwając jednocześnie Ładyżyńskiemu zapaloną zapałkę. - Merci! - mruknął pan Emil. - Ha, zmachałem się nie gorzej od młodycy, na polu przy burakach! - westchnął.

Usiedli, i zapanowało chwilowe milczenie.

W ciszy pokoju słyhać było teraz wyraźnie jednostajne brzęczenie much; zniżające się słońce ścieliło swe promienie po zielonej powierzchni bilardowego sukna - salonik tonął cały w półświatłach kończącego się letniego popołudnia.

Nagle firanki u okien poruszyły się gwałtownie - ktoś drzwi otwierał...

Na progu, w szarem sukniennem, liberyjnym ubraniu, stanął lokajczyk, młode chłopię...

- Zamykaj, do kroćset! - zagrzmiął Ładyżyński, porzuciwszy silny przeciąg i zwrócił się równocześnie do Krasnostawskiego. - Ma pan jeszcze ochotę na partyjkę?... bo ja - to nie!

- O, ja również! - odparł szybko Krasnostawski - Zresztą nie mogę, mam dzisiaj pilne zajęcie jeszcze i wracać muszę! - Żegnam pana! - dorzucił uprzejmie i powstawszy, wyciągnął rękę do Ładyżyńskiego.

- Adieu!.. - od niechcenia, ale grzecznie, nie ruszając się z miejsca, odwzajemnił mu tenże uścisk dłoni.

Krasnostawski, niby szukając czegoś po pokoju, zbliżył się zręcznie do okna, posławszy wywiadowczy wzrok raz jeszcze do ogrodu.

Siedząc wciąż na swem miejscu, Ładyżyński śledził spod okna, a usta skrzywiły mu się przy tem sarkastycznie.

- Cóż to tak zapamiętałe pan szukasz? - rzucił ironicznie - serca, czy głowy?

- O, nie... tylko kapelusza!.. - odciął chłodno Krasnostawski, i rzuciwszy siedzącemu powtórnie pożegnanie uprzejme, wyszedł z saloniku.

- Hm... hm!.. - mruknął do siebie stary kawaler, i powstał.

- Wyczyść bilard szczołką tak, jakem cię nauczył na wskos, nicponiu!.. - rozkazał kręcącemu się po pokoju lokajczykowi, i strzepnąwszy ubranie, opuścił bilardową salkę, zmierzając ku werandzie.

- Zawsze przy pracy, pani marszałkowo! - powitał siedzącą przy robótce panią Melanję i usiadł wygodnie na bujającym

się fotelu.

- No, i pan, panie Emilu, pracowałeś także - uśmiechnęła się łagodnie matrona. - Stąd słyszałam, jak stukwały karambole i postępował rażno wykład gry bilardowej...

- Ano, trudno!.. Trzeba pouczać młodych! - odparł pan Emil i uśmiechnął się swoim zwyczajem. A gdzież to młoda para? - rzucił.

Marszałkowa nie zrozumiała pytania. - Jak to? - zdziwiła się.

- No, pani Ola i kochany hrabicz! - objaśnił niedbale, kołysząc się leciutko w fotelu.

- Aaa !.. - zaśmiała się marszałkowa - są w ogrodzie - dodała spokojnie. - A pan Bolesław gdzie się znajduje? - zapytała z kolei.

- Przegrawszy partię karamboli i posławszy trzydzieści i jedno spojrzeń tęsknych w stronę ogrodu i przechadzających się tam ludzi, uciekł do domu - odpowiedział pan Emil.

- Że też pan ciągle tak samo niepoprawny i zawsze musi widzieć coś niepotrzebnego! - obruszyła się, z widocznym niezadowoleniem, marszałkowa.

- To tak tylko dla kontrastu z panią marszałkową! - odparł słodziutkim tonem, układnie pan Emil i uśmiechnął się szyderczo.

- No, no!.. - udobruchana nieco, pokiwała głową staruszka. - Żeby to tylko tak było w istocie ! - Ależ upewniam panią marszałkową - podchwycił Ładyżyński. - Wracając jednak do poprzedniej prozy życia, i jego wypadków - ciągnął wolno - ciekawym, czemu ten Roman nie wraca?..

- A! - żywo odparła pani Warnicka. - Zapomniałam powiedzieć panu... Wczoraj wieczorem był list od niego... Donosi, że z Ostendy, dokąd udał się prosto z Paryża, dla odpoczynku, przybył już do Mediolanu, gdzie zabawi dłużej...

- Hm, hm! - chrząknął pan Emil. - Że też prezesuniowi kochanemu nie tęskno: do żony primo, do mnie - secundo, to się wydziwić temu nie mogę - wygłosił całkiem seryo.

Marszałkowa na te słowa uśmiechnęła się do siebie, w milczeniu, Ładyżyński mówił zaś dalej, wydobywszy zegarek z kieszeni:

- Patrzcie państwo, już wpół do ósmej!.. O wpół do szóstej zaczęliśmy grać z Krasnostawskim partyjkę, a panią marszałkową pozostawiliśmy wszyscy tu na balkonie samotną... Tiens... tiens... jak to czas leci.

Pan Emil spojrzał na ogród, szukając coś oczyma i w tejże samej chwili zerknął na marszałkową. Ta ostatnia również wysłała spojrzenie do parku. Złośliwie nieco wykrzywił usta pan Emil i wpatrzył się badawczo w twarz staruszki, lecz ta obojętnie całkiem odwróciła po chwili głowę i kończyła spokojnie robótkę.

Zapanowało milczenie.

- Dziwny aforyzm przychodzi mi do głowy! - odezwał się Ładyżyński, w parę minut później.

- Bardzo, ciekawam, co tam znowu przychodzi panu do głowy?.. - zaśmiała się staruszka.

- Piękna kobieta - wygłosił z patosem pan Emil - to częstokroć wcielenie ślepego trafu igraszki!.. Obdarza ona bowiem królewską swą łaską nie zasłużonych, lecz szczęśliwych, choć wszyscy, niby gracze, pragnęliby w duchu wygrać najwyższą tylko stawkę...

Siwe oczy marszałkowej na chwilę zabłysły rozumnie, i odparła lekko, w tym samym tonie:

- Ho-ho, co za porównania, jaka poezja nagle objawiła się w panu! - pochwaliła ironicznie i dodała: - Ja nie wiem, doprawdy, czy potrafię, skromna, wznieść się na takie wyżyny... Lecz i mnie również, dziwnym zbiegiem okoliczności, aforyzm świta w myśli:

I po chwili pani Melanja wygłosiła z przyciskiem:

- Podejrzliwość - to wcielenie satanizmu!.. Oczernić, zbrukać potrafi najczystsze, śnieżne jagnię, tem gorsze zaś ono, że uwierzą mu ludzie, goniący, z rozkoszą, za obmową, choćby nią był i fałsz wierutny!..

- Les beaux esprits se rencontrent! - wycedził w półukłonie pan Emil, i zamilkł.

- No, żegnam kochanego pana! - odpowiedziała marszałkowa, i powstała ciężko z fotelu. - Idę - ciągnęła - wydać rozporządzenia do wieczery, bo gosposia nasza, jak widzę, zapomniała się dzisiaj, a pana - tu uczyniła ręką niewyraźny ruch w powietrzu - pozostawiam sam na sam z aforyzmami!.. - zaśmiała się przy tem staruszka złośliwie nieco, i znikła we drzwiach salonowych.

Ładyżyński, po wyjściu marszałkowej, zapalił papierosa i zamasyście począł kołysać się na biegunach fotelu.

- Śmieję się, śmieję, babuleńko! - mruknął z cicha. - Ja mam swój rozum i węch świetny. O, co do tego, to zapewnić mogę, że nos mam wyborny!.. - dotknął twarzy, zaśmiał się do siebie, wciągnął powietrze, i powstawszy, zeszedł po stopniach schodów balkonu.

Spojrzał znowu na zegarek i mruknął:

- Ósma dochodzi... Sapristi, o czymże dwie i pół godziny sam na sam mówić ze sobą mogą dwoje młodych ludzi, jeśli nie o miłość... Psst! - syknął głośno i położył sobie na ustach palec. - Podejrzliwość albowiem jest to wcielenie satanizmu... i tak dalej, - dokończył, i zaśmiał się znowu cicho. - No, zobaczymy! - szepnął do siebie jeszcze i skierował się do ogrodu.

Słońce zachodziło właśnie. Białe ściany gowartowskiego domu gorzały czerwienią, błyszcząły, złościły się okna, dach blaszany żarzył się, jak głownia, a tam w parku, w oddali, wstydliwie zaróżowiały się, rumieniły brzozy, mieniły od gasnących promieni, w odbłaski polerowanej miedzi, dęby, lipy, topole...

Ładyżyński, zagłębiał się dalej i dalej w ogród, idąc krokiem pewnym, aż znikł, pochłonięty cieniami ciemnej już, drzew wierzchołkami zrosłej ze sobą alei; poszukiwania jego jednak miały spełznąć na niczem. Młodej pary, jak ją pan Emil żartami nazwał, nie było już w ogrodzie.

Topolski i Ola, przed pół godziną, znalazłszy się na skraju parku i łąnów szerokich, opuścili ogrodową aleję, pociągnięci współwzajemnie czarem przechadzki po zielonej, biegnącej wśród pól, ugorów, łączce, w przedwieczornej świeżości skąpanej całej.

Gawędząc, śmiejąc się i przekomarzając na przemian bezustannie, oddalili się oni nawet już dość ode dworu, nie spostrzegłszy tego naturalnie wcale.

Wbrew zapowiedzi, danej pani Oli jeszcze na raucie, przyspieszył Topolski swój przyjazd do odziedziczonych w pobliżu Gowartowa dóbr swoich "Szczęsnaja".

Bawił już tu przeszło od sześciu tygodni, będąc nader częstym gościem osamotnionej prezesowej Dzierżymirskiej; Ola zaś, nie mająca prawie tu ni rozrywki, ni towarzystwa żadnego, zazwyczaj niezmiernie mu rada była.

Topolski zaś ze swej strony podobać się mógł tylko. Ogładzonych form światowych, przystojny i miły, był również bardzo inteligentnym, a lekki pokład idealnego marzycielstwa, w kontraście połączony ze szczyptą sceptycyzmu, czynił go interesującym bardzo, szczególnie dla kobiet. W kole płci pięknej czuł się zawsze panem... Posiadając wrażliwość czułościową przyrodzoną, rozumiał on kobiety przytem stokroć lepiej od innych mężczyzn, odczuwał je subtelnie, - w podbijaniu zaś serc niewieścich, cierpliwem i umiejętnem, - mistrzem go nazywano.

Próżniacze życie jego, zjadającego dochody "panka", zabarwione tylko z lekka tam i ówdzie dyletanckiem zainteresowaniem się sztuką, oraz podróżowaniem po świecie - składało się też przeważnie z krótszych lub dłuższych miłości, z łańcucha: "bonnes fortunes", które, jak ogniwa, ze sobą bezustannie łączyć się starał.

Poznawszy Olę Dzierżymirską, Topolski postanowił zdobyć ją nieodzownie. W tym celu więc dowiedziawszy się o bytności Romana Dzierżymirskiego za granicą, przyspieszył wyjazd na Ukrainę, i od dwóch już niespełna miesięcy pracował wytrwale, powoli, ze znanstwem swej sztuki, cegiełka za cegiełką, budując swe przyszłe, jak nazywał - szczęście!

Z początku było mu niezmiernie trudno skierować, pchnąć Olę, choć nieznacznie tylko, na swe tory.

Gra ta, złożona z setek subtelnych odcieni, opartych na gruntownej znajomości "kobiety," parokrotnie srodze zawiodła go z Olą Dzierżymirską. Lecz po paru już tygodniach uczył Topolski wreszcie grunt pod nogami, aczkolwiek jeszcze bardzo niepewny. Tryumfował skrycie - i szedł dalej...

Dziś zaś, po tygodniach sześciu pobytu, miał on już za sobą małą przeszłość w tym względzie; między nim, a Olą mianowicie biegła nić trwała obcowania wzajemnego, wspólnych rozmów, dociekań, paradoksów, określeń - garść faktów jednak na pozór nic nie znaczących prawie...

A więc, na przykład, gdy w gronie osób postronnych, trzecich, toczyła się rozmowa o temacie, poruszonym już przez nich dwojga niegdyś w pogawędce sam na sam wspólnej - czy to w zakresie sztuki, literatury, muzyki, czy wreszcie w dziedzinie wypadków pospolitych codziennego życia - usta ich uśmiechały się nieznacznie, a równocześnie oczy spotykały się, posłuszne...

To znów kiedy indziej, nim jedno z nich zdążyło wymówić myśl jakąś, częstokroć drugie, chwyciło ją szybko już w lot i na nie wypowiedziane, a przeczute słowa, dawało trafną odpowiedź, lub rzucało aforyzm dwuznaczny, mający li tylko dla nich dwojga znaczenie, dla innych niezrozumiały często wcale - poruszający zaś sobą wspomnienie, zdarzenie osobiste, wspólne...

Szukali się wzajemnie również, unikając towarzystwa drugich, pragnąc zawsze być ze sobą, wyłącznie sami.

A po za tem? Och, określić nawet trudno.

Dziesiątki, setki, tysiące maleńkich, nikłych zdarzeń, powikłań, chwil, chwilek, słów, słówek, gestów, drgnień twarzy, uśmiechów, niedomówionych spojrzeń, uściśnień dłoni, przyjaźniejszych, czulszych - w nieskończoność biegnąc, zacieśniały ich dwie duchowe jaźnie coraz bardziej, motały ich ze sobą i z nitki początkowo pojedynczej tylko, czas uprzął tkaninę przedzę niewidzialną, a nierozzerwalną już jednak, co silnie, a trwale złączyła ich w końcu ze sobą!

I Topolski, błąkający się z początku w swej grze trudnej zaplątał się sam wkrótce, nie wiedząc nawet kiedy, w zastawione zręcznie na Olę sieci.

Serce w nim obudziło się po raz pierwszy może w życiu!.. On, motyl niestały, powierzchownie tylko kochliwy, w każdej zamężnej, wdzięcznej buzi - zakochał się na seryo w Oli!

Dziś od dwóch godzin przeszło, w słów dobieranych szermierce, flirtował z nią - teraz już dlań ukochaną, a przez to samo upragnioną jeszcze bardziej.

Mówili dnia tego jak zwykle o literaturze, muzyce i sztuce, to jest o tem, co zajmowało ich wspólnie najbardziej w krainie, oderwanej od przędzy codziennego życia.

On wspominał i opowiadał barwnie wrażenia licznych podróży, dowcipkował, śmiał się, przytomny bezustannie gry swojej; Ola słuchała mówiła, opowiadała z kolei wiele sama... Jak w złocie łańców zboża, jednostajnym od maków purpurowych i bławatnych chabrów, roilo się w tej ich słów gawędzie od dwuznaczników, w lekką formę obleczonej ze strony Topolskiego oświadczyń i półsłówiek - połowicznym niedomówieniem wiele mówiących nieraz rzeczy!..

Przed chwilą, słońce ułożyło się do snu. Topolski kończył jednocześnie wywołane faktem tym opowiadanie wspomnienia, tyczącego się wschodu słońca obserwowanego z wierzchołka góry "Mont Blanc," spowiadając się z wrażenia podniosłego, doznanego wysoko!..

Słowa pełne zapału, efektowne, zamarły mu właśnie na ustach, na których spojrzeniem całym zawisła artystyczna dusza idącej obok niego kobiety.

Zapanowało pomiędzy nimi chwilowe milczenie:

Ze stepu tymczasem, z łańców, płynęły wonie zbóż, i polnych kwiatów; żaby i chruściele odzywały się w moczarach łączki - czar letniego gasnącego dnia chwytął za duszę...

- Wie pan, żeśmy porządnie od domu daleko! - pierwsza wesoło zaśmiała się Ola.

- A tak? - zadziwił się niby Topolski. - To wracajmy! - rzekł niechętnie.

Zawrócili. Szli wolno czas jakiś, pomimo woli zamyśleni.

- Tak, pani - przemówił Topolski, śnać błędząc jeszcze myślą hen, daleko, na szczytach Alp, w Szwajcaryi - wrażenie to było tak silnem, iż nie zapomnę go do końca życia. - I wie pani? - dorzucił, z uśmiechem dziwnym i nagłym - o czym mimo woli pomyślałem w owej uroczystej chwili, gdy pierwszy promyk słońca ozłocił cypl śnieżny "Mont Blanc?" Nigdy pani nie zgadnie.

- No, ciekawam bardzo? - zapytała Ola i spojrzenie piękne utkwiała w twarzy młodego człowieka.

- O kobiecie!.. - odrzekł Topolski, i zaśmiał się; nie otrzymawszy zaś na to żadnej odpowiedzi, spojrzał po chwili spod oka na Olę.

Z pięknej twarzy młodej kobiety, jakby odpędzany umyślnie, pierzchał cień wyraźnego niezadowolenia; Topolski się spostrzegł, iż postąpił niezręcznie, wiedział bowiem z wieloletniej praktyki doskonale, że nie należy nigdy wobec kobiety, o której względy ci chodzi, wspominać dobitnie, że przed nią była inna. Poprawił się natychmiast.

- To jest... źle mówię!.. - rzekł seryo całkiem, uśmiechnąwszy się atoli w duchu do siebie - o kobiecie, nie jednostce, bynajmniej myślałem wówczas, ale o ogólnym w niej symbolu kobiecości!..

- Jak to! nie rozumiem dobrze pana... - zdziwiła się Ola. - Cóż bowiem wspólnego ma wschód słońca...

- O, i bardzo! - przerwał Topolski - przynajmniej dla mnie... Bo gdy, stojąc na wysokościach niebotycznych, - ciągnął, zapalając się do słów własnych - ujrzałem nagle, jak zaróżowiona silnie jutrzeńka przysła snopem promieni, jak całując jakby po prostu okoliczne szczyty, niepokalane, śnieżne - objęła w ramiona zwycięskie świat cały, tak rozpromieniony za jej przybyciem, tak wyraźnie szczęśliwy! - Topolski umilkł na chwilę...

- Skojarzeniem myśli, może dziwnem w istocie w Chwili danej - kończył już spokojniej - porównałem majestatyczne, królewskie słońce do uczucia kobiety - miłości bezbrzeżnej, wielkiej, która również swą potęgą i blaskiem rozjaśnić, uszczęśliwić może człowieka, tak, jak "ono," tam, na wysokościach - świat cały!..

- Och, jakież poeta z pana! - zauważyła, z uśmiechem, Ola i umilkła, poczem jednak dorzuciła całkiem poważnie:

- Aczkolwiek mnie osobiście na razie myśl ta do głowy nie przyszłaby może, gdybym się tam znajdowała na pańskim miejscu, rozumiem ją jednak i odczuwam doskonale...

- Prawda? - uradowany mimo woli podchwycił Topolski. - Pani przyznaje - ciągnął, - że egzystuje poniekąd w pojęciach tych analogia pewna... Słuchając pani jednak, przychodzi mi do głowy jedno spostrzeżenie... - zatrzymał się...

- Musiała pani - i instynktownie Topolski nadał głosowi brzmienie łagodne, czułe - w życiu swem kochać kogoś bardzo...

- Dlaczego? - zapytała z uśmiechem Ola.

- Bo inaczej nie zrozumiała i nie odczułaby pani wrażenia mego! - rzucił po francusku Topolski.

- Kochałam! - odparła stanowczo, w tymże języku, Ola.

- Kogóż, jeśli spytać wolno i jeśli to nie jest żadną tajemnicą stanu?

- Męża! - odparła po polsku, lakonicznie Ola, patrząc ironicznie nieco Topolskiemu prosto w twarz. Ten ostatni skrzywił się z lekka.

- Ach, ja nie myślałem o tem zgoła... Męża powinno się kochać... Zresztą - uśmiechnęła się złośliwie - użyła pani czasu przeszłego... Kochałam, j'ai aimé - ciągnął ironicznie, - wszak, o ile mnie pamięć grammatyki francuskiej nie zawodzi, to passé défini... - zaakcentował wyraz ostatni.

- Och, jakże pan łapieś za słowa! - zaśmiała się nieszczercze trochę Ola. - Przy tem zapragnąłeś pan pochwalić się znajomością francuskiej grammatyki, i nie udało się... J'ai aimé - to passé, indéfini - odcięła.

- Ach, alors votre amour, madame... est indéfini? - nie pozostał dłużnym Topolski.

- Ech, nieznośnym się pan stajesz! - zaśmiała się młoda kobieta. - Ot lepiej, niech pan spojrzy na prawo - wskazała ruchem ręki niebo, widocznie pragnąc zmienić temat rozmowy. - Jakie piękne chmurki, nieprawdaż?..

Topolski wolno zwrócił głowę, we wskazanym kierunku.

- Prześliczne! - potwierdził.

Niby zaróżowione, zdrowe, w aureoli złocistych włosów, buziaczki zasypiających rzędem obok siebie smacznie dorodnych dzieciąt, układały się do snu na niebieskawo-perłowym tle nieba obłoczki małe, koralowo-złote, - zakłęte jakby cudownie w ostatnim odbłasku śpiącego już słońca.

Dłuższy czas stali Topolski z Olą, zapatrzeni w grę światła wieczora; po niejakiś czasie, odwróciwszy wzrok od nich, kobieta spojrzała przed siebie.

- Regardez! - przerwała milczenie swym mile brzmiącym głosem. - Wszak to Krasnostawski, prawda? - zwróciła się do towarzysza, pokazując mu ruchem głowy zbliżającego się pędem ku nim jeźdźca.

- Tak. Zdaje się, że to jaśnie pan plenipotent pomyka - odparł z przekąsem Topolski, z zaakcentowaną rozmyślnie obojętnością w głosie.

Tymczasem kasztanek złotawy, parszając cicho, przemknął tuż koło nich i ruchem uprzejmym, aczkolwiek chłodnym nieco, i nie zatrzymując się wcale, skłonił się Krasnostawski stojącej parze.

Topolski i Ola w ślad zatem ruszyli powoli miejsca, rozmawiając znów żywo ze sobą, jeździec zaś, na wskos przeciąwszy łączkę, wspinać się zaczął po pochyłości jaru. Z lekkiego początkowo pod górę truchcika, koń przeszedł w wolnego stępa...

W ciszy wieczornej, do uszu Krasnostawskiego dochodziły wyraźnie słowa i śmiechy idącej łączką pary.

Młody człowiek, uderzywszy gniewnie konia butami i spicrutą, pochwyił cugle, i pomknął dalej...

- Że też im nigdy nie zbraknie tematu do rozmowy! - mruknął.

Obecność ciągną Topolskiego przy Oli gniewała niepomierne młodego plenipotenta. Znał on, jak wiadomo, dzisiejszą dziedziczkę Gowartowa od lat blisko dziesięciu. Dziewczęciem jeszcze podobała mu się ona bardzo.

A potem?.. Wszak pamięta doskonale tę chwilę, gdy dowiedział się on od starego Gowartowskiego, że Ola uciekła z Dzierżymirskim... Dziwnego, och, niepojętego dlań nawet, na razie doznał wówczas wrażenia! Po śmierci zaś pana Januarego i przyjeździe młodych, przypadek bardziej jeszcze zbliżył go do niej, a było nim powtórzenie zbolącej córce dosłownie ostatnich chwil ojca i słów jego, pełnych przebaczenia...

Fakt ten, na pozór drobny, stał się jednak dla Krasnostawskiego wysoce poważnym, postawił go bowiem wobec nowych chlebobawców na przyjaznej, poufałej niemal stopie, i takim dotąd bez zmiany pozostał.

Co rok, gdy Dzierżymirscy przyjeżdżali do siebie na wieś, pierwszy witał ich na progu Krasnostawski, bywając potem zawsze stale co dzień niemal w Gowartowie... Dzierżymirscy traktowali go, jak równego im zupełnie, naturalnie, uprzejmie przyjmowali zawsze - bez różnicy, o każdej dnia porze, ze względu zaś na dobre wychowanie jego, i wspomnienie, iż do snu wiecznego zamknął był Gowartowskiemu powieki, uważano go nawet jakby za należącego do rodziny.

Czuł się zatem młody pan plenipotent w pałacu, jak u siebie w domu, zastępował mu on strzechę rodzinną, której nie posiadał wcale i trwało tak rok rocznie przez kilka letnich miesięcy. Potem znów następowała dlań długa przerwa; - gospodarstwo, samotność, nuda i wyczekiwanie z upragnieniem chwili przyjazdu Dzierżymirskich! Powtarzało się to bezmiennie przez lat ubiegłych parę, i przez czas ten cała stała się rzecz, której z łatwością domyśleć się można było...

Krasnostawski, dawniej Don-Juan wielkomięski, jeszcze obecnie na wsi bałamucący wszystkie ładniejsze dziewczyny w okolicy - niepostrzeżenie, początkowo nie zdając sobie nawet wcale sprawy, zakochał się na zabój w swej pięknej, młodej dziedziczce i pani...

Łatwe sercowe zdobycze pomściły się na lekkomyślnym panu plenipotencie. Miłość prawdziwa, silno powaliła go już w drugim roku pobytu u Dzierżymirskich.

Zabrała mu serce kobieta, dla niego całkiem, i rzec można, na zawsze, niezdożyta, niepochwytana nawet, ze względu warunków służebnej różnicy położenia jego w ogóle z jednej strony, a z drugiej - z powodu charakteru Oli, jak się zdawało, bez skazy, niezłomnych jej zasad, oraz bezgranicznej, niezmiennej, a dotąd jedynej - miłości jej dla męża.

Przebolewał zatem Krasnostawski wiele, lecz zapanował nad sobą. Nikt nie zbadał dotychczas tajemnicy jego serca, nawet "ona."

A dziś, uczucie drzemiące i ukryte na dnie duszy przed sarkazmem ócz i języków ludzkich, przeobraziło się już było w prawdziwy kult... Codzienny gość Gowartowa, Krasnostawski, poza obowiązkami, żył "prawdziwie" w dniu godzin tylko kilka, t.j. tych parę właśnie, podczas których obcował z Olą, młoda kobieta zaś stanęła w duszy jego, nie złożonej, nieprzesubtelnionej, lecz szczerzej, pięknej i prostej - na piedestale świętości prawdziwej! Krasnostawski modlił się

niemal do Oli!..

I oto teraz przyszło mu cierpieć podwójnie: dotąd odbierała mu ubóstwianą konieczność życia, w postaci męża... - Dziś przy boku jej się zjawił inny... Krasnostawski zniechęcił pana na Szczęsnej...

Zazdrość, ta miłości siostrzyca, pochwyliła go w swe szpony krogulcze, dręcząc bez litości... Mękę tę zaś powiększało jeszcze poczucie własnej niemocy.

Myśląc o tem po raz setny, Krasnostawski pędził wciąż szybko, nagląc niemiłosiernie spicrutą wierzchowca.

- Sługą jestem i na wieki sługą zostanę!.. Psie życie, psie!.. - rzucił głośno z goryczą obszarom, śniącym w mroku. - On mi ją weźmie, pokala, ja to czuję, przeczuwam!.. Lecz co czynić mam, co robić? - wołał do siebie wzburzony przyjaciel, domownik pałacowy Dzierżymirskich. - Zastrzeliłbym go, to lisiątko! - mruknął ciszej.

W tej samej chwili koń się potknął, Krasnostawski ściągnął instynktownie cugle, i począł jechać wolno.

Wokoło niego, otulony szarzyzną mroku, kołysał się step mały, wysoka trawa łechtala mu opuszczoną w dół siodła rękę. W oddali rysowały się już cienie folwarku Tomaszówki, tak zwanej ukraińskiej fermy, złożonej tylko z toku, to jest: stodoły, spichlerza, paru jeszcze zabudowań gospodarskich, i jego własnego, niskiego, mieszkalnego domku - królujących w cieniu kilkunastu drzew wśród pól i łąk szerokich.

Krasnostawski zdjął czapkę i przetaił chustką czoło. W krąg niego latały tysiące muszek małych, brzęczały żałośnie roje komarów; bąk grał gdzieś w moczarach, a przepiórka zabłąkana, wędrująca jeszcze po polach, odzywała się gdzieś nieśmiało samotna...

Przejechawszy wolno kawałek stepu, Krasnostawski puścił się znów poprzez bodziaki i trawy szybkiego nader, tak zwanego szłapaka. Prychając nozdrzami, czując stajnie blisko, pomknął kasztan ochoczo. Pędem powietrza i końskiego biegu, wysokie trawy zakołysały się trwożnie - zaszumiało na stepie...

Lecz oto po chwili wierzchowiec skoczył w bok gwałtownie: to układający się już do snu błęgiego zając pomknął mu chyżo spod nóg i znikł w wieczornym mroku... Niebawem jeździec z koniem wpadli na trakt szeroki.

- Zginie mi Ola moja ubóstwiana, najdroższa!.. A szkoda - szkoda! - szeptał do siebie podniecony Krasnostawski.

- Co czynić? jak przeszkodzić temu? - huczało mu dalej w głowie.

Lecieli wciąż... Domostwa Tomaszówki stawały się coraz wyraźniejsze, bliższe... Wyminął ich wóz; jadący w przeciwną stronę, chłop pokłonił się nisko, lecące za wozem źrebię przyłączyło się do wierzchowej klaczy Krasnostawskiego.

- Ksiou, ksiou, ksiou! - zawołał chłop przeciągle: źrebczyk zastrzygł uszami, prychnął i zawrócił galopem.

- Ach, czemuż, czemuż nie wolno mi kochać ciebie, najdroższa? - wyrzucił z siebie Krasnostawski wymówkę, pełną goryczy. - Ja bym cię ozłocił, klęczał przed tobą - zmiatał proch u stóp twoich!..

Jeździec z koniem, jak huragan, wpadli we wrota i na dziedziniec małego dworku. Zatrzymali się... Krasnostawski zeskoczył z kasztanka i huknął donośnie.

Niebawem zjawił się wyrostek, w rozchylonej koszuli, boso, odebrawszy wierzchowca, znikł z nim pomiędzy strzechami podłużnych budynków; młody człowiek zaś, szepcząc jeszcze smutnie coś z cicha do siebie, schyliwszy głowę, wszedł do wnętrza małego, krytego słomą dworku.

Odemknął drzwi kluczem, a przestąpiwszy próg, zatrzasnął je z hałasem. W ślad za tem potarł zapałkę, a zapaliwszy lampę, zbliżył się do biurka, stojącego pod oknem, wśród skromnie umeblowanej izby, wybielonej, z niskim sufitem, o dużych wystających u pułapu belkach.

- Nie mnie, marnemu pionowi, marzyć i kochać, nie mnie!.. Do pracy, sługo, płacą ci za to! - szepnął Krasnostawski, z beżmierną goryczą. Rozłożywszy jednocześnie na stole olbrzymią rachunkową księgę, umoczył pióro w kałamarzu i usiadł ciężko przed biurkiem.

Cisza zaległa pokoi. Przerywał ją tylko szelest papieru i zgrzyt donośny stalki w obsadce - czasami zaś akordem w tę muzykę milczenia i pracy wplotło się z rzadka stłumione westchnienie ciche.

-----

Ukraińskie lato upalne dobiegało końca, zanikało, wypierane jesienią wczesną, w tym roku piękną bardzo - przezrocą...

Życie w Gowartowie płynęło cicho, a dni mijały tutaj za dniami, wszystkie bez zmiany niemal bardzo do siebie podobne. Ładyżyński zatem tak samo zawsze szyderczy z marszałkową się sprzeczał i rozmyślnie przeszkadzał flirtowi Oli z Topolskim... Krasnostawski, tłumiąc w sercu ból, żal, gorycz i zazdrość, przyjeżdżał tu jak zwykle, co dzień, a bawiąc w pałacu coraz krócej, po partyjce bilardu z panem Emilem, uciekał do swej wśród pól samotni.

Czasem zajrzał do Gowartowa ktoś z dalszych, lub bliższych sąsiadów, i jak to bywa zazwyczaj na wsi, zjeżdżając całym rodzinnym taborem, na godzin kilka rozgaszczał się w pałacu. Dom cały naturalnie zniewolonym był być na usługi gości,

działo się to jednak zawsze ku wielkiemu zmartwieniu Ładyżyńskiego. Bywalec eleganckich miejskich salonów, zły chodził wówczas z kąta w kąt, ziewając skrycie i pokpiwając nieznacznie z przybyłych w gościnę; sąsiadów Gowartowa nie lubiał bowiem pan Emil i z góry stale traktował, ochrzciwszy wszystkich ryczałtowo mianem "serwatki towarzyskiej"...

W niedzielę wszyscy z pałacu jeździli do kościoła - w tygodniu, dla ubarwienia jednostajnego skądinąd życia, oddawano sąsiedzkie wizyty... Pan Emil wtedy zostawał zawsze w domu, a namawiając panie, by jechały, starał się zwykle wybrać na to dzień, w którym spodziewał się odwiedzin Topolskiego.

Hrabia ze Szczęsnej, przyjeżdżający teraz, regularnie, co drugi dzień prawie, stawiał się wówczas niezmiennie. Ładyżyński, uśmiechnięty złośliwie, przyjmował go z otwartymi ramionami, do karamboli natychmiast werbował, nic najczęściej przy tym nie mówiąc o wyjeździe pań, wymijając zręcznie jego pytania w tym względzie. Dopiero później, po party, wychodził na chwilę, wracał, i spokojnie oznajmiał mu o tem, mniej więcej w ten sposób: „Wszak hrabia kochany o panie mnie się pytał? n'est ce pas? Pardon... na śmierć zapomniałem... wyobraź pan sobie, wyjechały przed godziną na spacer, pewny byłem... A tu, concevez... Dowiaduję się właśnie, iż palnęły sobie wizytę!..”

Topolski rad nie rad niebawem odjeżdżał, pan Emil zaś, ironiczny, zjadliwej uprzejmości pełny, odprowadziwszy go do powozu - zacierał ręce z radości.

Pomimo jednak usiłowań zręcznych Ładyżyńskiego, stosunek Topolskiego i Oli zacieśniał się coraz bardziej; przyjaźń fermentowała już, potęgowała zaś stosunek ten przedłużana coraz bardziej nieobecność Dzierzymirskiego, od którego, po liście oznajmiającym wyjazd do Medyolanu - nie było zgoła żadnej wiadomości.

Był wieczór letni, kojący, cichy...

W pałacu gowartowskim zgaszono już wszystkie światła, prócz jednego - w jadalni, gdzie marszałkowa przeglądała świeże gazety. Niebawem odłożywszy je na bok, ze zmęczonych oczu staruszka zdjęła okulary, a przetarłszy powieki, powstała i skierowała się ku balkonowi.

Tam, wzięwszy w rękę laskę, zeszła do ogrodu, zagłębiwszy się w jedną z cienistych alei.

Ola, Topolski i nieodstępny ich satelita, pan Emil, używali przejażdżki łódką po stawie, w tą stronę więc skierowała kroki marszałkowa. Wkrótce przed nią zaszklila się tafla stawu, staruszka usiadła na ławeczce i posłała spojrzenie w dal...

Do uszu jej jednocześnie, w wieczornej ciszy wyraźna, doleciała pieśń, śpiewana zgodnie silnym męskim tenorem Topolskiego i cieniutkim sopranem Oli, z przeciągłem do wtóru gwizdaniem pana Emila. Barka znalazła się niebawem pośrodku stawu. Pieśń, urwana nagle, zcichła, marszałkowa krzyknęła, jak tylko mogła najgłośniejszym głosem: - Hop!.. hop!..

- By... waj! - odpowiedział natychmiast pan Emil, rozległy się szybsze uderzenia wiosła, plusk wody i łódź chyżo kierować się poczęły ku brzegowi, Ładyżyński po chwili przyłożył do oczu rękę i krzyknął;

- Per Bacco! Wszak to pani marszałkowa!..

- O, ciociu! Czemuż cioteczka przysła aż tutaj? Jakże można... wilgoć ze stawu, opary niezdrowe! - rozległ się z kolei cieniuchny głosik Oli.

- Nic, dziecko, nie szkodzi... Posiedzę sobie, taki śliczny i ciepły wieczór... Jedźcie, jedźcie, jak się zmęczone, to powrócę! - odkryknęła pani Melania.

- E, cóż znowu? - zagrział basem Ładyżyński. - I my wracamy. Księżyc zresztą dziś niecnota nie dopisuje i chowa się ciągle... Naprzód!.. - zakomenderował donośnie.

- Nieprawdaż? - dodał ciszej, zwracając się ku siedzącej w łódce młodej parze.

- Ależ naturalnie! - potwierdziła szybko Ola, widząc, iż Topolski milczy dyplomatycznie. - Cioteczka zaziębi się, jak ją pozostawimy tu dłużej, a sama do domu tak rychło nie pójdzie...

Po chwili, łódź stanęła u brzegu. - Ciotuniu, jesteśmy.. - żywo krzyknęła Ola, i wysiedli wszyscy.

Topolski z Olą poszli naprzód, pan Emil zaś pozostał, systematycznie ułożywszy wiosła i zamknąwszy na klucz kłódkę u łańcucha, przytwierdzonego do barki, poczem zapalił z wolna papierosa.

- Pa -nie E - mi - lu! Wra -ca - my! - rozległ się z góry, na brzegu, wołający głosik Dzierzymirskiej.

- Idę, idę! - odpowiedział w ten sam sposób Emil, nie ruszył się jednak wcale. Po chwili warknął do siebie półgłosem:

- O, nie podoba mi się coraz więcej ten farbowany na hrabicz! Lecz swoją drogą pozycja moja tutaj jest w zupełności idiotyczną... Marszałkowa, jak ślepa: nic nie widzi; on, wściekły, zębami na mnie po cichu zgrzyta ona się dąsa... Que diable! Nie byłem dotąd nigdy stróżem cnót młodych mężatek!..

I Ładyżyński wzruszył ramionami, poczem z wolna skierował się ku pałacowi.

Pozostała zaś trójka była już daleko. Topolski podawał kornie ramię marszałkowej, Ola szła obok niego - rozmawiali wszyscy żywo i wesoło; niebawem znaleźli się na werandzie i usiedli, zmęczeni nieco przechadzką.

Topolski, zatrzymany i uproszony przez panie, zostawał na noc w Gowartowie, obecnie zaś namawiał Olę do zagrania na fortepianie.

- Ale kiedy mówię panu - broniła się, śmiejąc, młoda kobieta, - że teraz właśnie czuje się niemożliwie usposobioną do

muzyki... Upewniam pana, iż go boleć będą uszy!..

- O, mnie nigdy! Chyba pana Emila? - odparł Topolski.

Ładyżyński nie znosił muzyki. Nazywał ją zawsze "gnębicielką i pierwszym stopniem do histeryi i neurastenii."

- Jeżeli nie dla mnie - nachylił się w tej chwili Topolski ku siedzącej obok Oli - to niech zagra pani dla pana Emila za to, że nam ciągle swym towarzystwem przeszkadzał...

- Przeszkadzał?.. w czym? - spytała Ola, z uśmiechem i zalotnym błysnięciem oczu.

- Powiadają, iż przysłowia są mądrością narodów, a jedno z nich mówi pono: "mądrej głowie, dość..." i.t.d. Pani nie zrozumiała - to trudno.

- Ha, ha, ha! - zaśmiała się Ola - zdrobnia pan przysłowia, stosownie do okoliczności, ale bogi odmówiły panu talentu rymowania. Ja szczerze zupełnie powiadam, iż nie rozumiałam pana.

- Honny suit, qui mal y pense. Lecz pozwolę; sobie tymczasem nie wierzyć pani...

Rozmowa ta cała prowadzoną była półgłosem, tak, iż siedząca w przeciwnym rogu balkonu marszałkowa nie słyszała jej wcale. Odezwała się więc, przerywając:

- Widzę, że na próżno pan Topolski cię prosi. Zagraj, Oluniu, zagraj, dziecko, w taki cichy wieczór ślicznie się wyda głos fortepianu.

- No, jak cioteczka każe, to i owszem! - rzekła z uśmiechem Ola. - Ale czynię to tylko dla niej; avis au lecteur...

Zwróciła się do Topolskiego, spojrzawszy mu prosto w oczy, poczem przestąpiła próg pokoju. Młody człowiek skłonił się, i powstawszy, podążył do salonu w ślad za nią.

- Któż zbadał rzeczywistą pobudkę czynów kobiety? - szepnęła dyskretnie, pochyliwszy się ku idącej.

- Przepraszam! - zaśmiała się wesoło Ola - proszę wracać na balkon dotrzymać towarzystwa cioci Melanii, a zresztą - tu, siadając do fortepianu, uczyniła ręką ruch w stronę werandy - oto pan Emil...

- A... więc pani jednak gra... dla niego - rzekł z wolna Topolski i posłuszny zawrócił.

Ola nie odpowiedziała... Gamma tonów z pod jej palców zabrzmiała donośnie... Fantastyczna pieśń norweska odbiła się o echa parku i głębie śniące do stawu - namiętna, burzliwa, popłynęła w dal cichą pół i stepu...

- Że też pani Ola nie ma litości nad ptaszkami, co śpią sobie w parku tak cicho. Gdy usłyszą bowiem parę podobnych fortepianowych trelików, ogłuchną do rana zupełnie. - odezwał się w tejże chwili ironiczny głos Ładyżyńskiego.

- Cóż to pan, jak widzę, prócz ptaków tylko o sobie nie zapomina, a nas z panią marszałkową z żyjących wykreśla! - półżartem, półserjo odciął panu Emilowi Topolski.

Ładyżyński nie odpowiedział; wszedłszy do nieoświetlonego salonu, gdzie grała Ola, odezwał się w ukłonie:

- Wszak pani pozwoli, nieprawdaż?... Bym zagrał sobie prozaicznie, terre à terre, w karambole sam ze sobą... Czy zgrzeszę bardzo?

- Mais pas du tout, owszem... Staraj się pan karambolować w takt gry mojej; może tą drogą wreszcie nauczysz się pan kiedyś odczuwać muzykę...

- O, dzięki ci, pani! - trzymając się za serce, skłonił się pan Emil i zadzwoniwszy na lokaja, kazał zapalić światła w bilardowej salce, a po chwili, cały zatopiony w grze, z pietyzmem wykonywać zaczął karambole.

Pieśnią Schumana rzewną skarżył się cicho teraz fortepian, płakał, smucił się żałośnie... Ola grała pięknie, z techniką i uczuciem. Siedzący na balkonie Topolski łowił tony z lubością, przez grzeczność tylko prowadząc rozmowę z marszałkową i klnąc zarazem w duszy jej obecność, przeszkadzającą mu we flirtcie z Olą.

Niebawem wybiła w ciszy domu godzina jedenasta. Staruszka, zmęczona snąc całym dniem, powstała ciężko i rzekła:

- No, słuchajcie tu sobie muzyki, moi panowie, ja zaś idę spać... A pan Emil gdzie - nie widzę go? - zapytała naraz.

Topolski zauważył dawno, że Ładyżyński postukuje na bilardzie; nie chcąc jednak informować o tem marszałkowej, odparł szybko:

- Och, nie, wiem. Wyszedł przed chwilą, wróci zapewne niebawem! - i na dobranoc - pocałował, z uszanowaniem, rękę staruszki.

Marszałkowa, nic nie mówiąc, weszła do salonu i zbliżyła się ku fortepianowi.

- Bonsoir, chérie! - rzekła, całując Olę w głowę.

- Dobranoc, cioteczko! - zerwawszy się z krzesła uściskała marszałkową Dzierżymirską; poczem pani Melania skierowała się wolno do swych pokojów.

Znikła... Fortepianem wstrząsnęło gwałtowne intermezzo; do pokoju, tonącego w cieniach, cicho, jak kot, wsunął się

Topolski.

Usiadł na niskim foteliku obok Oli: -Nareszcie!.. - szepnął.

- Nareszcie... Co? - ze spojrzeniem zalotnem, zapytała, nie odrywając paluszków od klawiszy.

- Jesteśmy z panią sami...- dokończył Topolski zdanie. - I ten satyr, któremu tu tak wszystko wolno i uchodzi...

Topolski urwał, a widząc, że Ola już otwiera usta by coś powiedzieć, wyrzucił z siebie szybko, czyniąc nieznaczny ruch ręką:

- Och, wiem już z góry, co pani mi powie... Pan Emil - przyjaciel nieboszczyka ojca pani, druh marszałkowej, wreszcie zna panią od dzieciństwa. - Wszak to wszystko wiadomem mi jest doskonale... Co nie przeszkadza - ciągnął - iż denerwuje mnie ten pan do niemożliwości... Bo, np. dzisiaj: od rana nie pozwolił nam być chwili nawet sam na sam...

- Ho, ho, cóż to za gorycz i niezadowolenie! - zdziwiła się niby Ola, a usiłując nadać głosowi brzmienie twardsze, dodała: - Nie pojmuję zresztą, skąd te żądania uporczywe sam na sam i urojone jakby jakieś prawa...

Nie dokończyła... Trel gwałtowny przebiegł, jak dreszcz, po klawiszach, spojrzenie zaś młodej kobiety, które dojrzał Topolski w półcieniu i blask jego, co, jak pieszczota, przesunął mu się po twarzy, zadały kłam wyraźny wymówionym przez Olę słowom. Topolski zapomniał o nich. Zapamiętał wzrok tylko i pokorny na pozór pochylił się ku rączce Oli.

- Przepraszam stokrotnie!.. przepraszam!.. - i pocałował biegnącą po fortepianie białą rączkę, wychylając się z fałdzistego rękawa - wyżej łokcia. - Przeprasza się niżej! - rzuciła żartobliwie Ola.

- Ciemność winna temu... -- rzucił lekko Topolski.

Milczenie parku i domu przerywały teraz tylko tony fortepianu, coraz namiętniejsze jakby, gwałtowne, burzą ognistego zapału i pragnień wstrząsające spokojną ciszą, oraz nerwami dwojga ludzi, słuchających tej orgii dźwięków rozpasanych, zamkniętych w złożone ramy artyzmu i techniki.

Głos Topolskiego wkrótce przeszedł w szept przyciszony, pieszczotliwy, miękki. Z dala odzywało się jednostajnie, co sekund kilka, uderzenie kul na bilardzie zajętego wciąż karambolami pana Emila... I Topolski, flirtując tak dyskretnie z Olą, podsycającą półsłówkami słów jego igraszkę, od czasu do czasu wysyłał spojrzenie przelotne na wywiady, czy pan Emil przypadkiem nie wraca; lecz ten nie myślał o tem wcale.

Widząc to, Topolski przysunął się bliżej do młodej kobiety. Ruch ten jednak zauważyła Ola i widać chęć przekorna sprzeciwienia się mężczyźnie przebiegła jej nagle przez główkę, bo odezwała się w tej chwili:

- Chciałam właśnie, oto zagrać panu coś przepięknego, i zapomniałam... Masz tobie! - zatrzymała się. - Trzeba zapalić świecę! - dokończyła, z filuternym uśmiechem.

- Ale, cóż znowu? - podchwycił Topolski. - Po raz pierwszy dostrzegam u pani - ciągnął niezadowolony widocznie - brak odczucia nastroju chwili danej... Tak mi miło było słuchać gry pani w tym właśnie półcieniu, tak znakomicie godzącym się z muzyką i ciszą wieczorną.

Śmiech szczery Oli rozległ się w tej chwili. Zapaliła świece i rzekła swobodnie:

- Cóż robić! widzi pan teraz, że wcale nie jestem doskonałością.. Nareszcie pan sam empirycznie przekonał się o tem. A mówiłam tyle razy...

Urwała, i otworzywszy nuty, dotknęła się ręką klawiatury.

- Niedobra pani... - nadając głosowi brzmienie pociągające, łagodne, przemówił Topolski. - Niedobra! - powtórzył ciszej, i podniósł do ust, jej dłoń.

- Z okazji czego - zaśmiała się Ola.

Topolski na pytanie wprost nie odpowiedział, lecz mówił dalej:

- Rozwiała mi pani złudzenie! - umilkł na chwilę.

Pytając spojrzła nań Ola.

- Tak jest - powtórzył mężczyzna - bo uwierzy pani, jak dziwnego doznałem wrażenia, gdy oto tak przed chwilą siedzieliśmy w zapomnieniu, ciszy, przy fortepianie dźwiękach - zupełnie sami...

- No, ciekawam? Cóż panu się zdawało? - ironicznie nieco rzuciła Ola, a oderwawszy zarazem ręce od klawiatury na chwilę, słuchała, patrząc mu w oczy przeciągle:

- Po prostu zdało mi się, iż jesteśmy mężem i żoną...

- Tylko tyle? - zaśmiała się Ola złośliwie. - No, po prologu spodziewałam się czegoś nadzwyczajniejszego przyznaję! - dorzuciła lekko, a odwróciwszy spojrzenie, ułożyła zeszyt nut na stalugach fortepianu, i znów grać poczęła, tym razem coś smętnego, kojącego jakby - pełnego cichej tęsknoty...

- Co to jest? - zżymnął się w duchu Topolski, rozgniewany: - Że też ta kobieta zawsze zbije mnie z pantafelku! - Nie wiedział po prostu, co mówić dalej muzyka zaś jednocześnie łagodna, płynąca

miętko z pod palców kobiety, nerwową, drażliwą naturę jego nastrajała dziwnie na nutę, wręcz przeciwną słowom, jakie same cisnęły mu się do ust przed chwilą...

- Jednak, jak ona, niecnota, zna mnie, dobrze! - zauważył jeszcze w myśli, spojrzawszy z pod oka na Olę, która, z błakającym się w kącikach ustek uśmiechem, grała właśnie, z uczuciem, coraz, subtelniejszym, miękkszym, aż fortepian martwy skarżył i płakać się zdawał.

Po chwili, Topolski przemówił znowu, głosem jednak już całkiem innym, niż poprzednio:

- Pani się śmieje, tymczasem to, co mówię, wszak takie naturalne...

- Na - tu - ral- ne! - przedrzeźniła lekko Ola. - Ha - ha - ha! - zaśmiała się - vous êtes incomparable!..

- Permettez! - przerwał porywczo nieco mężczyzna - niech skończę...

- Ależ słucham, słucham od kwadransa, et vous n'en finissez pas. Więc, jakież ultimatum?

- Bardzo proste. Odczuwamy się z panią wzajemnie, rozumiemy, jak rzadko kto może... Dusze nasze - to jakby niewidzialny kamerton, który, za uderzeniem myśli, uczuć nam wspólnych, brzmi zawsze jednakowo... A mąż i żona przecież, poza...

- Ha, ha, ha.. - urwała przezornie Ola. - Otóż mylisz się pan zupełnie, bo ja, na przykład teraz, nic, ale to nic pana nie rozumiem...

A zresztą - kończyła, powstawszy szybko od fortepianu - en voilà ascez... - zamknęła fortepian. - Żal mi pana Emila, który pewnie już darować mi nie może, że gram tak długo, bo oto właśnie nadchodzi..

- A bodajżeś! - zgrzytnął szeptem Topolski i zerwał się śpiesznie, począwszy odruchowo układać niby porządnie nuty na etażerce.

- Silence r mon approche - quelle galanterie, madame, de votre part!.. Podziwiam, zaiste! - odezwał się na progu pan Emil, w ukłonie, a zwracając się ku zmieszanemu pomimowolnie Topolskiemu, rzucił, z ukrytym sarkazmem:

- Czy to... może panu zawdzięczam?..

I podtrzymywana przez Ładyżyńskiego głównie, popłynęła przez czas krótki jeszcze rozmowa ogólna, poczem panowie powiedzieli Oli dobranoc i rozeszli się, pozostawiając ją samą. Zapalone przy fortepianie świece rzucały teraz na salon migocące światło, lekki zefirek kołysał ich płomień z lekka, poruszał firanki i portyery... Ola skierowali się ku werandzie, i oparli się o balustradę, zadumała się głęboko.

- Co to jest, co się z nią dzieje? - myślała. Od wyjścia za mąż, od lat sześciu kochała dotąd niezmiennie Romana tylko, choć bezustannie ocierała się o dziesiątki nadskakujących jej mężczyzn, na żadnego jednak uwagi nie zwracała nawet. I dopiero teraz, teraz!..

Ujęła głowę w rozpalone dłonie i ścisnęła niemi skronie...

Ten Topolski działa na nią w sposób iście niezwykły. Tak ją odczuwa, tak dobrze rozumie, tak rozzmyśla po prostu umiejętnie prowadzoną grą intrygi, flirtu - tak pociąga ku sobie nieprzeparcie!... Ten jego ujmujący, niezwykły jakiś i zwodniczy wdzięk osobisty, którym tchnąć się zdaje postać jego cała, zwycięża ją coraz natarczywiej, uparciej... Broni się przed nim, w żart jego słowa obraca, a jednak ona, Ola, czuje, że jeśli tak samo potrwa jeszcze dłużej, kto wie, czy zdoła oprzeć mu się?..

Och, gdybyż przynajmniej Roman przybył już prędzej, gdyby! A tu sama walczyć musi!.. Jeden Ładyżyński tylko po swojemu bronii ją przed "nim" i przed nią samą...

I Ola przy ostatniej powyższej myśli podnosi zwolnią głowę, a pociągnięta kojącą ciszą parku i światłem drżących promieni księżycy, schodzi z balkonu i zapuszcza się samotna w cienistą ogrodową aleję.

Na piasku cień jej rysuje się mały i kroki rozlegają się donośnie; przez liście niebieskawo-srebrne plamy światła ścielą się u jej stóp dyskretnie, ukazują się, to znów nikną...

- Kocham go, kocham,.. i pragnę! - szepce Ola. - A on?

- Czyż można nawet wątpić o tem? - odpowiada samej sobie. - Przyleci na jej pierwsze skinienie, gdyby tylko... zechciała...

Zechciała? - Ola przeciera czoło dłonią i czuje, jak krew młoda igra jej w żyłach nieposłuszna, jak pragnienie poziome, zmysłowego użycia, rozkoszy - nieprzeparcie, silne ją samą ogarnia wszechpotężnie.

Idzie coraz wolniej, coraz bardziej pogrążona cała w myślach i wewnętrznej walce.

Doszedłszy do końca alei, Ola zawraca machinalnie, kierując się ku domowi.

- Romanie!.. Romciu... wybac mi! - szepce, kładąc załamane rączki na rozpalone czoło. - Przyjeżdżaj i obroń mnie!.. Obroń! - woła rozpaczliwie, czując burzę w piersi, rozsadzanej uczuciem, pragnieniem i rozterką!

Broniła się dotąd, ale teraz czuje, iż siły jej zbraknie na pewno... Ileż godzin w dniu samotnych, ile nocy bezsennych, przemyślała, przecierpiała w walce z pokus drażniącą, z sercem, wyobraźnią, duszą całą, - rwącemi się do ukochanego mężczyzny - w jego ramiona, które czekały tylko jej skinienia, by ją opleść pieśczętą - unieść w krainę miłości i roz-

koszy!..

- Marzenia! Ona nie ulegnie!..

- Nigdy, przenigdy! - szeptem Ola, spowiada się przed zasłuchanymi, cichymi drzewami parku. - Tylko ty, Romanie, ty, co po raz pierwszy w życiu otworzyłeś mi ułudę miłości, szczęścia, ty, którego dotąd ponad życie kochałam - przyjedź, ratuj mnie, swą obecnością wesprzyj!!!

Ola już jest w pobliżu pałacu.

- Nigdy cię nie zdradzę!.. nie zapomnę obowiązku... nigdy! - szeptem po raz wtóry jeszcze i z żywo bijącą w arteriach krwią - wzburzona cała, z ostatnim wyrazem "nigdy" na ustach, wstępuje po schodkach pałacowego skrzydła. Daleka myśli od szczegółów drobiazgowego życia - zapomina o pozostawionych w salonie światłach - o wszystkim i skrzyknawszy drzwiami, znika za niemi.

W ciszy uśpionego już domu, gdzieś, w dali, wydzwania tymczasem po chwili godzina dwunasta.. Kwadrans mijają stopniowo, a noc letnia, w milczeniu przyrody całej, woniami swymi miarowo oddychać poczyna...

W salonie pałacowym dopalają się powoli świece u fortepianu, płomień ich drżą bezustannie od nocnych powiewów, oświetlając fantastycznie pokój cały; czasem wpadnie tu zniecała księżycowy promień - i złagodzi swym blaskiem żółte świec płomyki...

I trwa to tak dość długo jeszcze...

Nagle jednak drzewa parku szumieć poczynają wraz głośniejsz, księżyc gdzieś ginie, przepada, chmurki zaś drobne pokrywać zaczynają coraz gęściej niebo dotąd pogodne... I zefirek leciutki, wpadłszy do salonu przez balkonowe drzwi, hulać po nim zaczyna...

Jeden płomyczek u świec gaśnie, drugi w pobliżu okna pali się wciąż, dygocąc...

Swobodny wietrzyk tymczasem wzdyma teraz firanki, a podrzuciwszy jedną z nich, nakrywa ją płomień świecy przy stojącym obok okna fortepianie i jakby pragnąc przypatrzeć się swej psocie, nagle przestaje powiewem poruszać wszystko dokoła!..

Stopniowo firanka zapala się z wolna; płomień obejmuje ją pieczołowicie w swój uścisk gorący...

Wpada znów podmuch zefiru. I płomień idzie w górę zwycięski, zapala lambrekin. Minut kilka... Okienne ramy już płoną złocistym ogniem, z trzaskiem przełamują się po chwili, szyby pękają zniecała, i wszystko to razem upada na ziemię. Dywan puszysty kopcić poczynają... Od firanki zajęły się rozrzucone na pianinie nuty, drobiazgi...

Wietrzyk, jak szatan złośliwy, dodaje tymczasem animuszu płomieniom, przyspiesza pochód ich po salonie...

Ogniste węże obejmują już niebawem w śmiertelny uścisk fortepian, skarży się on żałośnie... Meble pękają od gorąca - dym, żar, napełniają pokój cały, kobierzec już płonie - posadzka pod nim trzeszczeć zaczyna!..

Wiatr ustaje tymczasem, chmurki stopniowo rozchodzą się jak przyszyły, rozpraszają... Sierp księżycy ukazuje się znowu, i zagląda ciekawie do wnętrza pałacu...

Wśród ciszy śpiącego domu pali się już teraz cała prawa strona salonu; drzwi przymknięte od sąsiedniej jadalnej sali, pod naporem ognia, walą się, z trzaskiem - w tejże chwili hufiec płomieni wsuwa się podstępnie do innych, przyległych komnat...

Nikt nie spostrzegł jeszcze w pałacu ognia. Cicho.

W pokoju, na pierwszym piętrze, śpi smacznie Topolski, a uśmiechnięty, rozmarzony, śni zapewne o Oli.

Mija jeszcze z kwadrans. W komnacie rozlega się nagle trzask silny, w ślad za tem podłoga wstrząsa się...

Topolski budzi się, a ledwo otworzywszy oczy, kaszleć zaczyna: coś dusi go, w oczy się wżera...

Zrywa się wystraszony i przytomnie natychmiast. Instynktownie otwiera okno...

- Co to, na Boga, co to? - przenika mu jednocześnie mózg pytanie. Patrzy w dół przez okno - księżyc świeci, śpi wszystko!.. Słucha... Włosy jeżą mu się na głowie, zapala świece, i widzi siebie w obłokach dymu.

- Pożar!.. - świta mu w głowie. Niepewny jeszcze, ubiera się pośpiesznie, parę chwil zaś później jest już na korytarzu - za drzwiami...

Dymu wszędzie pełno. Echo łoskotu płomieni na dole dochodzi tu wyraźnie... Poza tem wszędzie panuje milczenie zupełne...

- Na Boga, czy Ola śpi? - nikt snuć o ogniu nic jeszcze nie wie! - przemyka przez umysł młodzieńca. Chce krzyknąć: - Ogień, gore! - waha się...

Staje strwożony... Może jemu tak tylko się zdaje?.. Po sekundzie namysłu, rzuca się jednak na lewo, ku schodom, i biedz na dół zaczyna...

- Ola... Ola!.. - szeptem półgłosem, pomny i tylko najdroższej sercu istoty, i znalazłszy się na dole, skręca gwałtownie w prawo, ku pokojom pani domu...

Po omacku, przewracając meble, biegnie Topolski przed siebie, jak nieprzytomny...

We względnej ciszy, towarzyszy mu tylko coraz wyraźniejszy odgłos palącego się pałacu...

Nagle rozjaśnia się przed nim krwawo-złotą plamą przestrzeń ciemna pokoi, głuchy zaś łoskot, połączony z sykiem i świstem, odbija się donośnie..

To płomienie wdarły się już do sąsiadującego z sypialnią Oli buduaru... Odblask ich oświeca jaskrawo białe drzwi, prowadzące doń... Topolski na ten widok, korzystając z wolnego jeszcze od ognia, miejsca, rzuca się gwałtownie ku nim. Słucha...

Do uszu jego dolatują jakieś wołania, krzyki:

"Gore, gore! pali się... Ratunku! ratować!.. Bywaj!" - krzyczą teraz zewsząd zapamiętałe, rozpaczliwie jakieś głosy, a pod samym domem rozlega się równocześnie przyspieszona bieganina, tupot licznych kroków ludzkich...

- Już alarm dany - to dobrze! - czyni sobie w duchu Topolski uwagę i odruchowo wchodzi do sypialni Oli, zamknąwszy drzwi za sobą.

Tu jeszcze cicho... Nocna lampka mdłym tylko światłem oświeca komnatę; księżycowy promień drżący ściele się po ścianie i łożu, na którym leży Ola, pogrążona we śnie spokojnym.

Z pod kapy lekko narzuconej, unosi się jednostajnie pierś młodej kobiety i rysują wdzięcznie kształty ciała...

Pomimo grozy położenia, Topolski zachwyty powstrzymać nie może. Chwilę stoi nieruchomy...

Huk tymczasem jakiegoś mebla, pękającego, pod naporem ognia, odgłosem swym budzi Olę... Strwożona, zrywa się, zrzuca kapę, i w białiznie nóżkami bosymi, dotyka ziemi...

Jednocześnie dym napełniać sypialnię poczyna, a przez dolną szparę u drzwi wciska się przemocą, niby wąż jadowity, krwawe pasemko ognia... Ola rzuca okrzyk strasznej trwogi, i wcale nie widząc jeszcze Topolskiego, porywa stojący na małym stoliczka dzwonek i rozpaczliwie dzwonić poczyna...

Topolski, widząc i słysząc to wszystko, szybko otwiera na ścieżaj okno i rzuca się ku Oli... Ona spostrzegła go właśnie...

- Co to?.. Pan tu?.. O, jakżeż można!.. i Ola zarumieniona milknie, a wstyd zarazem staje się silniejszym od trwogi, bo ruchem nagłym obwija się fałdami porzuconego obok na krzesło szlafrocza...

Huk ponowny tymczasem wstrząsa murami pokoju. Ogień zwycięzca wkracza jednocześnie w komnaty, drzwi pękają i płoną! Topolski porywa drżącą ze strachu i wstydu młodą kobietę w swe silne ramiona.

- Co... to?.. Co... to?.. - szepcze Ola jeszcze, z lękiem... Mężczyzna pragnie coś odpowiedzieć, lecz w tejże chwili, z łoskotem i chrzęstem, wpadają do sypialni drzwi roztrzaskane, a ziejąca paszcza płonących komnat pałacu ukazuje się, jak na dłoni, w całej swej grozie i majestacie...

Jednocześnie rozlega się przeraźliwy krzyk kobiecy!..

To zbudzona dzwonieniem swej pani, śpiąca w sąsiednim pokoju służąca, wołaniem, błaga o pomoc!

W sypialni zaś już nie ma nikogo. Wskoczywszy zręcznie oknem, Topolski stoi teraz w parku i obrzuca spojrzeniem płonący pałac. Widzi w oddali ludzi kilkanaście, ekonoma, parobków i służbę dworską, a w dali zapomnianą przezeń całkiem sylwetkę marszałkowej...

W śród gwaru słyszy zarazem donośny głos pana Emila: "Hej! hej! ludzie, tu! do mnie!! - woła energicznie. - Ratować młodą panią!!.. W rogu dworu!! prędeży!!!"

Słuchając tego rozkazu, kilku ludzi natychmiast odrywa się do ogólnej gromadki sług i lecieć poczyna ku pokojom młodej dziedziczki - ku niemu!..

Wystraszona płomieniem i krzykiem Ola zarzuca równocześnie Topolskiemu na szyję swe nagie ramiona! On, wstrząsnąwszy się pod tem dotknięciem, porywa się nagle z miejsca, jak szalony, i mknie chyżo w ogród... Krew gorąca, młoda, grać w nim poczyna... Zapomina o wszystkim, prócz tulącej się do jego piersi kobiety i ucieka dalej i dalej...

Do uszu jego dolatują wołania coraz cichsze, okrzyki!.. Topolski biedz nie przestaje ku znanej sobie altanie, położonej na końcu ogrodu.

Prowadząca do niej aleja parku rozbrzmiewa echem gwałtownego jego biegu, szeleści mu nad głową liści pogwarem.

Z zarzuconemi na szyję mężczyzny ramionami, tuli się wciąż ku niemu, jak powój wiotkie ciało Oli... Topolski, dotąd zapatrzony wciąż w przestrzeń, opuszcza naraz głowę i wzrokiem pieści chwilę utrzymaną w uścisku kobietę...

Oczy jej przymknięte - zemdlą!..

Topolski zatrzymuje się. Z miłością bezbrzeżną, pragnieniem, spogląda ciągle na Olę... Krew uderza mu nagle do głowy!..

- Mój ty skarbie najdroższy!.. moje ty wszystko!.. - szepce drżącymi usty, i jak szalony, całować, pieścić poczyna jej wargi, oczy i ciało!..

W kilka minut później, dopada cienie altany i niknie, ginie w jej głębiach... Niedyskretny, ciekawy wsuwa się za nim księżyc bladej, a kopuła altany, mieniając się od jego promieni, drży leciutko - tajemnicza...

W dalekim zakątku parku znów cicho...

.....

Koło płonącego pałacu natomiast ruch panuje nie do opisania.

Co chwila od pobliskiego stawu i z powrotem pędzą galopem konie, wiozące beczki z wodą; wszystkie miejscowe sikawki są w ruchu, dyrygujący zaś parobkami i służbą ekonom Gowartowa kręci się, jak mucha w ukropie, krzyczy, gniewa się, rozkazuje...

Mężczyźni zalewają wodą dach, płonące belki, wdrapują się na piętra, wyrzucają oknami nietknięte jeszcze przez ogień pałacowe meble. Zbudzone wiejskie kobiety, w ponarzucanych płachtach i koszulach, przypatrują się bezmyślnie pożarowi, gwarząc z cicha pomiędzy sobą, lamentując, złorzecząc...

Grupa ich wystraszona rzuca się nagle w bok, z okrzykiem...

To przełęczony hałasem i płomienistą łuną, pędzi wprost na nie kary, półkrwi arabskiej, ogier, wyrwawszy się z pozostawionej bez opieki stajni.

Ucieka strwożony, błędny... Wyminawszy zaś rozpięchłą gromadkę, umyka przed ogniem i ludźmi do parku, budząc jego drzemiące cisze przerażeniem rżeniem.

Jednocześnie na czele kilkunastu tomaszowieckich fernali, wpada przez bramę, z impetem, Krasnostawski, a z przybyciem jego wszystko wre dokoła, ze zdwojoną energią.

I oto niebawem krwawa ściana ognia, wzbijająca się ku niebu, miejscami złocista, tam znów, niby krepą, przesłonięta czarnym gryzącym dymem, zaczyna zniżać się, zmniejszać powoli... Już obecnie huk pożaru coraz częściej przerywają syki gasnących płomieni - opanowany nieco żywioł mniej groźnym się staje, pokornieje, cichnie...

Lewe podłużne i największe pałacowe skrzydło pali się jeszcze, płomień nadal zwycięsko sięje tam zniszczenie, prawą stronę jednak domu ugaszono już zupełnie. Z płaszcącego się tu dymu wyłaniają się teraz białawe, osmalone mury; wśród zgliszcz, już zwęglonych, pełzają jeszcze tam i ówdzie ogniste węże, całując lubieżnie, liżąc ścian poczerniałych podnóże.

I w porównaniu gwaru, zgiełku, które panują u płonącego w dali pałacowego skrzydła - cisza króluje tu względna...

Tam ruch, krzyki, krzyżujące się rozkazy, łuna ognia, huk jego, syk, oraz zupełne oddanie się wszystkich całkowicie dławieniu i walce z żywiołem...

Tu - srebrzące się, czyste promienie jaśniejącego wysoko na niebie niepokalanie miesiąca, co błyszczą na okopconych ścianach, stanowiąc dziwny w sobie, a pełen spokoju, kontrast, z wrzawą i krwawo-złocistą pożogą...

Szelest kroków tymczasem przerywa nagle milczenie. Za węglem sterczącego samotnie odłamu murów pogorzeliśka, pojawia się Krasnostawski, i stanąwszy w zamyśleniu, śle wzrok badawczy w stronę parku.

- Tam puściłem już w ruch wszystko!.. - mówi głośno do siebie. - Dokończą gasić i dadzą sobie radę beze mnie... - mruczy dalej. - Ja zaś ich muszę znaleźć - muszę!..

Krasnostawski milknie, i rozglądając się bacznie dokoła, kieruje się w głąb parku, idzie z wolna zamyślony, a trzymaną w ręku długą nahajką co chwila uderza się machinalnie po wysokich, okopconych butach...

Od czasu, jak tu przybył na ratunek i piąte przez dziesiąte zdołał rozpytać się o początek i przebieg pożaru, myśl jedna i ta sama dręczyła go bezustannie: gdzie są Topolski i Ola?.. Że nic złego im się nie stało - wiedział... Co robią zatem sami tak długo?..

Kochając Olę i odczuwając przez to podwójnie zacieśniający się stosunek jej z Topolskim, młody człowiek przeczuwał więcej od marszałkowej i Ładyżyńskiego... Oni, pochłonięci pożarem, jak wszyscy zresztą, potracili głowy!.. A on?..

Myśleć o Topolskim i Oli nie przestawał, jak szalony przy tem siły odpędzał od siebie myśli niektóre.

Obecnie, tknięty przecuciem jakby, szedł właśnie aleją, prowadzącą do ustronnej altany...

Duszą Krasnostawskiego miotał niepokój. Zazdrość szarpała nim bez miłosierdzia, sączyła swój jad zatruty, niepewność męczyła - obawa, że sprawdzą się skryte jego podejrzenia, tamowała mu oddech w gardle i zniewalała w bezsilnej wściekłości zaciskać dłonie.

Poza dziedziną przecuć bowiem, ów niepokój Krasnostawskiego miał również źródło i w następującym, konkretnym fakcie.

Komenderując i uwijając się przy pożarze, spotkał Krasnostawski pomagającą również innym, znoszącą wodę, dziewczynę służebną, ulubienicę Oli...

Ta zaś, gdy ją zapytał o panią, opowiedziała mu bezładnie: - Powiadam paniczowi... Boże, Boże, jakie to było straszne! Jaśnie młodszą pani dzwoni, i się budzę, ubieram prędziutko, słyszę jakiś szum... Otwieram drzwi, a tu - ogień, ogień jak daleko spojrzeć na pańskie pokoje... Tylko pościel młodej pani pusta i okno otwarte!..

Ktoś rozdzielił ich i dalszą indagację przerwał Krasnostawskiemu szerzący się pożar, zamęt i wrzask. Poprzestać musiał tylko na tem.

Teraz szedł coraz prędzej. Nagle zatrzymał się, jak wryty.

Już od minut paru zauważył na wilgotnym piasku alei ślad kroków męskich, obutych w zgrabny trzewik, teraz zaś leżała przed nim dobrze mu znana papierośnica Topolskiego, a opodał widziany często we włosach Oli grzebień, z szyldkretu.

Wątpliwości już być nie mogło... Krasnostawski pochwyił machinalnie oba leżące przedmioty i biedz począł...

Szalała w nim burza.. Nienawiść mężczyzny, pogardzonego przez ubóstwianą kobietę na korzyść rywala rozpałała mu krew, napełniła jakąś niepohamowaną żądzą pastwienia się i zemsty!..

Spocony, blady, stanął wkrótce u wejścia do altany, i począł nadśluchiwać, z zapartym oddechem. Pot kroplisty wystąpił mu na czoło, usta zacisnęły się boleśnie, oczy zamigotały dzikim ogniem.

Z cichej, senniej altany dochodziły wyraźnie dwa głosy - dwa szepty...

Krasnostawski rozchylił gałęzie... Na szelest ten w ciemnościach zerwał się ktoś śpiesznie i u progu stanął Topolski. W półmroku nocy zamajaczyła jego twarz biała, rasowa, i dwaj mężczyźni spojrzeli sobie, milcząc, prosto w oczy.

Trwało to sekundę, lecz wystarczyło Krasnostawskiemu, bo to, co wyczytał na wzburzonym obliczu Topolskiego, aż nadto uzasadniło jego obawy.

Wysiłkiem woli, ochłonawszy z wrażenia, przemówił pierwszy Topolski, wskazując swobodnie na pozór ruchem ręki widnokrąg, gdzie dogorywała już luna ognia:

- A zatem, chwała Bogu, już po pożarze!.. My właśnie...

- Nikczemny! - zabrzmiało w ciszy słowo jedno.

Wymówił je głosem drżącym Krasnostawski, i niepomny niczego, rozszalały, schwyciwszy Topolskiego za gardło, drugą ręką przerzucił go poprzez siebie i z pasją okładać począł trzymaną w ręku nahajką...

W milczeniu zakątka rozległ się krzyk bitego i w ślad za tem okrzyk inny - kobiety!..

Ku dwom mężczyznom wypadła Ola... Jak lwica, rzuciła się natychmiast pomiędzy nich, a obroniwszy Topolskiego, gwałtownie, szybko, wymierzyła Krasnostawskiemu dwukrotny policzek...

Jak rażony obuchem, zachwiał się pod tem uderzeniem mężczyzna, cofnął się wstecz, blady, jak ściana, oszalały, straszny.

Zaległa chwila milczenia...

Oswobodzony Topolski znikł we wnętrzu altany, a z ust stojącej na wprost Krasnostawskiego kobiety wybiegło drżącym, urywanym szeptem, pełnym oburzenia i zimnej - gorszej od policzka, pogardy:

- Podły... sługo!.. Jak śmiałeś? - Precz!..

Ze wzruszenia umilkła Ola, po chwili dopiero i powtórzyła raz jeszcze, przejmująco - ciszej:

- Precz!..

Tego nadto już było dla rozbolałego zazdrością i bólem męskiego serca! Nie czynnie, lecz moralnie spoliczkowany po raz drugi, Krasnostawski zachwiał się powtórnie, jak nieprzytomny, w oczach pociemniało mu - zawirowały altana i drzewa parku...

- Kocham cię! - szepnęły w oddechu cichutko, jak skarga, usta jego i omdlały runął u stóp kobiety, zdeptany jej postępkami...

.....

Świt zorzy wyrzwał nieśmiało spoza stepu, pół szerokich, orzeźwił się w toni sennego jeszcze stawu i wśliznął do altany ciekawym...

Nie było w niej już jednak nikogo, zarówno jak i nigdzie, w pobliżu:

Niebo różowało się stopniowo, początkowo ledwo dostrzegalnie, bojaźliwie, później zaś coraz silniej i śmieiej.

Przeciągając się lubieżnie, wstawiała jutrzienka z obłoków puszystych pościeli.

Na powitanie jej tryumfalną fanfarą rozbrzmiał park cały świergotem ptasząt; zbudzone, zrywały się one do lotu, otrzępywały zamasyście skrzydełka z porannej rosy, rozlatywały się na wsze strony, siadały na zczerniałych ruinach spalonego pałacu. Dym jeszcze ścielił się tu gdzieniegdzie... Na pogorzeliu, jak karbunkuły, błyszcząły tam i ówdzie, dopalając się, belki i inne szczątki pałacu, tliły się w zgliszcach - tuliły do okopconych zwalisk...

A wokoło drzemało, spało wszystko!..

Ze spuszczonei żaluzjami, spoczywały zatem pałacowa oficyna, stajnie i gumna, śniły także liczne, rozsiane za pałacową bramą, białe wieśniacze chatki...

Potęźny, wspaniały zabłysł pierwszy promień słońca i obojętny zajaśniał nad wszystkim dokoła...

Nie zbudził jednak nikogo... Na gazonie tylko, pod górą wyrzuconych z pałacu, leżących na kupie mebli, duży pies podwórzowy otworzył oczy, mlasnął językiem, przeciągnął się i zasnął...

Zadumanej ciszy nie przerywało nadal nic zgoła.

-----

Pomimo, iż przez szpary okiennic Tomaszowieckiego dworku wślizgiwało się już słońce, w tak zwanym kancelaryjnym pokoju paliła się jeszcze duża lampa, oświetlając biurko, przy którym Krasnostawski pisał coś szybko i zamasyście. Obok niego stała szklanka z herbatą i leżały porzucone na ziemi, niedopałki od papierosów... Nagle młody człowiek porzucił pióro, z hałasem odsunął krzesło od biurka i zamknąwszy księgę, powstał.

- Nareszcie! - westchnął głośno z ulgą i zbliżywszy się do okna, odemknął je, odczepiwszy zarazem wewnętrzne haczyki okiennic.

Fala słonecznego światła, wraz z powietrzem letniego poranka, wpłynęła do pokoju. Krasnostawski zgasił lampę i spojrzął przed siebie...

Od pożaru minęła doba tylko, patrząc jednak na młodego plenipotentą, pomyśleć można było, iż od tej chwili oddzielały go lata; nie młodzieniec bowiem obecnie, pełny hartu i życia patrzył przez otwarte okno, ale mężczyzna, na pozór więcej, niż dojrzały, który zapominał już jakby, że młodym był tak niedawno.

Jak burza, przeszła po nim pamiętna noc rozterki, cierpień, upokorzenia i bólu, ślad wiecznotrwały zostawiwszy po sobie...

Twarz Krasnostawskiego bladą była, oczy przymglone i podkrążone, a na skroniach gdzieniegdzie, wśród czarnych pukli włosów, bieląca nitka przedwcześnie siwa.

I kontrast przykry prawdziwie stanowił ten człowiek, stojąc tak w owej chwili w ramie okna... Przed nim, w perspektywie, jak okiem sięgnąć, kraina cała złociła się od zżętych kóp zbożowych, zieleniła od niw i stepów, śpiewała setkami głosów: uśmiechała się rozkosznie!..

- Życia!.. Życia!.. Miłości, szczęścia!.. - wielkim głosem wołało wszystko, a on jedyny tylko, nieczuły na nic zgoła, stał wciąż tak samo nieruchomy, zapatrzony nie w dal jasną, lecz w cienie cierpiącej duszy własnej..

Po nocy pożaru do Tomaszówki uciekł Krasnostawski piechotą, obudziwszy się z omdlenia, sam jeden wśród szumiącego mu łagodnie nad głową parku.

Tu, u siebie, przemęczył się, jak nieprzytomny, w bólu - do rana. W końcu jednak zmęczenie fizyczne zabiło moralną troskę. Snem kamiennym, a zbawczym dlań, przespał Krasnostawski większość dnia, bo aż do godziny szóstej po południu. Zbudził się zaś już nieco innym...

Zebrawszy myśli i wspomnienia, przede wszystkim postanowił uciec co rychlej z tych miejsc, rzucić się w wir pracy w warunkach całkiem odmiennych.. Powietrze dusić go poczęło, ziemia parzyć stopy!.. Chciał już wskoczyć na konia i opuścić wszystko na zawsze.

W porę jednak zastanowienie i zimna logika trzeźwego rozumu powstrzymała go na szczęście od tego kroku...

Wszak, poza dziedziną moralnych jego cierpień, stał przecież jeszcze mur rzeczywistego życia, które chleb mu dotąd dawało - istniał świat obowiązków dotychczasowego jego stanowiska tutaj.

Rzucać tak wszystko byłoby lekkomyślnością iście chłopięcą.

- Nie, ja tego nie uczynię! - zdecydował. - W jak najściślejszym porządku przekażę na odjeźdźnym wszystkie gospodarskie księgi, rachunki, kasę i.t.d.

Po skromnym posiłku, zabrał się Krasnostawski do wyczerpującej pracy, całych nieledwie dziewiętnaście godzin pisał, rachował bezustannie. Wreszcie wyczerpany skończył przed chwilą...

Był wolnym!.. Za godzin parę będzie mógł opuścić te strony - na zawsze...

Zadumany smutnie, stał Krasnostawski wciąż pod oknem; zapatrzony, nie zauważył on wcale zbliżającego się ku niemu wyrostka.

Dźwięk jego głosu zbudził młodego człowieka. Spuścił wzrok i zapytał głośno:

- Ha!.. szczo każesz?..

Wyrostek, był to chłopiec stajenny, wysłany przezeń do Gowartowa, by sprowadzić tamtejszego starego i zaufanego rządcę, któremu chciał Krasnostawski zdać klucze kasy, księgi, i przekazać ostatnie rozporządzenia. Z relacji chłopca okazało się, że rządcą wyjechał do miasteczka.

- A pany? - spytał machinalnie Krasnostawski, używszy utartego pomiędzy ludem miejscowym wyrażenia, oznaczającego w liczbie mnogiej, właściciela danej wioski.

- Nykoho ne baczył! - odrzekł zapytany i dodał zarazem, że Szmul, żyd z karczmy wiejskiej, powiedział mu, że państwo na dobre wyjechali. - Każut, szczo do Szczesnoi, do jasnoho grafa Topolskoho! - poinformował znowu wyrostek.

Na wybladłym licu słuchającego tych nowin młodzieńca zakwitł rumieniec oburzenia.

- Łotr!.. - zgrzytnął cicho, niedosłyszalnie przez zęby. - Snać potrafił każdego z osobna podejść, oszukać! Prawdy nie domyślił się nikt, widocznie...

Więc teraz ugaszczą wszystkich u siebie... Co za ironia prawdziwa! - dokończył w myśli, i wściekłość nagła opanowała go...

- Czego, durniu, stoisz! - huknął w twarz parobczakowi, aż zatrzęsły się szyby dworku.

- Osiodłaj mi zaraz konia! - dokończył spokojniej nieco.

Niebawem złotawy kasztan, z białą gwiazdką na czole, parsknął ochoczo pod Krasnostawskim, jadącym na przełaj przez pola do Gowartowa.

Wokoło niego praca wrzała. Krzątający się lud roboczy: parobcy i gospodarze kłaniali się nisko czapkami panu plenipotentowi; czarnookie, czarno brewne mołodyce i dziewczęta, w jaskrawych spódnicach i chustkach, pozdrawiały, również życzliwie młodzieńca zerkając z uśmiechem i lubością na "harnoho chłopca\*").

[\*) Pięknego chłopca.]

W kwadrans później, Krasnostawski zjeżdżał już stępa na groblę gowartowską...

W głębiach stawu, otoczonego zielenią parku, odbijały się dawniej, jak w lustrze, mleczną białością ściany dworu. Teraz czerniały zarysy pogorzelska, a tam - na górze, zgliszcza, zakopconem pałacowym skrzydłem, królowały smutnie nad leżącym dokoła siołem...

Jeździec odwrócił oczy i wspiął konia. Jak strzała, przeleciał przez groblę i stanął niebawem przed zamkniętą wjazdową bramą pałacu; tu huknąć począł, by mu ją otworzono.

Nadbiegło kilku stajennych; oddawszy im spienionego konia począł Krasnostawski wypytywać się o mieszkańców pałacu. Okazało się, iż dom cały wyjechał nazajutrz po pożarze, rankiem i bawił teraz w gościnie u Topolskiego, w Szczesnojej.

- A to co? - zapytał nagle, furmana zdziwiony Krasnostawski, wskazując spicrutą, na całe stosy czegoś, ponakrywanego płachtami.

- To, paniczu, meble z pałacu; pan ekonom kazał poprzykrywać tymczasem! - odpowiedział zapytany.

Krasnostawskiego zirytowało to niedbalstwo, względem ocalałych, i cennych, a tak dobrze mu znanych, mebli pałacowych. Zdecydował głośno.

- To tak zostać nie może! - i ruszył spieszenie ku środkowi gazonu, gdzie leżały meble. Kazawszy pozdejmować w ślad za tem wszystkie przykrycia i opony, ujrzał, iż mebli uratowanych było sporo.

- Są parobcy na toku? - zapytał.

- Są... są! - poświadczyła krzątająca się wokoło niego służba.

- Siergieju! - rozkazał Krasnostawski po małorusku starszemu furmanowi, - idźcie powiedzieć, niech zaprzęgają do wozów, ile się da i zajeżdżają tutaj, a gumieny, niech da klucze od pustej stodoły!.. Trzeba to wszystko - wskazał ruchem ręki meble - tam zaraz zawieźć tymczasem i zamknąć!..

Plenipotenta dóbr gowartowskich lubiano powszechnie i słuchano chętnie.

Natychmiast zatem furman skierował się do gumien; wyprzedził go chłopiec stajenny, by rozgłosić pierwszej rozkazy "panycza."

Krasnostawski pozostał sam i uważnie zaczął przeglądać nagromadzone meble. Tam i ówdzie rozpoznawał na wpół uszkodzony sprzęt i przypominał sobie miejsce, gdzie on stał dotąd w pałacu...

Spojrzał na pogorzelnisko... Grozą i bolesnym smutkiem wiało od tego zakątka - ruina zwycięsko szczyrzyła trupią paszczękę - śmiała się jakby szyderczo...

Z mimowolnym wstrętem, odwrócił się Krasnostawski i na nowo począł przyglądać się, z uwagą, pałacowym sprzętom. Uśmiechnął się smutnie...

Obok na wpół pękniętego dużego salonowego zwierciadła, złamane tuliło się łożo pozłacane, w stylu "empire," z pokoju Oli Dzierżymirskiej. Tam znów jej szafa odemknięta, z kilkoma pozostawionymi w pośpiechu sukniami - walała się obok szczątków pianina...

Dziwna rzecz jednak - pomyślał w tej chwili - jak sprzęt przypomina człowieka!.. Ola, Ola i jeszcze Ola!.. Widział on ją tu - wszędzie, te odłamy zachowały jakby część jej osoby - dusza ukochanej przezeń kobiety błąkała się w nich, martwych i obojętnych...

Młody człowiek znalazł wiele rzeczy nieuszkodzonych prawie; niektóre z nich sam odsuwał od innych, segregował.

- Ooo!.. - wyrwało mu się nagle z ust, z ubolewaniem.

Przed nim, zdruzgotane, przepalone nielitościwie do połowy, leżało w pyłe piękne, ulubione biurko Romana, antyk pamiątkowy, z mahoniowego drzewa, wykładany bogato srebrem, subtelnie inkrustowany perłową masą. Krasnostawski zaczął macać uważnie dokoła przepalony sprzęt drogocenny. Obejrząwszy go dokładnie, zajrzał do kilku szufladek i skrytek.

Lecz nagle koło pobliskich gumien zatętniało... Wykonywając rozkaz, nadjeżdżały już wozy. Turkot przybliżał się coraz wyraźniejszy, donośniejszy, bliższy. Krasnostawski, zajęty biurem, drgnął, lecz nie na odgłos wozów bynajmniej.

To ruszona w tej chwili bezwiednie dłonią jego zgrzytnęła niebawem jakaś sprężyna i szufladka, dotąd dla oka niewidzialna - roztworzyła się przed nim, a w niej, o, dziwo... leżał oto spokojnie portfel niewielki, z eleganckiej, brunatno - wiśniowej skóry. W rogu pugilaresu połyskiwała granatów korona hrabiowska, - błyszcząc mętno - czerwonym ogniem. Ochłonawszy ze zdziwienia, Krasnostawski rozśmiał się swobodnie i wziął portfel w ręce.

W tejże chwili jednak na dziedzińcu zadudniły drabiniaste wozy, parobcy, zdejmując czapki, witali go wesoło i dziarsko, a zeskoczywszy na ziemię, brać się zaczęli do roboty.

Chcąc nie chcąc, musiał Krasnostawski stłumić na razie ciekawość, i schowawszy tajemniczy pugilares do kieszeni, począł energicznie wydawać rozkazy.

Wozów było kilkanaście. W pół godziny, plac przed zgliszczami pałacu opustoszał; wozy, jeden za drugim, skierowały się powoli ku tokowi.

Do gumien przyjechało niebawem; przed otwartą pustą stodołą zawrzało ruch; wkrótce ułożono porządnie pałacowe meble, przykryto je, drzwi zamknięto szczelnie i Krasnostawski, rad z ostatniego na służbie spełnionego obowiązku - wyjechał z wioski.

Puściwszy konia luzem, zamyślony, znalazł się w kwadrans później w lesie, gdzie, znużony, zsiadł z konia i rozłożył się swobodnie na murawie. Zdjąwszy kapelusz z głowy i wciągnawszy w siebie świeżą, aromatyczną woń boru, sięgnął on do kieszeni po pugilares, roztworzył go i począł szperać ciekawie.

W portfelu leżały ułożone porządnie banknoty, w osobnych przedziałkach rulony złota.

- No, no! - mruknął parokrotnie Krasnostawski i z coraz wzrastającym zdziwieniem, pieniądze zaczął liczyć sumiennie.

Wszystkich razem było dwadzieścia siedm tysięcy kilkaset. Ułożywszy na powrót banknoty i złoto, Krasnostawski portfel zamknął i spojrzawszy raz jeszcze na koronę z granacików, potrzymał go jakiś czas w dłoni, poczem wpuścił do kieszeni. Widoczne zakłopotanie malowało się na jego twarzy. Czuł się zaambarasowanym, co czynić z tym fantem?..

Wypadało go zwrócić niezwłocznie, w zastępstwie prawego właściciela, jego żonie - Oli. Zatem jechać do Szczęsnej osobiście?..

- Nigdy w życiu! - rzekł głośno do siebie młodzieniec. Zasepił się. Nagle myśl jakaś nowa zrodziła mu się widocznie w głowie, bo zerwał się żywo i wskoczywszy na konia, wjechał w las drożyną. Wkrótce w borze rozległy się głośne ujadania psów, i Krasnostawski, opędzając się od natarczywych kundli, wchodził do małej chatki leśniczego...

W chałupie panowała cisza. Rozciągnięty na ławie, spał snem sprawiedliwego mężczyzna, w sile wieku, barczysty, ubrany w kurtę myśliwską; dubeltówka leżała opodal, w kącie drzemał pies legawy.

Krasnostawski potrząsnął energicznie ramieniem śpiącego leśnika. Ten ostatni zerwał się, a ujrząwszy plenipotentę, zawstydzony począł bąkać...

- Słucham panicza, słucham... Padam do nóg... Tak mnie jakoś zmroczyło... Zasnąłem, ale to, jak Boga kocham, nigdy mi się nie zdarza...

- Nic nie szkodzi, mój Rzemieński! - uspokoił go natychmiast Krasnostawski, klepiąc poufale po ramieniu. - Potrzebuję was, i to natychmiast... Pojedźcie z pieniędzmi i z listem do Szczęsnojej, gdzie są teraz państwo... Ja oto teraz sam jadę konno do domu, a wy w ślad za mną idźcie do Tomaszówki piechotą. Tylko idźcie zaraz!

- Duchem, proszę panicza, duchem! - odparł żwawo leśniczy w ślad za odjeżdżającym.

W pół godziny później, młody plenipotent siedział już przy biurku w Tomaszówce i kreślił słów parę do pana Emila.

Jako nic niewiedzącemu o zajściu z Topolskim i Olą, napisał Ładyżyńskiemu tylko, iż musi niezwłocznie jechać do miasta rodzinnego na wakującą intratną posadę, nie chcąc zamykać kariery tutaj, bez widoków na przyszłość...

Nadzieją otrzymania miejsca natychmiast motywował także wyjazd bez pożegnania, jak i przesyłkę również kluczy od kasy, ksiąg rachunkowych, oraz znalezionej pugilaresu. W końcu listu, Krasnostawski przeproszał pana Emila za trud i dodawał sucho, że pensji nic mu się nie należy, bo czyni niespodziany zawód swym dotychczasowym chlebodawcom.

We wrotach dziedzińca tymczasem majaczyła już barczystą postać Rzemieńskiego, pies legawy, poszczekując radośnie, wyprzedzał go...

Uświadomiwszy o czym należało starego sługę, wręczył mu Krasnostawski: papiery, księgi i klucze, oraz portfel znaleziony, z nadmienieniem zawartości jego, a przerwawszy szereg utyskiwań i szczerych żalów dotyczących się jego stąd odjazdu, - wyprawił do Szczęsnojej.

Sam zaś do kancelaryi powrócił i znużony padł na otomanę...

Widocznym było przy tem, iż w mózgu jego odbywała się jakaś walka...

- Nie, nie daruję!... To ponad siły moje! - rzekł wreszcie kilkakrotnie, urywanym szeptem, porywczo.

- Nie daruję! - powtórzył: - On o wszystkim wiedzieć musi! Tak każe sprawiedliwość, tak być musi, tak będzie! - głośno już zupełnie wyrzucił z siebie wzburzony, a przysunąwszy fotel do biurka, sięgnął ponownie po papier listowy, i umoczył pióro w atramencie.

Zatrzymał się... Po chwili cisnął pióro, wstał i znów zaczął chodzić gorączkowo po pokoju.

- Jak to? - szeptać zaczął. - Ja miałbym, niby pies sponiewierany, odejść stąd, usunąć się, zniknąć?... Ja miałbym zamknąć w sercu ich wspólną tajemnicę, i tem samem ocalić tego chłystka!.. Prawda, jednak, że i o nią tu chodzi, najdroż... - nie dokończył, sponiewiał...

Nie! W nim tliła jeszcze miłość dla niej, ale policzek kobiety i poniewierka - zdeptana miłość własna, - wszystko było od iskry tej silniejszym.

W dziesięć minut, młody człowiek uspokoił się zupełnie; znać z gotowym już w głowie planem, list pisać począł szybko, zamaszycie...

W ciszy pokoju rozległ się nerwowy zgrzyt pióra i długo, długo nie ustawał.

Cały żal, całą gorycz na papier przelewał z duszy swej Krasnostawski.

Opisał szczerze życie własne... I swą miłość ku Oli, tajoną od lat pięciu, idealną, czystą!.. Własne bóle cierpienia przez czas ten cały, i ostatnie podejrzenia, co do Topolskiego oraz zachowanie się tych dwojga, i pożar pałacu wreszcie, i zdradę i noc straszną - wszystko!..

List skończył, podpisał, złożył, i sięgnąwszy po kopertę, zaadresował: Italia, Milano, Signor Roman Dzierżymirski, Hotel "Europa," Corso Vittorio Emanuele 9.

Odrzuciwszy pióro, ujął Krasnostawski głowę w dłonie.

- Stało się!.. - szepnął po chwili i powstał.

- Nic cię już tu nie wiąże!.. - Jechać, jechać stąd czem prędzej! Obszaru, świata i ludzi, byle nie Ukrainy i Gowartowa!.. - zawrzało w nim i odemknąwszy drzwi, huknąć począł na służbę.

W pół godziny potem na całym folwarku wrzało... Jak grom, spadła na wszystkich wieść, że pan plenipotent, "panycz," wyjeżdża na zawsze. Zlecieli się wszyscy. W domu pakowano na gwałt rzeczy, daleko bowiem było do kolei, a Krasnostawski - koniecznie chciał zdążyć jeszcze na wieczorny pociąg.

Promienie zniżającego się słońca całowały już strzechę i rumieniły białe ściany domu, gdy odprowadzany, otoczony, całowany po rękach przez czeladź i służbę, żegnał się ze wszystkimi Krasnostawski, rozdawał tam i ówdzie sprzęty własne, rzeczy i pieniądze, sam wzruszony, smutny...

Wreszcie ulokował się na bryczce, konie ruszyły, przed oczyma mignęły mu ogorzałe twarze żegnającego go tak serdecznie ukraińskiego ludu - wrota skrzypane żałośnie po raz ostatni, i bryczka potoczyła się, brzęcząc, po gładkim drogowym szlaku, zginąwszy wkrótce wśród roztoczy łąków zżętego zboża, ugorów i kurhanów.

Do stacji kolejowej było już tylko wiorst parę... Czwórka Krasnostawskiego spuszczała się właśnie z pochyłości jaru na niepewny dziurawy drewniany mostek, gdy konie, z lękiem poczęły się nagle wspinać cofać, nie chcąc przejechać przez grobelkę. Furman zaklął po małopolsku, i parokrotnie uderzył biczem konie...

- Stań! - rzucił naraz krótko Krasnostawski i zeskoczył z bryczki.

- Kto tam jide! Baczysz? - zaciekawiony zwrócił się nagle do mrużącego wciąż furmana, wskazując ręką zbliżający się na bocznym trakcie obłok kurzawy.

- A kto ich znaje!.. Pewno zwitkiś \*) pany! - odburknął furman, który zląszy także z kozła i poprawiając uprzęż u koni, częstował właśnie jednego z nich energicznym w pysk uderzeniem.

[\*) Skądsis.]

Krasnostawski nie zauważył tego zniżania się nad ulubionymi dotąd przezeń końmi...

- Dlaczego pany? - spytał z roztargnieniem, a później zaraz w tym samym języku dorzucił: - A, prawda, poznajesz po turkocie...

Odmienny bowiem rzeczywiście od furkotu kół bryki, czy też innego pojazdziku, stłumiony, jednostajny i nieco głuchy przerywał ciszę przestrzeni turkot powozowy, regularny. Niebawem też zgrabny faeton wyłonił się z obłoków pyłu; konie siwe, w angielskich szorach, zaprzężone w leje, i dwoje ludzi siedzących na kozle, ubranych w liberyę granatową, ze złotymi guzikami.

Zaprzęg w parę minut stanął przy moście. Krasnostawski wydał okrzyk zdziwienia, taki sam drugi odpowiedział mu z zewnątrz powozu i odemknawszy z hałasem drzwiczki, wyskoczył z niego zapyłony Ładyżyński.

- No, goniłem pana, ale nie spodziewałem się, że go złapię! - zaśmiał się wesoło pan Emil i uścisnął wyciągniętą dłoń Krasnostawskiego.

- Witam, witam!.. - ciągnął dalej. - Cóż to, bułanki kapryszą i przez most nie chcą przejść? Obserwowałem... no, siadaj pan ze mną; zobaczysz, jak hrabiowskie angliki przejdą spokojnie.

Ładyżyński pociągnął Krasnostawskiego do powozu.

- Cóż to, pan także na kolej, czy tylko po mnie? - uśmiechnął się Krasnostawski, nieco zmieszany i zaskoczony widokiem pana Emila.

- Wyjeżdżam - odrzekł tenże krótko, i dorzucił swobodnie, zauważywszy wyraz twarzy młodego człowieka: - Nie bój się pan, nie trwóż!.. Nie myślę wcale i nie mam polecenia zawracać pana z drogi do dawnych obowiązków... Przeciwnie, moim zdaniem czynisz pan bardzo dobrze, iż rzucasz te kąty...

W Gowartowie nie doszedłbyś nigdy do niczego, a szkoda młodość swoją zamykać tu i tracić!..

I Ładyżyński wyciągnął, przy tych słowach, rękę do Krasnostawskiego, a ścisnąwszy ją silnie, rzekł jeszcze.

- Powinszować mogę tylko, żeś się pan otrząsł ze skrupułów, i życzyć powodzenia na przyszłość!..

Krasnostawski skłonił się, milcząc. Pan Emil zaś, przechodząc natychmiast na inny temat, już mówił:

- Wiesz pan co?.. Siadaj pan ze mną!.. Mam panu X rzeczy ciekawych do opowiedzenia. Cóż, zgoda?

Krasnostawski usłuchał; bryka cofnęła się nieco, a powóz, przejechawszy spokojnie przez mostek, potoczył się znów równo i szybko dalej.

- Służę panu! - rzeki Ładyżyński, częstując Krasnostawskiego cygarem. Zapalili...

Oparłszy się wygodnie o poduszki i zaciągnawszy cygarem, pan Emil rzekł.

- Nadstawiaj pan uszu!... Tandem tędy, zaczynam...

- Słucham, słucham! - potwierdził młodzieniec, kontent w duszy, że go coś, choć na chwilę, odrywa od smutnych myśli.

- Przedstaw pan sobie zatem, panie kochany, że jesteś w teatrze na jednoaktowej szaradzie. Uważa pan: sza - ra - dzie...

Rzecz dzieje się, mówiąc właściwym stylem, za naszych czasów, na Ukrainie, w Szczęsnojej, majątku grafa Topola - Topolskiego. Popołudniowa, przedobiednia godzina - cisza... Pałac pogrążony w milczeniu... W tej samej jednak chwili stojący na ganku strzelec, w pokornym zgięty ukłonie, podaje coś mężczyźnie, ubranemu w smoking. Mówiąc nawiasem to ja - uśmiechnął się pan Emil, po chwili ciągnął dalej:

- Kurtyna spada, następuje odsłona druga: Sala portretowa jadalna, do stołu zasiada ze trzydzieści eleganckich osób... Jedno tylko krzesło wolne... Wchodzi ten sam mężczyzna w smokingu, trzymając coś w ręku. Wita tam i ówdzie osób parę, zbliża się do młodej nadobnej damy i wręcza jej z ukłonom portfel, mówiąc coś objaśniająco... Nagle siedzący obok sam "graf" zrywa się od stołu, jak oparzony, i robiąc arcygłupią minę, wpatruje się w portfel... Zaintrygowanie ogólne, sytuacja jednak wyjaśnia się wkrótce...

W tej chwili spojrzawszy na zasłuchanego towarzysza, pan Emil rozśmiał się serdecznie.

- No, dosyć ma już pan tych efektów scenicznych, dokończę panu zatem tę szaradę zwyczajnymi tylko słowy...

- Dziwi pana zapewne - mówił dalej, - arcygłupia mina Topolsia, gdy ujrzał portfel, z połyskującą koroną, symbolem jego wielkości!..

- Otóż w tem ma się rzecz cała, że portfel ten nie Dzierżymirskiego, i nie jego pieniądze, ani pani Oli, lecz, ni plus ni minus, tylko Topolskiego...

- Nie może być! - wykrzyknął Krasnostawski, szczerze zdziwiony.

- No, cóż! szarada dobra... co? - rzucił wesoło Ładyżyński.

- Niezła - uśmiechnął się z kolei młodzieniec - bo dotąd przynajmniej nic a nic jej nie rozumiem.

- Cierpliwości! Zaraz pan pojmiesz wszystko - uspakając zaczął pan Emil swego słuchacza.

- Zapalić musimy poprzednio cygara, bo i pańskie zgąsło, nieprawdaż? - rzekł w ślad za tem, a wydobywszy zapalniczkę, zapalił jedną z nich usiłował, lecz wietrzyk swawolny zgasił mu ją i następnych kilka. - Sapristi! - zaklął z cicha. - Stańcie-no, hej! tam! - krzyknął na furmana.

Konie zatrzymane stanęły; wspomagany przez młodego plenipotentę, Ładyżyński zapalił wreszcie cygaro, a podniósłszy głowę, spojrzął przed siebie.

- Cóż to? Wyżycpol? - zapytał służby.

- A tak, proszę jaśnie pana! - potwierdził lokaj, zdejmując liberyjną czapkę.

- Tiens, tiens, widzi pan jak to czas leci - zwrócił się do Krasnostawskiego; - za jakie pół godziny będziemy na stacyi, patrz pan, - i wskazał ręką krajobraz.

Błyszcząc w mroku, lśniła się opodal wstęga rzeki, na górze malowniczo rozrzucone dość duże miasteczko mrugało dziesiątkami światełek...

- Jechać! - rozkazał Ładyżyński.

Powóz ruszył; pan Emil, po chwili milczenia, przemówił nagle:

- Przepraszam stokrotnie, że widząc ciekawość w oczach pańskich, nie kończę opowiadania... Pozwolisz pan, że mu zadam dwa pytania: czy masz pan dobrą pamięć i dokąd pan jedziesz?

- Jadę do rodzinnego miasta, a pamięć mam wyborną! - uśmiechnął się Krasnostawski.

- Otóż to - bardzo dobrze. Napisałem, bo widzi pan, list do Romana, ze szczegółowym opisem tego, co teraz tu opowiadam. Mam pamięć jednak fatalną... Zapomnę listu wrzucić na pewno! Mój panie kochany, weź go i wrzuć na dworcu... Cóż, dobrze? Przy tych słowach, Ładyżyński wyjął pospiesznie z surduta gruby list i podał go Krasnostawskiemu. Ten machinalnie schował go do kieszeni, gdzie spoczywało i jego do Romana pismo.

- No, więc kończę!.. - zaciągając się dymem, rzekł pan Emil.

- Słucham i to bardzo ciekawie - przerwał z zainteresowaniem Krasnostawski.

- Dziwił więc pana fakt, - ciągnął Ładyżyński - że pugilares i tysiączki są własnością hrabiczka, choć znalazły się w szufladzie Romka?.. W tem sęk właśnie, że Topolski dziś dopiero przekonał się, iż są one w innym, niż przypuszczał, ręku.

Wyobraź pan sobie bowiem, jaki był przebieg zguby tych pieniędzy...

- Temu lat sześć, czy ośm, Topolski miał przyjaciółkę w teatralnych sferach.. Otóż pewnego wieczora, zaprzysięgając sobie w duszy uroczyste, że puści w trąbę swoją magnifikę, idzie Topolski do niej na ostatnie rendez vous... Naturalnie w kieszeni kilka tysięcy mając w zapasie - Ładyżyński urwał, zaśmiał się i puściwszy z ust kółko dymu, mówił dalej.

- Lecz i tym razem spotyka pana na Szczęsnojej niepowodzenie... Nadobna córka Melpomeny nie chce nawet słyszeć o rozstaniu... Scena więc z tego naturalnie, płacze! On przeprasza - ona w końcu daje się przebłagać - amor vincens tuszuje wreszcie wszystko!..

Pan Emil odsapnął - i swobodnie po chwili ciągnął dalej:

- Nad ranem, z miłością gruntownie odegrzaną w sercu, przysięgając sobie, iż przyjaciółki nie porzuci nigdy, powraca Topolski do siebie... Nagle, dotknąwszy się kieszeni surduta, nie znajduje tam - pugilaresu! Ona, ta nieprzejednana, zagrała z nim komedię; za mało jej było dziewięciu tysięcy, które jej pono dawał, najbezczelniej okradła go więc, po prostu na całe dwadzieścia i siedm, znajdujące się w portfelu.

Topolski jednak wobec powyższego faktu, po głębszem wniknięciu w siebie, decyduje, że bądź co bądź pozbył się baby...

Oddychając zatem pełną pierśią - swobodny wyjeżdża do dóbr swych "krzyżyk na świeżym pugilaresie postawiwszy" - jak powiedzieliby bracia nasi, Litwini...

Tu pan Emil przerwał opowieść raz jeszcze, zapalił na nowo zgasłe cygaro i kończył.

- Od tej chwili minęło lat ośm, a tych dwoje nie widziało się wcale.

Skończyłem...

Ładyżyński odetchnął i umilkł.

- Dziękuję panu za opowiadanie - pośpieszył z odpowiedzią, Krasnostawski. - Rzeczywiście, szarada prawdziwa... Ale w Szczęsnojej zdziwienie było wielkie?

- Ogromne! - odparł pan Emil. - Notabene, wyobraź pan sobie, w Szczęsnojej pełno gości... Mieszka tam więc stale: primo jakaś poważna wielce krewna Topolskiego, zapewne dlatego, by do kawalerskiej siedziby pana na Szczęsnojej mogły przybywać i damy; secundo, prócz męskiego towarzystwa, przybyłego niespodzianie z kolei dziś z rana - a w których to gronie nie brakowało i jednego prezesa, społecznego koleżki Romana - znajdowało się też w siedzibie Topolska kilka osób, które przyjechały specjalnie do naszych: pań, z kondolencją po pożarze.

Więc powiadam panu! - mówił wesoło dalej Ładyżyński - gdy to co mówiłem, nam, mężczyznom, opowiedział Topolski po kolacyi przy cygarze, i kiedy wiadomość ta do pań się przedostała, Topolski został bohaterem dnia!..

- No, a pani Ola nic o istnieniu tego portfela nie wiedziała?

- Ależ, nic zupełnie! - podchwycił Ładyżyński. Tem większe zaintrygowanie, domysły!.. Wszyscy, a szczególnie panie, wsiadły na mnie, bym natychmiast opisał to wszystko Romanowi, chciały nawet, bym specjalnie w tej sprawie pojechał do niego... Prezes zaś, książę Szydłowiecki, zrobił nawet w liście moim dopisek, żeby Romek powiadomił go telegraficznie o swym przyjeździe, to on wyprawi wówczas raut na cześć jego i Topolskiego, jako bohaterów tej zagadkowej sprawy... Jednym słowem, powiadam panu - komedya...

Ładyżyński mówić przestał, strzepując popiół z cygara. Lecz trwało to krótko...

Rozmowa wkrótce potoczyła się znowu błyskotliwa, lekka...

A powóz tymczasem dudnił właśnie teraz po moście, rzuconym przez rzekę, i wtoczył się w wąskie brudne uliczki żydowskiego miasteczka; niebawem wyminał je i znalazł się na szerokim trakcie, prowadzącym do kolejowego dworca.

Jednocześnie w oddali ukazały się trzy gorejące światła: - to pociąg zbliżał się już do stacji. Pierwszy dojrzał go Krasnostawski. Sięgnął szybko po zegarek i spojrzął:

- Oho, już po dziewiątej! to pański pociąg...

- Do djaska! - zzymnął się pan Emil i - wytężył wzrok w kierunku pociągu.

- Janie! galopem! - krzyknął, zwracając się energicznie do furmana... Dam ci na mohorycz... nocować tu ani myślę!.. Może zdążymy! Jazda, a ostro!..

Stangret trzasnął z biczem, czwórka puściła się pędem po gładkim szlaku.

Zzianane już konie, galopując, sapały i tak dojechano aż pod sztachety drewniane, okalające stację... Tu pełno już było wozów, bryk, obywatelskich czwórek, oczekujących na swych panów.

Gdy elegancki ekwipaż pana Emila wtoczył się na brukowany plac przed stacją, jednocześnie na platformie rozległ się dzwonek i wpadł tam, z hukiem pociąg, zatrzymujący się tu tylko parę minut.

- Zuch z ciebie! - pochwalił Ładyżyński furmana, i rzuciwszy mu półimperyala, wyskoczył szybko. Rzeczy, przytwierdzone za powozem, odwiązywano już; dwaj panowie, zarządziwszy pośpiech, pobiegli do sali.

Tu ruch panował nielada..

Pasażerowie przyjezdni wysypywali się z wagonów i tłoczyli do wnętrza dworca; jadący kupowali bilety, służba kolejowa nosiła ręczne bagaże, zdawała kufry, biegała gorączkowo, kręciła się, jak w ukropie.

Przecisnąwszy się energicznie przez tłum, pan Emil zdobył bilet pierwszej klasy i w minutę potem, wychylony z wagonowego okna, rozmawiał z żegnającym go Krasnostawskim.

Uderzył trzykrotnie dzwonek, konduktor gwizdnął, lokomotywa odpowiedziała mu przeciągle - pociąg ruszył powoli z miejsca.

- Do widzenia!... Powodzenia na nowej drodze życia!..- mówił pan Emil, uśmiechając się przyjaźnie, serdecznie ściskając dłoń Krasnostawskiego.

Ten ostatni zaś, widocznie pod wpływem jakiejś nagłej myśli, puścił szybko rękę Ładyżyńskiego, skłonił się, i wydobywszy szybko z kieszeni dwa listy, podbiegł ku uchodzącemu wagonowi pocztowemu. Dogonił go i zręcznie wrzucił w otwór właściwy oba pisma.

- Addio... dziękuję! - posłyszał jeszcze głos pana Emila, i pociąg znikł niebawem.

Krasnostawski pozostał sam. Następny pociąg miał przyjechać już wkrótce, poszedł więc do kasy, kupił bilet, a wróciwszy na platformę, usiadł na ławeczce samotny.

Zamyślił się...

Poza nim zamykał się teraz na zawsze jeden okres dotychczasowego jego życia.

Płatny sługa bogatszych od siebie ludzi żył się on jednak, zbratał z ich życiem - z nimi... I po co?.. Po to, by obrachunek ten pożycia wspólnego zakończyć tak marnie?..

Krasnostawski pochylił głowę, ujawszy ją w dłoń. Jakiś bunt mimowolny podnosił się w nim przeciwko życiu, losowi i ironii jego.

Po co tu przybył lat temu kilka, po co przywiązał się do tego cudzego kątku ziemi, po co tak gorąco ukochał Olę?

Dlaczego to wcielenie wdzięku, czaru, wiosny, miłości i piękna, w osobie tej kobiety, stało, jak cień niepochwytny, na drodze jego życia?..

Krasnostawski pochylił się bardziej jeszcze i długi czas pozostał nieruchomy.

Nagle drgnął całym ciałem i podniósł głowę. Gwizd donośny przeszył powietrze, na dworzec z hukiem, szumem, w kłębach pary wpadł pociąg kurierski.

Krasnostawski począł szukać miejsca w wagonach. Ulokowawszy się wreszcie, zbliżył się do okna wagonu i wyjrzał.

Zamykano już właśnie z pośpiechem drzwiczki, wśród zgiełku rozlegał się trzeci dzwonek.

Krasnostawski ostatniem spojrzeniem smutnem objął raz jeszcze wszystko i cofnął się w głąb wagonu...

Zagrała w tejże chwili trąbka droźnika, mignęły latarnie sygnałów i pociąg kurierski znikł, pochłonięty cieniami nocy.

Na dworcu zagościł znowu spokój. Wszyscy rozeszli się teraz na dobre, pogaszono latarnie, a w oknach stacyi niebawem również znikły światła.

Na bagnach chór żabi grał tylko swą pieśń jednostajną gdzieś w dali, w pobliskim lesie słyszeć się dawały jakieś, szmery i senna noc cicha, zasiadłszy, jak królowa, na tronie z tkanego złotem szafiru - rozpostarła panowanie nad światem...

Cisza zupełna zawładnęła okolicą.

Mierząc tylko mknący chyżo czas, olbrzymi zegar stacyjny wydzwaniał godziny miarowo...

W milczeniu ogólnem, jak szept człowieka, głos jego odzywał się bezustannie:

Tik - tak! tik - tak! tik - tak!..

-----

W centrum Medyolanu, na placu "Del Duomo," w powodzi jaskrawych promieni upalnego, kończącego się już popołudnia, leniwie snuły się po chodnikach sylwetki niezbyt licznych przechodniów, kryjąc się od słońca pod kolumny frontowe i oszkloną galerię "Vittorio Emanuele."

Wokoło klombów, zajmujących środek placu, i otaczających stojący tam pomnik, kręciły się jednostajnie elektryczne tramwaje, dzwoniąc co chwila, rozbiegając się i ginąc w sieci ulic miasta, sam zaś na koniu majestatyczny Wiktor Emanuel II, z brązu, z piedestału pomnika, wpatrywać się zdawał ciekawie w otwarte drzwi królującego tu na placu katedralnego tumu, pociągającego z oddali tajemniczą wejścia głębiną... Koronkowej roboty marmurowe jego ściany, dach, kilkadziesiąt wieżyc i zdobiące go statuy, w liczbie około dwóch tysięcy, wznosiły się dumnie, i wystrzelały wysoko w niebo włoskie, szafirowe, czyste, zadziwiając misternem wykończeniem, dając sobą najlepsze nieśmiertelne świadectwo genialnej pracy człowieka.

Po marmurowych stopniach schodów tej okazałej, gotyckiej katedry, mogącej w swoim wnętrzu pomieścić do 40,000 ludzi, co chwila wchodził ktoś do jej środka, lub wychodził na ulicę - z kojącej ciszy świątyni wpadając nagle w hałaśliwy wir miasta, i natręctwo jego mieszkańców, w osobie spacerującego po trotuarze tuż koło tumu przekupnia, cisnącego w ręce każdemu gwałtem mozaikowe wyroby weneckie.

- Uno liro, signore, solamente uno liro! - na pół rozpaczliwym, na pół przekonywającym głosem napierał się właśnie ten ostatni, śniady Włoch, o przebiegłym spojrzeniu, i trzymając w ręku jakąś podejrzaną roboty broszkę, zagradzał drogę młodemu mężczyźnie, wstępującemu, w zamyśleniu; po stopniach katedry.

Dzierżymirski przystanął; podniósł głowę, i spojrział w oczy natrętowi, a zachnąwszy się niecierpliwie, rzucił mu coś energicznie po włosku. Przystąpiwszy próg kościoła, zdjął kapelusz i odetchnął z ulgą.

Przyjemnym chłodem w przeciwstawieniu do panującego na dworze upału; powiało nań z wnętrza tumu i milczeniem skupionem, powagi i - majestatu pełnem... Cień, pustka i tajemniczość niewytłumaczona objęły go zarazem niepodzielnie. W ciszy; po mozaikowej posadzce, z marmuru, donośnie, rozległy się kroki Romana.

Poza amfiladą 52 kolumn olbrzymich, kolosów, szesnaście kroków każda obchodu mających - w perspektywie, daleko, widniał wielki ołtarz, chór i rzędy plecionych krzesłek świeciły przyćmionym blaskiem kolorowe szkła okien, ponad głowę zaś Dzierżymirskiego, opiekuńczo jakby, wznosiły się marmurowo wyniosłe gotyckie arkady; z wierzchołków kolumn,

zdobiąc je grupami każdą z osobna, patrzyły na niego dziesiątki statuetek małych...

Odblask słoneczny dotknął delikatnie pięknych rysów przybysza, jego smagłych policzków, wypukłego czoła, i oświetlił je przelotnie.. Rażony światłem w oczy, Roman usunął się w cień, i spuściwszy głowę na piersi, zadumał się głęboko.

Godzin temu dwie zaledwie odebrał jednocześnie dwa listy...

Pierwszy od Emila Ładyżyńskiego, sarkastyczno - szyderski, opisujący mu szczegółowo i swobodnie fakt znalezienia pugilaresu, - powalił go w pierwszej chwili, niby uderzenie obucha.

Drugi, przepełnił miarę jeszcze!..

Ze słów tak szczerych, iż nie mogły nasunąć nawet momentalnej wątpliwości, wyrwanych prosto z bolejącej duszy ludzkiej, dowiedział się Dzierżymirski o zdradzie Oli...

Chwili tej nie zapomni do grobu!..

Otchłań, zda się, głęboka i bezdenna rozwarła mu się pod stopami, dusić go w gardle poczęło, w głowie powstał zamęt - w piersiach dotkliwy ból!.. Wybiegł jak nieprzytomny na ulicę... Półobłąkany prawie przybył pod stopnie marmurów katedry po ukojenie...

Za progiem świątyni, rzeczywiście cudem po prostu jakimś, powróciła mu samowiedza i względna równowaga umysłowa..

I oto teraz Roman porządkować zaczyna uciążliwie myśli. Wzrok jego machinalnie błądzi po wspaniałych freskach, z dziełami mistrzów, ołtarzach, marmurowych rzeźbach i pomnikach, zatrzymuje się instynktownie na siedmioramiennym kandelabrze olbrzymim, kosztownej roboty, w kształcie drzewa... Potem oczy jego spoczywają bezmyślnie na kopule, przed chórem i znajdującej się pod nią podziemnej kaplicy świętego Karola Boromeusza, ozdobionej bogato drogimi kamieniami i złotem...

Dzierżymirski sięga nagle do kieszeni i wyjmując otrzymane listy... usiłuje przeczytać je po raz wtóry...

Przed nim, przeświecane błysnięciem słońca, zmatowanym blaskiem łagodnie świecą w zmierschach katedry wspaniałe trzy okna chóru, jak mówią, największe na świecie całym.

Niby żywe, patrzą na Romana z okiennych witryn miniaturowe postacie świętych; malowane barwnie na szkle, na małych kwadratowych tafelkach - 350 obok siebie reprodukcij scen religijnych, wzorowanych na najsławniejszych mistrzach wychyla się, płonie setkami kolorów i cieni...

Dzierżymirski wypuszcza listy z ręki i ukrywa twarz w dłonie...

Pod wpływem bowiem jednego rzutu oka tylko na pisma, cierpienie bezbrzeżne i rozpacz tłoczącą falą zalewają mu duszę...

Więc zdradziła go!.. Zdradziła nikczemnie, dla zmysłowego upojenia - dla szału!.. Zdeptała jego miłość, uczucia, oszukała go - zapomniała!..

Więc takim ironii zgrzytem nagradza jego los szyderca, za to, co dla kobiety tej niegdyś uczynił!..

Ależ on dla niej przecież poświęcił wszystko!.. Siebie oddał!.. Swą cześć, uczciwość - sumienie!..

- Przez ciebie wszystko tom uczynił, przez ciebie! - głuchy jęk unosi pierś mężczyzny. - O, Olu!.. Olu!.. przez ciebie!..

I milknie skarga...

A potem niezrozumiałego już coś coś tylko, niedosłyszalnego poczynają naraz szeptać cicho do siebie Dzierżymirskiego usta.

Kłęką i jakieś bóle i zale płynąć się zdają pod strop milczącego tumu, biegną trwożnie pod wyniosłe jego arkady, odbijają się o statuy, rzeźby i pomniki - na kolana padają u ołtarzy - lecą, tam, gdzieś wysoko... do Boga!..

Lecz oto nagle spokój świątyni brutalnie przerwany zostaje...

- Yes, yes, yes!.. - odzywa się co chwila i dowcipy francuskie wtórują angielszczyźnie, - z przewodnikami Baedeker'a w ręku przesuwają się tuż koło Romana garstka osób, z udaniem znawstwem oglądając wszystkie zabytki tumu.

Gwarząc wesoło, dzielą się turyści na dwie połowy. Jedna z nich zmierza zobaczyć wnętrze kaplicy św. Karola Boromeusza, druga, pobrzękując pieniędzmi, kupuje niebawem prawo obejrzenia dachu katedry, przy stoliku, postawionym we wnętrzu świątyni, na prawo, w głębi, u wejścia do prowadzących tamże schodów.

Roman powstaje i z kościoła uchodzi pośpiesznie. Na ulicy wskakuje do dorożki, i rzuca głośno jakiś rozkaz woźnicy.

Powozik rusza... Stopniowo, coraz szybciej wymija ulice, uliczki, place targowe; starożytne kościoły i pałace... Ruch miejski wokoło zmniejszać się poczynają i powóz wjeżdża niebawem w szeroką aleję, gdzie, oprócz biegnących gdzieś tam tramwajów, nie ma zgoła nikogo.

W ślad za tem również roztwiera się perspektywa...

Poza obszernym placem, bieleje kwadrat wielkiej kolumnady, zieleń świeża ramuje ją wdzięcznie. To już miasto

umarłych, - jeden z najpiękniejszych włoskich pomnikowych cmentarzy, medyolańskie "Cimitero Monumentale."

Powóz podjeżdża bliżej nieco, Dzierżymirski wysiada i idąc piechotą, kieruje się ku rysującej się teraz całkiem już wyraźnie i okazałe, cmentarnej kolumnadzie wejściowej. Krocząc zaś tak powoli, myśli: Nareszcie... tu, u grobu matki, dadzą mi spokój przynajmniej ludzie!.. Tu zdobędę samotności chwilę z jej prochami tylko i z samym sobą!..

Wstępując po stopniach schodów, Dzierżymirski znajduje się niebawem pod dachem kolumnady, kwadratowym frantom, ozdobionym wieżycami, zamykającej z zewnątrz widok i wejście na cmentarz.

U stóp Romana obecnie, w potokach słonecznych promieni, na tle zieleni gaju, bieleją setki marmurów, wystrzelają w niebo dziesiątki gotyckich wieżyczek, mauzoleów i pomników...

Nie patrząc nawet na nie, obojętny, Dzierżymirski, skręca w lewo, a wzrok jego przesuwają się machinalnie po małych zadrukowanych tabliczkach marmurowych wprawionych gęsto obok siebie w ścianę kolumnady, a oznaczających miejsce trumienek, z popiołami nieboszczyków.

I Roman w ten sposób dochodzi do kąta frontowego czworoboku, widząc zaś naprzeciw siebie mur, skręca, idąc wciąż jeszcze pod dachem kolumnady, posłusznie, na prawo...

Zadumany, mija wprawiony w ścianę pomnik rodziny Volonte, pełny artyzmu, piękny bardzo w oddaniu grozy i bólu...

Na ciało już oto martwe pięknego mężczyzny i leżące w pościeli na łożu z kamienia, w zgięciu bolesnym postaci całej, rzucona w szale rozpacz, klęczy młoda kobieta i całuje drogą dla się twarz zmarłego... Całuje, pieści w zapamiętaniu ślepem, upojeniu strasznym, bo ostatniego, a nieodwołalnego już pożegnania!..

Roman, wszedłszy po schodach bocznego skrzydła kolumnady, jest już na cmentarzu.

Idzie wolno, kierując się bezwiednie aleją znaną, wiodącą ku mogile matczynej.

Wkoło niego wznoszą się zewsząd wspaniałe grobowce: Verazzich, Sonzognich, Nasonich, Turatic, Brambillich, Pagnonich i innych włoskich rodzin i rodów. Pieścielka kamieniarskiej, rzeźbiarskiej i budowlanej roboty, mauzolea, w kształcie gotyckich kapliczek, z pięknymi ołtarzykami, mozaiką, obrazami i innymi ozdobami wewnątrz śliczne, odcinają się licznie na tle zieleni drzew cmentarza... Po wsze strony zaś, gdzie okiem rzucić tylko, w tych wszystkich białych grobowych sylwetkach pochwycony artystycznie, w kamień martwy i marmury rzeźbiarskim dźwiękiem zakuty, drży, zdawało by się wszędzie... ból!..

Słońce, zniżające się już stopniowo coraz bardziej, złoci teraz rzęsiście rój białych postaci... W pobliżu Dzierżymirskiego, z krawędzi odłamu - na wpół obrosłego zielenią, a doskonale imitowanej skały górskiej - z jej szczytu, iskrzący się w blaskach słońca, spogląda wyniosłe dokoła wspaniały orzeł z bromu.

To odznaczający się od drugich oryginalnością pomysłu, grobowiec Poggich...

Dalej zaś nieco pomnik rodziny Rusconi; rzeźba kobiety, o oczach, pełnych wyrazu, wpatrzony smutnie w dal, z testamentem nieboszczyka w ręku, na którym wyrzeźbione widnieją zapisy..

W innej znów stronie, wdowa w półleżącej pozycji, zapłakana; twarzy jej nie widać wcale - ukryta w dłoni. Cała postać wyraża ból niezmierny.

W swej wśród grobowców wędrowce, Dzierżymirski przystaje nagle... W zamyśleniu - zbłądził... Orientując się, zawraca, i ponownie mija mnóstwo grobowców, okazalszych, skromniejszych - przechodzi mimo pięknego nader pomnika.

Na grób z marmuru rzucona duża kotwica; pod krzyżem siedzi na mogile anioł-kobieta, o prześlicznym wyrazie twarzy, pogrążona w smutnym zamyśleniu, z wieńcem w dłoni...

Niebawem, tuż obok idącego wciąż Romana, wyrasta znów pomnik z kamienia. Na wierzchołku jego, z rękoma wzniesionymi do góry, modli się wielki Anioł, z pięknymi bardzo rysami twarzy, u stóp grobu klęczy kobieta, ze wzrokiem spuszczonej wdzięcznie, w ekstazie jakby bólu, odziana cała w zwoje subtelnie odrzeźbionych koronek.

Wkrótce przed grobowcem, banalnym nieco, a w porównaniu z innymi nader skromnym, Dzierżymirski pochyła się, zdejmując kapelusz i klęka, oparłszy głowę o zimny kamień pomnika. Na grobie wyrzeźbiony subtelnie w białym marmurze biust pięknej kobiety, oczyma wielkimi, pełnymi wyrazu, z odcieniem litości, czy bólu, patrzeć się zdaje badawczo na pochyloną postać i głowę mężczyzny...

Tymczasem rozsiana dokoła cisza, tchnąca spokojem, momentalnie ukajac poczyna Romana. Z chaosu, dotychczas panującego mu w mózgu, jedna po drugiej wyłaniają się doniesione mu fakty, ustawiają rzędem w symetryczną całość i niby ogniwa, logiką, rozumem spojone, wiążą się ze sobą, grupują...

I kara życia, nieubłagana, zimna, choć moralna tylko, staje Dzierżymirskiemu teraz przed oczyma wyraźnie...

Pozornie otrzymał on wszystko: W obliczu świata pozostał bezkarnym; był bogatym, wpływowym i wielkim, kłaniano mu się, zebrano jego łaski, protekcji.

Życie całe dotąd opromieniała mu Ola miłością swą, bez granic...

Posiadał skarb największy - kochał i był kochanym...

To było wczoraj jeszcze, a dziś?.. Dzierżymirski, pod ciężarem cierpienia, pochylił się w tej chwili bardziej jeszcze, skulił się, zmalował...

I w jasnowidzeniu jakby nagle, ujrzał on równocześnie, co innego jeszcze...

Przyszłość własną!..

On więc, w społeczeństwie swem jeden z pierwszych niemal; on, stojący na jego świeczniku, nie skażony moralnie, "na zewnątrz" - niczem, sponiewierany może, zbrukany posądzeniem, lub domysłami, a wreszcie, - kto wie, czy nie stojący w obliczu tłumów, pod pręgierzem prawdy, tajonej skrycie do dziś dnia na dnie duszy?

- O Boże!.. Boże! - jęk mimowolny wydobywa się z piersi Romana, oczy zaś jego wznoszą się jednocześnie i spotykają na grobie, z wizerunkiem matczynym. Oblicze rodzicielki patrzy teraz na niego, z wyraźnym współczuciem, współboleje z nim jakby. Jak żywa, spogląda na Romana matczyna, twarz smutna; kilka kropelek rosy, czy deszczu, ukrytych dotąd w załomach kamienia, spływa nagle po wykutem obliczu pięknej kobiety...

Zachodzące słońce zakrwawia je swym blaskiem...

I krwią oto serdeczną, zdaje się matka płakać nad synem - łzami litości i bólu.

A Roman jednocześnie, w porywie cierpienia, wyciąga ramiona do rzeźby twarzy drogiej, obejmuje niemi głowę z marmuru i krzyż pomnika, a dotknąwszy czołem czoła matki, szepce coś jak dziecko, kwili...

- Matko... mateńko! - słyhać dokładnie, i cicha skarga z piersi mu się wyrывa! Z bólem jutra, łączy się w nim zarazem jakiś bunt niewytłumaczony do świata, do ludzi - do życia!... I w szepcie słów urywanych, zmieszanych, wymówka wnet cierpka słyseć się daje.

- Matko! - szepcze Roman, z wyrzutem. - Dlaczegoż że po tobie odziedziczyłem gorącą krew tej ziemi? Czemu, ach, czemu, z mlekiem twem wyssałem zapalczywy ogień pragnień, zmysłowego szału, który zniweczył we mnie wszystko, któremu oprzeć się nie zdołałem, i upadłem tak nisko... tak... nisko!

Nie mogłem odmówić sobie posiadania kobiety, którą ukochałem, bo w żyłach mych płonęła, jak lawa twych, matko, ojczystych wulkanów, krew dzieci południa, bo natura ich gwałtowna, przewrotna, bez niezłomnych uczciwości zasad, zakorzeniła się w mej istocie... Podeptałem wszystko... wszystko...

- Matko, tyś temu niewinna, ja wiem, tyś niewinna! - skarżył się dalej Roman, przepraszając jakby, - ale, czemuż twym wpływem, kiedy ojca straciłem tak wcześniej, nie starałaś się złagodzić we mnie tej natury narodu twego? Dlaczego nie mogłaś wytepić ze mnie złego ziarna? Czemu?.. czemu?.. czemu?..

I pytanie to Dzierżymirskiego ostatnie, rozpaczliwe, uleciało, półpokorne, półgroźne jakby i zamarło w ciszy!

A rodzicielka Romana mówiła pięknym, wyrazistym w białej rzeźbie wzrokiem - odpowiadała mu, zda się również:

- Nie bluźnij, synu, nie rozpaczaj!.. Nie ja tu winnam!.. Wierz mi!.. Czyniłam, co mogłam... Wpajałam w twą duszę niezłomne zasady, wzmacniałam twój umysł, twe serce! Nie miej żalu do mnie, me dziecko!.. Popsuł się świat, co skała, zbruka niejedno swem błotem!.. Zbłądziłeś...

A tymczasem zbieleła usta Dzierżymirskiego, wijącego się wciąż u stóp grobowca, w bólu i niepewności jutra, zaszeptały znów rozpaczliwie, z cicha...

- Co czynić? co czynić? - Wszak tam wszyscy czekają teraz ode mnie wyjaśnienia o pieniężnej zgubie, którego dać im, niestety, nie potrafię. Cóż im powiem? co wymyślę, a zresztą, cóż mi po tem? Gdybym po wysiłku mózgowym i znalazł może przemądre nawet rozwiązanie jakie, czyż nie takim samym, nie do zniesienia piekłem, stałoby się to moje jutro! - odpowiadały w duchu Romana: bezmierne zniechęcenie i gorycz.

- W ciągłej, podwójnej jeszcze, niż dotąd, obawie skandalu, z tajoną, tłumioną w duszy tajemnicą, bez miłości, bez niej, bez Oli, sam, opuszczony, z widmem wyrzutu sumienia?.. - Nie! - wyrzucił z siebie Dzierżymirski, z mocą. - Ja tak żyć nie potrafię!..

Szept urywany Romana ustał. Tuląc wciąż w ramionach ciemny marmur grobowca, milczącą snać już teraz z rodzicielką swą, a może i z Panem Wszechrzeczy, prowadził on rozmowę.

Nagle jednak w stłoczonej piersi Romana cierpienia dłużej nie zdołało już się ukryć - spazmem łkania wydobyło się na zewnątrz!

Milczenie cmentarnego zacisza wstrząsnął płacz męski, przejmujący, głęboki i przykrem nader echem rozległ się dokoła.

\*\*\*\*\*

A tymczasem nad Medyolańskim przepięknym "Campo Santo," w całym swym majestacie zachodziło słońce...

Mieniły się w odbłaskach jego dachy i wieżyczki licznych kapliczek, mauzoleów; przez kolorowe wąskie szyby okienek, drzwi i kraty wślizgiwała się wewnątrz ich cicho czerwien promieni, pełzała po mozaice posadzek, muskała ubrane wdzięcznie kwiatami ołtarzyki, kandelabry, posągi i piękne świętych obrazy...

Wspaniała wejściowa kolumnada iskrzyła się również tęczą blasków; ściany, dach i wieżyczki położonego na drugim końcu cmentarza "Tempio di Crematione" gorzały pasową grą światła...

A mleczno-białe, ciche i zadumane dotąd sennie posągi pomników ocknęły się po prostu jakby ożyły...

Kształty ich, misternie w kamieniu wykute, rysy, odrzeźbione, przebudziły się niby z martwoty dotychczasowej na drobną, przelotną chwilkę - na mgnienie!..

I nie są to już allegoryczne postacie, ni podobizny zmarłych dawno - nie, to wszak żywi ludzie, z krwi i kości! Ciało ich przecież, zaróżowione leciutko, drżeć oto zda się, poruszać, w żyłach krew płynie, usta coś mówią, a oczy ich, rysy, wyrazu pełne, boleją, płaczą, smucą się - myślą!..

Patrzcie... patrzcie!..

Tam, na, wspaniałym grobowcu, po obu stronach siedzącej na szczycie, zadumanej symbolicznej postaci kobiecej, dwaj aniołowie zalewają się gorzkimi łzami, szlochają!.. Tu znów, przy innym pomniku, po stopniach jego porusza się, kroczy wzwyż niewiasta młoda, - ku dwóm posągom, stojącym na górze grobowca, prowadzi chłopczyka, ślicznotę, w którego dłoni zaciśnięty kwiatusek się chwije... A tam, znów dalej, w innej stronie...

W otwarte drzwi małego mauzoleum, po stopniach schodów wchodzi wolno, szeleszcząc jakby fałdami swej sukni, ze spuszczonego wzrokiem - w trzymany w dłoni różaniec wpatrzona, cudnej piękności kobieta...

I tak dalej, i tak dalej...

Dziesiątki białoskrzydłych aniołów, wdów bolejących, załamujących dłonie, tarzających się gwałtownie, czy też pogrążonych w martwocie rozpacz, - setki biustów, postaci - zda się, w cmentarnej ciszy nuca oto hymn bólu, w zgodnym akordzie z piersi jakby wyrzucają wszechogólny krzyk cierpienia!..

A promienie zachodu zniżają się tymczasem coraz bardziej...

Purpura ich ciemnieje w końcu, niebawem niknąc powoli zaczyna tam i ówdzie. Zakątki cmentarza dalsze, pod murem, stoją już w cieniach - środkowe kąpią się jeszcze w ostatnich pożegnalnych drgnieniach czerwieni i złota...

Wokoło klęczącego Romana, i obejmującego wciąż w jednej i tej samej pozycji pomnik, z posągiem matczynym, palą się w całej pełni jeszcze dogasająco słońca blaski.

Dzierżymirski, szukając dalej ulgi w cierpieniu, jak nieprzytomny, wciąż szepcze coś niezrozumiałego do skąpanej w purpurze promieni rzeźby z marmuru... I niebawem, w ciszy, przerywanej tylko łagodnym szmerem poruszanych u drzew liści, drżeć głośniejsz znów skarga poczyna.

- Nie, matko! - szepce Roman - nie, matko! zrozum mnie, nie gań!.. Ja tam, do nich wrócić nie mogę, to przechodzi siły moje!.. Wszak ja jego, kochanka Oli - tłumaczy się dalej Dzierżymirski - jego, mego wroga, zabić powinienem! A jakże ja to uczynię? Przecież oczyszczać pojedynkiem nawet mego honoru nie mogę! - z goryczą w głosie, niby żywej osobie, perswaduje Roman, coraz ciszej, złamanym szeptem... - Zrozum, mateńko!.. Nie... mogę!..

Milknie na chwilę, poczem urywanym głosem, z beznadziejną rozpaczą, mówi, zwierza się jeszcze... - Tak, mateńko! bo honoru wszak ja... sam... nie... posiadam!..

I Dzierżymirski kończy głucho: - On w twarz mi to rzucić może, jeśli się dowie o wszystkim, a wtedy?.. Nie, matko! - powtarza głośniejsz Roman nie żądaj tego ode mnie! - Ja, z piętnem pogardy na czole, bez czci tych tłumów, które ujarzmiłem - żyć nie potrafię!..

A szczególnie z jej... Oli możliwą pogardą - bez jej uczucia żyć - nie mogę!..

I tem kończy spowiedź przed rodzicielką syn zbolały, a po chwili dorzuca, z mocą. - I... nie chcę!!!

Milknie Dzierżymirski, twarzy nie odrywa jednak od marmuru grobowca, pogrążywszy się w jakimś półodrętwieniu głębokim.

A wkoło niego tymczasem gaśnie już całkiem łuna zachodu... Jak przed chwilą, niby dotknięte czarowną różdżką, ożywiały się posągi z marmurów, tak teraz kolejno do martwoty swej powracają.

Położony tylko tuż obok Dzierżymirskiego symboliczny grobowiec jaśnieje jeszcze... Na wpół różowy od blasków czerwonych, blednieć oto właśnie coraz bardziej poczyna w tył przejęty, eteryczny i wielki na grobie tym anioł z marmuru, o rysach precyzyjnych, o rysach kobiecych, dziwnie nadziemsko zadumanych, a postaci całej wiotkiej i ustawionej na piedestale w ten sposób w powietrzu unosił się, leciał...

Anioł patrzeć się zdaje na Romana, ze współczuciem, spod rzęs spuszczonego, oczyma żyjącego jakby ducha. Nad urną, którą trzyma w dłoniach i tuli do piersi i unieść z sobą jakby pragnie w zaświaty, odrzeźbiony, palący się ognik płonie rzeczywistością światłem, pieszczony ostatnim promyczkiem słońca!..

Wreszcie i on zupełnie gaśnie.

Korowód wieczornych cieni z mrokiem, wodzem na czele, wsuwa się teraz cicho na "Campo-Santo" i welonem szarym wkrótce przesłania z wolna wszystko... W oczekiwaniu jutrzeńki różanej, która ich znowu przebudzi - zasypiają, symbole snu wiecznego, marmurowe rzeźby białe, doczesną zda się tylko drzemką...

Stopniowo ścierają się zarysy posągów, kapliczek, mauzoleów...

Zmierzch ciemnieje. Świącąc swój tryumf, a śmierć słońca po coraz bardziej mrocznych zakątkach "Cimitero" cienie wieczoru pływają już obecnie swobodnie całkiem - drużyna ich weseli się, tańczy, pusta, skracając godziny do przyjścia nocy-władczyni.

Po pewnym czasie jednak staje się wśród tego grona jej paziów coś niewątpliwie szczególnego bardzo... Wszystkie sylwety bowiem bawiących się cieni łączą się oto w jedną grupę, zwartem kołem otaczając któryś z licznych grobowców.

Obejmując ramionami krzyż i posąg marmurowy, klęczy tu nieruchomo, zlewająca się prawie z pomnikiem, pochylona, biała sylwetka mężczyzny... Cienie pochylają się ciekawie nad nią, dotykają jej ciała, zagląдают w twarz, dziwnie bladą.

I raptownie szept jakiś trwożny przelatuje po szeregu paziów nocy... Bezradni stoją wciąż gromadką, przelęknięci czemś jakby, przejęci, cisi... Niektórzy z nich nawet załamują ręce, drudzy kręcą z niedowierzaniem głowami - inni wpatrują się smutnie w majaczącą postać ludzką.

Nagle koło ich rozprzega się gwałtownie, milkną - pozostawiają w zapomnieniu zupełnym pomnik i znajdującego się u stóp jego człowieka. Momentalnie, szybko, ustawiają się składnie w dwa szeregi, pochylają z gracyą i pokorą, szacunku pełną, w powitalnym ukłonie...

To pani ich i królowa - Noc, strojna, wspaniała z wyżyn na ziemię zstąpiła właśnie w tej chwili, w czarnym swym płaszczu i w gwiazd aureoli.

-----

Poranek sierpniowy uśmiechał się tego dnia radośnie do tętniącego zwykłym ruchem wielkiego miasta. Pogodny, jasny, niósł on jednak w powiewach swych, chłodniejszych już nieco i świeższych, zapowiedź idącej wczesnej jesieni, tej czarownej, pięknej jesieni polskiej, tak zadumanej zda się i marzącej cicho, po otulonych mgłami płaszczynach i tak pełnej porywającej sobą tęsknoty.

Na jednej z głównych ulic miasta uwijano się żwawo. Przechodnie, wszyscy skwapliwie spieszący w jedną stronę, wymijali się gorączkowo, dzwoniły tramwaje, dorożki turkotały głośno - lekko, z cicha przesuwały się liczne, na gumowych kołach, ekwipaże i karety, dążąc również w tymże, co i piesi, kierunku.

Niebawem jednak liczba jadących powozów poczęła się zmniejszać stopniowo coraz bardziej, w końcu zaś ustała zupełnie.

Ulicę ruchu kołowego zamknęto. Ostatnie, zabłąkane dorożki zawracano, zmuszając do natychmiastowego skręcania w pierwszą lepszą boczną ulicę, a we względnej, panującej obecnie, uroczystej ciszy rozlegał się tylko zgłuszony szmer licznych stóp idącej po trotuarach gromady ludzkiej.

Pół-milczenie to dyskretne trwało dobre pół godziny.

Wreszcie z wieżyc jednego z pobliskich kościołów odezwały się poważnie i rzewnie żałobne dzwony i smutne - zabrzmiały donośnie.

Ruch powstał na chodnikach... Zbierano się grupami, przystawano, policya i żandarmi na koniach poczęli czynić porządek, niebawem zaś w perspektywie wielkowiejskiej, opustoszałej środkiem ulicy, ukazał się kondukt pogrzebowy. Na progach magazynów, balkonach i w oknach domów zaroilo się od widzów ciekawych...

Z kilkunastoma księżmi i licznym klerem, żałobny korowód przesuwać się zaczął z wolna aleją.

Ramowały go wdzięcznie niewinne główki idących regularnie rzędami chłopaczków i dziewczynek - a wychowawców z licznych miejscowych ochronek, zakładów dobroczynnych - za trumną zaś okazała, złożoną na bogatym sześciokonnym karawanie i jadącymi w ślad za tem, uginającymi się od wieńców, żałobnymi wozami, postępował tłum niezliczony - kołysało się morze głów ludzkich...

Hen! daleko zaś, poza ciżbą, ginąc gdzieś w perspektywie ulic miasta, lśnił się w promieniach słońca sznur powozów i karet.

Wśród uczestniczącej w pogrzebie rzeszy rozlega się stłumiony gwar ogólnie prowadzonych rozmów. Na wszystkich zaś ustach było teraz jedno tylko imię!

Bez zmayı i skazy wobec świata zeszedł do grobu - Roman Dzierżymirski.

W ostatnich dniach lipca społeczeństwem miasta, w którym żył, pracował, któremu na różnych polach działalności przewodził, wstrząsnęła wiadomość niespodziana, zakomunikowana przez gazety. Telegramem mianowicie doniesiono lakonicznie o śmierci prezesa Dzierżymirskiego, we Włoszech, w Medyolanie, na grobie matki, z aneuryzmu serca. Powodem nagłego zgonu było, jak mówili jedni, silne wstrząśnienie moralne i bolesna wiadomość z kraju, jak utrzymywali po cichu inni - straty poważne, czysto finansowej natury i położenie bez wyjścia!..

Ciało sprowadzono do kraju i dziś oto to same miasto, któremu Dzierżymirski tak wiele zasłużył się za życia, oddawało byłemu przodownikowi ostatnią posługę.

Stawiły się wszystkie sfery i stany - wszyscy zaś z nieklamany żalem, szli obecnie za trumną człowieka, z którego śmiercią, zdaniem ogólnem, ubywała miastu i krajowi nawet poważna społeczna siła...

A dość było posłuchać tylko uważnie tam i ówdzie co mówiono o zmarłym, by przekonać się, jak szczerem, jak powszechnym prawdziwie był ten żal po nim!

Jednogłośnie bowiem i wszechogólnie wynoszono po niebiosa czyny prezesa Dzierżymirskiego, poświęcenie dla ogółu, zdolności, rozum, szlachetność i energię - jednobrzmiąco ubolewano nad stratą jego niepowetowaną! Czasami, naturalnie, wplątała się i tu fałszywa gdzieniegdzie nuta, lecz ginęła natychmiast w akordzie powszechnego uwielbienia i żalu z przedwczesnego zgonu, tak zasłużonego społeczeństwu człowieka...

Z trudnością przeciskając się pomiędzy dwoma sznurami ciekawych na chodnikach, wspaniały pogrzebowy korowód oddalał się tymczasem stopniowo w perspektywie ulicy, - wreszcie księża, karawani i dążące za trumną tłumy skręciły w lewo, i po pewnym czasie znikły...

Na pierwszorzędnej ulicy w mieście przywrócono ruch natychmiast. Z bocznych ulic wysypały się dziesiątki zatrzymanych dotąd pojazdów, potoczyły się, dzwoniąc, ponownie tramwaje, zadudniły dorożki, omnibusy - do spowodowanych ścisaniem wypadków kilku, wpadło na ruchliwą arterię grodu wezwane Pogotowie Ratunkowe, donośną na trąbce pobudką torując sobie drogę!

Uroczysty nastrój sprzed chwili pierzchł bezpowrotnie. Szerokim korytem życie brutalnie deptało śmierci widmo - w codzienną szatę gorączka codziennego bytu przyoblekło się wszystko dokoła.

Na ustach tylko, snujących się po trotuarach przechodniów, biernych widzów żałobnego konduktu, błąkało się jeszcze nazwisko Dzierżymirskiego, roznosiciele zaś dzienników zaroili się niebawem, a korzystając z chwilowego nastroju publiczności, sprzedawać poczęli z powodzeniem nadzwyczajne dodatki do gazet, z portretem i życiorysem zmarłego.

\*\*\*\*\*

Minął rok czasu...

Powodnią świateł w mglisty wieczór pierwszego Listopada gorzał cmentarz miejski rozległy, i roje ludzi tłoczyły się na nim. Poukładane wzorzyscie paliły się na bogatych grobach i ubogich mogiłkach kolorowe lampiony, kwiaty i wieńce stroiły umarłych zakątek...

Przy grobowcach niektórych, ubranych wspaniała, nie było żywej duszy. Przy innych formalne odbywały się zebrania. Środkiem zaś ulicy wystrojony, "szykowny", a przeważnie bezmyślny, wśród dowcipów brukowych, wygłaszanych donośnie, spacerował tłum ciekawskich obojętny.

Tu i tam z rzadka czerniała przy świeżym pomniku postać schylona, zadumana tęsknie, cierpiąca... Tam i ówdzie na skromnej mogiłce, w bardziej oddalonej cmentarnej alei, szlochała cicho jakaś kobiecina, gdzie indziej znów klęczący syn, czy mąż, samotny, modlił się, lub nie widząc nic zgoła, nie słysząc, zapatrzonego w ból własny - połykał łzy.

W samotnej bocznej alei cmentarza wesoła młoda para, pochylona wzajemnie, szeptała sobie czule czule słówka mijając obojętnie groby, a pomiędzy innymi i mogiłkę jedną darniową, skromniutką... Zapłakana dziewczynina kilkunastoletnia, ze złożonemi pobożnie rączkami, klęczała na niej i sama jedna, biedziła się w tej chwili z jedyną zapaloną, a gasnącą za każdym podmuchem wiatru, świeczką, którą, wspólnie z dziesięciogroszowym z choiny wianuszkiem, i białym wielkanocnym barankiem - ustroiła grobek matuli.

Od żebraków, bab i dziadów, mruczających modły, zawodzących żałośnie, roilo się na cmentarzu.

Co chwila ktoś z publiczności zbliżał się do nich i dając jałmużnę, dodawał: - Za duszę nieżyjącego Piotra, Maryi i.t.d.

- Litości godna osobo! - skarżył się głośno żebrak stary, wyciągając dłoń kościstą do przechodzących właśnie aleją trzech ładniutkich podlotków, rozmawiających wesoło.

- Czekajcie! - do rówieśnic odezwała się żywo jedna z panienek, zatrzymując się przed dziadem. - Dam mu, niech się pomodli za duszę mego pana Stanisława...

- Ależ kiedy on żyje! po co? - zadziwiła się naiwnie najmłodsza z trójki.

- Ha-ha-ha! - zaśmiała się pierwsza serdecznie, - a cóż to szkodzi, niech się tam za niego, grzesznika, pomodli!..

I wręczając następnie dziadowi szóstaka, rzekła: - Macie, dziadku, za Stanisława!..

- Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci! - zaintonował żebrak uroczysto.

Śmiech rozległ się w alei; koncept podobał się figlarnej trójce, a kilka babek i dziadów, znajdujących się w pobliżu, skorzystało na tem, bo obdzielono ich groszakami na tą samą intencję. Pan Stanisław został za życia pogrzebanym, modlono się już z góry za niego, a pusta, niefrasobliwa młodość, nie znająca zapewne jeszcze, co to ból prawdziwy i żal po drogiej sercu stracie - poszła dalej, śmiech zaś jej srebrzysty odbił się raz jeszcze na zakręcie alei o ukryty w drzew cieniu pomnik okazały.

Na wysokiej kolumnie z połyskującego marmuru widniał jakiś posąg stojącej osoby... Na grobowcu nie było żadnego kwiatka i żadnych świateł... Zapatrzone jakby smutnie sam w siebie, stał on ciemny na uboczu, opuszczony i widocznie

zapomniani. Jarzący się tylko blask lampek czerwonych, które ozdobił grób sąsiedni, rzucał nań niepewne, dalekie światło. W półświatle tem, kto znał za życia Romana Dzierżymirskiego, z łatwością mógł go poznać teraz w stojącej rzeźbie z marmuru.

I idącego przechodnia przykuwało do miejsca zdziwienie nagłe.

- Jak to? - zadawał sobie mimowolnie pytanie. - W powodzi światła, blasków tysiąca, dających tak wymowne i chlubne świadectwo, że żywi pamiętają jednak o umarłych, dzisiaj o Dzierżymirskim już zapomniano?.. Czyż to możliwe, by świat był tak niewdzięcznym, żeby wykreślał z pamięci jednostki, tak głośne za życia - tak możnowładne!...

I dziwił się przechodzień... Dziwił się w dalszym ciągu naiwnie, nie zdając sobie sprawy z tego pewnika życiowej ironii, która prawem "teraźniejszości" się zowie, a która, z małymi wyjątkami, uwielbia tylko żyjących i na widowni obecnych, umarłych zasypując pyłem zapomnienia.

I spacerujący po cmentarzu widząc ciekawo przybliżył się do grobowca, z trudnością odczytywał napisy, a później szedł dalej, zamyślony mimo woli nad nietrwałością doczesnego bytu.

Lecz o niewdzięczności tym razem posądzał ludzi niesłusznie. Bo los szyderca, któryby może i rzeczywiście stał u świata wspomnienie innego, prawdziwie i wszechstronnie zasłużonego człowieka, niezbrukanego życiem, czystego - okazał się łaskawszym jednak, dla ubranego w togę pozorów moralnego wykołajeńca!

W kwadrans później, trzy osoby, oglądające się wokoło, skupiły się przed grobem Dzierżymirskiego. Wkrótce, tamże zjawił się również mężczyzna, z kobietą młodą dość jeszcze i garstką dzieci.

Przed ginącym w cieniach wieczora pomnikiem Romana, poklękli oni niebawem wszyscy...

Byli to Orleccy: ojciec, matka i córka, oraz Zieliński Herman, z rodziną.

Młody głosik dziewczęcy pierwszy przerwał nieśmiało milczenie cmentarnego zakątka. Silny, jędrny zawtórował mu głos męski i szeptał otaczających...

Wśród dalekiego echa kroków gromady ludzkiej, ich rozmów, śmiechu i płaczu - popłynęła z serc wdzięcznych za duszę zmarłego modlitwa!..

.....

Nazajutrz osamotnienia i zapomnienia żywych wstydzić się już nie potrzebował przed innymi - wspaniały grobowiec prezesa Dzierżymirskiego.

Czyjaś troskliwa ręka ustawiła na grobie palmy i świeże kwiaty... W krzyż ułożonych różnokolorowych lampionów kilkanaście nęciły tu oko i skromny, aczkolwiek gustowny wieniec zielony u pomnikowego tulił się podnóża. Tamże błyszczał o nieboszczyku napis złocisty, złożony z samych tytułów i godności...

I w blasków powodzi, na szczycie kolumny jaśniała zarówno teraz wdzięcznie odrzeźbiona sylweta pięknego, młodego jeszcze mężczyzny.

Królując nad wszystkim dokoła, niepokalanie biały, stał on i patrzył zamyślony! Na ustach z kamienia błąkać się zdawał dyskretny uśmiech zwycięskiej ironii...

A poniżej - u stóp posągu, na czarnym tle marmuru, wielkimi literami, rzucały się w oczy te oto wyryte słowa:

Uczciwy, szlachetny i prawy,

Ukochał bliźnich i społeczeństwu oddał życie całe -

Nagrodił go, Panie!..

\*\*\* END OF THE PROJECT GUTENBERG EBOOK IRONIA POZORÓW \*\*\*

Updated editions will replace the previous one—the old editions will be renamed.

Creating the works from print editions not protected by U.S. copyright law means that no one owns a United States copyright in these works, so the Foundation (and you!) can copy and distribute it in the United States without permission and without paying copyright royalties. Special rules, set forth in the General Terms of Use part of this license, apply to copying and distributing Project Gutenberg™ electronic works to protect the PROJECT GUTENBERG™ concept and trademark. Project Gutenberg is a registered trademark, and may not be used if you charge for an eBook, except by following the terms of the trademark license, including paying royalties for use of the Project Gutenberg trademark. If you do not charge anything for copies of this eBook, complying with the

trademark license is very easy. You may use this eBook for nearly any purpose such as creation of derivative works, reports, performances and research. Project Gutenberg eBooks may be modified and printed and given away—you may do practically ANYTHING in the United States with eBooks not protected by U.S. copyright law. Redistribution is subject to the trademark license, especially commercial redistribution.

**START: FULL LICENSE**  
**THE FULL PROJECT GUTENBERG LICENSE**  
PLEASE READ THIS BEFORE YOU DISTRIBUTE OR USE THIS WORK

To protect the Project Gutenberg™ mission of promoting the free distribution of electronic works, by using or distributing this work (or any other work associated in any way with the phrase “Project Gutenberg”), you agree to comply with all the terms of the Full Project Gutenberg™ License available with this file or online at [www.gutenberg.org/license](http://www.gutenberg.org/license).

**Section 1. General Terms of Use and Redistributing Project Gutenberg™ electronic works**

1.A. By reading or using any part of this Project Gutenberg™ electronic work, you indicate that you have read, understand, agree to and accept all the terms of this license and intellectual property (trademark/copyright) agreement. If you do not agree to abide by all the terms of this agreement, you must cease using and return or destroy all copies of Project Gutenberg™ electronic works in your possession. If you paid a fee for obtaining a copy of or access to a Project Gutenberg™ electronic work and you do not agree to be bound by the terms of this agreement, you may obtain a refund from the person or entity to whom you paid the fee as set forth in paragraph 1.E.8.

1.B. “Project Gutenberg” is a registered trademark. It may only be used on or associated in any way with an electronic work by people who agree to be bound by the terms of this agreement. There are a few things that you can do with most Project Gutenberg™ electronic works even without complying with the full terms of this agreement. See paragraph 1.C below. There are a lot of things you can do with Project Gutenberg™ electronic works if you follow the terms of this agreement and help preserve free future access to Project Gutenberg™ electronic works. See paragraph 1.E below.

1.C. The Project Gutenberg Literary Archive Foundation (“the Foundation” or PGLAF), owns a compilation copyright in the collection of Project Gutenberg™ electronic works. Nearly all the individual works in the collection are in the public domain in the United States. If an individual work is unprotected by copyright law in the United States and you are located in the United States, we do not claim a right to prevent you from copying, distributing, performing, displaying or creating derivative works based on the work as long as all references to Project Gutenberg are removed. Of course, we hope that you will support the Project Gutenberg™ mission of promoting free access to electronic works by freely sharing Project Gutenberg™ works in compliance with the terms of this agreement for keeping the Project Gutenberg™ name associated with the work. You can easily comply with the terms of this agreement by keeping this work in the same format with its attached full Project Gutenberg™ License when you share it without charge with others.

1.D. The copyright laws of the place where you are located also govern what you can do with this work. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of your country in addition to the terms of this agreement before downloading, copying, displaying, performing, distributing or creating derivative works based on this work or any other Project Gutenberg™ work. The Foundation makes no representations concerning the copyright status of any work in any country other than the United States.

1.E. Unless you have removed all references to Project Gutenberg:

1.E.1. The following sentence, with active links to, or other immediate access to, the full Project Gutenberg™ License must appear prominently whenever any copy of a Project Gutenberg™ work (any work on which the phrase “Project Gutenberg” appears, or with which the phrase “Project Gutenberg” is associated) is accessed, displayed, performed, viewed, copied or distributed:

This eBook is for the use of anyone anywhere in the United States and most other parts of the world at no cost and with almost no restrictions whatsoever. You may copy it, give it away or re-use it under the terms of the Project Gutenberg License included with this eBook or online at [www.gutenberg.org](http://www.gutenberg.org). If you are not located in the United States, you will have to check the laws of the country where you are located before using this eBook.

1.E.2. If an individual Project Gutenberg™ electronic work is derived from texts not protected by U.S. copyright law (does not contain a notice indicating that it is posted with permission of the copyright holder), the work can be copied and distributed to anyone in the United States without paying any fees or charges. If you are redistributing or providing access to a work with the phrase “Project Gutenberg” associated with or appearing on the work, you must comply either with the requirements of paragraphs 1.E.1 through 1.E.7 or obtain permission for the use of the work and the Project Gutenberg™ trademark as set forth in paragraphs 1.E.8 or 1.E.9.

1.E.3. If an individual Project Gutenberg™ electronic work is posted with the permission of the copyright holder, your use and distribution must comply with both paragraphs 1.E.1 through 1.E.7 and any additional terms imposed by the copyright holder. Additional terms will be linked to the Project Gutenberg™ License for all works posted with the permission of the copyright holder found at the beginning of this work.

1.E.4. Do not unlink or detach or remove the full Project Gutenberg™ License terms from this work, or any files containing a part of this work or any other work associated with Project Gutenberg™.

1.E.5. Do not copy, display, perform, distribute or redistribute this electronic work, or any part of this electronic work, without prominently displaying the sentence set forth in paragraph 1.E.1 with active links or immediate access to the full terms of the Project Gutenberg™ License.

1.E.6. You may convert to and distribute this work in any binary, compressed, marked up, nonproprietary or proprietary form, including any word processing or hypertext form. However, if you provide access to or distribute copies of a Project Gutenberg™ work in a format other than “Plain Vanilla ASCII” or other format used in the official version posted on the official Project Gutenberg™ website (www.gutenberg.org), you must, at no additional cost, fee or expense to the user, provide a copy, a means of exporting a copy, or a means of obtaining a copy upon request, of the work in its original “Plain Vanilla ASCII” or other form. Any alternate format must include the full Project Gutenberg™ License as specified in paragraph 1.E.1.

1.E.7. Do not charge a fee for access to, viewing, displaying, performing, copying or distributing any Project Gutenberg™ works unless you comply with paragraph 1.E.8 or 1.E.9.

1.E.8. You may charge a reasonable fee for copies of or providing access to or distributing Project Gutenberg™ electronic works provided that:

- You pay a royalty fee of 20% of the gross profits you derive from the use of Project Gutenberg™ works calculated using the method you already use to calculate your applicable taxes. The fee is owed to the owner of the Project Gutenberg™ trademark, but he has agreed to donate royalties under this paragraph to the Project Gutenberg Literary Archive Foundation. Royalty payments must be paid within 60 days following each date on which you prepare (or are legally required to prepare) your periodic tax returns. Royalty payments should be clearly marked as such and sent to the Project Gutenberg Literary Archive Foundation at the address specified in Section 4, “Information about donations to the Project Gutenberg Literary Archive Foundation.”
- You provide a full refund of any money paid by a user who notifies you in writing (or by e-mail) within 30 days of receipt that s/he does not agree to the terms of the full Project Gutenberg™ License. You must require such a user to return or destroy all copies of the works possessed in a physical medium and discontinue all use of and all access to other copies of Project Gutenberg™ works.
- You provide, in accordance with paragraph 1.F.3, a full refund of any money paid for a work or a replacement copy, if a defect in the electronic work is discovered and reported to you within 90 days of receipt of the work.
- You comply with all other terms of this agreement for free distribution of Project Gutenberg™ works.

1.E.9. If you wish to charge a fee or distribute a Project Gutenberg™ electronic work or group of works on different terms than are set forth in this agreement, you must obtain permission in writing from the Project Gutenberg Literary Archive Foundation, the manager of the Project Gutenberg™ trademark. Contact the Foundation as set forth in Section 3 below.

## 1.F.

1.F.1. Project Gutenberg volunteers and employees expend considerable effort to identify, do copyright research on, transcribe and proofread works not protected by U.S. copyright law in creating the Project Gutenberg™ collection. Despite these efforts, Project Gutenberg™ electronic works, and the medium on which they may be stored, may contain “Defects,” such as, but not limited to, incomplete, inaccurate or corrupt data, transcription errors, a copyright or other intellectual property infringement, a defective or damaged disk or other medium, a computer virus, or computer codes that damage or cannot be read by your equipment.

1.F.2. LIMITED WARRANTY, DISCLAIMER OF DAMAGES - Except for the “Right of Replacement or Refund” described in paragraph 1.F.3, the Project Gutenberg Literary Archive Foundation, the owner of the Project Gutenberg™ trademark, and any other party distributing a Project Gutenberg™ electronic work under this agreement, disclaim all liability to you for damages, costs and expenses, including legal fees. YOU AGREE THAT YOU HAVE NO REMEDIES FOR NEGLIGENCE, STRICT LIABILITY, BREACH OF WARRANTY OR BREACH OF CONTRACT EXCEPT THOSE PROVIDED IN PARAGRAPH 1.F.3. YOU AGREE THAT THE FOUNDATION, THE TRADEMARK OWNER, AND ANY DISTRIBUTOR UNDER THIS AGREEMENT WILL NOT BE LIABLE TO YOU FOR ACTUAL, DIRECT, INDIRECT, CONSEQUENTIAL, PUNITIVE OR INCIDENTAL DAMAGES EVEN IF YOU GIVE NOTICE OF THE POSSIBILITY OF SUCH DAMAGE.

1.F.3. LIMITED RIGHT OF REPLACEMENT OR REFUND - If you discover a defect in this electronic work within 90 days of receiving it, you can receive a refund of the money (if any) you paid for it by sending a written explanation to the person you received the work from. If you received the work on a physical medium, you must return the medium with your written explanation. The person or entity that provided you with the defective work may elect to provide a replacement copy in lieu of a refund. If you received the work electronically, the person or entity providing it to you may choose to give you a second opportunity to receive the work electronically in lieu of a refund. If the second copy is also defective, you may demand a refund in writing without further opportunities to fix the problem.

1.F.4. Except for the limited right of replacement or refund set forth in paragraph 1.F.3, this work is provided to you ‘AS-IS’, WITH NO OTHER WARRANTIES OF ANY KIND, EXPRESS OR IMPLIED, INCLUDING BUT NOT LIMITED TO WARRANTIES OF MERCHANTABILITY OR FITNESS FOR ANY PURPOSE.

1.F.5. Some states do not allow disclaimers of certain implied warranties or the exclusion or limitation of certain types of damages. If any disclaimer or limitation set forth in this agreement violates the law of the state applicable to this agreement, the agreement shall be interpreted to make the maximum disclaimer or limitation permitted by the applicable state law. The invalidity or unenforceability of any provision of this agreement shall not void the

remaining provisions.

1.F.6. INDEMNITY - You agree to indemnify and hold the Foundation, the trademark owner, any agent or employee of the Foundation, anyone providing copies of Project Gutenberg™ electronic works in accordance with this agreement, and any volunteers associated with the production, promotion and distribution of Project Gutenberg™ electronic works, harmless from all liability, costs and expenses, including legal fees, that arise directly or indirectly from any of the following which you do or cause to occur: (a) distribution of this or any Project Gutenberg™ work, (b) alteration, modification, or additions or deletions to any Project Gutenberg™ work, and (c) any Defect you cause.

## **Section 2. Information about the Mission of Project Gutenberg™**

Project Gutenberg™ is synonymous with the free distribution of electronic works in formats readable by the widest variety of computers including obsolete, old, middle-aged and new computers. It exists because of the efforts of hundreds of volunteers and donations from people in all walks of life.

Volunteers and financial support to provide volunteers with the assistance they need are critical to reaching Project Gutenberg™'s goals and ensuring that the Project Gutenberg™ collection will remain freely available for generations to come. In 2001, the Project Gutenberg Literary Archive Foundation was created to provide a secure and permanent future for Project Gutenberg™ and future generations. To learn more about the Project Gutenberg Literary Archive Foundation and how your efforts and donations can help, see Sections 3 and 4 and the Foundation information page at [www.gutenberg.org](http://www.gutenberg.org).

## **Section 3. Information about the Project Gutenberg Literary Archive Foundation**

The Project Gutenberg Literary Archive Foundation is a non-profit 501(c)(3) educational corporation organized under the laws of the state of Mississippi and granted tax exempt status by the Internal Revenue Service. The Foundation's EIN or federal tax identification number is 64-6221541. Contributions to the Project Gutenberg Literary Archive Foundation are tax deductible to the full extent permitted by U.S. federal laws and your state's laws.

The Foundation's business office is located at 809 North 1500 West, Salt Lake City, UT 84116, (801) 596-1887. Email contact links and up to date contact information can be found at the Foundation's website and official page at [www.gutenberg.org/contact](http://www.gutenberg.org/contact)

## **Section 4. Information about Donations to the Project Gutenberg Literary Archive Foundation**

Project Gutenberg™ depends upon and cannot survive without widespread public support and donations to carry out its mission of increasing the number of public domain and licensed works that can be freely distributed in machine-readable form accessible by the widest array of equipment including outdated equipment. Many small donations (\$1 to \$5,000) are particularly important to maintaining tax exempt status with the IRS.

The Foundation is committed to complying with the laws regulating charities and charitable donations in all 50 states of the United States. Compliance requirements are not uniform and it takes a considerable effort, much paperwork and many fees to meet and keep up with these requirements. We do not solicit donations in locations where we have not received written confirmation of compliance. To SEND DONATIONS or determine the status of compliance for any particular state visit [www.gutenberg.org/donate](http://www.gutenberg.org/donate).

While we cannot and do not solicit contributions from states where we have not met the solicitation requirements, we know of no prohibition against accepting unsolicited donations from donors in such states who approach us with offers to donate.

International donations are gratefully accepted, but we cannot make any statements concerning tax treatment of donations received from outside the United States. U.S. laws alone swamp our small staff.

Please check the Project Gutenberg web pages for current donation methods and addresses. Donations are accepted in a number of other ways including checks, online payments and credit card donations. To donate, please visit: [www.gutenberg.org/donate](http://www.gutenberg.org/donate)

## **Section 5. General Information About Project Gutenberg™ electronic works**

Professor Michael S. Hart was the originator of the Project Gutenberg™ concept of a library of electronic works that could be freely shared with anyone. For forty years, he produced and distributed Project Gutenberg™ eBooks with only a loose network of volunteer support.

Project Gutenberg™ eBooks are often created from several printed editions, all of which are confirmed as not protected by copyright in the U.S. unless a copyright notice is included. Thus, we do not necessarily keep eBooks in compliance with any particular paper edition.

Most people start at our website which has the main PG search facility: [www.gutenberg.org](http://www.gutenberg.org).

This website includes information about Project Gutenberg™, including how to make donations to the Project Gutenberg Literary Archive Foundation, how to help produce our new eBooks, and how to subscribe to our email newsletter to hear about new eBooks.